

ROBIN COOK

TOKSYNA

TOXIN

PRZEŁOŻYLI: P. SZULGIT, J. WITECKI

Wydanie oryginalne: 1997

Wydanie polskie: 1999

TMN

*Książkę tę dedykuję rodzinom,
które ucierpiały od chorób wywołanych
przez Escherichia coli 0157:H7
i od innych zatruc pokarmowych.*

Chciałbym wyrazić wdzięczność następującym osobom:

Bruce'owi Bermanowi za jego cenne sugestie na początku niniejszego przedsięwzięcia oraz wnikliwą krytykę szkicu *Toksyny*;

Nikki Fox za podzielenie się ze mną swoją fachową wiedzą o chorobach na tle pokarmowym;

Ronowi Savenorowi za pomoc w pokonaniu pewnej przeszkody na etapie zbierania informacji;

oraz Jean Reeds za jej nieocenione uwagi i sugestie w trakcie pisania tej książki.

Prolog

9 stycznia

Niebo było ogromną, odwróconą misą pełną szarych chmur rozciągających się od jednego kresu horyzontu po drugi. Takie niebo widuje się nad amerykańskim Środkowym Zachodem. Latem te ziemie zalewałoby morze kukurydzy i soi, ale teraz, w środku zimy, było to zamrożone ściernisko z plamami brudnego śniegu i paroma samotnymi, ogołoconymi z liści drzewami.

Przez cały dzień z ponurych ołowianych chmur sączyła się mżawka — raczej mgła niż deszcz. Około drugiej po południu opady ustały i jedyna sprawna wycieraczka na przedniej szybie starej ciężarówki, należącej kiedyś do United Parcel Service, nie była już dłużej potrzebna, kiedy pojazd brnął przez koleiny polnej drogi.

— Co powiedział stary Oakly? — zapytał Bart Winslow.

Bart był kierowcą ciężarówki. On i jego partner, Willy Brown, siedzący na miejscu dla pasażera, byli już po pięćdziesiątce i mogliby uchodzić za braci. Zmarszczki na ich twarzach świadczyły, że przez całe życie pracowali na farmie. Obaj ubrani byli w wytarte, poplamione ziemią dreluchy i kilka warstw przepoconych koszul, obaj też żuli tytoń.

— Benton Oakly nie mówił zbyt wiele — odparł Willy, startszy wierzchem dłoni nieco śliny z brody. — Po prostu powiedział, że jedna z jego krów obudziła się chora.

— Jak bardzo chora? — zapytał Bart.

— Tak bardzo, że nie mogła wstać — powiedział Willy. — Ma silną biegunkę.

Z upływem lat Bart i Willy ze zwykłych pomocników na farmie stali się zespołem, który miejscowi farmerzy nazywali 3-U: obaj jeździli po okolicy i zbierali umarłe, umierające i upośledzone zwierzęta, szczególnie krowy, które odwozili do rzeźni. Nie była to praca godna pozazdroszczenia, ale Bartowi i Willy'emu całkiem odpowiadała.

Ciężarówka skręciła w prawo przy zardzewiałej skrzynce pocztowej i pojechała błotnistą drogą biegnącą między płotami z drutu kolczastego. Milę dalej droga wychodziła na małą farmę. Bart podjechał ciężarówką do stodoły, zawrócił na trzy razy i cofnął pod otwarte drzwi. Kiedy Bart i Willy wysiadali z ciężarówki, pojawił się Benton Oakly.

— Dobry — rzucił na powitanie.

Był równie zwięzły i lakoniczny jak Bart i Willy. Tutejszy krajobraz miał w sobie coś takiego, że ludziom nie chciało się za dużo gadać. Benton był wysokim, chudym mężczyzną o po-

psutych zębach. Wobec Barta i Willy'ego zachowywał dystans, podobnie jak jego pies, Shep, który ujadł głośno, zanim Bart i Willy wysiedli z ciężarówki. Teraz świdrująca nozdrza woń śmierci sprawiła, że pies schował się za swojego pana.

— W stodole — rzekł Benton. Wskazał ją ręką i poprowadził swoich gości do ciemnego wnętrza. Zatrzymawszy się przy zagrodzie, jeszcze raz pokazał ręką za ogrodzenie.

Bart i Willy podeszli nieśmiało i zajrzeli do środka. Pomieszczenie cuchnęło świeżym nawozem.

Chora krowa leżała w zagrodzie we własnych odchodach. Uniosła chwiejnie głowę i spojrzała na Barta i Willy'ego. Jedna z jej źrenic była koloru szarego marmuru.

— Co jest z jej okiem? — spytał Willy.

— Miała takie już jako cielak — odparł Benton. — Odbiła je sobie albo co.

— Choruje dopiero od rana? — zapytał Bart.

— Tak — powiedział Benton. — Ale już od miesiąca dawała mniej mleka. Chcę się jej pozbyć, zanim inne krowy dostaną biegunki.

— Jasne, weźmiemy ją — stwierdził Bart.

— Dwadzieścia pięć dolców za odstawienie jej do rzeźni? — upewnił się Benton.

— Tak — potwierdził Willy. — Czy możemy ją opłukać, zanim załadujemy ją na ciężarówkę?

— Proszę bardzo — powiedział Benton. — Wąż jest przy ścianie.

Willy poszedł po wąż, a Bart otworzył wejście do zagrody. Ostrożnie postawił jedną nogę, drugą dał krowie kilka kopniaków w zad. Zwierzę niechętnie podniosło się i powlokło przed siebie.

Willy wrócił z wężem i polewał krowę wodą, dopóki nie nabrała względnie czystego wyglądu. Potem stanęli za nią i razem wywabili ją z zagrody. Z pomocą Bentona wyprowadzili zwierzę na zewnątrz i umieścili je w ciężarówce. Willy zamknął tylne drzwi wozu.

— Co tam macie? Jeszcze cztery sztuki? — spytał Benton.

— Owszem — odparł Willy. — Wszystkie padły dziś rano. Gdzieś przy farmie Silverton jest jakaś zaraza.

— Koszmar — rzekł zaniepokojony Benton. Wcisnął Bartowi w rękę kilka zmiętych zielonych banknotów. — Zabierzcie mi to stąd.

Bart i Willy splunęli, wsiadając na swoje miejsca. Zmęczony silnik prychnął czarnym dymem i ciężarówka wytoczyła się z farmy.

Tak jak to mieli w zwyczaju, Bart i Willy nie odezwali się do siebie słowem, póki auto nie znalazło się na utwardzonej drodze należącej do hrabstwa. Bart przyspieszył i wreszcie wrzucił czwarty bieg.

— Myślisz o tym samym co ja? — zapytał.

— Zapewne — powiedział Willy. — Ta krowa nie wyglądała tak źle, kiedy ją umyliśmy. Do diabła, wyglądała o wiele lepiej niż ta, którą sprzedaliśmy do rzeźni w zeszłym tygodniu.

— Stała o własnych siłach, a nawet chodziła — zgodził się Bart.

Willy spojrział na zegarek.

— W samą porę — stwierdził.

Ekipa 3-U zamilkła. Willy i Bart zjechali z szosy na drogę biegnącą wokół rozległych, niskich budynków niemal pozbawionych okien. Na szyldzie wielkości tablicy ogłoszeniowej widniał napis: Higgins i Hancock. Na tyłach budynku znajdowała się pusta zagroda dla bydła — istne morze zdeptanego błota.

— Zaczekaj tutaj — polecił Bart, zatrzymując ciężarówkę w pobliżu tunelu łączącego zagrodę z fabryką.

Wysiadł z ciężarówki i zniknął w tunelu. Chwilę później Willy też wysiadł i oparł się o tylne drzwi ciężarówki. Po pięciu minutach nadszedł Bart z dwoma przysadzistymi mężczyznami w poplamionych krwią białych kitlach, żółtych kaskach budowlanych i żółtych gumiakach do połowy łydki. Obaj mieli plakietki identyfikacyjne. Plakietka težszego głosiła: JED STREET, KIEROWNIK, plakietka drugiego: SALVATORE MORANO, KONTROLER JAKOŚCI. Jed trzymał w ręku podręczny notes.

Bart dał znak Willy'emu, a ten odbezpieczył tylne drzwi ciężarówki i otworzył je. Salvatore i Jed zajrzeli do środka, zatykając nosy. Chora krowa uniosła głowę.

— To zwierzę może stać? — Jed zwrócił się do Barta.

— Pewnie. Nawet trochę chodzi.

Jed spojrział na Salvatora.

— No, co o tym myślisz, Sal?

— Gdzie jest kontroler weterynaryjny? — zapytał Salvatore.

— A gdzie ma być? — odpowiedział Jed. — Jest w świetlicy, zawsze tam łązi, kiedy myśli, że ostatnie zwierzę zostało odprawione.

Salvatore odchylił połą kitla, żeby wyciągnąć zawieszoną u pasa krótkofalówkę. Włączył ją i podniósł do ust.

— Słuchaj, Gary, czy ta ostatnia skrzynia dla Mercer Meats jest już pełna?

— Prawie. — Szum zagłuszył nieco odpowiedź.

— Okay — powiedział Salvatore. — Wysyłamy wam jeszcze jedno zwierzę. To powinno wystarczyć.

Salvatore wyłączył krótkofalówkę i popatrzył na Jeda.

— Do dzieła — rzekł.

Jed kiwnął głową i zwrócił się do Barta:

— Wygląda na to, że dobiliście targu, ale, jak mówię, płacimy tylko pięćdziesiąt dolców.

— Pięćdziesiąt dolców — skinął Bart. — Zgoda.

Podczas gdy Bart i Willy wchodzili na tył ciężarówki, Salvatore oddalił się w kierunku tunelu. Z kieszeni wyjął zatyczki do uszu. Kiedy wchodził do rzeźni, nie zaprzętał już sobie głowy chorą krową. Myślał o milionach formularzy, które będzie musiał wypełnić, zanim pójdzie do domu.

Zatkał uszy, aby nie słyszeć hałasu, który panował w tej części rzeźni, gdzie dokonywano uboju zwierząt. Podszedł do Marka Watsona, kierownika linii, i zwrócił na siebie jego uwagę:

— Mamy jeszcze jedno zwierzę! — wrzasnął, usiłując przekrzyczeć harmider. — Ale tylko na wołowinę bez kości. Kadłuba nie bierzemy. Kapujesz?

Marle przytknął palec wskazujący do kciuka na znak, że rozumie.

Następnie Salvatore przeszedł przez dźwiękoszczelne drzwi, które wiodły do administracyjnej części budynku. Wszedłszy do swego biura, ściągnął z siebie zakrwawiony kitel i kask. Usiadł za biurkiem i zajął się swymi formularzami.

Tak bardzo skupił się na pracy, że nie miał pojęcia, ile czasu upłynęło, gdy w drzwiach nagle zjawił się Jed.

— Mamy mały problem — powiedział.

— Co znowu? — spytał Salvatore.

— Głowa tej krowy, która padła, zsunęła się z szyny.

— Czy widział to któryś z inspektorów? — zapytał Salvatore.

— Nie — odpowiedział Jed. — Wszyscy siedzą w świetlicy i jak zwykle gadają z tymi z weterynarii.

— No to powieś tę głowę z powrotem na szynie i oplucz ją.

— Okay — powiedział Jed. — Pomyślałem tylko, że powinieneś o tym wiedzieć.

— Bezwzględnie — przyznał Salvatore. — Żeby chronić nasze tyłki, wypełnię nawet raport o niedostatecznej jakości. Jaki jest numer porządkowy tego zwierzęcia i jego głowy?

Jed zajrzał do kartki wpiętej w notes.

— Numer trzydzieści sześć, głowa pięćdziesiąt siedem.

— W porządku — powiedział Salvatore.

Jed opuścił biuro Salvatora i wrócił do rzeźni. Klepnął w ramię Jose. Jose był sprzątaczem, którego zadanie polegało na wymiataniu wszystkich nieczystości z podłogi i wyrzucaniu ich do okratowanych studzienek. Jose nie pracował tu zbyt długo. Charakter pracy powodował, że trudno było utrzymać sprzątaczy.

Jose kiepsko mówił po angielsku, a Jed niewiele lepiej po hiszpańsku, toteż porozumiewali się prostymi gestami. Jed pokazał mu na migi, że tamten ma pomóc Manuelowi, jednemu z pracowników oprawiających zwierzęta, powiesić głowę obdartej ze skóry krowy na jednym z haków sunących po szynie.

W końcu Jose zrozumiał. Całe szczęście, że on i Manuel mogli się porozumieć, ponieważ praca wymagała niewiele wprawy, ale znacznego wysiłku. Najpierw musieli położyć pięćdziesięciokilogramową głowę na metalowym podeście. Potem, gdy sami się tam wdrapali, musieli podnieść ją dostatecznie wysoko, by umocować ją na jednym z ruchomych haków.

Jed podniósł kciuk, wyrażając tym gestem aprobatę obu zdyszonym mężczyznom, którzy w ostatniej sekundzie omal nie wypuścili śliskiej głowy z rąk. Później, kiedy pobrudzony łeb krowy przejeżdżał na ruchomych hakach, Jed skierował na niego strumień wody. Nawet dla

takiego twardego jak Jed widok oka z kataraktą nadawał odartej ze skóry głowie upiorny wygląd. Jed był jednak zadowolony, widząc, ile brudu wydobyło się z niej pod strumieniem wody puszczonym pod wysokim ciśnieniem. Kiedy głowa w swej drodze do pomieszczenia z głowizną przeszła przez otwór w ścianie rzeźni, wyglądała na względnie czystą.

Rozdział 1

Piątek, 16 stycznia

Centrum Handlowe Sterling skrzyło się od marmurów, błyszczącego mosiądzu i polituowanego drewna witryn sklepowych. Tifi'any konkurował z Cartierem, Neiman-Marcus z Saksem. Z ukrytych głośników płynęły dźwięki koncertu fortepianowego numer 23 Mozarta. Wokół przechadzali się piękni ludzie w butach od Gucciego i płaszczach od Armaniego, by w to późne piątkowe popołudnie zapoznać się z ofertami wyprzedaży po świętach Bożego Narodzenia.

Zazwyczaj Kelly Anderson nie przejmowałaby się tym, że spędza część popołudnia w centrum handlowym. Dla dziennikarki telewizyjnej, była to zupełna odmiana od szybkich wypadów na miasto, żeby poskładać materiał do wiadomości na szóstą lub jedenastą. Lecz w ten szczególnie piątek centrum handlowe zawiodło oczekiwania Kelly.

— To kpiny — powiedziała z irytacją. Rozejrzała się po ekskluzywnym holu za kandydatem do wywiadu, ale nikt nie wyglądał zbyt obiecująco.

— Myślę, że na razie starczy — odezwał się Brian.

Brian Washington, wysmukły, flegmatyczny Murzyn, był wybranym przez Kelly operatorem kamery. Według niej był najlepszy w stacji i Kelly użyła wszelkich gróźb, próśb i pochlebstw, żeby stacja przydzieliła go jej.

Kelly wydeła policzki i westchnęła głośno, dając wyraz swemu rozdrażnieniu.

— Diabła tam wystarczy! — odparła. — Mamy wielkie zero, a nie materiał.

Trzydziestoczteroletnia Kelly Anderson była inteligentną, agresywną i ambitną kobietą, która zamierzała dostać się do wiadomości ogólnokrajowych. Większość ludzi uważała, że Kelly ma szansę tego dokonać, jeśli znajdzie temat, który zwróci na nią światła fleszy. Wyraziste rysy twarzy i żywe oczy, okolone czupryną gęstych blond włosów, z pewnością czyniły ją idealną kandydatką do tej roli. Aby wzmocnić swój profesjonalny wizerunek, ubierała się modnie i ze smakiem, zawsze była elegancka i zadbana.

Przełożyła mikrofon do prawej ręki, żeby spojrzeć na zegarek.

— A najgorsze jest to — powiedziała — że jesteśmy spóźnieni. Muszę jeszcze odebrać córkę. Jej lekcja jazdy na łyżwach już się skończyła.

— Świetnie się składa — rzekł Brian. Ściągnął kamerę z ramienia i wyłączył źródło zasilania. — Ja też muszę zabrać córkę z przedszkola.

Kelly pochyliła się i schowała mikrofon do swojej pojemnej torby, po czym pomogła Brianowi złożyć sprzęt. Jak para doświadczonych komandosów powieszali sobie wszystko na barach i ruszyli w stronę centrum kompleksu.

— To oczywiste — odezwała się Kelly — że ludzie mają gdzieś, czy AmeriCare wchłonęła szpital Dobrego Samarytanina i Uniwersyteckie Centrum Medyczne czy nie, jeśli sami od pół roku nie byli w szpitalu.

— To nie jest temat, który by podkreślał ludzi — przyznał Brian. — Bez zbrodni, seksu i skandali, no i żadnej gwiazdy.

— Ale ludzi powinno to obchodzić — odrzekła z niesmakiem Kelly.

— To, co ludzie powinni robić, i to, co naprawdę robią, nigdy nie idzie ze sobą w parze — stwierdził Brian. — Dobrze o tym wiesz.

— Wiem tylko to, że muszę wstawić ten materiał do dzisiejszych wiadomości o jedenastej wieczorem — odpowiedziała Kelly. — Jestem zrozpaczona. Powiedz, jak zrobić z tego seksowny kawałek?

— Gdybym wiedział, byłbym reporterem, a nie operatorem kamery — roześmiał się Brian.

Wynurzywszy się z jednego z promieniście rozchodzących się korytarzy, Kelly i Brian dotarli do przestronnego centrum kompleksu. Na środku pustej przestrzeni, pod szklanym dachem zawieszonym na wysokości drugiego piętra, znajdowało się owalne lodowisko. Jego oszroniona powierzchnia jarzyła się w blasku reflektorów.

Po lodowisku uwijało się około tuzina dzieci i kilkoro dorosłych. Wszyscy pędzili na łeb na szyję w różnych kierunkach. Ten chaos najwyraźniej wynikał z faktu, że właśnie skończyła się lekcja dla średnio zaawansowanych i niebawem miała zacząć się lekcja dla zaawansowanych.

Dostrzegłszy jasnoczerwony kostium swojej córki, Kelly pomachała i zawołała dziewczynkę. Caroline Anderson pomachała jej również, ale nie spieszyła się z podjazdem do bandy. Caroline była bardzo podobna do matki — zdolna, wysportowana i uparta.

— Pospiesz się, kurczaczku — powiedziała Kelly. — Zabieram cię do domu. Mama jest spóźniona i ma kłopoty.

Caroline zeszła z lodowiska, podeszła na czubkach łyżew do ławki i usiadła.

— Chcę iść do Onion Ring na hamburgera. Padam z głodu.

— To już zależy od twojego ojca, kochanie — stwierdziła Kelly. — Szybciutko, zaraz idziemy.

Kelly uklękła i wyjęła z torby buty Caroline. Położyła je na siedzeniu obok córki.

— Rany, to ci dopiero łyżwiarka — rzekł z podziwem Brian.

Kelly wyprostowała się i osłoniła ręką oczy przed blaskiem lamp.

— Gdzie?

— Tam, na środku. — Brian pokazał ręką. — W różowym kostiumie.

Kelly powiodła za nim wzrokiem i natychmiast stało się jasne, kogo Brian ma na myśli. Jakaś dziewczynka, mniej więcej w tym samym wieku co Caroline, rozgrzewała się tak, że niektórzy kupujący zatrzymali się, aby na nią popatrzeć.

— Ho, ho! Jest dobra. Prawie jak zawodowiec — powiedziała Kelly.

— Wcale nie jest taka dobra — odezwała się Caroline, zaciskając zęby i próbując zzuć jedną z łyżew.

— Mnie wydaje się dobra — odparła Kelly. — Kto to?

— Nazywa się Becky Reggis. — Nie poradziwszy sobie z łyżwą, Caroline znowu poluzowała sznurówki. — W zeszłym roku była mistrzynią stanu juniorów.

Jakby wyczuwając, że jest obserwowana, dziewczynka wykonała dwa podwójne aksle i łukiem przemknęła wzdłuż krańca lodowiska. Wielu kupujących zaczęło spontanicznie bić brawo.

— Jest fantastyczna — powiedziała Kelly.

— No dobrze. W tym roku pojedzie na mistrzostwa krajowe — niechętnie dodała Caroline.

— Hmm — mruknęła Kelly i spojrzała na Briana. — Można by z tego zrobić reportaż.

Brian wzruszył ramionami.

— Może do wiadomości o szóstej, ale na pewno nie do wydania o jedenastej.

Kelly znowu popatrzyła na łyżwiarkę.

— Nazywa się Reggis, tak?

— Tak — odpowiedziała Caroline. Zdjęła już obie łyżwy i szukała w torbie swoich butów.

— A nie jest to przypadkiem córka doktora Kima Reggisa? — zapytała Kelly.

— Wiem, że jej tata jest lekarzem — powiedziała Caroline.

— Skąd wiesz?

— Chodzi ze mną do szkoły — poinformowała Caroline. — Jest o rok starsza ode mnie.

— Bingo! — krzyknęła Kelly. — Okazja sama spada nam z nieba.

— Poznają ten błysk w twoim oku — rzekł Brian. — Jesteś jak kot, który czai się do skoku.

Widzę, że coś knujesz.

— Nie mogę znaleźć moich butów — poskarżyła się Caroline.

— Doznałam olśnienia — powiedziała Kelly. Podniosła z siedzenia buty Caroline i położyła je na jej kolanach. — Doktor Kim Reggis doskonale nadałby się do tej historii o fuzji AmeriCare. Był szefem kardiochirurgii w szpitalu Samarytanina, zanim doszło do przejęcia, a potem nagle — bum! — stał się jednym z pariasów. Założę się, że miałyby do powiedzenia coś pikantnego i seksownego.

— Bez wątpienia — zgodził się Brian. — Ale czy powiedziałby to tobie? Nie wypadł zbyt dobrze w twoim programie „*Biedne dzieci bogatych Ludzi*.”

— Och, to była burza w szklance wody — powiedziała Kelly z nutą goryczy.

— Może ty tak uważasz — stwierdził Brian. — Ale ja wątpię, czy doktor podziela twoje zdanie.

— Sam jest sobie winien — odparła Kelly. — Zresztą jestem pewna, że się z tym liczył. Za nic nie pojmuję, dlaczego kardiochirurdzy tacy jak on nie zdają sobie sprawy, że ich lamenty nad zwrotami kosztów leczenia nie zrobią wrażenia na opinii publicznej, skoro sami pobierają wynagrodzenie w sześciocyfrowych liczbach. Można by pomyśleć, że mają więcej rozumu w głowie.

— Zasłużenie czy nie, musiał być cholernie wściekły — orzekł Brian. — Wątpię, czy będzie chciał z tobą mówić.

— Zapominasz, że tacy chirurdzy jak Kim Reggis uwielbiają media — odparła Kelly. — Myślę, że warto zaryzykować. Co mamy do stracenia?

— Czas — odpowiedział Brian.

— I tak go nam nie zbywa — stwierdziła Kelly. Schyliła się obok Caroline i dodała: — Kochanie, nie wiesz, czy mama Becky jest tutaj?

— Pewnie — powiedziała Caroline i wskazała ręką. — Jest tam, w czerwonym swetrze.

— Znakomicie — rzekła Kelly i podniosła się, żeby spojrzeć na drugą stronę lodowiska. — Niebiosa naprawdę nam sprzyjają. Słuchaj, kurczaczku, włóż sama buty, ja zaraz wrócę. — Kelly odwróciła się do Briana. — Pilnuj jej.

— Ruszaj, dziewczyno — odrzekł z uśmiechem Brian.

Kelly obeszła lodowisko i zbliżyła się do matki Becky. Wydawało się, że tamta jest mniej więcej w jej wieku. Choć atrakcyjna i zadbana, ubrana była dość konserwatywnie. Odkąd Kelly ukończyła college, nie widziała kobiety noszącej sweter po szyję włożony na koszulę z białym kołnierzykiem. Mama Becky była pogrążona w lekturze książki, która nie wyglądała na powieść z list bestsellerów: Starannie podkreślała ustępy żółtym flamastrem.

— Przepraszam — odezwała się Kelly. — Mam nadzieję, że nie przeszkadzam pani za bardzo.

Matka Becky uniosła głowę. Miała ciemne włosy o kasztanowym odcieniu. Mimo surowych rysów miała miłe usposobienie i życzliwy stosunek do świata.

— Nic się nie stało — odpowiedziała. — Czym mogę służyć?

— Pani Reggis? — zapytała Kelly.

— Proszę mi mówić Tracy.

— Dziękuję — rzekła Kelly. — Zdaje się, że to dość poważna lektura jak na lodowisko.

— Muszę wykorzystywać każdy wolny moment — powiedziała Tracy.

— To chyba jakiś podręcznik — dodała Kelly.

— Niestety — potwierdziła Tracy. — We wczesnym wieku średnim znowu chodzę do szkoły.

— To godne pochwały — stwierdziła Kelly.

— To duże wyzwanie — odparła Tracy.

— Jaki ma tytuł?

Tracy odwróciła książkę grzbietem do góry, aby pokazać okładkę.

— *Ocena osobowości u dzieci i młodzieży.*

— Och, brzmi poważnie — powiedziała Kelly.

— Nie jest tak źle — zaoponowała Tracy. — Prawdę mówiąc, jest całkiem interesująca.

— Mam dziewięcioletnią córkę. Prawdopodobnie powinnam poczytać coś o zachowaniu nastolatków, zanim będzie za późno — stwierdziła Kelly.

— Nie zaszkodzi poczytać — zgodziła się Tracy. — Rodzice powinni korzystać z wszelkiej dostępnej pomocy. Dojrzewanie to trudny okres, a z mojego doświadczenia wynika, że jeśli przewiduje się kłopoty, one niechybnie następują.

— Zdaje się, że coś pani wie na ten temat.

— Coś niecoś — przyznała Tracy. — Ale nigdy nie należy sądzić, że wie się wszystko. Zanim wróciłam do szkoły w zeszłym semestrze, zajmowałam się terapią, głównie z dziećmi, ale także z młodzieżą.

— Psycholog? — zapytała Kelly.

— Opiekun społeczny — wyjaśniła Tracy.

— Interesujące — powiedziała Kelly, żeby zmienić temat. — Właściwie przyszedłam tu po to, żeby się przedstawić. Jestem Kelly Anderson z WENE News.

— Znam panią — odparła Tracy z odrobiną lekceważenia.

— No cóż — stwierdziła Kelly — mam niemiłe wrażenie, że moja reputacja mnie wyprzedza. Mam nadzieję, że nie ma mi pani za złe tego programu o kardiochirurgach i ubezpieczeniach Medicare.

— Myślę, że postąpiła pani dość podstępnie — odrzekła Tracy. — Kim sądził, że pani jest po jego stronie, kiedy zgodził się na wywiad.

— Bo do pewnego stopnia tak było — potwierdziła Kelly. — Chciałam jednak pokazać obie strony medalu.

— Zwłaszcza obniżające się dochody lekarzy — zaproponowała Tracy. — Na co położyła pani największy nacisk w swoim programie. Tak naprawdę to tylko jedna ze spraw, które niepokoją kardiochirurgów.

Obok nich przemknęła różowa plama, która na chwilę przykuła uwagę Kelly i Tracy. Becky rozpedziła się i jadąc tyłem, sprężyła się do skoku. Po chwili, ku uciesze przypadkowej publiczności złożonej z kupujących, dziewczynka bezbłędnie wykonała potrójny akcel. Rozległy się jeszcze głośniejsze brawa.

Kelly gwizdnęła cicho.

— Pani córka jest fenomenalną łyżwiarką.

— Dziękuję — powiedziała Tracy. — My uważamy, że jest fenomenalną osobą.

Kelly popatrzyła na Tracy, starając się zrozumieć jej uwagę. Nie umiała jednak rozstrzygnąć, czy tamta chciała wyrazić pogardę, czy tylko informację na temat córki. Wyraz twarzy Tracy niczego nie sugerował. Odwzajemniała spojrzenie Kelly ze szczerym, lecz nieodgadnionym wyrazem twarzy.

— Czy swój talent łyżwiarski odziedziczyła po pani? — zapytała Kelly.

Tracy roześmiała się swobodnie, odchylając do tyłu głowę w prawdziwym rozbawieniu.

— Nie bardzo — odparła. — Nigdy nie włożyłam łyżew na moje niezgrabne nogi. Nie wiem, skąd się wziął jej talent. Pewnego dnia córka po prostu powiedziała, że chce jeździć na łyżwach, a reszta to już historia.

— Moja córka twierdzi, że Becky w tym roku weźmie udział w mistrzostwach krajowych — kontynuowała Kelly. — To byłaby historia w sam raz dla WENE.

— Nie sędzę — powiedziała Tracy. — Wprawdzie Becky to zaproponowano, ale zrezygnowała.

— Szkoda — rzekła Kelly. — Cóż, pani i pan doktor musicie być załamani.

— Jej ojciec nie jest zbyt szczęśliwy z tego powodu — odpowiedziała Tracy — ale mówiąc szczerze, mnie samej ulżyło.

— Dlaczego? — zapytała Kelly.

— Te zawody wiele kosztują wszystkich, a co dopiero niedojrzałe dziecko. Nie zawsze jest to zdrowe dla psychiki. Wielkie ryzyko przy niewielkich korzyściach.

— Hmm — mruknęła Kelly. — Będę musiała się nad tym zastanowić. Tymczasem mam jeszcze bardziej naglący problem. Usiłuję zrobić materiał dla wiadomości wieczornych z tej okazji, że dzisiaj mija sześć miesięcy, odkąd AmeriCare przejęło szpital Dobrego Samarytana i Uniwersyteckie Centrum Medyczne. Chciałam przedstawić reakcje lokalnej społeczności, ale zetknęłam się z kompletną obojętnością. Pragnęłabym więc poznać opinię pani męża w tej sprawie, tym bardziej iż wiem, że ma własne zdanie. Czy przypadkiem nie przyjdzie tutaj na lodowisko dziś po południu?

— Nie. — Tracy zachichotała, jakby Kelly palnęła jakiś absurd. — W dni robocze nigdy nie wychodzi ze szpitala przed szóstą albo i siódmą. Nigdy!

— To niedobrze — stwierdziła Kelly; jej umysł szybko analizował inne możliwości. — Proszę mi powiedzieć, czy pani zdaniem mąż zechce ze mną rozmawiać?

— Naprawdę nie mam pojęcia. Widzi pani, rozwiedliśmy się kilka miesięcy temu, więc nie umiem powiedzieć, jakie od tego czasu ma o pani mniemanie.

— Przykro mi — powiedziała szczerze Kelly. — Nie wiedziałam o państwa rozwodzie.

— Nie ma powodu do żalu. Sędzę, że to było najlepsze rozwiązanie dla nas obojga. Wymóg okoliczności i konflikt charakterów.

— No cóż, wyobrażam sobie, że być żoną chirurga, a zwłaszcza kardiochirurga, to nie piknik. Znaczący się, oni uważają, że wszystko schodzi na drugi plan wobec ich pracy.

— Tak — odpowiedziała Tracy bez przekonania.

— Wiem, że sama bym tego nie zniosła — mówiła Kelly. — Egoistyczne, samolubne osobowości, jak pani były mąż, nie są w moim typie.

— Być może mówi to coś o pani — zasugerowała Tracy.

— Tak pani myśli? — spytała Kelly. Zamilkła na chwilę, uświadomiwszy sobie, że ma do czynienia z grzecznym, lecz bystrym i ciętym rozmówcą. — Może ma pani rację. Mimo to chciałabym zadać pani jeszcze jedno pytanie. Czy wie pani, gdzie o tej porze mogłabym znaleźć pani męża? Naprawdę chciałabym z nim porozmawiać.

— Mogę tylko przypuszczać, gdzie jest. Prawdopodobnie na oddziale chirurgicznym. W centrum medycznym wszyscy tak zaciekle walczą o sale operacyjne, że Kim musiał przenieść trzy operacje z tygodnia na piątek.

— Dziękuję pani. Natychmiast się tam udam i spróbuję go złapać.

— Proszę bardzo — rzekła Tracy. Machnięciem ręki pożegnała Kelly i obserwowała, jak ta odchodzi szybko wzdłuż bandy lodowiska. — Powodzenia — mruknęła do siebie.

Rozdział 2

Piątek, 16 stycznia

Każda z dwudziestu pięciu sal operacyjnych w Uniwersyteckim Centrum Medycznym wyglądała identycznie. Niedawno odnowiono je i wymieniono sprzęt — były nowoczesne pod każdym względem. Podłogi wylano białą masą imitującą granit. Ściany wyłożono szarymi kafkami. Lamy i przyrządy wykonano z nierdzewnej stali lub błyszczącego niklu.

Sala operacyjna numer dwadzieścia była jedną z dwóch, gdzie przeprowadzano operacje na otwartym sercu, i o czwartej piętnaście była nadal zajęta. Panował w niej spory tłok: anestezjolodzy, instrumentariuszki, pielęgniarki pomocnicze i odpowiedzialne za krążenie, kardiochirurdzy oraz niezbędne wyposażenie techniczne. W tej chwili nieruchome serce pacjenta było całkowicie odsłonięte, otaczała je olbrzymia liczba zakrwawionych taśm, rozwleczonych szwów, metalowych retraktorów i mnóstwo jasnozielonego materiału.

— W porządku, zrobione — powiedział doktor Kim Reggis, wręczając pielęgniarce igłę do zakładania szwów. Przeciągnął się, żeby rozprostować zeszytywniałe plecy; operował bez przerwy od siódmej trzydzieści rano. Był to jego trzeci i ostatni zabieg. — Odłączcie płyn kardioplegiczny i pobudźcie serce do pracy.

Polecenie Kima wywołało niewielkie poruszenie przy konsolcie aparatu do krążenia pozaustrojowego. Pstryknęło kilka przełączników.

— Rozgrzewa się — oznajmił bezosobowo chirurg.

Pani anestezjolog spojrzała zza parawanu oddzielającego głowę pacjenta od jego klatki piersiowej.

— Jak sądzisz, jak długo jeszcze? — zapytała.

— Skończymy za pięć minut — odparł Kim. — Pod warunkiem, że serce pójdzie na wspólną pracę, ale wygląda obiecująco.

Po paru spazmatycznych uderzeniach serce podjęło swój normalny rytm.

— Okay — stwierdził Kim. — Odłączcie bypass.

Przez następne dwadzieścia minut nikt się nie odzywał. Wszyscy wiedzieli, co do nich należy, więc wszelkie rozmowy były zbędne. Kiedy rozplątany mostek został połączony, Kim i doktor Tom Bridges cofnęli się od spowitego materiałem pacjenta i zaczęli ściągać sterylne fartuchy, rękawiczki i plastikowe maski. W tym samym czasie zwolnione przez nich miejsce przy stole operacyjnym zajęli chirurdzy klatki piersiowej.

— Chcę, żebyście zeszyli to nacięcie kosmetycznie! — zawołał do nich Kim. — Zrozumiano?

— Tak jest, doktorze Reggis — odpowiedział Tom Harkly. Tom był głównym stażystą na torakochirurgii.

— Ale nie róbcie tego przez całe życie — dodał uszczypliwie Kim. — Pacjent dosyć się już wyleżał pod narkozą.

Kim i Tom wyszli z sali na korytarz bloku operacyjnego. Obydwaj zmyli nad zlewem talk z dłoni. Doktor Tom Bridges był również kardiochirurgiem, tak jak Kim. Od lat pomagali sobie przy operacjach i zaprzyjaźnili się, chociaż przyjaźń ta przejawiała się głównie w sprawach zawodowych. Często jeden drugiego zastępował podczas operacji, zwłaszcza w soboty i niedziele.

— To była czysta robota — ocenił Tom. — Nie wiem, jak ty radzisz sobie z wszyciem tych zastawek, że to wygląda tak prosto.

Przez lata Kim wyspecjalizował się przede wszystkim w wymianie zastawek. Tom z kolei najczęściej wstawiał bypassy.

— Tak jak ja nie wiem, w jaki sposób potrafisz zszyć te malutkie naczynia wieńcowe — odpowiedział Kim.

Odszedłszy od zlewu, Kim splótł palce rąk i rozprostował je wysoko nad głową. Miał sześć stóp i trzy cale wzrostu. Następnie pochylił się i położył dłonie na podłodze, nie uginając nóg w kolanach, żeby rozprostować lędźwie. Kim miał atletyczną budowę ciała, podczas studiów grał w football, koszykówkę i baseball w drużynie Dartmouth. Z braku czasu jego obecne ćwiczenia ograniczały się do sporadycznej gry w tenisa i wielogodzinnych ćwiczeń na domowym rowerze gimnastycznym.

Tom z kolei się poddał. On także grał w college'u w football, ale po latach bezruchu jego mięśnie obrosły tkanką tłuszczową. W przeciwieństwie do Kima miał brzuch piwosza, chociaż rzadko pijał piwo.

Obydwaj mężczyźni przeszli przez wykafelkowany korytarz, na którym o tej porze panował względny spokój. Wykorzystywano tylko dziewięć sal operacyjnych, dwie inne zaś trzymano w odwodzie na nagłe przypadki. Normalny stan rzeczy dla zmiany pracującej od godziny trzeciej do jedenastej.

Kim przetarł swoją pokrytą zarostem, kanciastą twarz. Jak zwykle ogolił się rano o piątej trzydzieści, ale teraz, dwanaście godzin później, miał już przysłowiowy poranny zarost. Przesuwał ręką po swych długich, ciemnobrązowych włosach. Jako nastolatek we wczesnych latach siedemdziesiątych nosił włosy sięgające poniżej ramion. Obecnie liczył sobie czterdzieści trzy lata, ale włosy te były wciąż zbyt długie jak na człowieka o jego pozycji — choć nie tak długie jak kiedyś.

Kim popatrzył na zegarek przypięty do spodni.

— Cholera, już wpół do szóstej, a jeszcze nie zrobiłem obchodu. Wolałbym nie operować w piątki. Zawsze komplikuje mi to plany na weekend.

— Przynajmniej operacje idą po kolei — powiedział Tom. — To z pewnością nie to samo co wtedy, gdy prowadziłeś oddział w Samarytaninie.

— Nie musisz mi tego mówić — odparł Kim. — Zastanawiam się, czy przy obecnej dominacji AmeriCare i niskiej pozycji zawodowej chirurgów, w ogóle studiowałbym medycynę, gdybym znowu musiał przez to wszystko przechodzić.

— Ja też się zastanawiam — przyznał Tom. — Najgorsze są te nowe stawki ubezpieczeniowe. Wczoraj w nocy przysiadłem fałdów i zrobiłem pewne obliczenia. Obawiam się, że wyjdę na zero po tym, jak spłacę koszty prowadzenia gabinetu. O co tu chodzi? Zaczyna się robić tak źle, że razem z Nancy myślimy o sprzedaniu domu.

— Życzę powodzenia — wtrącił Kim. — Sprzedaję dom od pięciu miesięcy i nie dostałem ani jednej poważnej oferty.

— Musiałem wypisać dzieciaki z prywatnej szkoły — mówił Tom. — Ale co tam, do diaska, sam chodziłem do szkoły państwowej.

— Jak ci się układa z Nancy? — zapytał Kim.

— Szczerze mówiąc, nie bardzo — powiedział Tom. — Mieliśmy dużo nieprzyjemnych utarczek.

— Przykro mi to słyszeć. Współczuję ci, odkąd sam przez to przeszedłem. To ciężki okres.

— Nie tak wyobrażałem sobie moje życie na tym etapie — westchnął Tom.

— Ani ja — dorzucił Kim.

Obaj zatrzymali się przed wejściem do sali pooperacyjnej.

— Zostajesz w mieście na weekend? — spytał Tom.

— Jasne — odparł Kim. — Czemu pytasz? Jest coś?

— Może będę musiał tu wrócić do tego przypadku, który pomogłeś mi operować we wtorek — wyjaśnił Tom. — Wystąpiło lekkie krwawienie po operacji. Dopóki nie ustanie, mam związane ręce. Przydałaby mi się twoja pomoc.

— Nie ma sprawy — powiedział Kim. — Wywołaj mnie pagerem. Moja była żona chciała mieć wolny weekend. Zdaje się, że się z kimś spotyka. Tak czy inaczej. Becky i ja będziemy w mieście.

— A jak Becky radzi sobie po waszym rozwodzie? — zapytał Tom.

— Fantastycznie. O wiele lepiej ode mnie. W tej chwili ona jest jedynym promykiem światła w moim życiu.

— Dzieciaki są chyba twardsze, niż przypuszczamy — stwierdził Tom.

— Najwyraźniej — przyznał Kim. — Dobra. Dzięki za dzisiaj. Przepraszam, że ta druga operacja trwała tak długo.

— Nie ma o czym mówić. Wykonałeś ją jak wirtuoz. Można było się czegoś nauczyć. Do zobaczenia w pokoju chirurgów.

Kim wkroczył do sali pooperacyjnej. Tuż za progiem na moment się zawahał, a potem bacznie przyjrzał się łóżkom, szukając swoich pacjentów. Najpierw zobaczył pacjentkę Sheilę Donlon. Operował ją jako przedostatnią — i była to szczególnie trudna operacja. Pacjentka potrzebowała aż dwóch zastawek.

Kim podszedł do jej łóżka. Jedna z pielęgniarek bloku pooperacyjnego zmieniała właśnie niemal pustą butelkę z kroplówką. Kim doświadczone okiem ocenił wprawdzie cerę pacjentki, a potem spojrzął na monitory. Rytm serca był normalny, podobnie ciśnienie krwi i poziom hemoglobiny.

— Wszystko w porządku? — zapytał Kim, sięgając po kartę chorobową pacjentki, by rzucić okiem na wskazania.

— Żadnych problemów — odpowiedziała pielęgniarka, nie przerywając pracy. — Wszystko stabilne, a pacjentka zadowolona.

Kim odłożył kartę i stanął obok łóżka. Delikatnie podniósł kołdrę, żeby przyjrzeć się opatrunkowi. Zawsze zalecał personelowi zakładanie małych opatrunków. Gdyby wystąpiło niespodziewane krwawienie, Kim chciał wiedzieć o nim raczej wcześniej niż później.

Zadowolony opuścił kołdrę i wstał, aby obejrzeć kolejnego pacjenta. Jedyne około połowy łóżek było zajętych, więc sprawdzenie ich zajęło mu niewiele czasu.

— Gdzie jest pan Glick? — spytał Kim. Tego dnia Ralphi Glicka operował pierwszego.

— Proszę zapytać panią Benson przy biurku — odpowiedziała pielęgniarka. Była zaabsorbowana zakładaniem słuchawek i nadmuchiowaniem rękawa ciśnieniomierza na rękę Sheili Donlon.

Nieco zirytowany brakiem chęci do współpracy Kim poszedł w stronę głównego biurka, ale pani Benson, przełożona pielęgniarek, którą przy nim zastał, także była zajęta. Wydawała akurat szczegółowe polecenia kilku pielęgniarzom, którzy przyszli wymienić jedno z łóżek.

— Przepraszam — odezwał się Kim. — Szukam...

Pani Benson gestem dała mu do zrozumienia, że jest zajęta. Kim pomyślał, aby zwrócić jej uwagę, że jego czas jest cenniejszy niż czas pielęgniarzy, ale nie zrobił tego. Stanął na palcach i ponownie rozejrzał się, szukając swojego pacjenta.

— Czym mogę panu służyć, doktorze Reggis? — zapytała pani Benson, gdy pielęgniarze oddalili się w stronę zwolnionego niedawno łóżka.

— Nie widzę pana Glicka — wyjaśnił Kim. Ciągle rozglądał się po sali, pewien, że gdzieś go przeoczył.

— Pana Glicka odesłano na jego piętro — oznajmiła krótko pani Benson. Wyciągnęła dziennik leków i otworzyła go na odpowiedniej stronie.

Kim popatrzył na pielęgniarkę i zamrugał.

— Przecież specjalnie prosiłem, żeby zatrzymano go tutaj, aż skończę ostatnią operację.

— Stan pacjenta był stabilny — odparła szorstko przełożona pielęgniarek. — Nie było potrzeby, aby pozostawał tu i zajmował łóżko.

Kim westchnął.

— Macie tuziny wolnych łóżek, wystarczyło tylko...

— Proszę wybaczyć, doktorze Reggis — weszła mu w słowo pani Benson — ale stan pana Glicka pozwalał na przeniesienie.

— Wyraźnie prosiłem, żeby go tu zostawić — powiedział Kim. — Zaoszczędziłoby mi to czasu.

— Doktorze Reggis — wycedziła pani Benson. — Z całym szacunkiem, personel sali pooperacyjnej nie pracuje dla pana. Trzymamy się przepisów. Pracujemy w ramach AmeriCare. Jeśli stanowi to dla pana problem, proponuję, aby porozmawiał pan z kimś z administracji.

Kim poczuł, że robi się czerwony na twarzy. Zaczął mówić o zasadach pracy zespołowej, ale szybko się rozmyślił. Pani Benson studiowała już leżący przed nią notatnik z luźnymi kartkami.

Mrucząc pod nosem niewybredne epitety, Kim wyszedł z sali pooperacyjnej. Tęsknił za dawnymi czasami w szpitalu Dobrego Samarytanina. Przeszedłszy hol, zatrzymał się przed biurkiem u wejścia do sali operacyjnej. Za pomocą interkomu sprawdził stan ostatniego pacjenta. Głos Toma Harkly'ego zapewnił go, że zamknięcie klatki piersiowej przebiega zgodnie z planem.

Opuściwszy oddział operacyjny, Kim przeszedł do nowo wybudowanej sali odwiedzin. Była to jedna z nielicznych innowacji AmeriCare, której wprowadzenie Kim uznał za dobry pomysł. Zawdzięczano ją dbałości AmeriCare o wszelkie udogodnienia. Pomieszczenie zostało zaprojektowane specjalnie dla krewnych pacjentów z oddziału operacyjnego lub sali porodowej. Zanim AmeriCare wykupiło Uniwersyteckie Centrum Medyczne, członkowie rodzin nie mieli gdzie czekać na swych bliskich.

O tej porze było tam mało ludzi. Paru wszechobecnych przyszłych ojców dreptało tam i z powrotem lub nerwowo kartkowało czasopisma, czekając na żony poddawane cesarskiemu cięciu. W odległym kącie sali siedział ksiądz z dwójgiem zasmuconych ludzi.

Kim rozejrzał się wokół, szukając pani Gertrude Arnold, żony ostatnio operowanego pacjenta. Kim nie miał ochoty z nią mówić — pani Arnold zrobiła na nim wrażenie osoby zjadliwej i okrutnej. Wiedział jednak, że to należy do jego obowiązków. Dostrzegł blisko siedemdziesięcioletnią kobietę w kącie naprzeciw miejsca, w którym siedziała smutna para. Kobieta czytała jakieś czasopismo.

— Pani Arnold — odezwał się Kim, zmuszając się do uśmiechu.

Zaskoczona Gertrude Arnold podniosła głowę. Na ułamek sekundy jej twarz wyrażała zdumienie, ale gdy tylko rozpoznała Kima, wyraźnie się rozżłościła.

— W samą porę! — parsknęła. — Co się stało? Czy są jakieś kłopoty?

— Żadnych — zapewnił ją Kim. — Wręcz przeciwnie. Pani mąż zniósł operację bardzo dobrze. Właśnie w tej chwili jest...

— Jest już prawie szósta! — mruczała kobieta. — Powiedział pan, że skończy do trzeciej.

— Tak przypuszczałem, pani Arnold — potwierdził Kim, starając się zapanować nad głosem. Przewidywał dziwną reakcję, ale zachowanie pani Arnold przeszło jego oczekiwania. — Tak się nieszczęśliwie złożyło, że poprzednia operacja trwała dłużej, niż się spodziewaliśmy.

— W takim razie mój mąż powinien być operowany pierwszy — prychnęła Gertrude. — Kazaliście mi tu czekać przez cały dzień, nie powiadamiając mnie, co się dzieje. Jestem kłębkiem nerwów.

Kim nie wytrzymał i mimo sporego wysiłku, twarz wykrzywiła mu się w cierpkim, niedowierzającym uśmiechu.

— Nie uśmiechaj się do mnie, młody człowieku — zbesztła go. — Jeśli chcesz znać moje zdanie, to wy, lekarze, uważacie się za nie wiadomo kogo, a nam, zwykłym prostaczkom, każe-cie na siebie czekać.

— Przepraszam, jeśli rozkład moich zajęć naraził panią na kłopot — powiedział Kim. — Staramy się najlepiej, jak umiemy.

— Tak, powiem panu, co jeszcze się wydarzyło — ciągnęła Gertrude. — Przyszedł do mnie ktoś z administracji AmeriCare i powiedział, że AmeriCare nie zamierza płacić za pierwszy dzień pobytu mojego męża w szpitalu. Twierdzą, że miał zostać przyjęty na chirurgię dziś rano, a nie wczoraj. No i co pan na to?

— To ciągle problem, jaki mam z administracją — odparł Kim. — Kogoś tak chorego jak pani mąż nie mógłbym z czystym sumieniem przyjąć w dniu operacji.

— No dobrze, ale oni mówią, że nie zapłacą — powiedziała Gertrude. — A nas na to nie stać.

— W takim razie ja zapłacę, jeśli AmeriCare będzie obstawać przy swoim — stwierdził Kim.

Usta pani Arnold rozwarły się szeroko.

— Pan?

— Płaciłem już wcześniej — wyjaśnił Kim. — A co do pani męża, to wkrótce przeniosą go na oddział pooperacyjny. Potrzymają go tam, aż jego stan się ustabilizuje, a potem przeniosą na piętro dla pacjentów kardiologii. Wtedy będzie pani mogła się z nim zobaczyć.

Kim odwrócił się i wyszedł z sali odwiedzin, udając, że nie słyszy pani Arnold. Wrócił korytarzem i wszedł do pokoju chirurgów. Było tam kilka pielęgniarek z bloku operacyjnego, które miały przerwę, oraz paru anestezjologów i anestetyków na dyżurze. Kim uklonił się tym, których znał. Pracował w Uniwersyteckim Centrum Medycznym dopiero sześć miesięcy — od czasu fuzji z AmeriCare — toteż nie znał całego personelu, a zwłaszcza osób pracujących wieczorem i w nocy.

W szatni dla chirurgów Kim zdjął fartuch chirurgiczny i z całej siły cisnął go do kosza. Później usiadł na ławce przed rzędem szafek i odpiął od paska spodni swój zegarek. Tom, który dopiero co wziął prysznic, właśnie wkładał koszulę.

— Kiedyś, jak kończyłem operację, ogarniała mnie swego rodzaju euforia — stwierdził Kim. — Teraz czuję tylko jakiś nieokreślony, nieprzyjemny niepokój.

— Znam to uczucie — powiedział Tom.

— Popraw mnie, jeżeli się mylę — dodał Kim. — Kiedyś ta praca sprawiała nam frajdę.

Tom odwrócił się od lustra i roześmiał się cicho.

— Wybacz, że się śmieję, ale mówisz to tak, jakbyś dokonał niespodziewanego odkrycia.

— Nie mówię o ekonomii — powiedział Kim. — Mówię o małych sprawach, takich jak szacunek personelu i wdzięczność pacjentów. Dzisiaj wcale nie są one takie oczywiste.

— Czasy się zmieniły — potwierdził Tom. — Dziś zarządza się opieką medyczną, a rząd uprzykrza specjalistom życie, jak może. Czasami marzy mi się, że jakiś ważny biurokrata przychodzi do mnie po bypass, a ja mu każe załatwić to sobie u lekarza ogólnego.

Kim wstał i zdjął spodnie.

— Najsmutniejsze jest to, że wszystko dzieje się wtedy, gdy my, kardiochirurdzy, mamy najwięcej do zaoferowania ludziom.

Kim zamierzał wrzucić spodnie do kosza przy drzwiach, kiedy te nagle się otworzyły i ukazała się w nich głowa jednego z anestezjologów, doktor Jane Flanagan. Ujrawszy skąpo ubrane ciało Kima, Jane aż zagwizdała.

— Uważaj — ostrzegł ją Kim. — Jesteś wystarczająco blisko, żeby te przepocone portki owinęły ci się wokół głowy.

— Dla takiego widoku byłoby warto — zażartowała Jane. — Przyszłam cię powiadomić, że twoi wielbicielcy czekają na ciebie na zewnątrz, w sali odwiedzin.

Drzwi zamknęły się i filuterna twarzyczka Jane zniknęła.

Kim spojrzał na Toma.

— Wielbicielcy? O czym ona, do diabła, mówi?

— Zdaje się, że masz gościa — powiedział Tom. — A ponieważ nie wszedł do nas, skłania mnie to do wniosku, iż musi to być kobieta.

Kim podszedł do wnęki w ścianie, wypełnionej jednorazowymi fartuchami i spodniami, i wyjął stamtąd nowy, czysty komplet.

— I co jeszcze mnie dziś czeka? — spytał z rozdrażnieniem.

Przy drzwiach zatrzymał się.

— Jeśli to pani Arnold, żona mojego ostatniego pacjenta, będę wrzeszczał.

Kim wszedł do pokoju chirurgów. Od razu zorientował się, że nie chodzi o Gertrudę Arnold. Kelly Anderson stała przy ekspresie i nalewała sobie kawę do filiżanki. Parę kroków dalej stał jej operator z kamerą zarzuconą na prawe ramię.

— Ach, doktor Reggis! — zawołała Kelly, odpowiadając na zaskoczone i niezbyt zachwycone spojrzenie Kima. — Jak to miło z pańskiej strony, że przyszedł pan z nami pomówić.

— Jak się tutaj, do diabła, dostaliście? — spytał Kim oburzoną głosem. — I skąd wiedzieliście, że tu jestem?

Pokój chirurgów był jak sanktuarium, którego ciszy nie mącili nawet lekarze spoza chirurgii. Dla Kima myśl, że będzie musiał tutaj stawić czoło komukolwiek, a nade wszystko Kelly Anderson była już nie do zniesienia.

— O tym, że pan tu jest, dowiedzieliśmy się od pańskiej byłej żony — poinformowała Kelly. — A dostaliśmy się tutaj dzięki panu Lindseyowi Noyesowi, który nie tylko nas zaprosił, ale i wprowadził do środka. — Kelly wskazała na dżentelmena w szarym garniturze, który stał w drzwiach prowadzących na korytarz i wahał się, nie wiedząc, czy może wejść. — Jest z działu public relations Uniwersyteckiego Centrum Medycznego AmeriCare.

— Dobry wieczór, doktorze Reggis — powiedział nerwowo Lindsey. — Chcielibyśmy, aby poświęcił nam pan parę chwil. Panna Anderson postanowiła zrobić reportaż z okazji fuzji naszego szpitala z AmeriCare, która nastąpiła pół roku temu. Oczywiście pragniemy jej w tym dopomóc w każdy możliwy sposób.

Przez chwilę ciemne oczy Kima patrzyły to na Kelly, to na Lindseya. Kim nie potrafił powiedzieć, kto drażni go bardziej — węsząca sensację dziennikarka czy wścibski administrator. Wreszcie postanowił, że jest mu to zupełnie obojętne.

— Jeśli chce pan jej pomóc, niech pan sam z nią pogada — rzucił Kim i odwrócił się, żeby pójść z powrotem do szatni dla chirurgów.

— Proszę zaczekać, doktorze Reggis! — krzyknęła Kelly. — Właśnie wysłuchałam oficjalnego stanowiska AmeriCare. Mnie jednak interesuje pana osobiste zdanie, z pierwszej linii frontu, jeśli można tak powiedzieć.

Kim zatrzymał się w uchylonych drzwiach do szatni. Zastanawiał się, co zrobić. Ponownie spojrzał na dziennikarkę.

— Po tym programie, który pani zrobiła o kardiochirurgii, przysiągłem sobie, że nigdy więcej nie będę z panią rozmawiać.

— Dlaczego? — zapytała Kelly. — Przecież to był wywiad. Cytowałam tylko pańskie słowa.

— Na swoje pytania odpowiadała pani moimi wypowiedziami, które zostały wyrwane z kontekstu — rozzłościł się Kim. — Wycięła też pani większość z tego, co moim zdaniem miało największe znaczenie.

— Zawsze opracowujemy nasze wywiady — wyjaśniła Kelly. — Tak już jest.

— Proszę znaleźć sobie inną ofiarę — powiedział Kim.

Pchnął drzwi do szatni i zrobił krok do środka, gdy Kelly znowu wykrzyknęła:

— Doktorze Reggis Proszę tylko odpowiedzieć na jedno pytanie. Czy przejęcie szpitala było dla lokalnej społeczności tak dobre, jak utrzymuje to AmeriCare? Twierdzą, że kierowały nimi pobudki czysto altruistyczne. Powtarzają wciąż, że to najlepsza rzecz, jaka zdarzyła się opiece medycznej w tym mieście od czasu odkrycia penicyliny.

Kim ponownie się zawahał. Absurdalność stwierdzenia sprawiła, że nie umiał powstrzymać się od odpowiedzi. Jeszcze raz odwrócił się do Kelly.

— Trudno mi zrozumieć, jak ktoś może opowiadać tak niestworzone rzeczy i spać w nocy z czystym sumieniem. Prawda jest taka, że jedynym powodem przejęcia przez AmeriCare było zwiększenie ich zysków. Cokolwiek innego pani powiedzą, będzie to tylko mydlenie oczu i zwykła bzdura.

Drzwi zamknęły się za Kimem. Kelly spojrzała na Briana. Ten uśmiechnął się i pokazał Kelly wyciągnięty kciuk.

— Nagrałem — potwierdził.

Kelly uśmiechnęła się.

— Doskonale! Właśnie tego nam było trzeba.

Lindsey odkaszlnął grzecznie w zaciśniętą pięść.

— Oczywiście — rzekł — doktor Reggis przedstawił własną opinię, której jak zapewniam, nie podzielają inni członkowie zatrudnionego tu personelu.

— Och, doprawdy? — zdziwiła się Kelly. Potoczyła wzrokiem po pokoju. — Czy ktoś tutaj chciałby ustosunkować się do wypowiedzi doktora Reggisa?

Przez chwilę nikt się nie ruszał.

— Czy ktoś jest za lub przeciw? — nalegała Kelly.

Ciągle nikt się nie poruszał. W całym szpitalu, niczym kurtyna w telewizyjnym dramacie, zapadła nagle cisza.

— No cóż. Dziękuję wszystkim za poświęcony nam czas — skwitowała pogodnie Kelly.

* * *

Tom narzucił na siebie długi, biały szpitalny kitel i umieścił w przedniej kieszeni swoją kolekcję długopisów i ołówek oraz miniaturową latarkę. Kim wszedł do szatni, zdjął swoje rzeczy i wrzucił je z impetem do kosza, po czym ustawił się pod prysznicem. Nie odezwał się przy tym ani słowem.

— Nie powiesz mi, kto to był? — spytał Tom.

— Kelly Anderson z WENE News — powiedział spod prysznica Kim.

— W naszym pokoju dla chirurgów?! — zdziwił się Tom.

— Nie do wiary, co? — mówił Kim. — Zaciągnął ją tam jeden z tych facetów z administracji AmeriCare. Widocznie moja była powiedziała jej, gdzie można mnie znaleźć.

— Mam nadzieję, że wygarnąłeś jej, co myślisz o tym programie, który zrobiła o kardiochirurgii — powiedział Tom. — Przysięgam, że kiedy obejrzał go mój mechanik samochodowy, podniósł mi ceny. Istna paranoja: moje zarobki spadają, a pracownicy fizyczni podnoszą stawki.

— Powiedziałem jej jak najmniej — oznajmił Kim.

— Hej, a o której miałaś odebrać Becky? — zapytał Tom.

— O szóstej — odparł Kim. — Która jest teraz?

— Lepiej się pospiesz — ponaglił Tom. — Dochodzi już szósta trzydzieści.

— Cholera — zaklął Kim. — A ja nawet nie skończyłem obchodu. Co za życie!

Rozdział 3

Piątek, 16 stycznia

Zanim Kim dokończył obchód i zbadał pana Arnolda w sali pooperacyjnej, minęła kolejna godzina. Jadąc do domu swojej byłej żony w uniwersyteckiej części miasta, Kim przycisnął swego dziesięcioletniego mercedesa i ustanowił rekordowy czas. Kiedy parkował za żółtym lamborghini stojącym przed domem Tracy, właśnie dochodziła ósma.

Kim wyskoczył z samochodu i truchtem ruszył ścieżką prowadzącą do drzwi. Dom był skromny, wzniesiony na początku dwudziestego wieku, z paroma motywami wiktoriańskiego gotyku w postaci spiczastych łuków okien na pierwszym piętrze. Kim przebiegł schody po dwa stopnie naraz, znalazł się na werandzie z kolumnami i nadusił dzwonek. W zimowym chłdzie z jego ust leciała para. Czekaając, klepał się po bokach, aby się rozgrzać. Nie miał na sobie płaszcza.

Tracy otworzyła drzwi i natychmiast oparła ręce na biodrach. Była zdenerwowana i rozłoszczona.

— Kim, już prawie ósma. Mówiłeś, że będziesz najpóźniej o szóstej.

— Przepraszam — powiedział Kim. — Nie mogłem nic zrobić. Druga operacja strasznie się przeciągnęła. Musieliśmy uporać się z nieprzewidzianym problemem.

— Chyba powinnam się do tego przyzwyczaić — stwierdziła Tracy. Zeszła Kimowi z drogi i gestem zaprosiła go do środka. Zamknęła za nim drzwi.

Kim zajrzał do salonu i zobaczył przystojnego, niedbale ubranego mężczyznę po czterdziestce w zamszowej marynarce i w kowbojskich butach ze strusiej skóry. Siedział na kanapie, trzymając szklaneczkę z drinkiem w jednej ręce, a kowbojski kapelusz w drugiej.

— Dałabym Becky coś do jedzenia, gdybym wiedziała, że zjawisz się tak późno — powiedziała Tracy. — Dziewczyna umiera z głodu.

— Temu akurat łatwo zaradzić — odrzekł Kim. — Zamierzamy pójść gdzieś na kolację.

— Szkoda, że nie zadzwoniłeś — powiedziała Tracy.

— Byłem na oddziale operacyjnym i nie wychodziłem stamtąd aż do wpół do szóstej — wyjaśnił Kim. — Bynajmniej nie grałem sobie w golfa.

— Wiem — rzekła Tracy z rezygnacją. — To bardzo szlachetnie z twojej strony. Tyle tylko, że to ty wybrałeś godzinę, nie ja. To kwestia odpowiedzialności. Cały czas myślałam, że zjawisz się lada moment. Na szczęście nie lecimy służbowo.

— Lecicie? — zapytał Kim. — Dokąd?

— Do Aspen — odparła Tracy. — Zostawiłam Becky numer telefonu, pod którym można mnie znaleźć.

— Do Aspen? Na dwa dni?

— Najwyższy czas, abym się trochę zabawiła. Ty oczywiście nie wiesz, co to jest zabawa, nie licząc twoich operacji.

— Dobrze, skoro już jesteśmy okropni i sarkastyczni — powiedział Kim — wielkie dzięki za przysłanie Kelly Anderson do pokoju dla chirurgów. To była bardzo miła niespodzianka!

— Ja jej tam nie przysłałam — odparła Tracy.

— Ona powiedziała, że ty.

— Po prostu powiedziałam jej, że będziesz na oddziale operacyjnym — wyjaśniła Tracy.

— No cóż, na jedno wychodzi — skonkludował Kim.

Ponad ramieniem Kima Tracy zobaczyła, że jej gość wstaje. Wyczuwając, że nie odpowiada mu podслуchiwanie wymiany zdań z jej byłym mężem, Tracy pokazała Kimowi, aby wszedł za nią do salonu.

— Dostyc tych kłótni — powiedziała. — Kim, chcę ci przedstawić mojego przyjaciela, Carla Stapla.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie i ostrożnie popatrzyli sobie w oczy.

— Zajmijcie się sobą — zaproponowała Tracy. — Ja pójdę na górę i sprawdzę, czy Becky czegoś nie potrzebuje. A potem każdy pójdzie w swoją stronę.

Kim patrzył, jak Tracy znika na szczycie schodów. Potem przyjrzał się jej przyjacielowi. Sytuacja była dość niezręczna i Kim nie mógł wyzbyć się poczucia pewnej zazdrości, chociaż Carl był o kilka cali niższy i wyraźnie rzędły mu włosy. Z drugiej jednak strony, mimo że był środkiem zimy, miał ładną opaleniznę. Fizycznie również wydawał się w dobrej kondycji.

— Może się czegoś napijesz? — zaproponował Carl, wskazując butelkę Burbona na stoliku.

— Z przyjemnością — powiedział Kim. Nigdy nie pił dużo, choć przez ostatnie sześć miesięcy nocny koktajl stał się już jego nawykiem.

Carl odłożył swój kowbojski kapelusz i podszedł do barku. Kim zauważył, że tamten zachowuje się, jakby był u siebie.

— Jakiś miesiąc temu widziałem ten wywiad, który zrobiła z tobą Kelly Anderson — powiedział Carl, wrzucając kilka kostek lodu do staromodnej szklanki.

— Przykro mi — powiedział Kim. — Miałem nadzieję, że większość ludzi go przeoczyła.

Carl zalał kostki lodu sporą dawką trunku i wręczył szklaneczkę Kimowi. Po chwili usiadł na kanapie obok swego kowbojskiego kapelusza. Kim usadowił się w fotelu naprzeciwko.

— Nie dziwię się twojej złości — odezwał się poufale Carl. — To było nieuczciwe. Wiadomości telewizyjne zawsze przekręcają fakty.

— Smutne, ale prawdziwe — zgodził się Kim. Wziął łyk ognistego płynu i przed jego przeknięciem wziął oddech. Poczul, jak przyjemne ciepło rozplywa się po jego ciele.

— Nie przekonał mnie ten program — mówił Carl. — Wy, ludzie, ciężko pracujecie na każdy grosz. To znaczy, mam dużo szacunku dla was, lekarzy.

— Dziękuję. Miło to słyszeć — powiedział Kim.

— Serio — zapewnił Carl. — Prawdę mówiąc, przez kilka semestrów sam studiowałem w college'u medycynę.

— Naprawdę? I co się stało? Nie polubiłeś jej?

— Ona mnie nie polubiła — powiedział Carl ze śmiechem, który urwał się dziwnym parsknięciem. — Ociupinkę za dużo ode mnie wymagano i zaczynało mi to przeszkadzać w życiu towarzyskim. — Carl znów się roześmiał, jakby powiedział jakiś żart.

Kim zaczął się zastanawiać, co Tracy widzi w tym facecie.

— Czym się zajmujesz? — spytał Kim, żeby podtrzymać rozmowę. Poza tym rzeczywiście go to interesowało. Zważywszy, że okoliczne sąsiedztwo stanowili przedstawiciele niższej klasy średniej, żółte lamborghini na zewnątrz musiało należeć do Carla. Ponadto Tracy powiedziała, że na szczęście nie lecą służbowo. To było jeszcze bardziej niepokojące.

— Jestem dyrektorem Foodsmartu — powiedział Carl. — Jestem pewien, że o nas słyszałeś.

— Obawiam się, że nie — odparł Kim.

— To wielka firma rolnicza — poinformował Carl. — Choć właściwie towarzystwo holdingowe. W istocie jedno z największych w tym stanie.

— Handel hurtowy czy detaliczny? — zapytał Kim, nie dlatego, że wiedział coś o biznesie.

— I to, i to. Ale głównie eksport hurtowy zboża i wołowiny. Jesteśmy też dużym akcjonariuszem sieci hamburgerów Onion Ring.

— O nich słyszałem — stwierdził Kim. — Mam nawet jakieś akcje.

— Dobry wybór — pogratulował Carl. Pochylił się i rozejrzał ukradkiem dokoła, jakby myślał, że ktoś mógłby ich podsłuchać, po czym dodał szeptem: — Kup więcej akcji Onion Ring. Spółka wkrótce przekształci się w sieć ogólnokrajową. Potraktuj to jako radę od kogoś dobrze poinformowanego. Tylko nikomu nie mów, skąd się o tym dowiedziałeś.

— Dzięki — powiedział Kim. Po chwili dodał z sarkazmem: — Właśnie się zastanawiałem, co zrobić z całą moją wolną gotówką.

— Będziesz mi dziękował po stokroć — oznajmił Carl, nie zrażony tonem głosu Kima. — Ich akcje wystrzelą w górę jak rakietą. Za rok Onion Ring będzie stanowić konkurencję dla takich sieci jak McDonald's, Burger King i Wendy's.

— Tracy wspomniała, że lećcie we dwoje do Aspen prywatnym samolotem — Kim zmienił temat. — Jaki samolot pilotujesz?

— Ja? — zdziwił się Carl. — Ja nie umiem pilotować. Do diabła, tylko nie to! Byłbym ostatnią osobą, która wsiadłaby do samolotu ze mną za sterami.

Carl znów się roześmiał w swój szczególny sposób, który podsunął Kimowi myśl, że facet pewnie chrapie w nocy.

— Mam nowy odrzutowiec typu Lear — dodał Carl. — Formalnie rzecz biorąc, maszyna należy do Foodsmartu, tak przynajmniej sądzi urząd skarbowy. W każdym razie, jak niewątpliwie wiesz, Federalna Administracja Lotnictwa Cywilnego wymaga dwóch dobrze wyszkolonych pilotów do takiego samolotu.

— Oczywiście — powiedział Kim, jakby świetnie znał przepisy. Nie chciał okazać ignorancji w tego typu sprawach. Nie chciał też pokazać, jak bardzo złości go to, że jakiś biznesmen przekładający papierki z miejsca na miejsce cieszy się podobnymi przywilejami, podczas gdy on, operując po dwanaście godzin na dobę ludzkie serca, ma trudności z utrzymaniem na chodzie swego dziesięcioletniego mercedesa.

Stukot kroków na nie pokrytych dywanem schodach obwieścił przybycie Becky. Niosła podróżną torbę i łyżwy przerzucone przez ramię. Zanim wbiegła do salonu, rzuciła je na krzesło w korytarzu.

Kim nie widział Becky od ostatniej niedzieli, którą spędzili wesoło w pobliskim miasteczku narciarskim, i Becky stęskniła się za nim nie mniej niż on za nią. Padła mu w ramiona i gorąco go uściskała, tak że na chwilę stracił równowagę. Przytulając twarz do jej włosów, Kim poczuł, że są one jeszcze mokre, jakby Becky dopiero co wyszła spod prysznica. Zapach szamponu sprawiał, że Becky pachniała jak kwitnący sad jabłoni.

Becky odchyliła się nieco i nie wypuszczając go z objęć, powiedziała z udawanym wyrzutem:

— Spóźniłeś się, tatusiu.

Wszystkie utrapienia, jakich Kim doznał tego dnia, minęły, kiedy patrzył na swoją ukochaną, nad wiek dojrzałą dziesięcioletnią córkę, która w jego oczach emanowała młodością, energią i wdziękiem. Miała piękną, gładką skórę i wielkie, żywe oczy.

— Przepraszam, misiaczku — odezwał się Kim. — Wiem, że jesteś głodna.

— Umieram z głodu — powiedziała Becky. — Ale popatrz! — Obróciła głowę z boku na bok. — Widzisz moje brylantowe kolczyki? — spytała. — Czyż nie są wspaniałe? Dostałam je od Carla.

— To tylko drobiażdżki — wtrącił nieśmiało Carl. — Spóźniony prezent na święta Bożego Narodzenia i coś, co pozwoli mi zabrać jej mamę na weekend.

Kim przełknął ślinę. Był zaskoczony.

— Bardzo ładne — zdołał wykrztusić.

Becky puściła Kima i poszła do przedpokoju, żeby zabrać swoje rzeczy i wyjąć płaszcz z szafy. Kim poszedł za nią i stanął w drzwiach.

— Życzę sobie, abyś poszła spać o zwykłej porze, młoda damo — odezwała się Tracy. — Zrozumiano? Panuje grypa.

— Och, mamó! — pisnęła Becky.

— Mówię poważnie — rzekła Tracy. — Nie chcę, żebyś z powodu choroby opuszczała szkołę.

— Wyluzuj się, mamó — odparła Becky. — Baw się dobrze i nie denerwuj się, że...

— Będę się dobrze bawić — Tracy wpadła córce w słowo, zanim ta zdążyła powiedzieć coś kłopotliwego. — Ale bawiłabym się lepiej, gdybym nie musiała się o ciebie martwić. Masz numer telefonu, który ci dałam?

— Tak, tak! — zawołała Becky, po czym rozpromieniona dodała: — Zjedź dla mnie na nartach z Big Burna.

— Okay, obiecuję — powiedziała Tracy i wyciągnęła płaszcz z rąk Becky. — Chcę, żebyś go włożyła.

— Ależ, mamó, pojedziemy samochodem — utyskiwała Becky.

— Nie obchodzi mnie to — odparła Tracy, pomagając córce włożyć okrycie.

Becky podbiegła do Carla, który stał w drzwiach do salonu. Uściskała go i szepnęła mu do ucha:

— Mama się denerwuje, ale nic jej nie będzie. I dzięki za kolczyki. Uwielbiam je.

— Nie ma za co, Becky — odpowiedział Carl bez zażenowania.

Becky pobiegła do Tracy, uściskała ją szybko i wypadła przez otwarte drzwi, które przytrzymał Kim. Zbiegła ze schodów i pomachała Kimowi ręką, żeby się pospieszył. Ruszył truchtem.

— Dzwoncie, jeśli będzie jakiś problem! — zawołała z werandy Tracy.

Kim i Becky pomachali jej, po czym wsiedli do samochodu.

— Strasznie się przejmuję — stwierdziła Becky, kiedy Kim zapuszczał silnik. Wskazała ręką przez przednią szybę: — Ten wóz to lamborghini. Należy do Carla, jest niesamowity, no nie?

— Rzeczywiście. — Kim starał się nadać swemu głosowi obojętność.

— Powinieneś sobie takie kupić — powiedziała Becky. Odwróciła głowę i przyglądała się samochodowi, kiedy go mijali.

— Pomówmy o jedzeniu — zaproponował Kim. — Pomyślałem, że weźmiemy po drodze Ginger. Moglibyśmy w trójkę pojechać do Chez Jean.

— Nie chcę jeść z Ginger — odparła nadąsana Becky.

Kim zabębnił palcami po kierownicy. Stres całego dnia w szpitalu i spotkanie z Carlem dały mu się we znaki. Żałował, że nie ma czasu, żeby pograć trochę w tenisa. Potrzebował jakiejś fizycznej formy wyżycia się. Niczego nie chciał w tej chwili uniknąć bardziej niż problemów między Becky a Ginger.

— Becky — odezwał się. — Rozmawialiśmy już o tym. Ginger lubi twoje towarzystwo.

— Po prostu chcę być z tobą, a nie z twoją sekretarką — pożałowała się dziewczynka.

— Przecież będziesz ze mną — powiedział Kim. — Wszyscy będziemy razem. A Ginger jest kimś więcej niż moją sekretarką.

— Nie chcę jeść w tej dusznej, starej restauracji — dodała rozemocjonowana Becky. — Nienawidzę jej.

— Okay, okay — pospieszył Kim, usiłując panować nad sobą. — A co ty na to, że wybierzemy się do Onion Ring przy autostradzie? Tylko ty i ja. To niedaleko.

— Cudownie! — ożywiła się Becky i choć krępował ją zapięty pas, zdołała pochylić się do Kima i cmoknąć go w policzek.

Kim podziwiał zręczność, z jaką córka nim manipuluje. Poczul się lepiej, odkąd odzyskała swój zwykły humor, ale po kilku milach uwagi Becky ponownie zaczęły mu dokuczać.

— Naprawdę nie rozumiem, dlaczego tak nie lubisz Ginger — powiedział.

— Bo to przez nią ty i mama się rozstaliście — stwierdziła Becky.

— Wielkie nieba — obruszył się Kim. — Matka ci to powiedziała?

— Nie — odparła Becky. — Powiedziała, że tylko częściowo dlatego. Ale ja myślę, że to sprawka Ginger. Zanim się pojawiła, prawie się nie kłóciliście.

Kim znów zabębnił palcami po kierownicy. Mimo że Becky zaprzeczyła, był pewien, że to Tracy kazała jej tak myśleć.

Skręciwszy na parking przed Onion Ring, Kim rzucił ukradkowe spojrzenie na córkę. Jej twarz zalewał kolor olbrzymiego szyldu Onion Ring. Uśmiechała się na myśl o hamburgerach.

— Powody, dla których ja i mama się rozwiedliśmy, są znacznie bardziej skomplikowane — zaczął Kim... — A Ginger ma niewiele wspólnego z...

— Uważaj! — krzyknęła Becky.

Kim szybko spojrzał przed siebie i ujrzał zamazany obraz jakiegoś nastolatka na deskorolce tuż przy prawym błotniku. Natychmiast wcisnął hamulec i wykręcił kierownicę w lewo. Samochód zatrzymał się, uderzając jednak w tył zaparkowanego wozu. Dał się słyszeć brzęk tłuczonego szkła.

— Rozbiłeś samochód! — krzyknęła Becky takim tonem, jakby nie wierzyła własnym oczom.

— Wiem, że rozbiłem samochód! — warknął.

— To nie moja wina — powiedziała rozgniewana Becky. — Nie wrzeszcz na mnie!

Nastolatek na deskorolce, który zatrzymał się tylko na moment, przemknął teraz przed nimi. Kim popatrzył na chłopca, a ten mruknął niedbale pod nosem:

— Dupek!

Kim zamknął na chwilę oczy, aby nie stracić panowania nad sobą.

— Przepraszam — powiedział do Becky. — Oczywiście, że to nie twoja wina. Powinienem bardziej uważać. Z pewnością nie powinienem na ciebie wrzeszczeć.

— Co teraz będzie? — spytała Becky. Niespokojnie rozglądała się po parkingu. Bała się, że zobaczy ją ktoś z jej klasy.

— Muszę zobaczyć, co się stało — powiedział Kim. Otworzył drzwi i wysiadł. Wrócił po paru sekundach i poprosił Becky, żeby wyjęła ze skrytki dowód rejestracyjny i prawo jazdy.

— Co się rozbiło? — spytała, podając mu dokumenty.

— Nasze przednie światło i ich tylne. Zostawię im adres.

Jak tylko znaleźli się w restauracji, Becky natychmiast zapomniała o stłuczce. Jak zawsze w piątkowy wieczór restauracja Onion Ring była pełna ludzi. Większość bywalców stanowiły uczesane na punka nastolatki w absurdalnie wielkich koszulach i spodniach. Ale było też kilka rodzin z tabunami małych dzieci, a nawet z niemowlętami. Za sprawą kwilących dzieci i grających na pełny regulator magnetofonów wewnątrz panował spory harmider.

Restauracje Onion Ring cieszyły się szczególną popularnością wśród dzieciaków, gdyż mali klienci mogli tam zamawiać „własne” hamburgery z oszalałymi ilością przypraw. Mogli też przyrządzać desery lodowe z równie dużą ilością dodatków.

— Niesamowite miejsce, no nie? — odezwała się Becky, gdy razem z Kimem ustawili się w jednej z kolejek do kas.

— Rozkoszne — przyznał uszczypliwie Kim. — Zwłaszcza ta cicha muzyka poważna, która rozbrzmiewa w tle.

— Och, tato — zajęczała Becky i przewróciła oczami.

— Byłaś tu kiedyś z Carlem? — zapytał Kim. Tak naprawdę nie chciał usłyszeć odpowiedzi, gdyż podejrzewał, że tak.

— No pewnie. Zabrał mnie tu parę razy z mamą. Było fajnie. Jest właścicielem tej knajpy.

— Niezupełnie — powiedział Kim z satysfakcją w głosie. — W rzeczywistości Onion Ring jest spółką akcyjną. Wiesz, co to znaczy?

— Tak jakby — odparła Becky.

— To znaczy, że wiele osób posiada ich akcje — mówił Kim. — Nawet ja je mam, więc ja też jestem jednym z właścicieli.

— Tak, dobrze. Tylko że kiedy byłam tutaj z Carlem, nie musiałam stać w kolejce — poinformowała Becky.

Kim odetchnął głęboko i wypuścił powietrze.

— Pomówmy o czymś innym. Namysliłaś się już, czy wystartujesz w mistrzostwach w łyżwiarstwie? Wiem, że niedługo minie termin zgłoszeń.

— Nie chcę tam jechać — powiedziała bez wahania Becky.

— Dlaczego? Masz naturalny talent, kochanie. W zeszłym roku tak łatwo zdobyłaś mistrzostwo stanu juniorów.

— Lubię jazdę na łyżwach. Nie chcę tego zepsuć.

— Ale możesz być najlepsza.

— Nie chcę być najlepsza w zawodach.

— O raju, Becky! — westchnął Kim. — Nie ukrywam, że czuję się nieco zawiedziony. Byłbym z ciebie taki dumny.

— Mama mówiła, że powiesz coś takiego — stwierdziła Becky.

— Bomba! — zawołał Kim. — Twoja wszytkowiedząca matka-terapeutka.

— Powiedziała też, że powinnam zrobić to, co uważam za najlepsze dla siebie.

Kim i Becky znaleźli się wreszcie na początku kolejki. Znudzony młody kasjer spojrzął na nich szklanym wzrokiem i zapytał, co chcą zamówić.

Becky popatrzyła na menu umieszczone nad kasą. Wykrzywiła buzię i dotknęła palcem policzka.

— Hmm... nie wiem, na co mam ochotę.

— Weź burgera — powiedział Kim. — To chyba twoje ulubione danie.

— Okay — rzekła Becky. — Niech będzie hamburger z frytkami i shake waniliowy.

— Zwykły czy duży? — zapytał zmęczonym głosem kasjer.

— Zwykły — odparła Becky.

— A dla pana? — spytał kasjer.

— Do licha, zobaczmy, co tu macie — zastanowił się Kim i spojrzął na menu. — Zupę „przysmak dnia” i sałatkę. Aha, i jeszcze mrożoną herbatę.

— Razem siedem dziewięćdziesiąt — oznajmił kasjer.

Kim zapłacił, a kasjer podał mu paragon.

— Numerek dwudziesty siódmy.

Kim i Becky odwrócili się i wyszli z tej części restauracji, w której dokonywano zamówień. Sporo się nachodzili, zanim znaleźli parę wolnych miejsc przy jednym ze stolików obok okna. Becky się tam wcisnęła, ale Kim nie. Wręczył jej paragon i powiedział, że musi iść do toalety. Becky półprzymkniętymi powiekami skinęła głową. Pochłaniała wzrokiem jednego z przystojnych chłopców z jej szkoły, który siedział przy sąsiednim stoliku.

Przechodząc przez restaurację, Kim miał wrażenie, że uczestniczy w biegu z przeszkodami. Wreszcie dotarł do holu przed toaletami. Znajdowały się tam dwa aparaty telefoniczne, ale na obu wisały nastolatki. Przed każdym z nich stała kolejka. Kim sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął telefon komórkowy. Wystukał numer, oparł się o ścianę i przyłożył telefon do ucha.

— To ja, Ginger — odezwał się.

— Gdzie ty, do diabła, jesteś? — zapytała rozżalona Ginger. — Zapomniałeś, że mieliśmy rezerwację w Chez Jean na siódmą trzydzieści?

— Nie pójdziemy tam — powiedział Kim. — Musiałem zmienić plany. Jestem z Becky w Onion Ring przy autostradzie Prairie.

Ginger nie odpowiadała.

— Halo? Jesteś tam jeszcze?

— Tak, jeszcze tu jestem — odparła Ginger.

— Czy słyszałaś, co powiedziałem?

— Oczywiście, że słyszałam. Nic nie jadłam i ciągle czekałam. Nie zadzwoniłeś, a poza tym obiecałeś mi, że dziś wieczorem zjemy w Chez Jean.

— Posłuchaj — warknął Kim. — Proszę, chociaż ty nie sprawiaj mi kłopotu. Nie mogę wszystkich zadowolić. Za późno przyjechałem po Becky i umierała z głodu.

— Miło z twojej strony. Ty i twoja córka jecie razem dobrą kolację — rzuciła Ginger.

— Nie denerwuj mnie, Ginger!

— A jak sądzisz, jak ja się teraz czuję? Przez cały rok twoja żona była wygodną wymówką. Jak przypuszczam, teraz stanie się nią córka.

— Dość, Ginger — przerwał jej Kim. — Nie zamierzam się kłócić. Becky i ja zjemy tutaj, a potem przyjedziemy po ciebie.

— Może jeszcze tu będę, a może nie — odpowiedziała Ginger. — Jestem już zmęczona traktowaniem mnie jak piąte koło u wozu.

— Wspaniale — odparł Kim. — Sama zdecyduj.

Kim przerwał połączenie i schował telefon do kieszeni. Zaciśnął zęby i zaklął cicho. Wieczór nie przebiegał tak, jak to sobie zaplanował. Kim mimowolnie przyglądał się twarzy dziewczyny czekającej w kolejce do aparatu telefonicznego. Szminka, której używała, miała tak ciemny, czerwony kolor, że wydawała się aż brązowa. Nadawała dziewczynie wygląd kogoś, kto zmarł, wchodząc na północną ścianę Mount Everestu.

Dziewczyna spostrzegła, że Kim się jej przygląda. Na chwilę przestała żuć jak krowa i pokazała mu język. Kim odepchnął się od ściany i wszedł do męskiej toalety, żeby opryskać wodą twarz i umyć ręce.

* * *

Liczba gości w sali restauracyjnej odpowiadała natężeniu ruchu w kuchni i przy kasach Onion Ring. Panował tu kontrolowany rozgardiasz. Kierownik nazwiskiem Roger Polo, który regularnie pracował na dwie zmiany w piątki i soboty — dwa najbardziej pracowite dni w Onion Ring — był nerwowym mężczyzną około czterdziestki, zmuszającym do wysiłku zarówno siebie, jak i personel.

Kiedy w restauracji panował tak wielki ruch, Roger pracował w dziale obsługi. To on zamawiał hamburgery i frytki u szefa kuchni Paula albo zupę i sałatki u Julii, która pracowała w barze sałatkowym; zamówienia na napoje wędrowały do Claudii. Uzupełnianiem braków i czyszczeniem podłóg zajmował się sprzątac, Skip.

— Numer dwadzieścia siedem! — szczerknął Roger. — Dajcie zupę i sałatkę.

— Zupa i sałatka — powtórzyła jak echo Julia.

— Mrożona herbata i shake waniliowy! — krzyknął Roger.

— Robi się — powiedziała Claudia.

— Zwykły burger i średnie frytki — zamawiał Roger.

— Tak jest — powiedział Paul.

Paul był znacznie starszy od Rogera. Skóra na jego twarzy była poznaczona głębokimi zmarszczkami — bardziej przypominał farmera niż kucharza. Przez dwadzieścia lat pracował jako szef kuchni na platformie wiertniczej w Zatoce Perskiej. Na prawym przedramieniu miał tatuaż tryskającego szybu naftowego ze słowem: „Eureka!”

Paul stał przy grillu wbudowanym w środkowy blok za rzędem kas. Bez przerwy miał na kuchence gotowe kotleciki — każdy przypadał na jedno zamówienie. Smażąc je, obchodził Kuchenkę, tak aby każdy hamburger przypiekał się tak samo długo. W odpowiedzi na falę spływających zamówień Paul odwrócił się i otworzył lodówkę stojącą tuż za nim.

— Skip! — wrzasnął, spostrzegłszy, że lodówka jest pusta. — Przynieś mi pudełko kotletów z chłodni.

— Idę! — zawołał Skip i odłożył mop.

Chłdnia znajdowała się na samym końcu kuchni, zaraz za lodówką i naprzeciw magazynu. Choć Skip pracował w Onion Ring dopiero od tygodnia, zdążył się zorientować, że znaczna część jego pracy polega na noszeniu różnych artykułów z zaplecza do kuchni.

Otworzył ciężkie drzwi chłodni i wszedł do środka. Drzwi były zawieszane na ciężkich sprężynach i zamknęły się za nim. Wnętrze pomieszczenia miało dziesięć na dwadzieścia stóp i oświetlała je jedna goła żarówka w drucianej siateczce. Ściany obito jakimś materiałem przypominającym folię aluminiową. Podłoga była z desek.

Niemal całą przestrzeń, z wyjątkiem środka, zajmowały kartonowe pudła. Na lewo znajdowały się wielkie kartony z mrożonymi hamburgerami. Na prawo stały pudełka z zamrożonymi frytkami, filetami rybnymi i kawałkami kurczaków.

W chłodni panowała temperatura poniżej zera i Skip zaczął wymachiwać rękami. Z ust unosiły się mroźne kłęby pary. Marząc o powrocie do ciepłej kuchni, zeskrobał szron z naklejki pierwszego kartonu na lewo, aby się upewnić, że zawiera mielone mięso. Na naklejce był napis: Mercer meats, kotleciki hamburgerowe z chudego mięsa, waga: 0,1 funta, partia 6, seria 9-14, data produkcji: 12 stycznia, spożyć przed: 12 kwietnia.

Skip rozdarł karton i wyciągnął z niego jedno z pudełek zawierające sto osiemdziesiąt hamburgerów. Zaniósł je do lodówki za Paulem i włożył do środka.

— Możesz się brać do roboty — powiedział.

Paul się nie odezwał. Był zbyt zajęty przygotowywaniem hamburgerów, a w pamięci musiał notować zmieniającą się wciąż liczbę zamówień, które zgłaszał mu Roger. Wreszcie jednak obrócił się do lodówki, otworzył pudełko z mrożonymi kotlecikami i wyjął ich tyle, ile potrzebował. Już miał zamknąć drzwi lodówki, kiedy jego spojrzenie spoczęło na naklejce pudełka.

— Skip! — ryknął natychmiast. — Przynieś no tutaj swoje dupsko!

— Co się stało? — zapytał Skip. Nie wyszedł jeszcze z kuchni, pochylił się tylko, żeby zmienić worek na śmieci pod centralnym grillem.

— Do cholery, przyniosłeś złe hamburgery! — rzucił Paul. — Te przyszły dopiero dzisiaj.

— A co za różnica? — zapytał Skip.

— Ogromna — odparł Paul. — Zaraz ci pokażę. Roger! — zawołał. — Ile hamburgerów potrzebujesz po numerze dwadzieścia sześć?

Roger sprawdził swoje paragony.

— Jednego na dwadzieścia siedem, cztery na dwadzieścia osiem i trzy na dwadzieścia dziewięć. W sumie osiem.

— Tak myślałem — powiedział Paul. Rzucił osiem kotlecików, które miał w ręku, na ruszt i odwrócił się, żeby wyjąć z lodówki pudełko z pozostałymi. Ponieważ był zajęty, nie zauważył, że pierwszy rzucony przez niego hamburger częściowo pokrył się z innym kawałkiem mięsa, który już smażył się na grillu.

Paul kazał Skipowi pójść za nim. Idąc, bez przerwy mówił.

— Dostajemy transport mrożonych hamburgerów raz na kilka tygodni — tłumaczył. — Ale wpierw musimy zużyć stare.

Paul otworzył drzwi chłodni i natychmiast zauważył karton, który otworzył Skip. Paul wepchnął przyniesione pudełko z powrotem do kartonu i zamknął go.

— Widzisz tę datę? — spytał Paul, wskazując naklejkę.

— Tak, widzę — odpowiedział Skip.

— Te kartony z tyłu są starsze — mówił Paul. — Musimy je zużyć najpierw.

— Ktoś mi powinien powiedzieć — bronił się Skip.

— Właśnie ci mówię. Dalej, pomóż mi przesunąć nową dostawę do tyłu, a starą do przodu.

* * *

Kim wrócił z toalety i zdołał wcisnąć swoje ponad sześć stóp wzrostu na miejsce obok Becky. Przy stoliku siedziało jeszcze sześć innych osób, wliczając w to dwuletnie dziecko, które umazało sobie twarz ketchupem. Dwulatek okładał właśnie swego na wpół zjedzonego hamburgera plastikową łyżką do zupy.

— Becky, bądź rozsądna — powiedział Kim, starając się ignorować dwulatka. — Powiedziałem Ginger, że pojedziemy po nią, jak skończymy jeść.

Becky nabrała powietrza i wypuściła je. Zgarbiła się z naburmuszoną miną, która do niej nie pasowała.

— Przecież robimy to, co chciałaś — mówił Kim. — Jemy razem, tylko ty i ja, i to wcale nie w Chez Jean.

— Tak, ale nie zapytałeś mnie, czy ja będę chciała pojechać po Ginger — rzekła Becky. — Mówiłeś, że przyjedziemy tutaj, i myślałam, że nie będziemy jej dzisiaj widzieć.

Kim odwrócił wzrok i zacisnął szczęki. Kochał swoją córkę, ale wiedział też, że potrafi być niezdolnie uparta. Jako kardiochirurg przyzwyczyił się, że ludzie, z którymi współpracuje, słuchają jego poleceń.

* * *

Po powrocie z chłodni Paul natknął się na rozzłoszczonego Rogera.

— Gdzieś ty był? — zapytał tamten. — Mamy opóźnienia.

— Nie martw się. Wszystko jest pod kontrolą — stwierdził Paul.

Podniósł swoją drewnianą łopatkę do mięsa i zaczął wkładać usmażone kotleciki do bułek. Kotlet, który przywarł do innego, został odepchnięty na bok, żeby Paul mógł wyjąć ten spod spodu.

— Zamówienie trzydzieste. Dwa zwykłe burgery i jeden podwójny — szepkał Roger.

— Robi się — rzekł Paul. Sięgnął za siebie do lodówki, żeby wyjąć mięso. Odwrócił się z powrotem i rzucił je na ruszt. Następnie podniósł kotlecik, który przylgnął do drugiego, i odsunął go na tył grilla; mięso znowu dotknęło innego kawałka, gdyż nie leżało płasko na powierzchni kuchenki. Paul miał właśnie to poprawić, gdy przerwał mu Roger.

— Paul, spieprzyłeś robotę! — ofuknął go Roger. — Co się z tobą dzisiaj dzieje?

Paul spojrział na niego z łopatką zamarłą nad rusztem.

— Zamówienie dwadzieścia pięć to były dwa podwójne, a nie zwykłe hamburgery — przypomniał Roger.

— Cholera, przepraszam — powiedział Paul. Odwrócił się do lodówki, aby wyjąć dwa podwójne kawałki mięsa. Wrzucił je na ruszt i przydusił łopatką. Podwójne hamburgery musiały smażyć się dwa razy dłużej niż zwykle.

— I dwadzieścia pięć chciał średnią porcję frytek — powiedział Roger poirytowanym tonem. Pomachał paragonem, jakby groził nim Paulowi.

— Zaraz będzie — rzekł Paul. Szybko napełnił papierowy rolek frytkami. Roger zabrał je i położył na tacce z numerem dwadzieścia pięć, po czym przesunął ją na stanowisko, skąd klienci odbierali jedzenie.

— Okay — powiedział Roger do Paula. — Dwadzieścia siedem gotowy do wydania. Gdzie burger i frytki? Paul, ruszaj się, chłopie!

— Już, już, gotowe — odparł Paul. Wziął na łopatkę ten kawałek, który przez większość czasu smażył się na dwóch innych. Wsunął go do przekrojonej bułki i umieścił całość na papierowym talerzyku, który Roger postawił przed nim na blacie. Paul posypał hamburgera smażoną cebulą i napełnił jeszcze jeden papierowy rożek frytkami.

Po paru sekundach nastolatek przy ladzie, gdzie wydawano zamówienia, pochylił się nad mikrofonem w kształcie gęsiej szyjki i oznajmił:

— Proszę odebrać numery dwadzieścia pięć i dwadzieścia siedem.

* * *

Kim wstał od stolika.

— To dla nas — powiedział. — Przyniosę jedzenie. Ale kiedy skończymy, pojedziemy po Ginger. Nie ma dyskusji. Oczekuję też, że będziesz dla niej miła. Okay?

— Och, dobrze — powiedziała niechętnie Becky. Podniosła się.

— Ja przyniosę jedzenie — powtórzył Kim. — Ty pilnuj miejsca.

— Ale chciałam sama przyprawić mojego hamburgera — powiedziała Becky.

— Ach, tak — westchnął Kim. — Zapomniałem.

Podczas gdy Becky pokrywała swojego burgera imponującą warstwą różnych dodatków, Kim położył na talerzu sos do sałatki, który wydał mu się najmniej odpychający. Potem ojciec i córka wrócili na swoje miejsca. Kim ucieszył się, widząc, że umazany ketchupem dzieciak poszedł sobie.

Becky odzyskała humor, gdy chłopak z jej szkoły poprosił ją o trochę frytek z jej zestawu. Kim podniósł łyżkę, żeby spróbować zupę, gdy nagle rozdzwonił mu się na piersi telefon komórkowy. Wyjął go i przyłożył do ucha.

— Doktor Reggis, słucham — odezwał się.

— Tu Nancy Warren — przedstawiła się pielęgniarzka. — Dzwonię, bo pani Arnold żąda, aby przyszedł pan obejrzyć jej męża.

— Dlaczego? — zapytał Kim.

Becky chwyciła hamburgera obiema rękami. Mimo to parę plasterków ogórka wypadło jej spomiędzy bułki. Nie zrażona wzięła hamburgerową bestię w zęby i oderwała z niej kęs. Przez chwilę żuła, po czym przyjrzała się nadgryzionemu hamburgerowi.

— Pan Arnold jest niespokojny — powiedziała Nancy. — Mówi, że nie działają środki przeciwbólowe. Miał też kilka przedwczesnych skurczów komorowych.

Becky pociągnęła Kima za łokieć, próbując zwrócić jego uwagę. Kim poprosił gestem, żeby zaczekała, i kontynuował rozmowę.

— Czy dużo ma skurczów?

— Nie, nie dużo. Ale wie o nich i niepokoi się.

— Sprawdź potas i daj mu podwójną dawkę środków przeciwbólowych. Czy jest tam ktoś z intensywnej opieki medycznej?

— Tak, w szpitalu jest doktor Silber — poinformowała Nancy. — Niemniej jednak myślę, że powinien pan przyjść. Domaga się tego pani Arnold.

— Nie wątpię — odparł Kim z niedbałym uśmiechem. — Zaczekajmy wpierw na poziom potasu. Upewnij się też, że nie ma wzdęcia jamy brzusznej.

Kim przerwał połączenie. Pani Arnold okazała się o wiele większym utrapieniem, niż to sobie wyobrażał.

— Popatrz na mojego hamburgera — powiedziała Becky.

Kim zerknął na niego i dostrzegł biegnące przez środek kotlecika różowe pasemko, ale był wciąż zaabsorbowany — i niezbyt uszczęśliwiony — telefonem ze szpitala.

— Hmm — mruknął. — Takie hamburgery jadłem, kiedy byłem w twoim wieku.

— Naprawdę? — zdziwiła się Becky. — To obrzydliwe!

Kim postanowił, że najlepiej będzie zadzwonić bezpośrednio do lekarza z intensywnej opieki medycznej, i wybrał numer szpitala na swoim telefonie.

— Innych hamburgerów nie brałem do ust — mówił do Becky, czekając na połączenie. — Średnio dopieczone, z posiekaną surową cebulą, a nie z tą przetworzoną na ruszcie. I na pewno nie z tymi wszystkimi pomyjami.

Zgłosił się operator w centrali szpitala i Kim poprosił go o połączenie z doktor Alice Silber. Dodał, że zaczeka na linii.

Becky popatrzyła na hamburgera, wzruszyła ramionami i ostrożnie ugryzła następny kęs. Jedno musiała przyznać: hamburger smakował wyśmienicie.

Rozdział 4

Sobota, 17 stycznia

Samochód pokonał zakręt i podjechał pod dom Kima. Był to duży budynek w stylu Tudorów, leżący pośród drzew, dogodnie położony w podmiejskiej dzielnicy. Swego czasu budził niekłamany podziw. Teraz wyglądał na zaniedbany. Nie zagrabione liście, które opadły jesienią, przykrywały trawnik mokrym, brudnobrązowym kożuchem. W wielu miejscach farba złuszczyła się, niektóre okiennice zaś były wypaczone. Na dachu osunęło się parę dachówek i utknęło w rynnach.

Był pochmurny, zimowy sobotni poranek, dochodziła dziewiąta. Okolica wydawała się opustoszała. Nigdzie nie było znaku życia, gdy Kim skręcił na podjazd swego domu i zatrzymał samochód przed drzwiami garażu. Na ścieżce przed sąsiednim budynkiem wciąż leżała poranna gazeta.

Wewnątrz dom prezentował się tak samo jak na zewnątrz. Został ogołocony z większości dywanów, mebli i wyposażenia, gdyż Tracy, wyprowadzając się, zabrała, co chciała. Ponadto nie sprzątno w nim już od miesięcy. Zwłaszcza pokój dzienny miał w sobie coś z klimatu sali tanecznej: znajdowało się tu jedno krzesło, wytarty dywanik, stolik z telefonem i pojedyncza lampa stojąca.

Kim cisnął klucze na konsolkę wbudowaną w ścianę korytarza i przeszedł przez jadalnię do kuchni połączonej z pokojem dziennym. Zawołał głośno Becky, ale nie odpowiedziała. Zajrzał do zlewu. Nie było w nim brudnych naczyń.

Kiedy zgodnie ze swoim zwyczajem Kim obudził się tuż po piątej rano, wstał i pojechał do szpitala na obchód. Spodziewał się, że gdy wróci do domu, Becky będzie już na nogach, przygotowana do wyjścia.

— Becky, ty leniuchu, gdzie jesteś?! — zawołał Kim, wchodząc po schodach. Wspinając się na ostatni stopień, usłyszał, jak otwierają się drzwi sypialni Becky. Stała w nich chwilę później, ciągle ubrana we flanelową piżamę. Jej włosy były ciemną plątaniną zmierzwionych loczków, miała opuchnięte oczy.

— Co się dzieje? — spytał Kim. — Myślałem, że nie będziesz się mogła doczekać łyżew. Pospiesz się.

— Źle się czuję — powiedziała Becky. Potarła kłykiem oko.

— Tak? — zdziwił się Kim. — Co się stało? Coś cię boli?

— Żołądek.

— Jestem pewien, że to nic takiego — uspokoił ją. — Czy ból narasta i słabnie, czy boli cię bez przerwy?

— Narasta i słabnie — odparła.

— Pokaż, gdzie dokładnie cię boli — poprosił Kim.

Becky zrobiła nieokreślony ruch ręką wokół brzucha.

— Masz dreszcze? — spytał Kim i dotknął dłonią jej czoła.

Becky potrząsnęła głową.

— Och, to tylko lekkie skurcze — powiedział Kim. — Prawdopodobnie twój biedny żołądek skarży się na to wczorajsze jedzenie. Umyj się i ubierz, a ja przyniosę ci coś na śniadanie. Tylko prędyutko. Nie chcę, żeby twoja matka się skarżyła, że pozwoliłem ci się spóźnić na lekcję.

— Nie jestem głodna — rzekła Becky.

— Jestem pewien, że będziesz, kiedy weźmiesz prysznic — stwierdził Kim. — Do zobaczenia na dole.

W kuchni wyjął płatki zbożowe, mleko i sok. Stał u podnóża schodów i już zamierzał zawołać Becky, gdy usłyszał odgłos prysznic. Wrócił zatem do kuchni i zadzwonił do Ginger.

— W szpitalu wszystko w porządku — powiedział, jak tylko usłyszał jej głos. — Wszyscy trzej pacjenci czują się świetnie, chociaż Arnoldowie, szczególnie Gertrude Arnold, doprowadza mnie do szewskiej pasji.

— Cieszę się — powiedziała cierpko Ginger.

— A tobie co znowu? — zapytał Kim. Rano miał już drobne starcie z jedną z dyżurujących pielęgniarek i nastawił się na wolny od stresów dzień.

— Chciałam zostać u ciebie na noc — wyjaśniła Ginger. — Myślę, że to nie w porządku...

— Przestań! — przerwał jej. — Proszę cię, nie wracajmy do tego znowu. Mam już dość. Poza tym Becky nie czuje się dziś najlepiej.

— Co jej jest? — zapytała Ginger. Zabrzmiało to szczerze.

— Nic takiego. Po prostu ból żołądka — odparł Kim. Chciał coś dodać, kiedy usłyszał, że Becky schodzi po schodach. — Aha! Właśnie idzie. Słuchaj, spotkamy się na lodowisku w centrum handlowym. Na razie!

W chwili gdy Becky wchodziła do pokoju, Kim odwiesił słuchawkę. Becky włożyła jego szlafrok, który był tak duży, że włókł się za nią po podłodze, a rękawy sięgały jej do połowy ud.

— Płatki, mleko i sok są na stole — oznajmił Kim. — Czujesz się nieco lepiej?

Becky zaprzeczyła ruchem głowy.

— Zjesz coś?

— Nic — odparła.

— No cóż, musisz coś zjeść — powiedział Kim. — Może weźmiesz Pepto-Bismol?

Twarz Becky wykrzywiła się w grymasie skrajnego obrzydzenia.

— Napiję się soku — zaproponowała.

* * *

W centrum handlowym zaczęto dopiero odsłaniać sklepowe witryny, gdy Kim i Becky szli korytarzem w stronę lodowiska. Kim nie pytał więcej, lecz był pewien, że Becky czuje się lepiej. Mimo wszystko zjadła trochę płatków, a w samochodzie jak zwykle nie zamykała jej się buzia.

— Zostaniesz na mojej lekcji? — zapytała Becky.

— Mam takie plany — potwierdził. — Z przyjemnością zobaczę tego potrójnego aksła, o którym tyle mi mówiłaś.

Kiedy doszli do lodowiska, Kim podał jej łyżwy, które niósł. Tymczasem gwizdek obwieścił koniec lekcji dla średnio zaawansowanych.

— Zdążyliśmy w samą porę — powiedział Kim.

Becky usiadła i zaczęła rozwiązywać sznurowadła tenisówek. Kim popatrzył na innych rodziców, głównie były to matki. Nagle zorientował się, że krzyżuje spojrzenie z Kelly Anderson. Mimo wczesnej pory była ubrana tak, jakby wybierała się na pokaz mody, a jej fryzura wyglądała, jakby dopiero co wyszła z salonu piękności. Uśmiechnęła się. Kim odwrócił wzrok.

Jakaś dziewczynka w wieku Becky przejechała na łyżwach przez lodowisko i usiadła obok niej.

— Cześć! — powiedziała.

Becky odwzajemniła pozdrowienie.

— Ach, mój ulubiony kardiochirurg!

Kim odwrócił się i z niesmakiem odkrył, że stoi twarzą w twarz z Kelly.

— Poznał pan już moją córkę? — zapytała tamta.

Kim potrząsnął głową.

— Caroline, przywitaj się z doktorem Reggisem — poprosiła Kelly.

Mimo że Kim nie miał ochoty na żadną rozmowę, odpowiedział dziewczynce i przedstawił Kelly swoją córkę.

— Jaki to wspaniały przypadek, że znów pana spotykam — powiedziała Kelly, podawszy rękę Becky. — Czy oglądał pan wczoraj wiadomości o dwudziestej trzeciej? Był mój materiał w związku z półroczem, które właśnie mija od chwili przejęcia szpitala przez AmeriCare.

— Niestety, nie oglądałem.

— Szkoda — stwierdziła Kelly. — Spodobałby się panu. Wystąpił pan w dobrym czasie oglądalności, a pańska wypowiedź o tym, kto naprawdę zyskał na tej fuzji, zrobiła furorę. Rozdzwoniły się telefony od widzów. Zarząd telewizji to lubi.

— Niech mi pani przypomni, żebym więcej z panią nie rozmawiał — uciał Kim.

— Ostrożnie, doktorze Reggis — powiedziała uradowana Kelly. — Rani pan moje uczucia.

— Kim! — zawołał czyjś głos z drugiej strony lodowiska. — Kim, tutaj!

Wzdłuż bandy lodowiska zbliżała się do nich Ginger, wymachując radośnie ręką. Miała dwadzieścia parę lat, twarz królewny z bajki, długie blond włosy i chude, pająkowate nogi. Kiedy nie przebywała w biurze, dbała o to, żeby ubierać się w stylu, który uznawała za luźny i seksowny. Tego ranka włożyła obcisłe džinsy i krótką bluzkę odsłaniającą jej smukły, silny brzuch; na włosach i przegubach rąk miała przepaski jako dowód zamiłowania do aerobiku. Na nogach miała tenisówki i była bez płaszcza.

— Ojejku! — szepnęła Kelly, patrząc na Ginger. — Co my tu mamy? Czuję materiał do brukowca: znakomity kardiochirurg i instruktorka aerobiku.

— To moja sekretarka — poinformował ją, próbując uprzedzić wypadki.

— Ani trochę w to nie wątpię — stwierdziła Kelly. — Ale proszę spojrzeć na to ciało. I ten dziewczęcy entuzjazm. Jestem pewna, że uważa pana za żywą legendę.

— Mówię pani, że ona dla mnie pracuje — mruknął Kim.

— Ależ ja panu wierzę. I to mnie właśnie interesuje. Nawet mój internista i okulista rozwiedli się, żeby ożenić się ze swoimi sekretarkami. Czuję tu jakiś temat. Co by to miało być? Typowy scenariusz kryzysu wieku średniego u lekarza?

— Niech się pani trzyma od niej z daleka — warknął Kim.

— Och, doktorze Reggis — odparła Kelly. — Przecież wy, kardiochirurdzy, uważacie się za wielkie gwiazdy. To część waszego życia, zwłaszcza jeśli umawiacie się na randki z kimś o połowę młodszym od siebie.

Becky pochyliła się w stronę Caroline i wyszeptała jej do ucha:

— Na razie. Idzie ta głupia dziewczyna mojego ojca.

Wstała, weszła na lodowisko i szybko odjechała.

Ginger podeszła prosto do Kima i nim zrozumiał jej zamiar, pocałowała go soczyście w policzek.

— Przepraszam, kochanie — odezwała się. — Wiem, że dziś rano nie byłam dla ciebie zbyt miła przez telefon. Po prostu stęskniłam się za tobą.

— Hmm! Nie brzmi to jak rozmowa służbowa — zauważyła Kelly. — Są też ślady szminki. Kim otarł policzek wierzchem dłoni.

— Och! — krzyknęła Ginger, widząc czerwony odcisk swoich warg na skórze Kima. — Czekał, pomogę ci.

Pośliniła dwa palce i zanim zdążył zareagować, roztarła mu szminkę na twarzy.

— Doskonale — oceniła Kelly.

Ginger odwróciła się do Kelly i natychmiast rozpoznała w niej miejscową sławę.

— Kelly Anderson! — wykrzyknęła. — Co za niespodzianka. Uwielbiam oglądać panią w wiadomościach.

— Cóż, dziękuję — odrzekła Kelly — a pani jest...

— Nazywam się Ginger Powers.

— Miło mi, Ginger. Dam ci moją wizytówkę. Może mogłybyśmy się spotkać.

— O, dziękuję — odparła Ginger. Wzięła wizytówkę i uśmiechnęła się z nie skrywaną radością. — Chętnie bym się z tobą spotkała.

— To dobrze — mówiła Kelly. — Kręcę kilka reportaży związanych ze zdrowiem i zawsze potrzebuję opinii tych, którzy pracują w tym biznesie.

— Chciałabyś przeprowadzić ze mną wywiad? — spytała zdumiona Ginger. Czuła się wyróżniona.

— Dlaczego nie? — odrzekła Kelly.

Ginger wskazała palcem Kima.

— To z nim, a nie ze mną, powinnaś zrobić wywiad. On wie wszystko o medycynie.

— Wygląda na to, że bardzo sobie cenisz dobrego pana doktora — stwierdziła Kelly. — Czy można by tak powiedzieć?

— A czy można w to wątpić? — odparła Ginger z udawanym oburzeniem. — Jest najlepszym kardiochirurgiem na świecie. I również najprzystojniejszym. — Ginger spróbowała uszczypnąć Kima w policzek, ale tym razem zdążył zrobić unik.

— No cóż, myślę, że na mnie już pora — stwierdziła Kelly. — Chodź, Caroline. Włóż kurtkę i w drogę. Ginger, zadzwoń do mnie. Co do wywiadu, to mówiłam poważnie. Kim, doskonale rozumiem, dlaczego Ginger jest twoją sekretarką i przyjaciółką.

Kelly i Caroline odeszły, Kelly niosła córce łyżwy i plecak. Caroline miała kłopoty z wciśnięciem się w swoją długą puchową kurtkę.

— Jest bardzo miła — powiedziała Ginger, patrząc za oddalającą się Kelly.

— To istna harpia — odrzekł Kim. — Nie chcę, żebyś się z nią spotykała.

— Czemu nie?

— Mam przez nią same kłopoty.

— Ale to byłaby frajda — zapisała Ginger.

— Posłuchaj — syknął. — Spotkasz się z nią i wylatujesz z pracy i z mojego życia. Rozumiesz?

— Już dobrze! — odwarknęła. — Rany, ale robisz raban. Co cię ugryzło?

Becky, która do tej pory się rozgrzewała, podjechała nagle do miejsca, w którym stali Ginger i Kim.

— Nie mogę dziś jeździć — oznajmiła. Zeszła z taflí, usiadła i szybko zaczęła ściągać łyżwy.

— Dlaczego? — zapytał Kim.

— Znowu boli mnie brzuch — powiedziała. — I muszę iść do łazienki, zaraz!

Rozdział 5

Niedziela, 18 stycznia

Kim wyciągnął kartę chorobową Harveya Arnolda i otworzył ją. Dochodziła ósma i pielęgniarki z dziennej zmiany zajęte były składaniem sprawozdań. Dzięki temu Kim miał dla siebie całe stanowisko pielęgniarskie, nie licząc dyżurującej urzędniczki.

Pochylił się nad zapiskami pielęgniarek, aby przeczytać, co zaszło poprzedniego dnia i ostatniej nocy. Stłumił uśmiech. Adnotacje nie pozostawiały wątpliwości, że pani Arnold znalazła personelowi za skórę równie dotkliwie jak jemu. Nie ulegało też wątpliwości, że pan Arnold czuje się dobrze. Wrażenie to potwierdzały wykresy jego czynności życiowych i badania laboratoryjne z ubiegłego dnia. Zadowolony Kim wsunął luźny bloczek w okładkę i pomaszerował do pokoju chorego.

Pan Arnold siedział podparty w łóżku, jedząc śniadanie i oglądając telewizję. Kim pomyślał z podziwem o postępie, jakiego w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat dokonała kardiologia — czego dowodem był ten oto człowiek. Siedemdziesięcioletni mężczyzna, który zaledwie czterdzieści osiem godzin temu był poważnie chory i przeszedł operację na otwartym sercu. Jego serce zostało zatrzymane, otwarte i naprawione, a mimo to pacjent był w dość dobrym nastroju, niewiele cierpiał i cieszył się teraz znacznie lepszym zdrowiem. Kim czuł głębokie rozczarowanie, że podobny cud traktuje się w obecnej sytuacji ekonomicznej jako bezwartościowy.

— Jak się pan czuje, panie Arnold? — odezwał się Kim.

— Niczego sobie — odparł zapytany. Otarł brodę serwetką. Kiedy był sam, był bardzo miłym dżentelmenem. Dopiero wtedy, gdy obok niego pojawiała się żona, zaczynały się iskrzenia.

Kim przerwał choremu śniadanie, żeby zbadać opatrunek i sprawdzić drenaż. Wszystko toczyło się właściwym trybem.

— Czy jest pan pewien, że będę mógł grać w golfa? — spytał pan Arnold.

— Na sto procent — zapewnił Kim. — Będzie pan mógł robić, na co tylko przyjdzie panu ochota.

Po kilku minutach przekomarzań z panem Arnoldem Kim wyszedł z pokoju. Miał pecha: tuż za progiem natknął się na Gertrude Arnold.

— A, tu pan jest, doktorze — powiedziała. — Cieszę się, że pana złapałam. Domagam się prywatnej pielęgniarki czuwającej nad mężem dwadzieścia cztery godziny na dobę, słyszy pan?

— O co chodzi? — zapytał Kim.

— O co chodzi?! — powtórzyła pani Arnold. — Powiem panu, o co chodzi. Siostry na tym piętrze są wiecznie nieobecne. Czasem mijają całe godziny, zanim którąś zobaczymy. Kiedy Harvey wzywa je dzwonkiem, wloką się jak muchy w smole.

— Przypuszczam, że dzieje się tak dlatego, iż sądzą, że pan Arnold czuje się dobrze. Poświęcają ten czas pacjentom, którzy bardziej potrzebują ich opieki — wyjaśnił Kim.

— Niech pan ich nie usprawiedliwia — fuknęła pani Arnold. — Żądam stałej pielęgniarki w pokoju męża.

— Przyślę do pani kogoś w tej sprawie — obiecał Kim.

Chwilowo udobruchana pani Arnold skinęła głową.

— Proszę nie kazać mi czekać zbyt długo.

— Zobaczę, co się da zrobić — dodał Kim.

Wróciwszy na stanowisko pielęgniarskie, Kim polecił urzędniczce skontaktować się z administratorem AmeriCare i skierować go na rozmowę z panią Arnold. Czekać na windę, Kim z trudem hamował uśmiech. Wiele by dał, żeby usłyszeć zbliżającą się konwersację. Myśl, że przyprawi administrację AmeriCare o mały ból głowy, sprawiła mu szaloną radość.

Przyjechała winda i Kim wcisnął się do środka. Jak na niedzielny poranek wewnątrz panował spory ścisk. Kim znalazł się tuż obok wysokiego, chudego lekarza ubranego w typowy biały kitel, z tabliczką głoszącą: John Markham, M.D., Pediatria.

— Przepraszam — odezwał się Kim. — Czy ostatnio nie zanotowano jakiegoś wirusa brzusz-
nego wśród uczniów w szkołach?

— Nic mi na ten temat nie wiadomo — powiedział John. — Panuje dosyć paskudna grypa, ale to dotyczy dróg oddechowych. A dlaczego?

— Moja córka ma bóle żołądka i jelit — wyjaśnił Kim.

— Jakie symptomy?

— Zaczęło się od skurczów wczoraj rano — powiedział Kim. — Potem miała biegunkę. Podałem jej zwykłe lekarstwa przeciwbiegunkowe.

— Pomogło? — spytał John.

— Z początku tak myślałem — rzekł Kim. — Ale zeszłej nocy objawy powtórzyły się.

— Były nudności albo wymioty?

— Lekkie nudności, ale bez wymiotów. Przynajmniej na razie. Za to całkiem straciła apetyt.

— Wysoka temperatura?

— Nic. Żadnej.

— Kto jest jej pediatrą?

— Dawniej był nim George Turner. Ale po fuzji zmuszono go do odejścia.

— Pamiętam doktora Turnera. Miałem zastępstwa w szpitalu Dobrego Samarytanina. Porządny człowiek — powiedział John.

— To prawda — zgodził się Kim. — Wrócił do Bostonu, pracuje w szpitalu dziecięcym.

— Nasza strata — skwitował John. — Wracając do pańskiej córki: wydaje mi się, że to lekkie zatrucie pokarmowe, nie wirus.

— Naprawdę? — spytał Kim. — Myślałem, że zatrucie pokarmowe występuje nagle i ostro. No wie pan, jak po zjedzeniu gronkowca w sałatce pomidorowej na pikniku.

— Niekoniecznie — zaoponował John. — Zatrucie pokarmowe może mieć różne objawy. Bez względu jednak na zespół objawów, jeśli pańska córka miała ostrą biegunkę, to najprawdopodobniej czymś się zatręła. Statystycznie zresztą jest to najczęstsza przyczyna. Według szacunków Centrum Kontroli Chorób rocznie występuje od dwustu do trzystu milionów przypadków zatrucia pokarmowego.

Winda zatrzymała się i John wysiadł.

— Mam nadzieję, że córka poczuje się lepiej — powiedział, nim zasunęły się drzwi.

Kim potrząsnął głową. Obrócił się do innego lekarza.

— Słyszał pan? Dwieście do trzystu milionów przypadków zatrucia pokarmowego rocznie! To obłęd!

— Znaczyłoby to, że prawie każdy w tym kraju zatręwa się co roku jedzeniem — odezwał się lekarz.

— Trudno w to uwierzyć — stwierdziła kończąca dyżur pielęgniarka.

— Chyba jednak to prawda — powiedział inny lekarz. — Większość przechodzi nad tym do porządku dziennego, przypisując objawy „grypie żołądkowej”. Oczywiście nie ma czegoś takiego jak grypa żołądkowa.

— Niesamowite — rzekł Kim. — Człowiek dwa razy się zastanowi, zanim zje na mieście.

— Ludzie dostają zatręć tak samo łatwo u siebie w domu — odezwała się kobieta stojąca z tyłu windy. — Przeważnie jedząc nieświeżą żywność; innym źródłem jest nieumiejętne obchodzenie się ze świeżym drobiem.

Kim skinął głową. Odnosił nieprzyjemne wrażenie, że wszyscy w windzie wiedzą na temat zatręć więcej od niego.

Gdy winda zjechała na parter, wysiadł i opuścił budynek szpitala. Jadąc do domu, mimowolnie rozmyślał nad zatręciami pokarmowymi. W dalszym ciągu nie mógł otrząsnąć się z wrażenia, jakie zrobiła na nim liczba dwustu do trzystu milionów przypadków zatręć występujących rocznie w Stanach Zjednoczonych. Dziwił się, że nie trafił na nią wcześniej w swoich lekturach naukowych, oczywiście, jeśli była ona prawdziwa.

Myśli te nadal zaprzętały mu głowę, kiedy wszedł przez drzwi frontowe i rzucił klucze na stolik w korytarzu. Postanowił, że uruchomi Internet i spróbuje zweryfikować dane na temat zatręć pokarmowych, gdy dobiegł go z kuchni odgłos włączonego telewizora. Wszedł tam.

Ginger stała nad kuchennym blatem i mocowała się z zamontowanym na ścianie otwieraczem do konserw. Miała na sobie obcisły kostium z elastycznego włókna, który nie pozostawiał zbyt wiele wyobraźni. Soboty i niedziele poświęcała aerobikowi. Becky leżała na tapczanie w pokoju dziennym i oglądała kreskówki. Koc miała naciągnięty pod szyję. Na tle ciemnozielonego materiału wydawała się nieco błada.

Poprzedni wieczór wszyscy troje spędzili w domu z powodu stanu zdrowia Becky. Ginger upiekła na kolację kurczaka, którego dziewczynka ledwie tknęła. Becky wcześniej poszła spać, Ginger została na noc. Kim miał nadzieję, że nie pokłóciły się, kiedy był w szpitalu. Spodziewał się, że kiedy wróci z obchodu, obie będą jeszcze w łózkach.

— Cześć wszystkim! — zawołał na powitanie. — Już wróciłem.

Ani Ginger, ani Becky nie odpowiedziały.

— Cholera! — zaklęła Ginger. — Ten otwieracz to kupa złomu.

— Co się stało? — spytał Kim, podchodząc do Ginger, która przestała siłować się z otwieraczem do konserw i oparła rękę na biodrach. Wyglądała na rozzłoszczoną.

— Nie mogę otworzyć tej puszki — powiedziała opryskliwym tonem.

— Ja to zrobię. — Kim podniósł puszkę, lecz zanim wsadził ją w otwieracz, przyjrzał się etykietce. — Co to jest?

— Rosół z kurczaka, tak jak jest napisane.

— Na co ci rosół z kurczaka o dziewiątej rano?

— To dla Becky — wyjaśniła Ginger. — Matka zawsze mi dawała rosół, kiedy miałam biegunkę.

— Mówiłam jej, że nie jestem głodna — zawołała Becky z tapczanu.

Kim odstawił puszkę na blat i ominąwszy środkowy filar, wszedł do pokoju dziennego. Zbliżył się do tapczanu i położył rękę na czole córki. Becky poruszyła głową, nie chcąc stracić z oczu ekranu telewizora.

— Czujesz się trochę lepiej? — zapytał Kim. Jej czoło było ciepłe, ale pomyślał, że to dlatego, iż ma zimną dłoń.

— Mniej więcej tak samo. Nie chcę nic jeść. Mam od tego skurcze.

— Musi coś zjeść — stwierdziła Ginger. — Prawie nie tknęła obiadu.

— Jeśli jej organizm nie potrzebuje jeść, to nie powinna — odrzekł Kim.

— Przecież wymiotowała — dodała Ginger.

— Czy to prawda, Becky? — spytał Kim. Wymioty stanowiły nowy objaw.

— Tylko troszkę — przyznała Becky.

— Może powinien ją zbadać lekarz? — powiedziała Ginger.

— A kim ja jestem twoim zdaniem? — zdenerwował się Kim.

— Dobrze wiesz, o co mi chodzi — odparła Ginger. — Jesteś najlepszym kardiochirurgiem na świecie, ale nie masz za często do czynienia z dziecięcymi brzuskami.

— Lepiej idź na górę i przynieś termometr — poprosił.

— A gdzie go znajdę? — spytała potulnie Ginger.

— W łazience. Górna szuflada po prawej. Masz ciągle skurcze? — zwrócił się do Becky.

— Tak.

- Bardziej bolesne niż przedtem?
- Mniej więcej takie same. Raz mocniejsze, raz słabsze.
- A co z biegunką?
- Musimy o tym mówić? — zapytała Becky. — Znaczy się, to trochę krępujące.
- W porządku, misiaczku. Jestem pewien, że za parę godzin wrócisz do siebie. Ale może byś coś zjadła?
- Nie jestem głodna.
- Okay — stwierdził Kim. — Daj znać, jeśli będziesz czegoś potrzebować, dobrze?

* * *

Kiedy Kim skręcił w ulicę, przy której stał dom Tracy, i zaparkował przy krawężniku na skraju trawnika, zdążyło się już zrobić ciemno. Wysiadł z auta i obszedł je, żeby wypuścić Becky, która siedziała okutana w koc, tworzący nad jej głową kaptur.

Kim pomógł córce wysiąść z samochodu i odprowadził ją pod drzwi wejściowe. Przez cały dzień leżała na tapczanie w pokoju dziennym i oglądała telewizję. Kim zadzwonił i czekał na odpowiedź. Tracy otworzyła i zaczęła witać się z córką, lecz urwała w pół zdania i zmarszczyła brwi.

— Po co ci koc? — zdziwiła się. Popatrzyła pytająco na Kima, a potem znów na Becky. — Wejdźcie!

Becky przekroczyła próg, Kim wszedł za nią. Tracy zamknęła drzwi.

— Co się dzieje? — spytała. Uchyliła rąbek koca z twarzy córki. — Jesteś blada. Źle się czujesz?

W kącikach oczu Becky błysnęły łzy. Dostrzegłszy je, Tracy natychmiast zamknęła córkę w bezpiecznym uścisku. Utkwiła spojrzenie w byłym mężu.

— Czuje się nietego — przyznał Kim tonem usprawiedliwienia.

Tracy odsunęła Becky na długość ręki, aby ponownie przyjrzeć się jej twarzy. Dziewczynka otarła łzy.

— Wyglądasz bardzo blado — stwierdziła Tracy. — Co się stało?

— To tylko małe dolegliwości żołądkowe — wyjaśnił Kim. — Zapewne lekkie zatrucie pokarmowe. Tak przynajmniej twierdził pediatra, z którym rozmawiałem w szpitalu.

— Jeśli to małe dolegliwości, dlaczego jest taka blada? — zapytała Tracy. Położyła dłoń na czole Becky.

— Nie ma gorączki — powiedział Kim. — Jedynie skurcze i biegunkę.

— Dałeś jej coś?

— Jasne. Wzięła Pepto-Bismol, ale nie bardzo pomógł, więc dałem jej Imodium.

— I co? Pomogło?

— Trochę.

— Muszę iść do toalety — odezwała się Becky.

— Dobrze, kochanie — powiedziała Tracy. — Idź na górę. Będę tam za minutkę.

Becky uniosła poły koca i pomknęła po schodach.

Tracy obróciła się do Kima. Miała rumieniec na twarzy.

— Na miłość boską, Kim. Była u ciebie niecałe czterdzieści osiem godzin i zdążyła zachorować. Coś ty z nią robił?

— Nic nadzwyczajnego.

— Nie powinnam była wyjeżdżać — prychnęła Tracy.

— Och, przestań — odparł Kim, wpadając w złość. — Becky mogła zachorować bez względu na to, czybyś wyjechała, czy została. W gruncie rzeczy, jeżeli to wirus, to równie dobrze mogła go złapać przed weekendem, kiedy jeszcze tu byłaś.

— Mówiłeś przecież, że to zatrucie pokarmowe — stwierdziła Tracy.

— Tak sądził pediatra, powołując się na dane statystyczne — odrzekł Kim.

— Czy Ginger wam gotowała?

— Zgadza się. Wczoraj wieczorem upiekła pysznego kurczaka.

— Kurczaka! — krzyknęła Tracy. — Tego się obawiałam. Wszystko jasne.

— A więc już obarczasz winą Ginger — rzekł Kim drwiącym głosem. — Nie lubisz jej ani trochę, prawda?

— Nie, nieprawda — zaprzeczyła Tracy. — Kiedyś jej nie lubiłam. Teraz jest mi zupełnie obojętna. Co nie zmienia faktu, że jest młoda i nie ma dużego doświadczenia w kuchni. Ci, którzy je mają, wiedzą, że trzeba być bardzo ostrożnym z kurczakami.

— Wydaje ci się, że wszystko wiesz. No więc trzeba ci wiedzieć, że Becky ledwie tknęła tego kurczaka. Poza tym czuje się niedobrze od soboty rano. To zaś oznacza, że jeśli się czymś zatrula, stało się to w Onion Ring przy autostradzie Prairie. Twój narzeczony zresztą pochwalił się Becky, że jest właścicielem tej restauracji.

Tracy otworzyła drzwi.

— Dobranoc, Kim! — powiedziała ostrym tonem.

— Jest coś jeszcze, o czym chciałbym ci powiedzieć. Nie podoba mi się, że przedstawiasz mnie Becky jako jakiegoś potwora, który za wszelką cenę usiłuje zachęcić ją do startu w mistrzostwach kraju — rzucił Kim.

— Nigdy nie oceniałam twoich życzeń wobec naszej córki — odparła Tracy. — Kiedy Becky poinformowała mnie, że nie lubi tego rodzaju rywalizacji, poparłam ją. Powiedziałam jej również, że być może będziesz chciał, aby zmieniła zdanie. Nic więcej nie mówiłam.

Oczy Kima ciskały pioruny. Ilekroć się kłócili, zawsze przybierała postawę psychologicznej wyższości, która budziła w nim wściekłość, zwłaszcza wtedy, gdy uznawała, że musi ostrzec ich córkę przed tym, co on może jej powiedzieć.

— Dobrej nocy, Kim! — powtórzyła Tracy, nadal przytrzymując otwarte drzwi.

Kim obrócił się na pięcie i wyszedł.

Rozdział 6

Poniedziałek, 19 stycznia

Budzik Kima był nastawiony na piątą piętnaście rano, ale rzadko kiedy musiał dzwonić. Kim zazwyczaj budził się wcześniej, co pozwalało mu wyłączyć alarm, zanim ten przerwie poranną ciszę. Wstawał przed świtem, odkąd został stażystą na oddziale chirurgii. Dzisiejszy poranek nie stanowił wyjątku od reguły. Kim w całkowitych ciemnościach wygramolił się z ciepłego łóżka i nagusieńki pobiegł do łazienki.

Wykonując rutynowe, nie wymagające myślenia czynności, Kim otworzył ciężkie szklane drzwi kabiny natryskowej i odkręcił do oporu kran. Kim i Tracy zawsze woleli myć się pod prysznicem, toteż łazienka była jedynym pomieszczeniem, którego remontu zażądali, kiedy przed dziesięciu laty nabyli ten dom. Kazali usunąć wannę wraz z małym prysznicem i zbudowali w tym miejscu wspaniałą kabinę natryskową o rozmiarach pięć na dziewięć stóp. Trzy z jej ścian były wyłożone marmurowymi kaflami. W czwartej, wykonanej z półcałowego szkła, znajdowały się drzwi zdobione polerowanym mosiądzem, z klamkami w kształcie litery U osadzonymi w grubym, hartowanym szkłe. Zdaniem Kima było to łazienkowe arcydzieło warte zdjęcia na całą stronę w magazynie poświęconym dekoracji wnętrz.

Śniadanie zjadł w pobliskim barze Dunkin' Donuts, gdzie kupił sobie pączka i kubek kawy zmieszanej pół na pół z mlekiem. Zjadł w samochodzie, jadąc przez ciemne przed świtem miasto. Resztę czasu wykorzystał na przesłuchanie taśm na temat przypadków chorobowych. O szóstej pojawił się w swoim gabinecie, podyktował kilka listów i wypisał czeki na różne planowane wydatki. O szóstej trzydzieści był w szpitalu, aby oprowadzić studentów torakochirurgii — o tej porze też zaglądał zawsze do swoich pacjentów. Przed siódmą trzydzieści znalazł się w sali konferencyjnej na obowiązkowym codziennym zebraniu. Tego ranka było ono poświęcone szpitalnym świadczeniom i przyjmowaniu dotacji.

Po zebraniu Kim spotkał się z kolegami z torakochirurgii, których badania naukowe nadzorował i sam w nich uczestniczył. Spotkanie przedłużyło się, więc nieco się spóźnił na główny obchód na oddziale chirurgii, gdzie przedstawił przypadek pacjenta, któremu wymieniono zastawkę trójdzielną.

O dziesiątej Kim, już spóźniony, znowu był w swoim gabinecie. Odkrył, że Ginger umówiła pacjentów wymagających nagłej pomocy na dziewiątą trzydzieści i dziewiątą czterdzieści pięć. Cheryl Constantine, pielęgniarka z gabinetu Kima, usadowiła już ich w dwóch pokojach badań.

Przedpołudnie minęło na nieustannym przyjmowaniu chorych. Na obiad Kim zjadł kanapkę, którą zamówiła Ginger. Jedząc, przeglądał wyniki cewnikowania serca i zdjęcia rentgenowskie. O czwartej wyrwał się na chwilę do szpitala, by uporać się z niewielkim problemem u jednego ze swych pacjentów. Przeprowadził też prędko swój popołudniowy obchód.

Wróciwszy do gabinetu, Kim daremnie próbował popracować nad zaległościami, których nigdy nie udawało mu się nadrobić. Kilka godzin później przerwał na moment, żeby nieco odetchnąć przed czekającą go wizytą w pokoju badań „A”. Wykorzystał wolną chwilę, aby rzucić okiem na rozkład zajęć. Z ulgą zobaczył, że czeka go jedynie rutynowe badanie poopercyjne. Wszystko wskazywało na to, że będzie to krótka wizyta. Pacjent nazywał się Phil Norton i kiedy Kim wszedł do małej salki, Phil, rozebrany, siedział już na kozetce.

— Gratuluję, panie Norton — powiedział Kim, odrywając wzrok od karty badań. — Wszystko wróciło do normy.

— Dzięki Bogu — odparł Phil.

I współczesnej kardiologii, dodał w myślach Kim. Pochylił się i zbadał nacięcie biegnące przez środek piersi Phila. Delikatnie dotknął końcami palców wypukłości gojącej się rany. Dzięki obserwacji i badaniu palpacyjnemu Kim mógł określić wewnętrzny stan rany po operacji.

— Nacięcie goi się doskonale — oznajmił i wyprostował się. — Cóż, jeśli o mnie chodzi, może pan zacząć przygotowania do startu w maratonie bostońskim.

— Nie widzę tam dla siebie przyszłości — zażartował Phil. — Ale na wiosnę z pewnością wyskoczę na pole golfowe.

Kim poklepał go po plecach i uścisnął mu dłoń.

— Powodzenia. Lecz niech pan pamięta o zmianie trybu życia, jakiej wymaga pański stan zdrowia.

— Proszę się o to nie martwić — odrzekł Phil. — Przeczytałem wszystkie materiały, z którymi wyprawił mnie pan do domu. Wziąłem to sobie do serca. Koniec z papierosami.

— I proszę nie zapominać o diecie i ćwiczeniach — dodał Kim.

— Bez obaw. Nie chcę znowu przez to przechodzić.

— No, nie było tak źle — zażartował Kim.

— Ale bardzo się bałem — stwierdził Phil.

Kim jeszcze raz poklepał Phila po plecach, zanotował coś szybko w karcie i wyszedł z pokoju. Przeszedł przez korytarz do pokoju badań „B”, ale zauważył, że na drzwiach nie wywieszono listy oczekujących.

— Pan Norton to ostatni pacjent — odezwała się zza jego pleców Cheryl.

Kim odwrócił się i uśmiechnął do pielęgniarki. Przeczesał zmęczoną ręką potargane włosy.

— To dobrze — powiedział. — Którą mamy godzinę?

— Już po siódmej.

— Dzięki, że zostałaś — powiedział do niej Kim.

— Nie ma za co.

— Mam nadzieję, że te ciągle nadgodziny nie przyczyniają ci kłopotów w domu.

— To żaden problem — uśmiechnęła się Cheryl. — Przyzwyczaiłam się do tego, mój mąż zresztą też. Wie, że teraz on musi odbierać naszego syna z przedszkola.

Kim odwrócił się i poszedł do swego prywatnego gabinetu. Zapadł się w fotelu i przejrzał listę telefonicznych wiadomości, na które musiał odpowiedzieć przed wyjściem. Potarł oczy. Był wyczerpany, a zarazem podekscytowany. Jak zwykle narosły w nim napięcia całego dnia. Z ochotą pograłby w tenisa i przyszło mu na myśl, że wracając do domu, zatrzyma się w siłowni. Przydałoby się chwilę poćwiczyć, a przynajmniej pojeździć na rowerze do ćwiczeń.

Drzwi do gabinetu otworzyły się i stanęła w nich Ginger.

— Przed chwilą dzwoniła Tracy — powiedziała ochryłym głosem.

— W jakiej sprawie?

— Nie chciała powiedzieć. Mówiła tylko, żebyś zadzwonił.

— Dlaczego jesteś taka zdenerwowana?

Ginger westchnęła i przestąpiła z nogi na nogę.

— Jest po prostu niegrzeczna — wyjaśniła. — Staram się być miła i w ogóle. Zapytałam nawet, jak się czuje Becky.

— I co odpowiedziała?

— Że masz zadzwonić.

— Dobrze, dzięki — Kim podniósł słuchawkę i zaczął wybierać numer.

— Ja idę na aerobik — powiedziała Ginger.

Gestem ręki pokazał jej, że usłyszał.

— Zadzwon do mnie później — poprosiła.

Kim przytaknął. Ginger wyszła, zamykając za sobą drzwi. W słuchawce odezwała się Tracy.

— Co się stało? — zapytał Kim bez żadnego wstępu.

— Becky się pogorszyło.

— Jak bardzo?

— Nasiliły się skurcze, oddaje też stolec z krwią.

— Jakiego koloru? — spytał Kim.

— Na miłość boską, co to znaczy, jakiego koloru?! — krzyknęła Tracy.

— Jasnoczerwona czy ciemna? — pytał Kim.

— Chartreuse — powiedziała niecierpliwie Tracy.

— Mówię poważnie — oznajmił Kim. — Jasnoczerwona czy ciemna, prawie brązowa?

— Jasnoczerwona.

— Ile jej jest?

— Skąd mam to wiedzieć? — rzekła poirytowana Tracy. — Jest krew, jest czerwona i wygląda to okropnie. Czy to nie wystarczy?

— Czasem w stolcu pojawia się niewielka ilość krwi — wyjaśnił Kim.

— Nie podoba mi się to — stwierdziła Tracy.

— Co zamierzasz zrobić?

— Mnie pytasz?! — Tracy zapytała z niedowierzaniem. — Przecież to ty jesteś lekarzem, a nie ja.

— Może powinienem zadzwonić do George’a Turnera w Bostonie — zastanowił się Kim.

— A co on robi z odległości ponad tysiąca mil? — przerwała mu Tracy. — Chcę, żebyś ją obejrzał, i to jeszcze dzisiaj!

— Okay, okay — powiedział Kim. — Uspokój się!

Zamilkł na chwilę, aby zebrać myśli. Na miejscu nie miał stałego kontaktu z żadnym pediatrą. Znał jednego internistę ze szpitala, który mógłby zerknąć na Becky, ale był temu niechętny. Wydawało mu się lekką przesadą dzwonić do kogoś wieczorem z powodu trwającej parę dni biegunki, nawet jeśli jest zabarwiona niewielką ilością jasnoczerwonej krwi.

— Powiem ci coś — odezwał się Kim. — Spotkamy się w izbie przyjęć nagłych przypadków w centrum medycznym.

— O której?

— A o której możesz tam być? — spytał Kim.

— Myślę, że za pół godziny — odparła Tracy.

— Zatem za pół godziny.

Kim znajdował się o jakieś dziesięć minut drogi od szpitala. Godzina szczytu już minęła, więc przez dwadzieścia minut odpowiedział na tyle telefonów, ile zdołał. Kiedy dotarł do izby przyjęć nagłych przypadków Uniwersyteckiego Centrum Medycznego, Tracy jeszcze nie było, toteż stanął koło podjazdu dla karet i czekał. Gdy tak stał, zajęchało kilka ambulansów z włączonymi syrenami, które cichły po chwili. Sanitariusze szybko wydobyli z wozów kilku pacjentów wymagających natychmiastowej pomocy; jednego z nich reanimowano. Kim patrzył, jak pielęgniarki znikają w środku, i z nostalgią przypomniał sobie czasy, kiedy był stażystą na oddziale chirurgii. Pracował tam ciężko, a za całą nagrodę starczyły mu często powtarzane zapewnienia, że jest jednym z najlepszych stażystów, jacy kiedykolwiek przeszli ten program. To były obłędne czasy, pod wieloma względami bardziej satysfakcjonujące niż obecnie.

Kim miał już skorzystać z telefonu komórkowego, aby spróbować dodzwonić się do Tracy, gdy zobaczył, jak jej wielkie volvo mija zakręt i zatrzymuje się. Kim zszedł na chodnik i podbiegł do samochodu w chwili, gdy otwierały się drzwi. Od razu podszedł do miejsca pasażera i pomógł wysiąść Becky. Gramoląc się z auta, uśmiechnęła się do niego słabo.

— Wszystko w porządku, misiaczku? — zapytał Kim.

— Mam silniejsze skurcze — powiedziała.

— Zaraz się nimi zajmiemy — oznajmił. Spojrzał na Tracy, która musiała obejść samochód. Zauważył, że wygląda na tak samo rozzłoszczoną jak poprzedniego wieczoru.

Kim poprowadził je z powrotem w stronę podjazdu i po pokonaniu sześciu stopni otworzył przed nimi wahadłowe drzwi. Weszli do środka.

Jak przystało na izbę przyjęć nagłych przypadków w wielkim mieście Środkowego Zachodu, pomieszczenie było tak zatłoczone, że przypominało ruchliwy miejski dworzec autobusowy. W poniedziałkowe noce panował tu szczególny ruch ze względu na pozostałości weekendowe.

Obejmując córkę ramieniem, Kim poprowadził ją przez tłum ludzi w holu, gdzie znajdowała się główna rejestracja, i dalej, za przepelnioną poczekalnię. Kim i Becky mijali właśnie stanowisko pielęgniarek, gdy nagle zza kontuaru wyszła ogromna pielęgniarka o posturze Brunhildy. Masa jej ciała skutecznie uniemożliwiła Kimowi jakikolwiek ruch naprzód. Na jej tabliczce identyfikacyjnej widniało nazwisko: Molly McFadden. Ani trochę nie ustępowała Kimowi wzrostem.

— Przykro mi — oznajmiła Molly — ale nie może pan tu wejść ot, tak sobie. Musi pan zarejestrować się w punkcie przyjęć.

Kim spróbował się przepchnąć, lecz Molly nawet nie drgnęła.

— Przepraszam — powiedział Kim. — Jestem doktor Reggis. Pracuję tutaj i chcę, żeby ktoś zbadał moją córkę.

Molly zaśmiała się.

— Dla mnie może być pan nawet papieżem Janem — parsknęła. — Każdy, powtarzam, każdy pacjent musi zgłosić się w rejestracji, chyba że wniosą go tu pielęgniarze.

Kim był tak wstrząśnięty, że na moment odebrało mu mowę. Nie mieściło mu się w głowie, że nie tylko okazano mu lekceważenie, ale otwarcie go prowokowano. Patrzył z niedowierzaniem w zuchwałe, błękitne oczy pielęgniarki. Wydawała się silna niczym biało ubrany zapaśnik sumo. To, że Kim przedstawił się jako pracujący tutaj lekarz, nie zrobiło na niej żadnego wrażenia.

— Im szybciej się pan zarejestruje, doktorze, tym szybciej pana córka zostanie zbadana — dodała Molly.

— Czy pani nie słyszała, co powiedziałem? — zapytał Kim. — Jestem starszym lekarzem na oddziale kardiochirurgii.

— Oczywiście, że słyszałam, co pan powiedział — odparła Molly. — Pytanie brzmi: czy do pana dotarło, co ja powiedziałam?

Kim wbił w nią wściekłe spojrzenie, ale nie dała się zastraszyć.

Tracy wyczuła impas. Znając aż za dobrze temperament byłego męża, spróbowała rozładować sytuację.

— Chodź, kochanie — powiedziała do Becky. — Usłuchamy tej pani i zarejestrujemy się. — Poprowadziła córkę z powrotem tą samą drogą, którą tu przyszli.

Kim rzucił Molly jeszcze jedno nienawistne spojrzenie, potem odwrócił się i dołączył do Tracy i Becky. Razem ustawili się w kolejce pacjentów czekających pokornie na zarejestrowanie. Kim nadal był nadąsany.

— Mam zamiar złożyć skargę na tę babę! — powiedział. — Bezcelność nie ujdzie jej na sucho. Co za tupet! To nie do wiary.

— Po prostu robiła to, co do niej należy — odparła Tracy, ciesząc się, że nie doszło do żadnego incydentu. Czuła ulgę, że Kim nie urządził sceny.

— Co takiego? — syknął Kim. — Próbujesz jej bronić?

— Uspokój się! — rzekła Tracy. — Na pewno tylko wykonuje polecenia. Chyba nie sądzisz, że sama je wymyśliła?

Kim potrząsnął głową. Kolejka przesunęła się odrobinę do przodu. Obsługiwała ją tylko jedna osoba, której praca polegała na wpisywaniu do formularzy stosownych informacji, włącznie z polisą ubezpieczeniową, jeśli pacjent nie był objęty systemem opieki AmeriCare.

Twarz Becky wykrzywiła się nagle z bólu. Przyciskając rękę do brzucha, zaczęła piszczeć.

— Co się stało? — zapytał Kim.

— A jak myślisz? — odparła Tracy. — Ma kolejny skurcz.

Na czole Becky pojawił się pot, dziewczynka pobladła. Spojrzała błagalnie na matkę.

— Przejdzie ci tak jak poprzednio — uspokoiła ją Tracy. Poglądziła córkę po głowie i starła jej z twarzy kropelki potu. — Może chcesz usiąść?

Becky skinęła głową.

— Trzymaj miejsce w kolejce! — powiedziała Tracy do Kima.

Kim popatrzył, jak Tracy odprowadza Becky na jedno z plastikowych krzeseł pod ścianą. Becky usiadła. Kim domyślał się, że Tracy coś do niej mówi, bo dziewczynka kiwała głową. Odzyskiwała rumieńce. Po paru minutach Tracy wróciła do kolejki.

— Jak się czuje? — spytał Kim.

— Na razie lepiej — odpowiedziała Tracy. Zauważyła, jak niewiele naprzód posunęła się kolejka, odkąd w niej stanęli. — Może pojedziemy do innego szpitala?

— Jest poniedziałek wieczór — powiedział Kim. — Wszędzie jest tak samo.

Tracy głośno westchnęła.

— Brakuje mi doktora Turnera.

Kim przytaknął. Stał na palcach, żeby zobaczyć, dlaczego kolejka stoi w miejscu, ale nie dostrzegł.

— To jakiś absurd! Zaraz wrócę! — zawołał.

Z grymasem gniewu na twarzy przecisnął się obok stojących przed nim ludzi, żeby dotrzeć do kontuaru. Natychmiast zorientował się, dlaczego nie posuwali się do przodu. Pijany mężczyzna w brudnym i wymiętym garniturze bezskutecznie próbował się zarejestrować. Z portfela wypadły mu wszystkie karty kredytowe. Z tyłu głowy miał świeżą ranę.

— Halo! — zawołał Kim, usiłując zwrócić na siebie uwagę recepcjonistki. Była to dwudziestoparoletnia Murzynka.

— Nazywam się doktor Reggis — zaczął Kim. — Jestem członkiem personelu na oddziale kardiochirurgii. Moja córka...

— Przepraszam — wpadła mu w słowo Murzynka. — Za jednym razem mogę załatwiać tylko jedną osobę.

— Niech pani posłucha! — zawołał Kim. — Jestem członkiem personelu na kardio...

— To nie ma znaczenia — przerwała mu ponownie. — Wszystkich obsługujemy na równi. Kto jest na początku kolejki, ten jest pierwszy we wszystkich rutynowych przypadkach nagłych zachorowań.

— Rutynowych przypadkach nagłych zachorowań? — spytał zdumiony Kim. Był to idiotyczny oksymoron. Pomyślał, aby przemówić tej urzędniczce do rozumu, w jednej chwili przypomniał mu przygnębiające utarczki z ludźmi bez wykształcenia medycznego, ilekroć dzwonił do towarzystw ubezpieczeniowych albo funduszy opieki medycznej, chcąc ściągnąć należność za leczenie. Była to jedna z największych uciążliwości współczesnej praktyki lekarskiej.

— Proszę zaczekać na końcu kolejki — oznajmiła recepcjonistka. — Jeśli pozwoli mi pan zająć się tymi ludźmi przed panem, szybciej przyjmę pana zgłoszenie. — To powiedziawszy, zwróciła całą uwagę na pijaka. Tymczasem tamten zdołał już zebrać zawartość swego portfela.

Kim chciał zaprotestować, ale uświadomił sobie, że próba rozmowy z tą kobietą będzie stratą czasu. Przyszło mu na myśl, że mogła nawet nie zrozumieć, co znaczy sformułowanie „członek personelu”. Coraz bardziej przygnębiony, upokorzony i rozzłoszczony, Kim wrócił do Tracy.

— Nie mam pojęcia, skąd oni biorą takich ludzi — pożalił się. — Są jak automaty.

— Podziwiam twoją wysoką pozycję w tym szpitalu, która otwiera nam wszystkie drzwi.

— Twój sarkazm nic tu nie pomoże — odwarknął Kim. — To wszystko z powodu przejęcia szpitala przez AmeriCare. Nikt mnie tu nie zna. Nawet nie pamiętam, czy kiedykolwiek byłem w tej izbie przyjęć.

— Gdybyś poważnie potraktował skargi Becky podczas weekendu, prawdopodobnie nie musielibyśmy teraz tutaj tkwić — powiedziała Tracy.

— Potraktowałem je poważnie — odparł, broniąc się, Kim.

— O tak, na pewno. Dając jej zwykłe lekarstwa na biegunkę. Bardzo zdecydowane podejście! Ale wiesz co? Nie jestem zaskoczona, że nie zrobiłeś nic więcej. Nigdy nie traktowałeś poważnie żadnych objawów choroby u Becky. U mnie zresztą również.

— To nieprawda — zaprzeczył ostro Kim.

— Tak, to prawda — ciągnęła Tracy. — Tylko ktoś, kto miał za małżonka chirurga, wie, co mam na myśli. Według ciebie każdy objaw, który nie wymaga natychmiastowej operacji na otwartym sercu, jest jedynie jakimś symulowaniem.

— Jestem oburzony tym, co mówisz — odparł Kim.

— I ja również — powiedziała Tracy.

— No dobrze, pani Przemądrzalska — warknął Kim. — Co pani zdaniem powinienem był zrobić z Becky podczas weekendu?

— Zawieźć ją do kogoś, kto by ją zbadał — odpowiedziała Tracy. — Któregoś z twoich licznych kolegów. Znasz pewnie z tysiąc lekarzy. Trzeba było poprosić któregoś o pomoc.

— Zaraz, zaraz, chwileczkę — wtrącił Kim, starając się panować nad sobą. — Becky cierpiała na zwykłą biegunkę i skurcze. W dodatku było to w czasie weekendu. Jak mogłem zwracać komuś głowę przy tego rodzaju objawach?

— Mamusiu! — zawołała Becky. Kim i Tracy nie zauważyli, jak podeszła do nich z tyłu. — Muszę iść do łazienki!

Tracy odwróciła się i przypomniawszy sobie o męczarniach córki, natychmiast zapomniała o złości. Przygarnęła Becky.

— Przepraszam, kochanie — powiedziała. — Oczywiście! Zaraz znajdziemy toaletę.

— Poczekajcie — odezwał się Kim. — To może się przydać. Będziemy potrzebowali próbki. Zdobęde jakiś pojemnik na próbkę stolca.

— Chyba żartujesz — powiedziała Tracy. — Jestem pewna, że ona musi iść teraz.

— Wytrzymaj, Becky — poprosił Kim. — Zaraz wracam.

Pomaszerował dziarskim krokiem w głąb izby przyjęć. Nie zauważony minął stanowisko pielęgniarek. Póki co nigdzie nie było widać gigantycznej Molly McFadden.

Oddział pierwszej pomocy medycznej składał się z wielkich pomieszczeń poprzedzielanych na mniejsze parawanami zwisającymi z sufitowych szyn. Ponadto znajdowały się tam sale zabiegowe wyposażone w najnowocześniejszy sprzęt medyczny. Było też kilka pokoi, w których przeważnie badano chorych psychicznie. Oddział był równie zatłoczony jak poczekalnia i pannaował w nim podobny chaos. Wszystkie sale zabiegowe były zajęte przez lekarzy, stażystów, pielęgniarki i pielęgniarzy, uwijających się między nimi bez ustanku.

Kim szukał wzrokiem kogoś znajomego. Niestety, nikogo takiego nie dostrzegł. Zatrzymał więc jednego z pielęgniarzy.

— Przepraszam — odezwał się. — Potrzebuję pojemnik na próbki stolca.

Pielęgniarz obrzucił Kima wzrokiem od stóp do głów.

— Kim pan jest?

— Doktor Reggis.

— Ma pan kartę identyfikacyjną?

Kim pokazał mu swoją szpitalną plakietkę.

— Okay — stwierdził pielęgniarz. — Proszę chwilę poczekać.

Kim patrzył, jak mężczyzna znika za nie oznaczonymi drzwiami, które musiały prowadzić do magazynu.

— Przejdźcie! — zawołał czyjś głos.

Kim odwrócił się i zobaczył, że sunie na niego przenośny zestaw do wykonywania zdjęć rentgenowskich. Kim odszedł na bok, technik zaś przepchnął ciężką maszynę dalej. W następnej chwili zjawił się pielęgniarz. Wręczył Kimowi dwie plastikowe torebki z plastikowymi pojemnikami.

— Dzięki — powiedział Kim.

— Drobnostka — odparł pielęgniarz.

Kim pognął z powrotem. Tracy i Becky ciągle stały w kolejce, chociaż przesunęły się o parę stóp. Becky mocno zaciskała powieki. Po jej twarzy spływały łzy.

Kim podał Tracy jedną z plastikowych toreb.

— Są skurcze? — zapytał.

— Oczywiście, ty matolku — odparła Tracy. Chwyła Becky za rękę i poprowadziła ją do toalety.

Kim zajął ich miejsce w kolejce, która przesunęła się trochę do przodu. Teraz obsługiwały ją dwie rejestratorki. Widocznie ta druga miała przedtem przerwę.

* * *

O dziewiątej piętnaście poczekalnia na oddziale pierwszej pomocy medycznej pękała w szwach. Wszystkie plastikowe krzesła były zajęte; ludzie opierali się o ściany lub siedzieli na podłodze. Niewielu rozmawiało. W jednym kącie sali zwiisał spod sufitu telewizor, włączony na stację CNN. Kilka płaczących niemowląt zagłuszało emitowane właśnie wiadomości. Na zewnątrz zaczął padać deszcz i w powietrzu unosił się zapach mokrej odzieży.

Kim, Tracy i Becky zdobyli wreszcie trzy miejsca siedzące obok siebie i tkwili na nich nieruchomo, z wyjątkiem Becky, która kilka razy chodziła do toalety. Kim trzymał pojemnik na próbki stolca. Chociaż początkowo było w nim widać plamki jasnoczerwonej krwi, teraz kał miał zwyczajny, jasnobrazowy kolor. Becky wyglądała na nieszczęśliwą i znużoną. Tracy była rozdrażniona. Kim nadal kipiał ze złości.

— Nie mogę w to uwierzyć — odezwał się nagle. — Naprawdę nie wierzę. Wydaje mi się, że lada chwila zostaniemy przyjęci przez lekarza i nic się nie dzieje. — Spojrzał na zegarek. — Siedzimy tu już półtorej godziny.

— Witaj w realnym świecie — powiedziała Tracy.

— Właśnie o tym Kelly Anderson powinna nakręcić swój reportaż — mówił Kim. — To śmieszne. AmeriCare zamknęło oddział pierwszej pomocy w szpitalu Dobrego Samarytanina, aby zredukować koszty i kazać ludziom przychodzić tutaj. Wszystko to po to, żeby zmaksymalizować zyski.

— Oraz kłopoty — dodała Tracy.

— To prawda — zgodził się Kim. — AmeriCare wyraźnie chce zniechęcić chorych do korzystania z oddziału pierwszej pomocy medycznej.

— Trzeba przyznać, że są skuteczni — stwierdziła Tracy.

— Nie mogę uwierzyć, że nikt z tutejszego personelu mnie nie rozpoznał — mruknął Kim. — To niesłychane. Do diabła, myślałem, że jestem najbardziej znanym kardiochirurgiem w tym okręgu.

— Czy nic nie możesz zrobić? — zapytała Tracy. — Becky wygląda okropnie.

Kim wstał.

— Dobrze — powiedział. — Spróbuję.

— Tylko panuj nad swoimi nerwami — upomniała go. — Sprawy mogłyby się jeszcze pogorszyć.

— Gorzej już być nie może.

Wyszedł z poczekalni i skierował się do stanowiska pielęgniarek. Zrobił zaledwie parę kroków, gdy przez główne drzwi wejściowe wdarł się do środka ryk syreny. Po chwili w szklanych drzwiach ukazało się błyskające czerwone światło karetki. Syrena zamarła, a wkrótce potem drzwi otworzyły się z impetem. Kilku zakrwawionych ludzi — najwyraźniej ofiary wypadku samochodowego — wtoczono na noszach i powieszono w stronę oddziału pierwszej pomocy medycznej.

Kim mimo woli zastanowił się, czy ich przybycie oznacza, że Becky będzie musiała czekać jeszcze dłużej. Podeszedł do stanowiska pielęgniarek. Znowu rozejrzał się za Molly McFadden, ale wciąż nigdzie jej nie było. Za kontuarem znajdowały się tylko dwie osoby, pracownik administracyjny, który spisywał przez telefon wyniki badań laboratoryjnych, oraz pielęgniarka zajęta papierkową robotą i popijaniem kawy. Kim odczytał jej plaketkę identyfikacyjną: Monica Hoskins, pielęgniarka oddziału pierwszej pomocy.

Siląc się na grzeczność, Kim zwrócił na siebie jej uwagę, delikatnie stukając w blat kontuaru.

— Dobry wieczór — powiedział, gdy pielęgniarka spojrzała na niego. — Czy pani mnie poznaje?

Monica lekko zmrużyła oczy, patrząc na Kima.

— Nie, raczej nie — odparła. — A powinnam?

— Pracuję na oddziale kardiochirurgii — oznajmił Kim. — Ale teraz jestem tu z córką i czekamy od półtorej godziny. Czy może mi pani powiedzieć, kiedy ją ktoś zbada?

— To ciężka noc, jest dużo wypadków samochodowych — wyjaśniła Monica. — Nazwisko proszę?

— Doktor Reggis — odpowiedział Kim i wyprostował się.

— Chodzi mi o nazwisko pacjentki.

— Rebecca Reggis — odparł Kim.

Monica wzięła stertę bloczków rejestracyjnych. Pośliniwszy palec wskazujący, zaczęła szybko wertować kartki.

— Okay — powiedziała, wyciągając jedną z nich. — Jest tutaj. — Przeczytała kartkę i podniosła wzrok na Kima, unosząc brwi. — Biegunka od dwóch dni. Trudno to zaliczyć do nagłych zachorowań.

Kim pokazał jej plastikowy pojemnik ze stolcem.

— Dzisiaj miała w tym trochę krwi — powiedział.

Monica przyjrzała się pojemnikowi.

— To nie wygląda jak krew.

— Ale wyglądało wcześniej. I bardzo zaniepokoiło jej matkę.

— Cóż, zajmijmy się pana córką tak szybko, jak będziemy mogli — powiedziała neutralnie Monica. — To wszystko, co mogę panu obiecać. — Włożyła kartę Becky z powrotem w plik bloczków.

— Proszę pani — rzekł Kim opanowanym głosem. — Jako członek personelu spodziewam się większych starań. Czekam już wystarczająco długo i chcę, żeby ktoś ją wreszcie zbadał. Mam nadzieję, że wyrażam się jasno. Stan mojej córki jest poważny.

Monica obdarzyła Kima ostentacyjnie fałszywym uśmiechem.

— Jak już mówiłam, zajmiemy się pana córką tak szybko, jak będziemy mogli. Mamy ograniczone środki. Jeśli czeka pan tutaj od półtorej godziny, z pewnością widział pan, ilu ludzi przywieziono tu z wypadków samochodowych, a przed chwilą policja powiadomiła nas, że w drodze jest ofiara strzelaniny.

Monica nie zdążyła dokończyć zdania, kiedy dał się słyszeć znajomy ryk nadjeżdżającego ambulansu.

— Założę się, że to oni — rzekła Monica, zrywając się z krzesła. Podeszła do interkomu i wduśła jakiś przycisk. Rozmawiając z kimś z sali pourazowej, uprzedziła, aby byli gotowi. Potem zniknęła w jednej z sal na oddziale.

Kim, niezbyt zadowolony ze swoich starań, wrócił do poczekalni. Kiedy przechodził przez główne wejście, do środka wbiegła grupa pielęgniarzy z ofiarą strzelaniny na noszach. Ranny miał maskę tlenową na twarzy i podłączoną kroplówkę. Był trupioblady.

— I co? — spytała Tracy, gdy Kim siadał na swoim miejscu.

— Powiedzieli, że zajmą się nią tak szybko, jak będzie to możliwe — odpowiedział Kim. Był zbyt zakłopotany, by relacjonować całą rozmowę. Zauważył, że Becky zwinęła się w kłębek na swoim krześle; miała zamknięte oczy.

— Niezbyt konkretna odpowiedź — stwierdziła Tracy. — Co ma właściwie znaczyć? Za piętnaście minut, za godzinę, jutro rano?

— To znaczy tak szybko, jak będą mogli — warknął Kim. — Przed chwilą przywieźli ranne-go w strzelaninie, a parę minut przedtem ofiary wypadku samochodowego. Mają ciężką noc.

Tracy westchnęła i przygnębiona potrząsnęła głową.

— Co z Becky? — zapytał Kim.

— Miała kolejny atak skurczów — powiedziała Tracy. — Więc sam zgadnij. Jesteś lekarzem.

Kim odwrócił wzrok i zacisnął zęby. Trudno było w takiej sytuacji zachować zimną krew. A na domiar złego był głodny.

Przez następną godzinę Kim siedział pogrążony w markotnym milczeniu. Jego myśli krążyły wokół wszystkich tych absurdalnych wydarzeń, jakich był świadkiem na oddziale pierwszej pomocy medycznej — pragnął opowiedzieć o nich swoim kolegom. Oni go zrozumieją. Tracy i Becky wydawały się bardziej pogodzone z koniecznością czekania.

Za każdym razem, gdy pielęgniarka albo stażysta wychodzili na próg poczekalni, żeby wywołać nazwisko, Kim spodziewał się, że będzie to Rebecca Reggis. Ale tak się nie stało. W końcu Kim spojrzał na zegarek.

— Cholera, to już dwie i pół godziny — powiedział i wstał. — Naprawdę, to mi się nie mieści w głowie. Gdybym był choć trochę paranoikiem, pomyślałbym, że to jakiś pokrętny spisek. Tego już za wiele. Zaraz wrócę.

Tracy zerknęła na swego byłego męża. W normalnych okolicznościach obawiałaby się, jak Kim może się zachować, ale teraz, po tylu godzinach czekania, nie obchodziło jej to. Chciała tylko, żeby zbadano Becky. Toteż milczała, gdy Kim się oddalał.

Kim pomaszerował wprost do stanowiska pielęgniarek. Stało tam kilka osób z personelu oddziału, prowadząc ze sobą błahe rozmowy przerywane śmiechem.

Kim podszedł do kontuaru i przyjrzał się im, szukając znanej twarzy. Jednak nikt nie wyglądał znajomo, nikt też go nie rozpoznał. Jediną osobą, która zauważyła obecność Kima, był młody pracownik administracyjny, zapewne student uniwersytetu.

— Jestem doktor Reggis — przedstawił się Kim. — Co tu się dzieje? — Zatoczył ręką po zebranych.

— Po prostu mają przerwę — odpowiedział chłopak. — Rannego w strzelaninie i tych z wypadku samochodowego zabrano już na chirurgię.

— Kto odpowiada za wieczorny dyżur na oddziale pierwszej pomocy medycznej? — zapytał Kim.

— Doktor David Washington — powiedział chłopak.

— Czy jest tutaj teraz?

Chłopak rozejrzał się dookoła, żeby się upewnić.

— Nie — odparł. — Nie ma go. Zdaje się, że wrócił już na ortopedię.

— A pielęgniarka oddziałowa albo przełożona?

— Nazywa się Nora Labat — rzekł chłopak. — Ma teraz jakiegoś pacjenta z psychiatrii.

— Rozumiem. Dziękuję.

Kim przeszedł obok kontuaru i znalazł się w samym środku stanowiska. Wyciągając w górę rękę, zawołał głośno:

— Przepraszam wszystkich! Proszę o uwagę!

Nikt nie spostrzegł ani Kima, ani jego gestu.

Przez następną chwilę Kim rozglądał się, próbując zatrzymać czyjeś spojrzenie, lecz okazało się to niemożliwe. Wówczas sięgnął po metalowy koszyk na dokumenty znajdujący się na blacie kontuaru. Na moment podniósł go wysoko nad głowę, myśląc, że może ktoś to zauważy. Mylił się.

Kim rąbnął koszykiem o plastikowy blat kontuaru. Uderzył nim jeszcze dwukrotnie, za każdym razem z coraz większą siłą, aż koszyk przybrał formę trójwymiarowego równoległoboku.

To przykuło uwagę wszystkich. Rozmowy urwały się w pół zdania. Stażyści, pielęgniarki i pielęgniarze wlepili wzrok w Kima. Strażnik, który przedtem stał przy windach, teraz nadbiegł, ściskając w rękę pęk kluczy przywieszonych do pasa.

Głos doprowadzonego do furii Kima drżał:

— Wiem, że wszyscy jesteście zapracowani, ale w tej chwili z całą pewnością nie wyglądacie na zapracowanych. Czekam tutaj z córką już dwie i pół godziny. Ponieważ sam jestem lekarzem, mój czas można by wykorzystać w bardziej wartościowy sposób.

— Pan pozwoli — odezwał się strażnik, chwytając Kima za ramię.

Ten wyrwał mu się i okręcił na pięcie.

— Nie dotykaj mnie — wychrypiał.

Strażnik przezornie cofnął się o parę kroków i wyjął krótkofalówkę. Kim był nie tylko wyższy od niego o pół stopy, ale również znacznie lepiej umięśniony.

— Nie ma potrzeby nikogo wzywać — oznajmił Kim. Wyciągnął swoją plakietkę identyfikacyjną i podsunął ją strażnikowi pod nos. — Pracuję tutaj, nawet jeśli nikt z oddziału pierwszej pomocy nie kwapi się do tego przyznać.

Strażnik zmrużył podejrzliwie oczy, patrząc na plakietkę Kima.

— Przepraszam, panie doktorze — powiedział.

— Nie ma sprawy — stwierdził Kim, panując nad głosem. Odwrócił się w stronę kontuaru. Monica Hoskins wysunęła się o krok do przodu.

— Chciałbym mówić z doktorem Davidem Washingtonem — powiedział Kim.

— Przepraszam, że musiał pan czekać — odezwała się Monica. — Robimy wszystko, co w naszej mocy.

— Mimo to chciałbym porozmawiać z szefem oddziału — rzekł Kim.

— W tej chwili doktor Washington bada pacjenta z odmą opłucnową — wyjaśniła Molly.

— Chcę się z nim widzieć. Natychmiast — oznajmił sucho Kim. — Jestem pewien, że co najmniej jeden stażysta umie zbadać odmę opłucnową.

— Chwileczkę — rzekła Monica.

Cofnęła się i tak, żeby Kim nie słyszał, naradziła się z Molly i z paroma innymi osobami. Nie upłynęła minuta, jak wróciła do Kima. Gdzieś z tyłu jedna z pielęgniarek, z którymi rozmawiała, podniosła telefon.

— Ktoś z administracji zaraz z panem pomówi — oświadczyła Monica.

— W samą porę — rzekł Kim.

Wybuch złości Kima zdenerwował personel, większość opuściła stanowisko pielęgniarek i zniknęła w głębi oddziału. Monica wzięła koszyk, który Kim powyginał, i próbowała przywrócić mu poprzedni kształt. Nie udało jej się.

Kimowi szybko biło serce. Nagłe poruszenie za jego plecami kazało mu się odwrócić. Pielęgniarze z pogotowia prowadzili jakąś zapłakaną nastolatkę. Oba nadgarstki miała obandażowane zakrwawionymi serwetkami — typowa próba samobójcza, która w wypadku tej młodej dziewczyny stanowiła rozpaczliwe wołanie o pomoc.

Kim patrzył wyczekująco, gdy nastolatkę wprowadzano na oddział pierwszej pomocy. W każdej chwili spodziewał się ujrzeć lekarza pełniącego dyżur. Zamiast tego ktoś klepnął go lekko w ramię.

Kim odwrócił się i zaskoczony zobaczył Tracy.

— Gdzie jest Becky? — spytał.

— W toalecie — odparła Tracy. — Tym razem to nic takiego, ale zaraz muszę wracać. Przyszłam tu tylko prosić cię, żebyś nie wpadał w swoją narcystyczną wściekłość. Kiedy wstałeś,

żeby tu przyjść, myślałam, że nic mnie to nie będzie obchodzić, czy dostaniesz furii czy nie, a jednak mnie obchodzi. Jestem przekonana, że to tylko pogorszy już i tak złą sytuację. Może nawet doprowadzić do tego, że Becky będzie musiała czekać jeszcze dłużej.

— Oszczędź mi tego psychologicznego bełkotu — wycodził Kim. — Wszystko, co zamierzam, jest rozsądne i celowe. Chcę porozmawiać z człowiekiem, który odpowiada za to, co się tutaj dzieje. Bo to jest nie do przyjęcia. Koniec i kropka.

— Spróbuj panować nad sobą — odparła Tracy lodowatym tonem. — Kiedy skończysz, wiesz, gdzie nas szukać. — Odwróciła się i odeszła w stronę poczekalni.

Kim niecierpliwie bębnił palcami po blacie kontuaru. Po jakimś czasie spojrzął na zegarek. Minęło następne pięć minut. Jeszcze raz wychylił się i zajrzał w głąb korytarza prowadzącego na oddział. Zobaczył mnóstwo ludzi, ale nikt nie zbliżał się w jego stronę. Dostrzegł młodego chłopaka, z którym wcześniej rozmawiał, ten jednak szybko się odwrócił. Reszta personelu unikała jego wzroku, czym prędzej skupiając się na papierkowej robocie.

Przytłumiony brzęk obwieścił przyjazd windy. Kim spojrzął w tę stronę i zobaczył krzepkiego mężczyznę w staromodnym szarym garniturze. Ku zaskoczeniu Kima, tamten podszedł prosto do niego.

— Doktor Reggis? — zapytał. Jego głos był silny i władczy.

— To ja — potwierdził Kim.

— Nazywam się Barclay Bradford — powiedział oschłym głosem mężczyzna. — Jestem wicedyrektorem szpitala i kierownikiem administracyjnym wieczornej zmiany.

— Dobrze się składa — rzekł Kim. — Radzę panu pójść na oddział pierwszej pomocy, znaleźć tego dupka, który ma teraz dyżur, i przytargać go tutaj. Ja i on mamy sobie coś do powiedzenia. Widzi pan, czekam już dwie i pół godziny na to, żeby ktoś zbadał moją córkę.

— Doktorze Reggis — odpowiedział Barclay, jakby nie usłyszał Kima. — Jako lekarz, i to chirurg, pan przede wszystkim powinien wiedzieć, że na oddziale pierwszej pomocy medycznej niezbędna jest selekcja chorych. Tam, gdzie w grę wchodzi zagrożenie życia, zwykła dziecięca biegunka musi zejść na drugi plan.

— Oczywiście, że to rozumiem — zripostował Kim. — Pracowałem na tym oddziale przez cały staż. Ale coś panu powiem: kiedy byłem tu dziesięć minut temu, ujrzałem tuzin osób z personelu, które zajęte były popijaniem kawki i pogaduszkami.

— Pozory mogą mylić — odparł protekcyjnie Barclay. Zatrzepotał rękami. — Prawdopodobnie naradzali się akurat w szczególnie trudnych sprawach. Tak czy inaczej, pana dziecięce zachowanie polegające na rozbiciu koszyka na dokumenty nie może być tolerowane. To całkowicie niedopuszczalne, aby żądał pan dla siebie specjalnego traktowania.

— Specjalnego traktowania! — wybuchnął Kim. — Dziecinne zachowanie! — Jego twarz nabiegła krwią, a oczy rozszerzyły się. Stojący przed nim administrator stał się nagle uosobieniem przyczyn jego frustracji, na które składały się problemy na oddziale pierwszej pomocy, przejęcie szpitala przez AmeriCare i ogólny stan współczesnej medycyny. Ulegając nagłemu impulsowi i tracąc resztki panowania nad sobą, Kim siarczyście zdzielił administratora w pod-

bródek. Potrząsnął ręką i chwycił się za nadgarstek, czując nagły ból. Tymczasem Barclay zachwiał się na nogach, zatoczył i runął ciężko na podłogę. Kim, oszołomiony swoją gwałtowną reakcją, zrobił krok do przodu i spojrzał na Barclaya; miał ochotę pomóc mu wstać.

Cały personel za kontuarem wstrzymał oddech. Nadbiegł strażnik. Młody pracownik administracyjny rzucił się do interkomu, żeby obwieścić alarm na stanowisku pielęgniarek.

Z oddziału wysypali się stażyści, pielęgniarki i pielęgniarze. Pojawiła się nawet Tracy. Wokół Kima i Barclaya gromadził się tłum. Wicedyrektor szpitala zdołał jakoś pozbierać się z podłogi i usiąść. Dotknął ręką ust. Miał rozbitą wargę.

— Do diabła, Kim! — zawołała Tracy. — Ostrzegałam cię!

— To niedopuszczalne — stwierdziła Monica i odwróciła się do młodego pracownika. — Wezwij policję!

— Stać, nikogo nie wzywać! — krzyknął ktoś niskim, tubalnym głosem.

Tłum rozstąpił się. Pojawił się potężnie zbudowany, przystojny Murzyn. Zdjął lateksowe rękawiczki i wszedł na środek kręgu utworzonego przez gapiów. Jego plakietka przypięta do kitla głosiła: Dr David Washington, szef oddziału pierwszej pomocy medycznej. Przesunął wzrok z Kima na Barclaya.

— Co się tu dzieje? — zapytał.

— Pan Bradford został przed chwilą uderzony przez tego człowieka — powiedziała Monica, wskazując ręką Kima. — A stało się to po tym, jak on zniszczył koszyk na listy, waląc nim o kontuar.

— Aż trudno uwierzyć, że jest lekarzem w tym szpitalu — dodała Molly.

Dawid wyciągnął rękę i postawił Barclaya na nogi. Przyjrzał się jego rozbitej wardze i zbadał mu szczękę.

— Dobrze się pan czuje? — zapytał administratora.

— Chyba tak — odpowiedział Barclay. Wyjął chusteczkę i przyłożył ją do krwawiących ust. Dawid odwrócił się do Monicy.

— Zabierz pana Bradforda i oczyść mu ranę. I niech obejrzy go doktor Krugger, może trzeba będzie zrobić mu prześwietlenie.

— Jasne — rzekła Monica. Wzięła Barclaya pod ramię i przeprowadziła go przez tłum.

Barclay spojrzał z wyrzutem na Kima, zanim pozwolił się odprowadzić.

— Reszta z powrotem do pracy — polecił David i machnął ręką. Następnie odwrócił się do Kima, który zdążył już nieco ochłonąć.

— Jak się pan nazywa? — spytał go David.

— Doktor Kim Reggis.

— Naprawdę pan uderzył pana Bradforda? — zapytał niedowierzająco David.

— Obawiam się, że tak.

— Co pana, u diabła, sprowokowało?

Kim wziął głęboki oddech.

— Ten bałwan oskarżył mnie bezczelnie o żądanie specjalnych względów dla mojego chorego dziecka, które czeka na przyjęcie od dwóch i pół godziny.

David przez moment przyglądał się Kimowi. Był zaskoczony takim zachowaniem kolegi po fachu.

— Jak się nazywa pana dziecko? — zapytał.

— Rebecca Reggis.

David odwrócił się do młodego pracownika administracyjnego i poprosił go o kartę Becky. Tamten zaczął jej szukać w pliku papierów.

— Czy naprawdę jest pan zatrudniony w Uniwersyteckim Centrum Medycznym? — zapytał David, czekając na kartę.

— Od czasu przejęcia przez AmeriCare. Jestem jednym z kardiochirurgów, choć nie da się tego poznać po sposobie, w jaki się mnie tutaj traktuje.

— Staramy się, jak możemy — powiedział David.

— Tak, słyszałem to już dzisiaj kilka razy — odparł Kim.

David znowu spojrzał mu w oczy.

— Wie pan, powinien się pan wstydzić — stwierdził. — Bicie ludzi, niszczenie przedmiotów! Zachowuje się pan jak rozkapryszony nastolatek.

— Idź pan do cholery! — rzucił Kim.

— Na razie złożę tę uwagę na karb zdenerwowania.

— Niech pan oszczędzi sobie tego protekcyjnego tonu.

— Proszę — powiedział pracownik, wręczając kartę rejestracyjną Dawidowi.

Dawid zerknął na nią, potem na zegarek.

— Przynajmniej ma pan rację, jeśli chodzi o czas. Minęły prawie trzy godziny. Z pewnością nie usprawiedliwia to pańskiego zachowania, ale rzeczywiście czeka pan zbyt długo.

Dawid spojrzał na Tracy.

— Pani jest żoną pana Reggisa? — spytał.

— Jestem matką Rebecki Reggis — odpowiedziała.

— Proszę przyprowadzić tutaj tę młodą damę. Osobiście dopilnuję, żeby natychmiast została zbadana.

— Dziękuję panu — powiedziała Tracy i pobiegła do poczekalni.

Dawid wszedł za kontuar i wziął tabliczkę z kartami pacjentów. Skorzystał też z interkomu, aby przywołać pielęgniarkę. Kiedy wyszedł, Tracy już wróciła, trzymając Becky za rękę. Chwilę później zjawiała się pielęgniarka. Plakietka identyfikacyjna przedstawiała ją jako Nicole Michaels.

— Jak się czujesz, młoda damo? — zapytał Dawid.

— Niezbyt dobrze — stwierdziła Becky. — Chcę iść do domu.

— Wiem, że chcesz. Ale najpierw cię zbadamy. Teraz pójdiesz z Nicole, dobrze? Umieści cię w sali.

Tracy, Becky i Kim ruszyli do przodu. Doktor Washington wyciągnął rękę i zatrzymał Kima.

— Wolałbym, żeby zaczekał pan tutaj, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu — oznajmił.

— Idę z córką — oświadczył Kim.

— Nie — zaproponował Dawid. — Udowodnił już pan, że nie panuje nad sobą. Zachowuje się pan jak obudzony wulkan.

Kim zawahał się. Chociaż nie chciał się do tego przyznać, Dawid miał jednak słuszość. Mimo wszystko było to dość drażliwe i poniżające.

— Proszę, panie doktorze — powiedział Dawid. — Z pewnością pan rozumie.

Kim powiódł wzrokiem za oddalającą się Becky. Spojrzał ponownie na Dawida, na którym jego postura nie robiła najmniejszego wrażenia.

— Ale... — zaczął Kim.

— Żadnych „ale” — uciął Dawid. — Niech pan nie każe mi wzywać policji, a zapewniam, że zrobię to, jeśli pan nie posłucha.

Kim niechętnie odwrócił się i poszedł do poczekalni. Nie było tam wolnych miejsc, więc oparł się o ścianę obok wejścia. Próbował oglądać telewizję, ale nie mógł się skupić. Uniósł przed oczy ręce i spojrzał na nie; drżały.

Pół godziny później Tracy i Becky wyłoniły się z oddziału. Tylko przypadkowi Kim zawdzięczał, że zobaczył je w momencie, gdy otwierały drzwi wyjściowe. Wychodziły ze szpitala, nie próbując go nawet odszukać.

Prędko zabrał swój płaszcz i rękawiczki i pospieszył za nimi. Kiedy dobiegł do nich, Tracy pomagała właśnie Becky wsiąść do samochodu.

— Co wy robicie?! — zawołał Kim. — Udajecie, że mnie nie ma?

Tracy nie odpowiedziała. Zamknęła drzwi za Becky i obeszła samochód, aby wsiąść na miejsce kierowcy.

Kim ruszył za nią i położył rękę na drzwiach.

— Proszę, nie sprawiaj dodatkowych kłopotów — powiedziała. — Dostyc musiałyśmy się obie za ciebie dzisiaj wstydzić.

Zaskoczony tą nową, niespodziewaną zniewagą, Kim cofnął rękę. Tracy wsiadła do samochodu. Wyciągnęła rękę, żeby zamknąć drzwi, ale nie zrobiła tego. Spojrzała na twarz zdumionego i urażonego Kima.

— Jedź do domu i prześpij się trochę — powiedziała. — Bo my właśnie to mamy zamiar zrobić.

— Jak było w szpitalu? — zapytał Kim. — Co powiedzieli?

— Niewiele. Najwyraźniej liczba jej krwinek i elektrolity czy coś takiego są dobre. Mam dawać jej rosół i inne płyny i odstawić wszelkie produkty mleczne.

— To wszystko? — zapytał Kim.

— Tak — potwierdziła Tracy. — Nawiasem mówiąc, powiedzieli też, że winowajcą mógł być kurczak Ginger. Ostatnio dużo jest zatruc drobiem.

— Nie — zaprzeczył ostro Kim. — To niemożliwe! Zapytaj Becky! Czują się źle, jeszcze zanim zjadła kurczaka. — Kim pochylił się, aby porozmawiać bezpośrednio z córką. — Mam rację, misiaczku?

— Chcę do domu — rzekła Becky, patrząc w dal przez przednią szybę.

— Dobranoc, Kim — powiedziała Tracy. Zatrasnęła drzwi, włączyła silnik i odjechała.

Kim patrzył za nimi, póki samochód nie zniknął za rogiem szpitala. Dopiero wtedy ruszył wolno w stronę parkingu dla lekarzy. Czuł się samotny, bardziej samotny niż kiedykolwiek w swoim życiu.

Rozdział 7

Wtorek, 20 stycznia

Drzwi sali operacyjnej otworzyły się z rozmachem — Kim i Tom weszli do umywalni przed salą operacyjną numer dwadzieścia. Rozwiązali maski chirurgiczne, pozwalając im opaść na piersi. Potem obmyli ręce z talku.

— Dzięki za szybką pomoc — odezwał się Tom.

— Nie ma sprawy — odrzekł drewnianym głosem Kim.

Obydwaj ruszyli korytarzem w kierunku sali pooperacyjnej.

— Wydajesz się strasznie przybity — stwierdził Tom. — Co się stało? Zadzwoił do ciebie księgowy i powiedział, że masz dopłacić do kolejnych kosztów ubezpieczenia?

Kim nawet się nie roześmiał. W ogóle nie odpowiedział.

— Wszystko w porządku u ciebie? — zapytał Tom, poważniejąc.

— Chyba tak — odrzekł beznamiętnie Kim. — Po prostu mnóstwo kłopotów na głowie. — Opowiedział Tomowi o wszystkim, co zaszło na oddziale pierwszej pomocy medycznej poprzedniego wieczoru.

— Rety! — zawołał Tom, gdy Kim skończył. — Cóż za okropne przeżycie! Ale nie wyrzucaj sobie, że przyłożyłeś takiemu typowi jak Bradford. Ja sam miałem z nim drobny zatarg. Administracyjni! Wiesz, przeczytałem wczoraj w gazecie, że w Stanach Zjednoczonych przypada jeden pracownik administracji na półtora lekarza albo pielęgniarki. Nie do wiary, co?

— Nie dla mnie. To głównie dlatego koszty leczenia są takie wysokie.

— I to była kwintesencja tego artykułu — dodał Tom. — Mimo to doskonale rozumiem, dlaczego rąbnąłeś Bradforda. Gdybym był na twoim miejscu, też robiliby sobie ze mnie jaja. Trzy godziny! Do diabła, stłukłbym go na kwaśne jabłko.

— Dzięki, Tom. Jestem wdzięczny, że stoisz po mojej stronie. Ale najgorsze w tym wszystkim jest to, że po tym całym czekaniu i tylu kłopotach, nie miałem nawet okazji porozmawiać z lekarzem, który zbadał Becky.

— Jak ona się dzisiaj czuje?

— Jeszcze nie wiem — odparł Kim. — Kiedy się obudziłem, uznałem, że jest zbyt wcześnie na telefon, a Tracy do mnie nie zadzwoniła. Ale powinna już czuć się lepiej. Badanie krwi wypadło dobrze i nie miała gorączki.

— Doktorze Reggis! — dobiegł ich głos.

Kim odwrócił się i ujrzał, że Deborah Silverman, przełożona pielęgniarek na oddziale operacyjnym, przywołuje go gestem ręki. Kim zawrócił i podszedł do niej.

— Telefonował doktor Biddle, kiedy pan operował — oznajmiła Deborah. — Zostawił wiadomość, że ma pan zajrzeć do jego biura zaraz po operacji.

Kim wziął karteczkę z wiadomością. Była opatrzona wieloma wykrzyknikami. Wyglądało to na coś poważnego.

— Ojoj! — skwitował Tom, patrząc Kimowi przez ramię. — Zdaje się, że szef zamierza dołożyć ci jeszcze kłopotów.

Kim i Tom rozstali się przed drzwiami sali pooperacyjnej. Kim udał się do pokoju dla chirurgów. Mimo pośpiechu, jaki nakazywała mu wiadomość od Forrestera Biddle'a, Kim nie bardzo się spieszył. Nietrudno było zgadnąć, dlaczego Forrester chce się z nim widzieć. Problem polegał na tym, że sam Kim nie był pewien, czy rozumie własne zachowanie.

Wziął prysznic i ponownie przemyślał wczorajsze wydarzenia. Nie doznał nagłego oświecenia, doszedł jedynie do wniosku, że był niepotrzebnie zestresowany. Ubrawszy się w czysty komplet, Kim zadzwonił z publicznego telefonu do swego gabinetu, aby ustalić z Ginger plan zajęć na popołudnie. Dopiero wtedy poszedł do biura swego przełożonego w administracyjnym skrzydle budynku.

Doktor Forrester Biddle stanowił uosobienie nowoangielskiego konserwatysty. Przypominał chudego purytańskiego kaznodzieję, miał też odpowiednio zgryźliwy charakter. Jego jedyną zaletą było to, iż zaliczał się do świetnych chirurgów.

— Proszę wejść i zamknąć drzwi — powiedział Forrester, gdy Kim wszedł do jego ciasnego, wypełnionego periodykami biura. — Niech pan siada.

Kim usiadł. Forrester kazał mu czekać, aż dokończy wypisywanie jakichś papierów. Kim zlustrował w tym czasie pokój. Stwierdził, że jako kierownik miał o wiele lepsze biuro w szpitalu Dobrego Samarytanina.

Forrester złożył zamaszty podpis i rzucił pióro na blat biurka, co zabrzmiało jak odległy odgłos wystrzału.

— Przejdę od razu do rzeczy — oświadczył, przybierając bardziej surowy wyraz twarzy niż zazwyczaj. — Pana wczorajsze zachowanie przynosi wstyd nie tylko temu oddziałowi, ale i całemu personelowi szpitala.

— Moja córka cierpiała — powiedział zwyczajnie Kim. Było to wyjaśnienie, nie zaś usprawiedliwienie. Nie miał zamiaru sprawiać wrażenia, że jest pełen skruchy.

— Nie ma wytłumaczenia dla przemocy — stwierdził Forrester. — Pan Bradford zastanawia się, czy nie wnieść sprawy do sądu, a ja wcale bym go za to nie winił.

— Jeśli ktoś powinien tu stanąć przed sądem, to AmeriCare — odparł Kim. — Czekałem ponad trzy godziny wyłącznie dlatego, że AmeriCare chce osiągnąć jak największe zyski.

— Atak na kierownika administracyjnego to marny sposób wyrażenia społecznej krytyki — powiedział Forrester. — Równie marny, dodałbym, jak bezpośrednie zwracanie się do mediów. Nie zamierzałem komentować pana wypowiedzi udzielonej Kelly Anderson w piątkowych wia-

domościach, dopóki nie zdarzył się ten niewybaczalny incydent z pobiciem. Publiczne wypowiedzi, że powodem fuzji Uniwersyteckiego Centrum Medycznego i szpitala Dobrego Samarytanina jest przysporzenie zysków AmeriCare, godzi w reputację tego szpitala.

Kim wstał. To spotkanie nie miało być dialogiem, Kim zaś nie zamierzał siedzieć tutaj jak uczeń i wysłuchiwać nagan.

— Jeśli to wszystko, chciałbym wrócić do pacjentów.

Forrester odsunął swoje krzesło i również się podniósł.

— Myślę, że powinien pan wiedzieć, doktorze Reggis — oznajmił — że jeszcze przed fuzją rozważaliśmy na wydziale zatrudnienie, na pełny etat i z pełnym wynagrodzeniem, chirurga specjalizującego się w wymianie zastawek serca. Pańskie niedawne zachowanie skłania nas do zmiany tej decyzji.

Kim odwrócił się i wyszedł bez odpowiedzi. Nie zamierzał ujawniać swego zdania. W gruncie rzeczy groźba Forrestera trafiła w pustkę; Kima wielokrotnie chciano zwerbować do wielu prestiżowych szpitali w całym kraju. Jediną przyczyną, dla której wciąż pracował w Uniwersyteckim Centrum Medycznym, była opieka nad Becky i fakt, że Tracy nie mogła wyjechać ze względu na egzaminy w college'u.

Kim znowu był zły. Wydawało się, że ostatnio stale jest zły. Wychodząc szybkim krokiem z administracyjnej części szpitala, niemal zderzył się z Kelly Anderson i jej operatorem Briannem.

— Ach! — zapiszczała Kelly z zachwytem. — Doktor Reggis! Człowiek, którego miałam nadzieję spotkać.

Kim rzucił dziennikarce nienawistne spojrzenie i szybko ruszył korytarzem. Kelly odwróciła się i pobięła za nim. Brian dotrzymywał im kroku, mimo że dźwigał ciężki sprzęt.

— Dobry Boże, doktorze Reggis — wysapała Kelly. — Trenuje pan przed maratonem? Niech pan zwolni. Chciałabym z panem pomówić.

— Nie mam zamiaru z panią rozmawiać — oznajmił Kim.

— Ale ja chcę wysłuchać pańskiego zdania o wczorajszym incydencie na oddziale pierwszej pomocy medycznej.

Kim zatrzymał się tak nagle, że Brian wpadł na niego. Operator zaczął wylewnie przeproszać, lecz Kim zignorował go i zaskoczony popatrzył na Kelly.

— Jakim cudem dowiedziała się pani o tym tak prędko?

— Zaskoczony, co? — odpowiedziała dziennikarka z chytrym uśmieszkiem zadowolenia. — Oczywiście rozumie pan, że nie mogę ujawniać moich źródeł. Widzi pan, robię tyle reportaży związanych z medycyną, że utworzyłam w centrum medycznym coś w rodzaju piątej kolumny. Byłby pan zaskoczony plotkami, które do mnie docierają. Niestety, zazwyczaj dotyczą spraw prozaicznych, w rodzaju kto z kim poszedł do łóżka. Raz po raz jednak trafia mi się prawdziwy rarytas — na przykład wczorajszy incydent z pana udziałem. Kardiochirurg powala na deski wicedyrektora: to jest wiadomość!

— Nie mam pani nic do powiedzenia — stwierdził Kim, ruszając przed siebie.

Kelly podbiegła do niego.

— A ja myślę, że pan ma — rzekła. — Trzygodzinne czekanie na przyjęcie chorego dziecka musiało być dla pana wielką przykrością, o której chciałabym z panem pomówić.

— Przykro mi — rzekł Kim. — Właśnie przed chwilą dostałem reprimendę za moją ostatnią wypowiedź. Nie rozmawiam z panią.

— Zatem administracja nienawidzi prawdy — skomentowała Kelly. — Samo w sobie to interesujące.

— Nie rozmawiam z panią — powtórzył Kim. — Niech się pani nie wysila.

— No, co jest z panem? — spytała Kelly. — To, że musiał pan czekać trzy godziny na uzyskanie pomocy w szpitalu, spotka się ze zrozumieniem moich widzów, a pikanterii dodaje fakt, że jest pan lekarzem. Nie musimy nawet wspominać o awanturze i pobiciu, jeśli pan nie chce.

— Jasne. Jakbym mógł pani ufać.

— Może pan — zapewniła. — Widzi pan, ja uważam, że pańskie długie czekanie ma związek z przejęciem szpitala. Jestem przekonana, że wiąże się w pewien sposób z polityką Ameri-Care maksymalizowania zysków. Co pan o tym sądzi?

Kim, idąc, spojrział na Kelly. Jej jasne, błękitnozielone oczy rozbłysły. Kim musiał przyznać, że choć niemiłosiernie mu się naprzykrza, jest bystra i inteligentna.

— To pani powiedziała, nie ja — podkreślił Kim. — Żadnych wypowiedzi. Moje życie jest teraz wystarczająco zakręcone i nie mam ochoty go bardziej komplikować. Żegnam, panno Anderson.

Kim przeszedł przez podwójne drzwi wahadłowe prowadzące do sal operacyjnych. Kelly zatrzymała się, co sprawiło Brianowi prawdziwą ulgę. Oboje ledwo łapali oddech.

— No cóż, próbowaliśmy — stwierdziła Kelly. — Szkoda, bo tym razem szczerze mu współczuję. Miesiąc temu musiałam czekać prawie tak samo długo z moją córką.

* * *

Kim wszedł do budynku, w którym mieścił się jego gabinet, tylnym wejściem. Dzięki temu mógł dostać się do swego gabinetu bez konieczności przechodzenia przez poczekalnię. Z trudem wyplątał się z marynarki, a następnie podniósł słuchawkę telefonu i połączył się z Ginger.

— Wróciłem — powiedział. Przyciskając słuchawkę ramieniem do ucha, podszedł do szafy w ścianie. Kabel telefoniczny był dostatecznie długi.

— W poczekalni masz pełno pacjentów — poinformowała Ginger. — Przez to nagle wezwanie od Toma jesteś spóźniony o jakieś dwie godziny.

— Były jakieś ważne telefony? — zapytał Kim. Zdołał powiesić marynarkę i chwycić krótki, biały lekarski kaftan.

— Nic, co nie mogłoby zaczekać.

— Tracy dzwoniła?

— Nie — rzekła Ginger.

— Okay, niech Cheryl poprosi pacjenta do pokoju badań — polecił Kim.

Włożył biały kaftan, zebrał długopisy oraz inne przedmioty, które nosił w kieszeniach, i wykręcił numer do Tracy. Czekając na połączenie, zawiesił na szyi słuchawki.

Tracy zgłosiła się już po pierwszym sygnale, jakby stała blisko telefonu.

— No, jak się czuje pacjentka? — zapytał Kim. Starał się nadać głosowi wesoły ton.

— Niewiele się zmieniło — powiedziała Tracy.

— Ma temperaturę?

— Nie.

— A skurcze?

— Tak — potwierdziła Tracy. — Ale udało mi się namówić ją na trochę rosołu.

Kim świerzbił język, aby powiedzieć, że Ginger próbowała namówić Becky do zjedzenia rosołu w niedzielę, ale się powstrzymał. Zamiast tego stwierdził:

— Wygląda na to, że robicie postępy. Założę się, że niebawem Becky poczuje się lepiej.

— Mam taką nadzieję.

— Nie ma wątpliwości — orzekł Kim. — Nie ma gorączki i liczba białych ciałek krwi jest w normie, więc organizm najwyraźniej uporał się z infekcją. Ale informuj mnie o wszystkim, okay?

— Dobrze — odparła Tracy. Po chwili dodała: — Przepraszam, jeśli byłam niemiła wczoraj wieczorem.

— Nie musisz przeproszać.

— Powiedziała kilka przykrych słów — mówiła Tracy. — Byłam okropnie zdenerwowana.

— Proszę — powiedział Kim. — To ja przeholowałam, nie ty.

— Zadzwoń, jeśli coś się zmieni — obiecała Tracy.

— Będę albo tutaj, albo w domu.

Kim odłożył słuchawkę. Po raz pierwszy w ciągu tego dnia poczuł względne zadowolenie. Wyszedłszy na korytarz, uśmiechnął się do Cheryl i odebrał od niej kartę pierwszego pacjenta.

* * *

Kiedy przed drzwiami garażu Kim zgasił światła samochodu, ogarnęły go całkowite ciemności. Była dopiero ósma wieczorem, ale równie dobrze mogła być już północ. Księżyc nie świecił, a niebo rozświetlała jedynie słaba luna na zachodnim horyzoncie, gdzie światła miasta odbijały się od niskiej warstwy chmur. Dom był tak ciemny, że wydawał się skalną bryłą.

Kim otworzył drzwi samochodu i zapaliły się wewnętrzne lampki. Dzięki temu mógł zabrać pudełka z chińskim jedzeniem na wynos, które kupił, wracając do domu. Ostatni pacjent wyszedł z gabinetu o dziewiętnastej piętnaście.

Trzymając w rękach jedzenie i dokumenty, z którymi miał nadzieję się uporać tego wieczoru, ruszył podjazdem w kierunku frontowych drzwi. Musiał iść po omacku, ścieżką wytyczoną kamieniami. Panował tak głęboki mrok, że trudno było uwierzyć, iż latem o tej porze słońce jeszcze świeciłoby na niebie.

Zanim Kim doszedł do drzwi, usłyszał dzwonek telefonu brzęczący natarczywie w ciemności. Nie wiedząc czemu, poczuł przyływ strachu. Wyciągając klucze, upuścił trzymane papiery. Potem nie mógł znaleźć właściwego klucza, co zmusiło go do położenia pudełek z jedzeniem, żeby uwolnić obie ręce. W końcu otworzył drzwi i wpadł do środka.

Zapalił światło w przedpokoju, wbiegł do przypominającego pieczarę, pustego salonu i podniósł słuchawkę. Nagle wystraszył się, że ten, kto dzwoni, rozłączy się, zanim on odbierze telefon. Ale tak się nie stało. Dzwoniła Tracy.

— Pogorszyło jej się — rzuciła natychmiast. Było słychać, że jest zrozpaczona i bliska łez.

— Co się stało? — zapytał Kim, czując, jak serce bije mu w piersi.

— Miała krwotok — krzyknęła Tracy. — Cała łazienka jest we krwi.

— Czy jest przytomna? — zapytał szybko Kim.

— Tak — odparła Tracy. — Becky jest spokojniejsza niż ja. Teraz leży.

— Może chodzić? — spytał Kim. — Nie ma zawrotów głowy?

— Tak, może chodzić — potwierdziła Tracy, odzyskując panowanie nad sobą. — Cieszę się, że odebrałeś telefon. Chciałam już dzwonić na pogotowie.

— Weź ją do samochodu i jedziemy do szpitala — rzucił. — Pod warunkiem że dasz radę prowadzić. Inaczej zadzwonimy po pogotowie.

— Ja pojedę — rzekła Tracy.

— Spotkamy się w szpitalu — zakończył Kim i odwiesił słuchawkę. Potem pobiegł do biblioteki i otworzył środkową szufladę biurka. Gorączkowo przerzucał jej zawartość, szukając notatnika z adresami. Gdy go znalazł, otworzył go na literze G i wiodąc palcem wzdłuż kolumny, doszedł do George'a Turnera. Wyjął swój telefon komórkowy, wystukał numer Turnera i czekał na połączenie. Z telefonem przy uchu ruszył z powrotem do samochodu. Przeszapił pudełka z chińszczyzną i rozsypane dokumenty i pozostawił je na wycieraczkę.

Otwierając drzwi samochodu, usłyszał w aparacie głos pani Turner. Bez wstępnych uprzejmości zapytał, czy może mówić z George'em. Kiedy George Turner podszedł do telefonu, Kim wyjeżdżał już z podjazdu.

— Przepraszam, że ci zawracam głowę — odezwał się Kim.

— Nie ma sprawy — odparł George. — Co się stało? Mam nadzieję, że nic.

— Obawiam się, że tak. To znaczy nie ma żadnego trzęsienia ziemi. Po prostu Becky jest ciągle chora i ma objawy podobne do dezynterii: skurcze, biegunka i krwawienie, ale bez gorączki.

— Przykro mi to słyszeć — stwierdził George.

— Nie byliśmy u innego pediatry, odkąd wyjechałeś — wyjaśnił Kim z poczuciem winy. — A wszyscy, których znam, włącznie z tobą, wyprowadzili się. Wczoraj wieczorem zabraliśmy Becky do Uniwersyteckiego Centrum Medycznego, ale skończyło się na trzygodzinnym czekaniu.

— Boże! To okropne — powiedział George.

— Jestem zakłopotany, ale muszę wyznać, że z tego powodu znokautowałem jednego z administratorów AmeriCare — ciągnął Kim. — Tak czy inaczej Becky odesłano do domu z niczym. Nie dali jej żadnych lekarstw. Tracy przed chwilą zadzwoniła do mnie, że Becky miała krwotok. Nie wiem, jak poważny, ale Tracy dostała hysterii. Jadę się z nią spotkać na oddziale pierwszej pomocy medycznej. Który lekarz powinien zbadać Becky?

— Hmm — zastanowił się George. — Nie sądzę, aby to miał być pediatra. Raczej zalecałbym specjalistę od chorób zakaźnych albo gastroenterologa.

— Dobrze, ale kto? — zapytał Kim. — Którego byś polecił? Lekarze, których ja znam, rzadko badają dzieci.

— Jest mnóstwo wspaniałych ludzi — powiedział George. — Na początek poleciłbym ci faceta od chorób zakaźnych. Spróbuj znaleźć Claude'a Faradaya. Nie ma lepszych od niego.

— Dzięki, George — rzekł Kim.

— Proszę bardzo. Przykro mi, że nie ma mnie w pobliżu.

— Mnie również.

— Zadzwon do mnie potem — poprosił George.

— Zadzwonię.

Kim rozłączył się, po czym wdusił przycisk z zakodowanym numerem szpitala. Operator w szpitalu połączył go z Claude'em Faradayem; na szczęście tamten był w domu.

Kim wyjaśnił mu sytuację podobnie jak George'owi. Claude wysłuchał go, zadał parę pytań i zgodził się natychmiast przyjechać na oddział pierwszej pomocy medycznej.

Kim skręcił na teren szpitala. Tym razem pojechał prosto na parking dla karettek. Rozejrzył się za volvo Tracy, lecz nigdzie go nie zauważył, wszedł więc na schody prowadzące do izby przyjęć i pchnął drzwi.

Wydawało mu się, że w środku jest tak samo dużo ludzi jak poprzedniej nocy, chociaż dostrzegł parę wolnych krzeseł w poczekalni. Minał rejestrację i ruszył w stronę stanowiska pielęgniarek. Dochodząc do niego, zobaczył Molly i Monicę. Wymieniły między sobą nerwowe spojrzenia.

— Czy rejestrowano tu dzisiaj moją córkę? — zapytał Kim.

— Ja jej nie widziałam — odrzekła Molly. Wydawała się zarazem uprzejma i odrobinę zaniepokojona.

— Ani ja — dodała Monica.

— Czy ma znowu tu przyjechać? — spytała Molly.

Kim nie odpowiedział. Oddalił się od kontuaru i skierował wprost na oddział.

— Halo, co pan robi? — zawołała Molly. Zamierzała zagrozić Kimowi drogę, tak jak zrobiła to poprzedniego wieczoru, ale on był szybszy. Pobiegnęła za nim.

Monica pstryknęła palcami, aby ściągnąć uwagę strażnika. Kiedy ten zauważył jej znaki, wskazała rozpaczliwie za znikającą postacią Kima. Strażnik skinął głową i także ruszył za nim. Maszerując, wyjął krótkofalówkę z pochewki przy pasie.

Kim przeszedł przez pierwsze pomieszczenie, wtykając głowę do każdej z oddzielonych parawanami salek. Molly zrównała się z nim.

— Co pan znowu wyprawia? — zapytała ostro.

Kim zignorował ją, mimo że dołączył do niej strażnik. Oboje prawie deptali mu po piętach.

— Co mam zrobić? — spytał strażnik Molly. — To przecież lekarz.

— Nie mam zielonego pojęcia — odpowiedziała Molly.

Kim sprawdził wszystkie salki po jednej stronie i zaczął zaglądać do tych po drugiej. Wreszcie znalazł Dawida Washingtona; ten zakładał właśnie szwy na rękę dziecka. Pomagała mu pielęgniarka. Dawid, który nosił okulary plus dwa, spojrzał znad nich na Kima.

— Jedzie tu moja córka — oznajmił Kim. — Tym razem krwawi naprawdę.

— Przykro mi to słyszeć — powiedział Dawid. — Jakie ma ciśnienie krwi i tętno?

— Tego nie wiem — odparł Kim. — Wiezie ją moja była żona. Nie zdążyłem jej zbadać.

Z uniesionymi w górę rękoma w sterylnych rękawiczkach Dawid zwrócił się do Molly, prosząc ją, żeby przygotowała salę z wózkiem reanimacyjnym i środkiem osoczozastępczym w razie, gdyby były potrzebne. Molly skinęła głową i zniknęła.

— Żądam, by córkę zbadano niezwłocznie — zażądał Kim. — I chcę, aby obejrzał ją specjalista od chorób zakaźnych.

— Doktorze Reggis. Spróbujmy się traktować po przyjacielsku. Tak się składa, że to ja odpowiadam za ten oddział — rzekł Dawid.

— Przed chwilą rozmawiałem z doktorem Faradayem — odrzekł Kim, jakby nie słyszał tego, co powiedział Dawid. — Już tutaj jedzie. Zna go pan, jak sądzę?

— Oczywiście, że go znam — odparł Dawid. — Nie o to chodzi. Obowiązuje nas zasada, że konsultację zarządzamy wtedy, gdy pacjent nie ma swojego lekarza prowadzącego. AmeriCare jest pod tym względem bardzo rygorystyczne.

— Chcę, żeby zbadał ją doktor Faraday — Kim obstawał przy swoim.

— W porządku — rzekł David. — Ale przynajmniej niech pan zrozumie, że wyświadczamy panu przysługę. Zazwyczaj inaczej to wygląda.

— Dziękuję panu. — Kim odwrócił się i wyszedł z pomieszczenia. Zlustrował izbę przyjęć i nadal nie widząc Tracy i Becky, wyszedł na rampę dla karettek. Stał tam i czekał tak jak poprzedniego dnia.

Nie musiał czekać zbyt długo. Po kilku minutach pojawiło się volvo i podjechało prawie pod samą rampę. Kim zeskoczył z niej i znalazł się przy tylnych drzwiach samochodu, zanim jeszcze Tracy nacisnęła hamulec.

Kim otworzył drzwi i pochylił się. Becky leżała na boku na tylnym siedzeniu. Kim widział jej twarz w świetle reflektorów umieszczonych na platformie. Mimo że była blada, uśmiechnęła się do niego; poczuł ulgę.

— Jak się czujesz, misiaczku?

— Już lepiej — powiedziała Becky. — Skurcze minęły.

— Cieszę się — rzekł Kim. — Chodź, zaniosę cię.

— Mogę pójść sama — odparła Becky.

— Mimo to zaniosę cię — powtórzył Kim.

Jedną rękę wsunął pod jej kolana, a drugą objął tułów. Podniósł ją. Becky zarzuciła mu rękę na szyję i wtuliła twarz pod jego podbródek.

— Okay — powiedział kojąco Kim. — Tatuś już cię trzyma.

— Nie jest za ciężka, prawda? — spytała Tracy.

— Nic a nic.

Kim poszedł przodem, najpierw po schodach, a potem przez wahadłowe drzwi. Kiedy przechodzili koło rejestracji, jedna z pracownic zawołała, że muszą się zarejestrować. Kim zlekceważył ją. Chociaż Tracy czuła się skrępowana, nie odezwała się ani słowem.

Monica siedziała na stanowisku pielęgniarek, gdy usłyszała wołanie kobiety z rejestracji. Podniosła głowę i ujrzała zbliżającego się Kima. Momentalnie zerwała się na nogi i wyszła z za kontuaru, żeby zagrozić mu drogę.

— Nie wejdzie pan — oznajmiła. — Nie wniesie pan tego dziecka bez formularza rejestracyjnego.

Kim szedł dalej. Monica cofnęła się o parę kroków.

— Nie może pan tego zrobić — zaprotestowała.

Tracy pociągnęła Kima za ramię.

— Nie róbmy scen — poprosiła.

Kim, niczym taran, szedł niewzruszenie naprzód. Monica była delikatniejszej postury niż Molly i została zepchnięta na bok.

— Dane weźmie sobie pani z wczorajszego formularza — rzucił jej przez ramię Kim.

Monica wbiegła z powrotem za kontuar, aby wywołać pagerem Dawida Washingtona.

Kim wniósł Becky do pierwszej wolnej sali i położył ją na noszach. Tracy stanęła z drugiej strony i trzymała Becky za rękę. Kim wziął aparat do mierzenia ciśnienia krwi i owinał jego rękaw wokół drugiej ręki dziewczynki. Monica, wezwawszy doktora Washingtona, zjawiała się ponownie i spróbowała odebrać aparat Kimowi, ale nie chciał nawet o tym słyszeć. Włożył do uszu słuchawki i zaczął pompować powietrze do rękawa.

Do sali weszli Dawid Washington i Molly McFadden. Dawid miał narzuconą na fartuch białą marynarkę. Ukłonił się Tracy i poczekał, aż Kim zmierzy ciśnienie krwi. Milcząco pokazał też Monice, że może wyjść.

— Nie ma pan poszanowania dla zasad — stwierdził, gdy Kim zdjął stetoskop.

— Ciśnienie dziewięćdziesiąt na pięćdziesiąt — powiedział Kim. — Podłączmy kroplówkę. Zróbcie jej też próbę krzyżową krwi, tak na wszelki wypadek.

— Wolnego! — ryknął Dawid, podnosząc rękę dla podkreślenia swych słów. Po czym spokojnym głosem dodał: — Doktorze Reggis, z całym szacunkiem, zapomniał pan, że to nie pański dyżur.

— Wykonuję tylko podstawowe czynności. Panno McFadden, przyniesie mi pani cewnik, numer dwadzieścia jeden? Potrzebuję też opaski uciskowej i trochę taśmy.

Dawid pokazał Molly, aby została na miejscu, sam zaś podszedł do Kima. Zacisnął jedną ze swych ogromnych dłoni na jego przedramieniu.

— Tylko raz będę pana prosił — oświadczył spokojnym, ale władczym tonem. — Chcę, żeby pan stąd wyszedł i zaczekał na zewnątrz. Tak będzie najlepiej dla pańskiej córki. Jestem pewien, że kiedy pan ochłonie i chwilę pomyśli, sam pan to zrozumie.

Kim popatrzył na Dawida spod przymrużonych powiek, potem spojrzął na rękę zaciśniętą na jego ramieniu. Przez moment nikt się nie odzywał. Słychać było jedynie dźwięk monitora śledzącego akcję serca w przyległej salce.

Tracy wyczuła napięcie wiszące w powietrzu. Dla niej było ono jak cisza przed nagłą letnią burzą z piorunami. Żeby uniknąć niewątpliwej utarczki, szybko podeszła do Kima i położyła mu rękę na ramieniu.

— Proszę, Kim! — powiedziała. — Pozwólmy im robić swoje.

Kim zareagował na prośbę Tracy i nieco się rozluźnił. Dawid cofnął rękę. Kim skinął głową.

— Dobrze — powiedział. Potem odwrócił się do Becky i chwycił jej małą rękę. — Tatuś będzie blisko, misiaczku.

— Nie chcę żadnych zastrzyków — powiedziała płaczliwie Becky.

— Podadzą ci tylko pewien płyn — wyjaśnił Kim. — Ale to będzie tylko jedno ukłucie. Nie potrwa dłużej niż sekundkę. Wiem, że to nieprzyjemne, ale musisz być silna, żeby wrócić do zdrowia. Zgoda?

— Zgoda — odrzekła niechętnie Becky.

Tracy uścisnęła dłoń córki i powiedziała jej, że razem z tatą wróci do niej za parę minut. Becky kiwnęła głową, ale nie wyglądała na szczęśliwą. Bała się.

Kim i Tracy wyszli za parawan otaczający nosze, na których leżała Becky. Tracy słyszała przyspieszony oddech Kima. Milczała, dopóki nie minęli stanowiska pielęgniarek.

— Kim, musisz się uspokoić — odezwała się wtedy. Delikatnie położyła mu rękę na ramieniu. — Jesteś taki spięty.

— Ten Washington doprowadza mnie do szału — warknął Kim.

— Wykonuje swoją pracę — powiedziała Tracy. — Gdyby sytuacja była odwrotna i ty zajmowałbyś się jego dzieckiem, jestem pewna, że zachowałbyś się tak jak on. Nie chciałbyś, żeby wydawał ci polecenia.

Kim rozważał to, kiedy wychodził przez wahadłowe drzwi na zewnątrz. Na twarzy poczuł mocne uderzenie zimnego powietrza. Przystanął na rampie i wziął głęboki oddech. Powoli wypuścił powietrze. Tracy ciągle trzymała dłoń na jego ramieniu.

— Chyba masz rację — rzekł w końcu. — Po prostu jest mi ciężko patrzeć, jak Becky leży tam całkiem bezbronna.

— Wiem — przyznała Tracy. — To bardzo trudne.

Spojrzeni sobie w oczy.

— Rozumiesz to? Poważnie?

— Oczywiście — odparła Tracy. — Jesteś chirurgiem. Masz nawyk działania. A kimże miałbyś się zaopiekować, jak nie własnym dzieckiem? Nie ma dla ciebie nic trudniejszego, niż patrzeć na Becky w potrzebie i nie móc jej pomóc.

— Masz rację — powiedział Kim.

— Naturalnie — odparła Tracy. — Zawsze mam rację.

Kim uśmiechnął się mimowolnie.

— Tego nie byłbym taki pewien — oznajmił. — Może często masz rację, ale nie zawsze!

— Zgodzę się z tym pod warunkiem, że wrócimy do środka — odrzekła Tracy z uśmiechem.
— Zimno mi.

— Jasne, przepraszam. Musiałem zaczerpnąć trochę świeżego powietrza.

* * *

— Czy kroplówka ci przeszkadza? — Kim zapytał Becky.

Dziewczynka podniosła lewą rękę, którą przywiązano do płaskiej deseczki. Długa plastikowa rurka niknęła pod gazą przykrywającą wierzch jej dłoni.

— W ogóle jej nie czuję — odparła Becky.

— Tak właśnie powinno być.

— Jest ci zimno? — spytała Tracy. — Pamiętam, że jak byłam w szpitalu, kiedy ciebie rodziłam, było mi bardzo zimno.

— Rzeczywiście! — stwierdziła Becky. — Nie czułam tego, dopóki nie powiedziałaś. Mam zimną całą rękę.

Dawid dokładnie zbadał Becky, podłączył kroplówkę, wykonał rutynowe badania krwi i moczu oraz zrobił zdjęcie rentgenowskie jamy brzusznej. Mimo że nie widział jeszcze zdjęć, bo nie były gotowe, wyniki badań krwi i moczu mieściły się w normie, co sugerowało, że straciła niewiele krwi. Wówczas Dawid posłał po Tracy i Kima, żeby dotrzymywali Becky towarzystwa, czekając na doktora Claude'a Faradaya.

Specjalista od chorób zakaźnych przybył kilka minut później. Przedstawił się Kimowi i Tracy, a następnie Becky. Był to szczupły mężczyzna o ciemnej cerze i zdecydowanych ruchach. Wysłuchał pełnej relacji o chorobie Becky, od pierwszych objawów w sobotę rano aż do krwotoku. Bardzo często kiwał głową, zwłaszcza gdy sama Becky dodawała drobne szczegóły.

— Okay, panno Reggis. Będiesz miała coś przeciwko temu, jeśli przypatrzę ci się bliżej?
Becky spojrzała na Tracy, jakby musiała od niej uzyskać zgodę.

- Doktor Faraday pyta, czy może cię zbadać — wyjaśniła Tracy córce.
- Proszę bardzo — rzekła Becky. — Tylko nie chcę już żadnych zastrzyków.
- Koniec z zastrzykami — zapewnił ją lekarz.

Claude rozpoczął swoje szybkie, lecz gruntowne badanie od zmierzenia tętna i sprawdzenia napięcia tkankowego. Zajrzał jej do ust i do uszu. Za pomocą oftalmoskopu zbadał jej oczy. Ośluchał klatkę piersiową i sprawdził, czy na skórze nie ma wysypki. Delikatnie uciskał rękoma obolały brzuch. Sprawdził też, czy ma powiększone węzły chłonne.

— Wydaje mi się, że wszystko z tobą w porządku, oprócz tego lekkiego bólu brzucha — oznajmił w końcu. — Teraz wyjdę porozmawiać z twoimi rodzicami. Okay?

Becky kiwnęła głową.

Tracy nachyliła się i pocałowała córkę w czoło, po czym wyszła za Claude'em i Kimem za parawan. Na korytarzu było wiele osób, toteż cała trójka usunęła się na bok, aby uniknąć hałasu. Przypadkiem zauważył ich Dawid i podszedł do nich. Sam przedstawił się Claude'owi.

— Właśnie chciałem zapoznać rodziców z wynikami badania — powiedział do niego Claude.

— Czy mogę się przysłuchiwać?

Claude spojrzał na Kima i Tracy.

— Tak, proszę — powiedziała Tracy.

— W sumie Becky wygląda dobrze — zaczął Claude. — Jest oczywiście trochę bleda i nieco odwodniona. Ma także ogólne bóle jamy brzusznej. Poza tym jednak wszystko wydaje się w porządku.

— A ten krwotok? — zapytała Tracy. Bała się, że Claude ich zbędzie.

— Proszę mi pozwolić dokończyć — odparł Claude. — Zapoznałem się również z wynikami badań laboratoryjnych. W porównaniu z dniem wczorajszym nastąpił niewielki spadek hemoglobiny. Nie jest to spadek znaczący, ale uwzględniając to lekkie odwodnienie, może się okazać ważny, biorąc pod uwagę krwotok. Wystąpił też drobny spadek liczby płytek krwi. Poza tym wszystko jest w granicach normy.

— Jak brzmi wstępna diagnoza? — zapytał Kim.

— Powiedziałbym, że choroba pochodzenia pokarmowego wywołana przez bakterie — odpowiedział Claude.

— A nie wirusa? — spytał Kim.

— Nie, myślę, że to bakterie — odrzekł Claude i spojrzał na Dawida. — Zdaje się, że pan miał podobne wrażenie wczoraj wieczorem, prawda?

— Istotnie.

— Ale dlaczego nie miała gorączki? — spytał Kim.

— Właśnie to, że nie miała gorączki, każe mi myśleć, że raczej była to toksemia niż infekcja wirusowa — mówił Claude. — Co zgadzałoby się z normalną liczbą białych ciałek krwi.

— A co z wczorajszą hodowlą bakterii? — zapytał Kim. — Czy są już pierwsze wyniki po dwudziestu czterech godzinach?

— Nie widziałem ich — odpowiedział Claude. Popatrzył na Dawida.

— Wczoraj nie zakładaliśmy hodowli — odparł Dawid.

Kim pokręcił z niedowierzaniem głową.

— Co pan, do diabła, wygaduje? — zapytał. — Przecież dałem panu próbkę.

— Na oddziale pierwszej pomocy nie wykonuje się badań stolca z powodu zwykłej biegunki — oznajmił Dawid.

Kim uderzył się dłonią w czoło.

— Chwileczkę! Powiedział pan, że według wstępnej diagnozy to infekcja bakteryjna. Dlaczego więc nie założyliście hodowli? To chyba najrozsądniejszy krok w tej sytuacji. Jak inaczej możecie racjonalnie leczyć?

— Przepisy AmeriCare odradzają rutynowe hodowle w tego typu przypadkach — wyjaśnił Dawid. — Są nierentowne.

Kim poczerwieniał na twarzy, co spostrzegła tylko Tracy. Wyciągnęła rękę i chwyciła Kima za ramię, lecz on się wyrwał.

— Nierentowne! Co to za kretyńska wymówka? I to ma być, do cholery, oddział pierwszej pomocy medycznej? Mówi mi pan, że aby zaoszczędzić parę nędznych dolarów, nie założyliście hodowli?

— Słuchaj no, ty primadonno — odwarknął Dawid. — Powiedziałem ci już, że to standardowa procedura. Nie zakłada się ich, i tyle. Ani dla ciebie, ani dla nikogo innego.

Kim stracił panowanie, tak jak poprzedniego wieczoru, i chwycił Dawida za kłapy jego białej marynarki.

— Jestem primadonna, tak? Przez waszą idiotyczną procedurę zmarnowaliśmy cały cholerny dzień!

Tracy chwyciła go za ramię.

— Kim, nie! Nie zaczynaj znowu! — krzyknęła.

— Zabierz ode mnie łapy, ty arogancki sukinsynie — warknął Dawid.

— Uspokójcie się! — zawołał Claude, wchodząc pomiędzy dwóch znacznie roślejszych od niego mężczyzn. — Nic się nie stało. Założymy hodowlę. Nie straciliśmy tak wiele czasu. I tak wątpię, czy już zaczęlibyśmy ją leczyć.

Kim puścił Dawida. Ten wygładził marynarkę. Obydwaj spoglądali na siebie złowrogo.

— Co spodziewa się pan znaleźć w hodowli? — zapytała Tracy, mając nadzieję, że rozładuje sytuację i naprowadzi rozmowę na właściwe tory. — Jaki rodzaj bakterii może wchodzić w grę?

— Głównie *Salmonella*, *Shigella* i nowe szczepy *Escherichia coli* — odparł Claude. — Ale równie dobrze mogą być inne.

— Przestraszyłam się, kiedy zobaczyłam krew — powiedziała Tracy. — Przypuszczam, że wyglądało to gorzej, niż było w istocie. Czy Becky powinna zostać w szpitalu?

Claude spojrział na Dawida.

— To nie jest zły pomysł — potwierdził. — Ale to już nie moja działka.

— Myślę, że to bardzo dobry pomysł — stwierdził Dawid. — Ona potrzebuje płynów. Poza tym będziemy mogli wykluczyć możliwość anemii i upewnić się, że nie ma więcej krwawień.

— Co z antybiotykami? — zapytała Tracy.

— Nie zalecałbym — odparł Claude. — Nie w tej chwili. Dopóki nie ma ostatecznej diagnozy.

— Którą mielibyśmy, gdyby ostatniej nocy została założona ta cholerna hodowla! — burknął Kim.

— Kim, proszę! — skarciła go Tracy. — Musimy dostosować się do sytuacji. Byłoby miło, gdybyś spróbował pomóc.

— W porządku — powiedział zrezygnowany Kim. — Skoro nie znamy rodzaju bakterii, dlaczego by nie użyć ogólnych antybiotyków? Zawsze można je potem zmienić, kiedy dowiemy się, co to za bakteria i na co jest wrażliwa.

— Nie zalecałbym tego — powtórzył Claude. — Jeśli mamy do czynienia z jednym z nowych szczepów *Escherichia coli*, antybiotyk tylko pogorszy sytuację.

— Niby dlaczego? — zdziwił się Kim. — To absurdalne.

— Niestety nie — odparł Claude. — Antybiotyk może zdziesiątkować normalną florę bakteryjną, dając *Escherichia coli* możliwość rozwoju w korzystniejszych warunkach.

— Czy wzięłby pan Becky pod swoją opiekę? — Tracy poprosiła Claude'a.

— Nie, to niemożliwe — odpowiedział Claude. — AmeriCare wymaga lekarza prowadzącego. Ale z radością zajrzę do Becky, zwłaszcza jeśli osoba prowadząca jej przypadek poprosi o konsultację w sprawie chorób zakaźnych.

— Ponieważ Becky nie ma swojego pediatry, przejdzie pod opiekę Claire Stevens — oznajmił David. — To jej zmiana. Zadzwońię do niej.

— Nie ma lepszego lekarza od Claire — stwierdził Claude.

— Pan ją zna? — spytała Tracy.

— Bardzo dobrze — odparł Claude. — Macie szczęście, że to jej zmiana. Zajmuje się moimi dziećmi.

— Wreszcie coś zaczyna działać jak należy — odezwał się Kim.

Rozdział 8

Środa, 21 stycznia

Kim skręcił na szpitalny parking tuż po szóstej rano. Postanowił nie wstępować do swojego gabinetu, jak to zazwyczaj robił. Chciał zajrzeć do Becky i upewnić się, że wszystko w porządku.

Poprzedniej nocy, po nieprzyjemnym epizodzie z Dawidem Washingtonem, sprawy ułożyły się dobrze. Wezwana przez pager doktor Claire Stevens przybyła na oddział pierwszej pomocy w ciągu pół godziny. Tymczasem Kim po raz drugi zadzwonił do George'a Turnera. Przy okazji zapytał George'a o jego zdanie na temat pediatry. Gdy George powtórzył zapewnienia Claude'a, zarówno Kim, jak i Tracy poczuli ulgę.

Claire była wysoką, szczupłą kobietą — wzrostem niewiele ustępowała Kimowi. Rysy twarzy były ostre, ale łagodziło je jej ujmujące, dające poczucie bezpieczeństwa usposobienie. Osobiste wrażenia Kima potwierdziły zawodową opinię o niej. Była w mniej więcej tym samym wieku co on, co wskazywało na wieloletnie doświadczenie kliniczne. Jej kwalifikacje były oczywiste i przekonujące na pierwszy rzut oka. Nie mniej ważne było to, że natychmiast zdobyła sympatię dziewczynki.

Kim wszedł do pokoju Becky. Blask z nocnego oświetlenia umieszczonego nad podłogą odbijał się od sufitu, rzucając delikatną poświatę na całe pomieszczenie. Kim zbliżył się cicho do łóżka i spojrzał na śpiącą córkę. Aureola jej ciemnych włosów sprawiała, że twarz miała barwę kości słoniowej. Jej blask nadawał Becky subtelną kruchość, jakby była zrobiona z porcelany.

Kim wiedział, że w tych okolicznościach mała powinna pozostać w szpitalu. Zarazem jednak jej pobyt tutaj napawał go wielkim niepokojem. Ogromne doświadczenie nabyte w szpitalach przypominało mu, że są to miejsca, w których czają się różne niebezpieczeństwa.

Becky oddychała miarowo i głęboko. Płyn w kroplówce powoli skapywał. Szczęśliwy, że Becky śpi tak dobrze, Kim wycofał się cichutko. Nie chciał jej budzić.

Na stanowisku pielęgniarek wyciągnął kartę Becky. Rzucił okiem na poczynione przez Claire notatki, a potem przyjrzał się zapiskom pielęgniarek. Zauważył, że ostatniej nocy Becky dwukrotnie oddawała stolec. Była w nim podobno krew, ale wspominała o niej tylko Becky, żadna z pielęgniarek jej nie widziała.

Następnie Kim przejrzał zalecenia lekarki i z zadowoleniem zobaczył, że Claire dotrzymała słowa: wyznaczyła na dziś badanie u gastroenterologa dziecięcego.

— Rozkoszny dzieciak — odezwał się czyjś śpiewny głos.

Kim obejrzał się. Tuż za nim stała pulchna pielęgniarka o twarzy czerwonej z wysiłku. Jej ufarbowane na blond włosy były skręcone w małe loczki. Miała dołki w policzkach. Plakietka identyfikacyjna zdradzała, że pielęgniarka nazywa się Janet Emery.

— Zaglądała pani do niej? — zapytał Kim.

— Tak — potwierdziła Janet. — Jej pokój należy do mojego odcinka. Śliczniutka dziewczynka.

— Jak się czuła?

— Myślę, że nieźle — odparła Janet z wahaniem.

— To nie brzmi zbyt przekonująco — odrzekł Kim. Poczuł, jak w kręgosłup wbija mu się igiełka strachu, i wzdrygnął się mimo woli.

— Kiedy ostatni raz wstała, wydawała się osłabiona. Może dlatego, że była zaspana. Zadzwoń na mnie, żebym pomogła jej wrócić do łóżka.

— Z karty wynika, że nie zdążyła pani zobaczyć, ile krwi wydalila — powiedział Kim.

— To prawda — odparła Janet. — Biedactwo było tak strasznie zakłopotane. Próbowалаm jej powiedzieć, żeby nie splukiwała wody po skorzystaniu z toalety, ale i tak nie posłuchała. Co miałam robić?

Kim postanowił porozmawiać z Claire o tym problemie, z Becky również. To, czy kał zawiera tylko odrobinę krwi czy więcej, mogło się okazać ważne.

— Pan jest jednym z konsultantów zajmujących się tym przypadkiem? — zapytała Janet.

— Nie — odparł Kim. — Jestem doktor Reggis. Ojciec Becky.

— O mój Boże! Myślałam, że jest pan konsultantem. Mam nadzieję, że się nie wygadałam.

— Skądże — zapewnił Kim. — Widzę, że dba pani o nią.

— Oczywiście — odparła Janet. — Uwielbiam dzieci. To dlatego pracuję na tym piętrze.

Kim wyszedł, żeby zajrzeć do swoich pacjentów, a potem uczestniczyć w serii szpitalnych konferencji wyznaczonych na ten poranek. Poniedziałki i środy były szczególnie napięte ze względu na obowiązki administracyjne, dlatego mógł wrócić na oddział Becky dopiero o dziesiątej. Kiedy się tam znalazł, urzędnik poinformował go, że córkę zabrano na zdjęcie rentgenowskie. Kim dowiedział się też, że jest z nią Tracy.

— Może mi pan coś powiedzieć na temat badania gastroenterologicznego? — zapytał Kim.

— Zostało zarządzone — odparł urzędnik. — Jeśli o to panu chodzi.

— Kiedy będzie przeprowadzone?

— Myślę, że dziś po południu.

— Czy mógłby pan zadzwonić do mnie, kiedy zabiorą ją na badanie? — zapytał Kim i podał mu jedną ze swych wizytówek.

— Oczywiście — odparł urzędnik.

Kim podziękował i pojechał do swojego gabinetu. Wolałby zobaczyć się z Becky i porozmawiać z nią choćby przez chwilę, ale nie miał czasu. Już był spóźniony — zdarzało mu się to ostatnio tak często, że zaczynał się z tym godzić.

* * *

— Dobrze, panie Amendola — powiedział Kim. — Ma pan jakieś pytania?

Pan Amendola był krępyim hydraulikiem tuż po sześćdziesiątce. Bał się nowoczesnej medycyny, a werdykt Kima wręcz go przeraził: trzeba wymienić zastawkę serca. Jeszcze parę tygodni temu żył w błogiej nieświadomości, że jego serce ma jakieś zastawki. Teraz, gdy przeżył kilka zatrważających objawów, wiedział już, że jedna z nich źle pracuje i to może go zabić.

Kim nerwowo przeczesał ręką włosy, gdy pan Amendola zastanawiał się nad ostatnim pytaniem. Spojrzenie Kima powędrowało za okno, w stronę jasnego zimowego nieba. Przez ostatnią godzinę ciągle był zajęty, odkąd zadzwoniła Tracy, by powiedzieć, że jej zdaniem Becky nie wygląda dobrze, ma szkliste oczy i jest apatyczna.

Chociaż poczekalnia była pełna pacjentów, Kim polecił Tracy zadzwonić do Claire i poinformować ją o stanie Becky. Powiedział jej też, aby przypomniawsza urzędnikowi, aby do niego zatelefonował, kiedy przybędzie gastroenterolog.

— Może powinienem pogadać z dziećmi — zastanowił się pan Amendola.

— Słucham? — odezwał się Kim. Zapomniał, o co go zapytał.

— Z moimi dziećmi — powtórzył pan Amendola. — Zapytam je, co powinien zrobić ich starszyszek.

— Dobry pomysł — zgodził się Kim. Wstał. — Proszę to przedyskutować z rodziną. Jeśli będzie pan miał jakieś pytania, po prostu proszę zadzwonić.

Kim odprowadził pacjenta do drzwi.

— Jest pan pewien, że wyniki badań, które pan zalecił, są w porządku? Może z moją zastawką nie jest tak źle? — spytał z nadzieją pan Amendola.

— Jest źle — odpowiedział Kim. — Proszę pamiętać, że mamy opinię drugiego lekarza.

— No tak. Okay, skontaktuję się z panem — w głosie mężczyzny brzmiała rezygnacja.

Kim zaczął czekać na korytarzu, aż uzyskał pewność, że pan Amendola wraca do rejestracji. Wtedy wyjął z koszyka wiszącego na drzwiach drugiego pokoju badań kartę następnego pacjenta.

Zanim zdążył odczytać jego nazwisko, na końcu korytarza pojawiła się Ginger. Musiała zejść z drogi panu Amendoli, żeby go przepuścić.

— Przed chwilą odebrałam telefon od urzędnika z piętra Becky — oznajmiła. — Mam ci powiedzieć, że gastro-coś-tam — doktor właśnie teraz ją bada.

— W takim razie już mnie tu nie ma — rzucił szybko Kim. Odłożył kartę do koszyka i poszedł do swego pokoju. Kiedy wyciągał marynarkę z szafy, weszła Ginger.

— Dokąd jedziesz? — zapytała.

— Do szpitala.

— Kiedy wrócisz?

— Nie wiem — odparł Kim i włożył zimowy płaszcz. — Powiedz Cheryl, żeby ten pacjent nie czekał w pokoju badań.

— A co z innymi pacjentami?

— Powiedz im, że miałem nagłe wezwanie — odrzekł Kim. — Wrócę, ale prawdopodobnie nie prędzej niż za półtorej godziny albo coś koło tego.

Kim wziął kluczyki od samochodu i podszedł do tylnych drzwi.

Ginger pokręciła głową. To ona musiała stawić czoło pacjentom. Z doświadczenia wiedziała już, jacy będą zdenerwowani — szczególnie ci, którzy przyjechali spoza miasta.

— Zrób, co się da — poprosił Kim, jakby czytał jej w myślach.

Kim pobiegł do samochodu. Prędko wsiadł i wyjechał na ruchliwą ulicę. Dusząc na klakson, kluczył między jadącymi samochodami. Był zrozpaczony. Po telefonie od Tracy za nic nie chciał stracić okazji, by bezpośrednio pomówić z gastroenterologiem. W holu szpitala co chwila wduśzał przycisk windy, jakby miało to sprowadzić ją szybciej. Kilkoro odwiedzających przyglądało mu się podejrzliwie.

Znalazszy się na piętrze Becky, Kim dosłownie przebiegł przez korytarz. Zdyszany, wszedł do pokoju córki. Zobaczył Tracy stojącą z boku i rozmawiającą z kobietą w długim, białym lekarskim kitlu. W mgnieniu oka zorientował się, że Tracy jest przejęta.

Becky leżała w łóżku na plecach, z głową opartą na poduszce. Jej ciemne oczy patrzyły gdzieś w dal. Jedynym ruchem, jaki można było zauważyć w pokoju, było równomierne kapanie płynu w dozowniku kroplówki.

Kim podszedł do łóżka.

— Jak się masz, misiaczku? — zapytał. Chwycił jej dłoń i podniósł ją. Poczuł, że jest prawie bezwładna.

— Jestem zmęczona — odezwała się Becky.

— Wiem, kochanie — powiedział Kim. Instynktownie wyczuł jej tętno. Rytm serca był podwyższony. Delikatnie unosząc jedną powiekę, sprawdził spojówkę. Była biała, ale nie bardziej niż zazwyczaj. Dotknął skóry. Nie była szczególnie gorąca czy wilgotna, a poziom nawodnienia organizmu wydawał się lepszy niż poprzedniej nocy.

Tętno Kima zaczęło przyspieszać. Zrozumiał, co chciała mu przekazać Tracy. Stan Becky rzeczywiście się zmienił, a słowa o szklanych oczach i apatyczności ich córki odpowiadały prawdzie. Tak jakby część niesamowitej siły życiowej Becky zapadła w sen. Dziewczynka pogrzązała się w letargu.

— Porozmawiam z mamą — powiedział Kim.

— Dobrze — odparła Becky.

Kim podszedł do Tracy. Zobaczył, że tamta lekko drży.

— To pani doktor Kathleen Morgan — Tracy przedstawiła mu kobietę w kitlu.

— Pani jest gastroenterologiem? — zapytał Kim.

— W rzeczy samej — potwierdziła Kathleen.

Kim przyjrzał się jej. Pod wieloma względami stanowiła fizyczne przeciwieństwo Claire Stevens, choć były niemal w tym samym wieku. Kim ocenił, że Kathleen nie może mieć więcej niż pięć stóp wzrostu. Miała okrągłą twarz i delikatne rysy. Nosiła okulary w drucianych oprawkach, które nadawały jej wygląd nauczycielki. W jej ciemnych włosach przebijały pasemka przedwczesnej siwizny.

— Doktor Morgan powiedziała mi, że uważa stan Becky za poważny — zaczęła Tracy.

— Och, świetne spostrzeżenie — stwierdził Kim z wyraźnym szyderstwem. — Poważny, tak? Nie muszę nikogo pytać, aby wiedzieć, że jej stan jest poważny. Nie leżałaby w tym choler-
nym szpitalu, gdyby jej stan nie był poważny. Chciałbym, aby ktoś mi powiedział, na co zachorowała i jak to wyleczyć.

— Laboratorium powiadomi mnie, jak tylko będą mieli wyniki — powiedziała oględnie Kathleen. Słowa Kima zaskoczyły ją. — Do tego czasu mamy związane ręce.

— Czy już ją pani zbadała?

— Tak. Zapoznałam się też z dostępnymi wynikami laboratoryjnymi.

— No i...? — pytał niecierpliwie Kim.

— Jak dotąd, zgadzam się z doktorem Faradayem. Choroba bakteryjna pochodzenia pokarmowego.

— Dla mnie wygląda to na coś gorszego — stwierdził Kim.

— I dla mnie też — dodała Tracy. — Stan Becky zmienił się od wczorajszej nocy. Ona nie jest sobą, zupełnie straciła ochotę do życia.

Kathleen spojrzała na Becky niepewnie. Poczowała ulgę, widząc, że dziecko nie zwraca uwagi na ich rozmowę. Mimo to zaproponowała, żeby wyszli na korytarz.

— Trudno mi mówić o zmianach — oznajmiła. — Zbyt krótko ją znam. Uwagi pielęgniarek też na nic takiego nie wskazują.

— Chcę, aby lepiej nad nią czuwano — zażądał Kim. — Czy nie można by jej umieścić w izolatce na oddziale intensywnej opieki?

— Jestem tylko konsultantem — odparła Kathleen. — Oficjalnie Becky znajduje się pod opieką doktor Claire Stevens, pediatry prowadzącego.

— A gdyby spróbowała ją pani przekonać? Zasugerowałem to wczoraj, kiedy przyjmowano Becky, ale miałem wrażenie, że doktor Stevens stoi po stronie AmeriCare i obawia się o koszty.

— To niepodobne do Claire — odpowiedziała Kathleen. — Ale mówiąc szczerze, nie sądzę, żeby pana córka potrzebowała intensywnej opieki. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

— Dzięki za pokrzepiające wyznanie — odwarł Kim. — Innymi słowy, spodziewa się pani, że z Becky będzie coraz gorzej, podczas gdy wy wszyscy będziecie tu siedzieć i nic nie robić.

— To nie fair, doktorze Reggis — odparła Kathleen urażonym głosem.

— Do diabła, doktor Morgan! — zaklął Kim. Wymówił jej nazwisko z większą pogardą, niż zamierzał. — Według mnie to jest fair. Jako chirurg stawiam diagnozę, potem zabieram się do leczenia. Czyli działam, robię coś, tutaj natomiast widzę, że moja córka marnieje w oczach, a wszyscy siedzą z założonymi rękami.

— Przestań, Kim! — odezwała się Tracy, powstrzymując łzy. Tak bardzo niepokoiła się o Becky, że nie miała cierpliwości do byłego męża.

— Niby z czym mam przestać?

— Z tymi złośliwościami — wykrztusiła. — Ta ciągła walka z lekarzami i pielęgniarkami w niczym tu nie pomoże. A mnie doprowadza do szału.

Kim popatrzył kwaśno na byłą żonę. Nie mógł uwierzyć, że tak szybko zwróciła się przeciwko niemu, zwłaszcza że chodziło o opiekę nad Becky.

— Doktorze Reggis, pozwoli pan ze mną! — odezwała się nagle Kathleen. Kiwnęła ręką i ruszyła w kierunku stanowiska pielęgniarek.

— Idź! — zachęciła go Tracy. — Weź się w garść.

Tracy weszła z powrotem do pokoju Becky, a Kim dogonił maszerującą Kathleen. Miała zacięte usta i jak na swoje stosunkowo krótkie nogi szła zaskakująco szybkim krokiem.

— Dokąd mnie pani prowadzi? — spytał Kim.

— Do pracowni rentgenowskiej — wyjaśniła Kathleen. — Chcę panu coś pokazać. Myślę też, że musimy pomówić w cztery oczy, jak lekarz z lekarzem.

W dyżurce pielęgniarek panowało ożywienie jak w ulu. Dzienna zmiana przygotowywała się do wyjścia, a nocna schodziła się na dyżur. Kathleen wprawnie przecisnęła się przez tłumek. Przytrzymała otwarte drzwi do pracowni i gestem zaprosiła Kima do środka. Gdy tylko drzwi się zamknęły, zapadła cisza. Pracownia rentgenowska była pozbawionym okien zakątkiem z pulpitami i ekranami do oglądania zdjęć rentgenowskich. Na blacie w rogu stał wspólny ekspres do kawy.

Bez słowa Kathleen wyjęła z teczek zdjęcia rentgenowskie i przypięła je na podświetlanych ekranach. Włączyła zasilanie. Zdjęcia przedstawiały jamę brzuszną dziecka.

— Czy to Becky? — zapytał Kim.

Kathleen twierdząco kiwnęła głową.

Kim pochylił się do przodu; jego wprawione w oglądaniu zdjęć oczy przesunęły się po szczegółach. Co prawda bieglej odczytywał zdjęcia klatki piersiowej, ale znał ogólne zasady.

— Całe jelito wygląda na obrzękłe — stwierdził po jakimś czasie.

— No właśnie — odparła Kathleen. Spostrzeżenie Kima zrobiło na niej wrażenie. Myślała, że będzie musiała wskazać mu patologiczną zmianę. — Błona śluzowa jest opuchnięta na całej długości.

Kim wyprostował się.

— O czym to świadczy? — zapytał. Nie spodobało mu się to, co zobaczył, ale nie potrafił odnieść tego do objawów klinicznych.

— Obawiam się, że jest to charakterystyczne dla *Escherichia coli* 0157:H7 — powiedziała Kathleen. — Podobne zdjęcia zobaczyłby pan w przypadku czerwonki wywołanej bakteriami *Shigella*, wtedy jednak pacjent ma najczęściej podwyższoną temperaturę. Jak pan wie, Becky nie ma gorączki.

— Co z antybiotykami? Claude Faraday nie chciał ich zastosować, aby nie naruszyć normalnej flory bakteryjnej. Czy pani się z nim zgadza?

— Tak — rzekła Kathleen. — Nie tylko dlatego, żeby nie naruszyć flory, ale także dlatego, że mogą się okazać nieskuteczne. Przy braku gorączki istnieje duża szansa na to, że bakterie już zostały wydalone.

— Jeżeli mamy do czynienia z potencjalną toksemią — powiedział Kim — w jaki sposób postawimy diagnozę?

— Można przeprowadzić badania na obecność toksyny — odrzekła Kathleen. — Niestety, AmeriCare nie upoważnił naszego laboratorium do takich badań.

— Niech pani mi nie mówi, że chodzi o pieniądze — ostrzegł Kim.

— Obawiam się, że tak. To jedno z tych badań, które przeprowadza się tak rzadko, że AmeriCare nie znalazła uzasadnienia dla jego kosztów. AmeriCare uważa, że to nierentowne.

— Chryste Panie! — krzyknął Kim. Sfrustrowany uderzył pięścią w blat. — Jeśli jeszcze raz usłyszę, że coś „jest nierentowne”, to krew mnie zaleje. Od czasu, gdy Becky zachorowała, mam wrażenie, że komercjalizm AmeriCare śni mi się po nocach.

— Niestety, musimy się liczyć z rzeczywistością zarządzania opieką medyczną — oznajmiła Kathleen. — Tym razem jednak osobiście zadbałam o to, żeby wysłano próbkę do laboratorium Sherring. Wyniki badań powinny być znane po dwudziestu czterech lub czterdziestu ośmiu godzinach.

— Alleluja! — zawołał Kim. — Dziękuję pani i przepraszam, iż powiedziałem, że niczego pani nie robi. Miałem na myśli, że pieniądze nie mają znaczenia, kiedy stawką jest zdrowie Becky.

— Co pan wie o *Escherichia coli* i jej toksynach? — zapytała Kathleen. — Zakładając, że u Becky rzeczywiście mamy z tym do czynienia.

— Niewiele — przyznał Kim. — Nie wiedziałem nawet, że antybiotyki byłyby nieskuteczne. Bakterie *coli* nie są czymś, z czym mam do czynienia w mojej praktyce. Co innego odporny na wankomycynę gronkowiec. My, kardiochirurdzy, boimy się go jak ognia.

— Rozumiem — powiedziała Kathleen. — Ja z kolei nie znam się na gronkowcu, ale na *Escherichia coli* 0157:H7 owszem. Może nawet za dobrze. Myślę, że pan i pańska żona powinniście wiedzieć, że ten zarazek bywa bardzo nieprzyjemny.

— Jak bardzo? — zapytał nerwowo Kim. Nie spodobał mu się ton głosu Kathleen ani sugestie zawarte w jej wypowiedzi. Nie zamierzał nawet wyprowadzać jej z błędu, że on i Tracy nadal są małżeństwem.

— Może powinien pan usiąść — zaproponowała Kathleen. Zastanawiała się, jak najlepiej wyjaśnić swoje obawy bez niepotrzebnego denerwowania Kima. Wyczuwała, że on z ledwością panuje nad swoimi emocjami.

Kim posłusznie usiadł na jednym z krzeseł przy biurku. Bał się postąpić inaczej.

— Jeśli to *Escherichia coli* jest powodem dolegliwości Becky — zaczęła Kathleen — niepokoi mnie spadek liczby płytek krwi. Zeszłej nocy nastąpił jedynie nieznaczny spadek, ale kiedy uzupełniliśmy brak płynów, stał się on bardziej zauważalny i statystycznie znaczący. Obawiam się, czy to nie zespół hemolityczno-mocznicowy.

— Zespół hemolityczno-mocznicowy? — zdziwił się Kim.

— Wywołuje go toksyna podobna do *Shigella*, którą produkuje *Escherichia coli* 0157:H7 — wyjaśniła Kathleen. — Otóż, widzi pan, toksyna ta może równie dobrze powodować wewnątrz-naczyniowe krzepnięcie płytek krwi, jak i zanik czerwonych ciałek. To z kolei prowadzi do uszkodzenia wielu organów. Najczęściej atakowane są nerki, stąd nazwa zespołu.

Szczęka Kima powoli opadła. Był oszołomiony. Przez chwilę mógł tylko patrzeć na Kathleen z daremną nadzieją, że ta nagle uśmiechnie się i powie, że to wszystko kiepski żart. Ale ona nie uśmiechnęła się.

— Myśli pani, że Becky ma zespół hemolityczno-mocznicowy? — spytał cicho Kim ze spokojem, którego nie odczuwał.

— Powiedzmy, że obawiam się tego — potwierdziła, próbując złagodzić wstrząs. — Na razie nie ma żadnych dowodów. Podpowiada mi to moja kliniczna intuicja.

Kim głośno przełknął ślinę. W ustach czuł suchość.

— Co możemy zrobić?

— Niestety niewiele — odparła Kathleen. — Wysłałam próbkę do laboratorium, by zbadano ją na obecność toksyny. Tymczasem proponuję konsultację hematologa i nefrologa. Nie sądzę, aby zasięgnięcie ich opinii było przedwczesne.

— Zróbmy to! — wypalił Kim.

— Chwileczkę, doktorze Reggis — powiedziała Kathleen. — Proszę pamiętać, że jestem tylko konsultantem. Wszelkie inne konsultacje muszą zostać zaakceptowane przez Claire Stevens. To jej decyzja. AmeriCare stawia tę sprawę zupełnie jasno.

— Dobrze, zadzwońmy więc do niej, na miłość boską — wybełkotał Kim. — Bierzmy się do dzieła!

— Chce pan, żebym zadzwoniła do niej w tej chwili?

— Koniecznie. — Kim sięgnął po telefon i postawił go przed Kathleen.

Kiedy rozmawiała przez telefon, Kim ujął głowę w dłonie. Nagły niepokój osłabił go. Błahostka, która sprawiła, że Becky musiała cierpieć i pójść do szpitala, choć kłopotliwa i nieprzyjemna, teraz stała się czymś zupełnie innym. Po raz pierwszy w życiu stanął w obliczu poważnego medycznego problemu jako pacjent — problemu, o którym na dodatek mało wiedział. Zamierzał go przestudiować, i to szybko. Zaczął gorączkowo myśleć, w jaki sposób może to uczynić.

— Claire w pełni się zgadza — oświadczyła Kathleen, odkładając słuchawkę. — Ma pan szczęście, że to ona prowadzi pańską córkę. Kiedyś zajmowałam się z nią kilkoma przypadkami zespołu hemolityczno-mocznicowego.

— Kiedy konsultanci zbadają Becky? — zapytał ponagląco Kim.

— Jestem pewna, że natychmiast, kiedy Claire się z nimi umówi — odpowiedziała Kathleen.

— Chcę, żeby to zrobili natychmiast. Dziś po południu!

— Doktorze Reggis, musi się pan uspokoić — powiedziała Kathleen. — Sprowadziłam pana tutaj dlatego, żebyśmy mogli spokojnie porozmawiać, jak zawodowiec z zawodowcem.

— Nie mogę się uspokoić — wyznał Kim. Oddychał głośno. — Jak często występuje ten zespół?

— Niestety, stosunkowo coraz częściej. Zazwyczaj powoduje go *Escherichia coli* 0157:H7, w sumie około dwudziestu tysięcy przypadków rocznie. Objawy tego zespołu ostatnio się nasiliły, stając się główną przyczyną ostrej niewydolności nerek u dzieci.

— Dobry Boże! — zawołał Kim. Nerwowo potarł czoło. — Dwadzieścia tysięcy przypadków rocznie!

— Takie są szacunki Centrum Kontroli Chorób, jeśli chodzi o przypadki wywołane przez *Escherichia coli* — powiedziała Kathleen. — Ale są też inne przyczyny.

— Czy zespół hemolityczno-mocznicowy bywa śmiertelny? — Kim zmusił się, by zadać to pytanie.

— Jest pan pewien, że powinniśmy o tym mówić? Proszę pamiętać, że jeszcze nie postawiliśmy diagnozy co do udziału bakterii *coli*. Chciałam tylko przygotować pana na taką ewentualność.

— Do cholery, niech pani odpowie na moje pytanie! — rzucił gniewnie.

Kathleen westchnęła z rezygnacją. Miała nadzieję, że Kim będzie wystarczająco inteligentny, by nie chcieć wysłuchiwać drastycznych szczegółów. Fakt, że to jednak zrobił, nie pozostawiał jej wyboru.

— Każdego roku umiera za sprawą *Escherichia coli* 0157:H7 od dwustu do pięciuset osób, przeważnie dzieci — powiedziała. — Zazwyczaj na zespół hemolityczno-mocznicowy.

Na czoło Kima wystąpił pot. Znowu był oszołomiony.

— Od dwustu do pięciuset zgonów rocznie — powtórzył. — To niewiarygodne, zwłaszcza że nigdy wcześniej nie słyszałem o tym syndromie.

— Jak mówię, takie są szacunki Centrum Kontroli Chorób — dodała Kathleen.

— Dlaczego mimo tak dużej śmiertelności tak mało o tym wiadomo? — zapytał Kim. Racjonalizacja zawsze była mechanizmem obronnym Kima, ilekroć borykał się z emocjonalnym ciężarem związanym z zawodem lekarza.

— Na to pytanie nie umiem odpowiedzieć — odparła Kathleen. — Było kilka głośnych incydentów z tym szczepem *Escherichia coli*, jak niespodziewana epidemia w dziewięćdziesiątym drugim i afera w zakładach mięsnych Hudson Meat latem dziewięćdziesiątego siódmego. Dlaczego te i inne incydenty nie zaniepokoiły i nie zainteresowały ludzi, tego już nie wiem. To dość zastanawiające.

— Pamiętam te dwa incydenty — stwierdził Kim. — Zdaje się, że wyszedłem wtedy z założenia, że rząd i ministerstwo rolnictwa uporają się z tymi problemami.

Kathleen roześmiała się cynicznie.

— Jestem pewna, że zarówno ministerstwo, jak i przemysł mięsny mieli nadzieję, że im pan uwierzy.

— Czy przyczyną jest najczęściej wołowina? — zapytał Kim.

— Mówiąc dokładnie, mięso mielone — poinformowała Kathleen. — Trzeba je starannie dopiec. Ale jest także prawda, że niektóre zachorowania zostały spowodowane przez sok jabłkowy lub jabłecznik, a nawet nie pasteryzowane mleko. Decydującym momentem jest kontakt z zarażonymi krowami odchodami.

— Nie pamiętam, żeby istniał taki problem, gdy byłem dzieckiem — stwierdził Kim. — Przez cały czas objadałem się krwistymi hamburgerami.

— To względnie nowa sprawa — przyznała Kathleen. — Uważa się, że powstała pod koniec lat siedemdziesiątych, zapewne w Argentynie. Istnieje pogląd, że bakteria z rodzaju *Shigella* przekazała *Escherichia coli* DNA niezbędne do wytworzenia toksyny o podobnych właściwościach.

— Koniugacja bakteryjna — wtrącił Kim.

— Właśnie. Koniugacja to odpowiednik reprodukcji seksualnej na poziomie bakterii, metoda genetycznych przetasowań. Skoro jednak chodzi o koniugację, to jest ona nietypowa, bowiem koniugacja zachodzi zwykle tylko w obrębie jednego gatunku. Najbardziej zdumiewającym aspektem jest ten, że ten nowy szczep *Escherichia coli* niezwykle szybko rozprzestrzenił się na całym świecie. Dzisiaj zarażone jest nim około trzech procent wołowych wnętrzności.

— Czy zarażone krowy chorują? — spytał Kim.

— Niekoniecznie. Choć szczep może wywoływać u nich biegunkę, krowy wydają się raczej odporne na tę toksynę, przynajmniej ogólnoustrojowo.

— Dziwne — stwierdził Kim. — Co za ironia! Kiedy biologia molekularna była w powijakach, kreślono czarny scenariusz, który wszystkich przerażał: jakiś naukowiec nadaje *Escherichia coli* zdolność wytwarzania jadu kielbasianego, po czym bakteria ta przez nieuwagę przedostaje się do przyrody.

— To dobre porównanie — przyznała Kathleen. — Szczególnie jeśli wziąć pod uwagę, że pojawienia się *Escherichia coli* 0157:H7 przyroda zapewne nie zawdzięcza samej sobie. Pomógł jej w tym człowiek.

— Jak to? — zapytał Kim.

— Przypuszczam, że *Escherichia coli* 0157:H7 wzięła się z intensywnych technik uprawnych, jakie się dzisiaj stosuje — odparła Kathleen. — Duże zapotrzebowanie na tanie pasze białkowe doprowadziło do twórczych, ale też i obrzydliwych rozwiązań. Krowy karmi się przetworzonymi zwierzętami, także krowami. Nawet kurzy nawóz jest w powszechnym użyciu.

— Pani żartuje! — zawołał Kim.

— Chciałabym. Na domiar złego zwierzętom podaje się antybiotyki, które tworzą w ich wnętrznościach środowisko sprzyjające rozwojowi nowych szczepów: W gruncie rzeczy *Escherichia coli* 0157:H7 powstała wtedy, gdy DNA toksyny *Shigella* zostało przeniesione wraz z DNA potrzebnym do otrzymania szczególnej odporności antybiotycznej.

Kim z niedowierzaniem potrząsnął głową. Słuchał z wielkim zaciekawieniem, ale raptem przypomniał sobie o sprawie najważniejszej: o sytuacji Becky. Natychmiast go to otrzeźwiło.

— Wszystko sprowadza się zatem do obecności wołowych odchodów w mielonej wołowinie — stwierdził. W jego głosie znowu dało się słyszeć niepokojące napięcie.

— Myślę, że można tak powiedzieć — rzekła Kathleen.

— W takim razie wiem, gdzie Becky się tego nabawiła — dodał rozgniewanym tonem Kim.

— Zjadła nie dopieczony hamburgera w restauracji Onion Ring w piątek wieczorem.

— To by się zgadzało — potwierdziła Kathleen. — Choć okres inkubacji *Escherichia coli* jest zwykle dłuższy, czasami wynosi nawet tydzień.

Drzwi pracowni rentgenowskiej otworzyły się z trzaskiem, Kim i Kathleen poderwali się. Jedna z pielęgniarek wsunęła się do środka. Miała zarumienioną twarz.

— Doktor Morgan! — odezwała się podekscytowana. — Jest nagłe wezwanie do Becky Reggis!

Kim i Kathleen wypadli z pokoju i ile sił w nogach pobiegli w stronę pokoju Becky.

Rozdział 9

Środa po południu, 21 stycznia

W pokoju Becky Kim zobaczył pielęgniarki stojące po obu stronach łóżka. Jedna mierzyła ciśnienie krwi, druga temperaturę. Becky wiła się z bólu, jęcząc głośno. Była blada jak duch. Tracy stała z boku oparta o ścianę i przyciskała rękę do ust. Wydawała się niemal tak samo blada jak Becky.

— Co się stało? — zapytał Kim.

Tuż za nim do pokoju wsunęła się Kathleen.

— Nie wiem — zawodziła Tracy. — Rozmawialiśmy sobie, kiedy ni stąd, ni zowąd krzyknęła. Powiedziała, że strasznie boli ją żołądek i lewe ramię. Potem zatrzęsły nią dreszcze.

Pielęgniarka, która mierzyła ciśnienie krwi, poinformowała, że wynosi ono dziewięćdziesiąt pięć na sześćdziesiąt.

Kathleen obeszła łóżko z lewej strony i wymacała puls Becky.

— Czy wezwano doktor Stevens? — zapytała.

— Tak, od razu — odparła pielęgniarka.

— Ma czterdzieści jeden stopni gorączki — stwierdziła druga posepnym głosem. Nazywała się Lorraine Phillips, jej koleżanka zaś Stephanie Gragoudos.

Kim odsunął Lorraine od łóżka. Ogarnęła go wściekłość. Patrząc na cierpiącą córkę, czuł się tak, jakby wbijano mu noże w serce.

— Becky, co ci jest? — spytał.

— Brzuch mnie boli — zdołała wyjąkać Becky. — Okropnie boli. Pomóż mi, tatusiu!

Kim ściągnął okrywający dziewczynkę koc. Z przerażeniem odkrył na jej piersi purpurowy pas podskórnego krwawienia. Podniósł oczy na Kathleen.

— Wiedziała pani o tej plamie? — spytał.

Kathleen skinęła głową.

— Tak, zauważyłam ją wcześniej.

— Wczoraj wieczorem jej nie było — stwierdził Kim. Spojrzał ponownie na Becky. — Pokaż tatusiowi, gdzie cię boli.

Becky wskazała dolną część brzucha, nieco na prawo od środka. Wyraźnie starała się nie dotykać bolącego miejsca.

Kim delikatnie położył końce palców wskazującego, środkowego i serdecznego na brzuchu Becky w miejscu, które mu pokazała. Ucisnął je leciutko, zaledwie tyle, aby zmarszczyć skórę. Becky skrzyła się z bólu.

— Proszę, tatusiu, nie dotykaj mnie — zajęczała błagalnie.

Kim cofnął gwałtownie rękę. Oczy Becky otworzyły się szeroko i z jej spierzchniętych ust wydobył się okrzyk bólu. To właśnie była reakcja, której Kim się obawiał. Wskazywała na tak zwany objaw Blumberga, świadczący o zapaleniu otrzewnej, cienkiej błony wyściełającej wnętrze jamy brzusznej. Tylko jedna przyczyna mogła spowodować podobną katastrofę.

Kim wyprostował się.

— Zespół ostrego brzucha! — krzyknął. — Nastąpiła perforacja!

Bez chwili wahania przepchnął się do wezglowia łóżka i odblokował kółka.

— Niech ktoś zwolni tylne kółka! — wrzasnął. — Odwieziemy ją na łóżku. Musimy zaraz przenieść ją na oddział chirurgiczny.

— Myślę, że powinniśmy poczekać na doktor Stevens — oznajmiła cichym głosem Kathleen. Gestem nakazała Stephanie, by ta odsunęła się od łóżka. Następnie zbliżyła się do Kima i stanęła obok niego.

— Do diabła z doktor Stevens! Jedziemy prosto na stół operacyjny. Koniec z załamywaniem rąk. Trzeba działać!

Kathleen położyła rękę na ramieniu Kima, lekceważąc dziki wyraz jego oczu.

— Doktorze Reggis, to nie pański oddział. Musi się pan uspokoić...

W podnieceniu Kim uznał Kathleen za przeszkodę na drodze, a nie koleżankę po fachu. Zdecydowany jak najprędzej odwieźć Becky na operację, podszedł do Kathleen i odepchnął ją jednym ruchem. Pchnięcie było tak silne, że jej drobne ciało uderzyło o stojący przy łóżku stolik.

Kathleen próbowała chwycić się blatu, aby nie stracić równowagi, lecz strąciła jedynie wszystkie znajdujące się na nim przedmioty. Dzbanek z wodą, szklanka, wazon na kwiaty i termometr — wszystko rozbiło się z impetem na podłodze.

Stephanie wybiegła na korytarz, wzywając pomocy, podczas gdy Lorraine usiłowała unieruchomić łóżko. Mimo blokady tylnych kółek Kim zdołał przesunąć je w stronę drzwi.

Tracy otrząsnęła się z szoku, podbiegła do niego i szarpnęła go za rękę, żeby puścił łóżko.

— Kim przestań — wychlipała. — Proszę cię!

Pojawiło się kilka pielęgniarek, wśród nich również oddziałowa, i jeden krzepki pielęgniarz. Wszyscy otoczyli Kima, który ciągle próbował wypchnąć łóżko na korytarz. Nawet Kathleen podniosła się z podłogi i dołączyła do nich. W końcu, pokonany liczebnie, Kim z niezadowoleniem puścił łóżko. Wrzasnął, że jeśli ktoś nie rozumie, iż Becky wymaga natychmiastowej operacji, to nie nadaje się do pracy w szpitalu.

— Jak mnie uspią? — spytała Becky głosem, w którym już przebijała senność.

— Dadzą ci dożylnie lekarstwo — wyjaśnił jej ojciec. — Nie bój się, to nic nie boli. Jak się obudzisz, od razu poczujesz się lepiej.

Becky leżała w łóżku w tej części bloku operacyjnego, gdzie znieczulano pacjentów. Jej włosy przykrywał czepek chirurgiczny. Podano jej środki znieczulające, toteż ból i dyskomfort ustąpiły, lecz pozostał niepokój przed zbliżającą się operacją.

Kim stał tuż przy jej łóżku, obok innych pacjentów czekających na odwiezienie do poszczególnych sal operacyjnych. Miał na sobie sterylny fartuch, czepek i okrycia na buty. Zdążył już przyjść do siebie po scenie w pokoju Becky, która miała miejsce półtorej godziny temu. Serdecznie przeprosił Kathleen, która odparła z wdziękiem, że go rozumie. Wkrótce potem zjawiała się Claire i zarządziła natychmiastowe konsylium lekarskie.

— Czy nic mi się nie stanie, tatusiu? — zapytała Becky.

— Cóż to za pytanie? — odrzekł Kim, starając się nadać swemu głosowi ton zdziwienia. — Oczywiście, że wszystko będzie dobrze. Lekarze otworzą ci brzusek, zatkają małą dziurkę i po krzyku.

— Może to kara za to, że nie chciałam brać udziału w mistrzostwach kraju — rzekła Becky. — Teraz żałuję, że się nie zgłosiłam. Wiem, że tego chciałeś.

Kim powstrzymał cisnące się do oczu łzy. Przez moment patrzył gdzieś w dal, aby zebrać się w garść i wymyślić jakąś odpowiedź. Nie potrafił mówić córce o wyrokach losu, skoro sam miał wiele wątpliwości. Zaledwie kilka dni temu Becky była ucieleśnieniem dziecięcego wigoru, w tej chwili zaś stała na skraju przepaści. Dlaczego? — pytał sam siebie.

— Poproszę mamę, żeby przyniosła mi formularz zgłoszeniowy — dodała Becky.

— Nie przejmuj się mistrzostwami — powiedział Kim. — Nic mnie one nie obchodzą. Tylko ty się dla mnie liczysz.

— Okay, Becky — rozległ się wesoły głos. — Czas na małą drzemkę.

Kim podniósł głowę. Zarówno anestezjolog, Jane Flanagan, jak i chirurg, James O'Donnell, wyłonili się już z głębi sali operacyjnej i podchodzili teraz do łóżka, na którym spoczywała dziewczynka. Jane zbliżyła się do wezglowia i odblokowała przednie kółka.

Becky ścisnęła rękę ojca ze zdumiewającą siłą, jak na ilość środków znieczulających, które jej zaaplikowano.

— Czy będzie bolało? — spytała Kima.

— Ani troszkę, kiedy jest przy tobie Jane — odpowiedział wesoło James, usłyszawszy pytanie. — To najlepsza królowa snów, jaka pracuje w tym biznesie.

— Postaramy się, aby przyśnił ci się kolorowy sen — zażartowała Jane.

Kim znał i podziwiał ich oboje. Pracował z Jane przy niezliczonych operacjach i zasiadał wraz z Jamesem w dziesiątkach komisji szpitalnych. James, podobnie jak Kim, pracował daw-

niej w Samarytaninie, gdzie zdobył sobie uznanie jako najlepszy chirurg przewodu pokarmowego w mieście. Kim poczuł ulgę, kiedy ten zgodził się po południu rzucić wszystko i przyjechać na operację Becky.

James chwycił tył łóżka, na którym leżała Becky. Kierował nimi, Jane zaś szła tyłem i oboje wieźli Becky w stronę podwójnych drzwi wahadłowych prowadzących na korytarz.

Kim szedł obok noszy. Becky nadal ścisnęła go za rękę. Jane napała tyłem na drzwi i otworzyła je. W chwili gdy łóżko wysuwało się na korytarz, James położył rękę na ramieniu Kima, aby go zatrzymać. Drzwi zamknęły się za Becky i Jane.

Kim przeniósł wzrok z dłoni spoczywającej na jego ramieniu na twarz Jamesa. Chirurg nie dorównywał mu wzrostem, ale był cięższy. Nos miał usiany piegami.

— Co robisz? — zdziwił się Kim. — Puść mnie, James.

— Słyszałem, co stało się na dole. Myślę, że będzie najlepiej, jeśli nie wejdiesz na salę operacyjną.

— Ale ja chcę wejść — zaproponował Kim.

— Być może. Ale nie wejdiesz.

— Do diabła, James — powiedział Kim. — Tam leży moja córka, moja jedynaczka.

— No właśnie. Albo zaczekasz w pokoju chirurgów, albo ja nie robię tej operacji. Prosta alternatywa.

Twarcz Kima zaczerwieniła się. Poczł popłoch, jak człowiek osaczony, a zarazem zakłopotanie, gdyż nie wiedział, co ma robić. Rozpaczliwie pragnął, aby to James wykonał tę operację, a zarazem lękał się rozstania z Becky.

— Musisz się zdecydować — stwierdził James. — Im dłużej zwlekasz, tym gorzej dla Becky.

Kim wyrwał mu się ze złością i bez słowa oddalił się w kierunku szatni przylegającej do pokoju chirurgów.

Przechodząc przez pokój, nie patrzył w twarze znajdujących się tam osób. Był zbyt rozstrojony. Nie przeszedł jednak nie zauważony.

W szatni podszedł prosto do umywalki i wypełnił ją zimną wodą. Parokrotnie chlusnął sobie nią w twarz, zanim wyprostował się i przyjrzał sobie w lustrze. Ponad ramieniem ujrzał wychudłą twarz Forrester'a Biddle'a.

— Chcę z panem pomówić — rzucił Forrester.

— Słucham — odparł Kim. Wziął ręcznik i energicznie wytarł nim twarz. Nie odwrócił się.

— Mimo moich błagań, aby nie nagłaśniał pan w mediach swoich opinii, z przerażeniem usłyszałem w wieczornych wiadomościach, jak Kelly Anderson ponownie cytuje pańską wypowiedź.

Kim wydał z siebie krótki, pozbawiony wesołości śmiech.

— To dziwne, skoro nie chciałem z nią gadać.

— Powiedziała, że w pańskim przekonaniu AmeriCare zamknęła oddział pierwszej pomocy medycznej w szpitalu Dobrego Samarytanina po to, żeby zredukować koszty i zwiększyć zyski poprzez zmuszanie ludzi do korzystania z naszego zatłoczonego oddziału w Uniwersyteckim Centrum Medycznym.

— Nie ja to powiedziałem, ale ona.

— Powołała się na pana.

— Przedziwna sytuacja — stwierdził Kim niedbałym tonem. W stanie nerwowego podniecenia, w jakim się znajdował, święte oburzenie Forreстера sprawiało mu perwersyjną przyjemność. W rezultacie Kim nie miał ochoty się bronić, choć wspomniany przez Forreстера incydent umocnił go w postanowieniu, aby nigdy więcej nie rozmawiać z dziennikarką.

— Ostrzegam pana po raz ostatni — oświadczył Forrester. — Cierpliwość administracji i moja są na wyczerpaniu.

— W porządku. Zostałem ostrzeżony po raz ostatni.

Na chwilę napięte usta Biddle'a zamieniły się w wąską kreskę.

— Potrafi pan być zajadły — wyrzucił. — Pragnę przypomnieć, że nie powinien pan oczekiwać tutaj specjalnego traktowania tylko dlatego, że kierował pan kardiochirurgią w Samarytanie.

— To widać — stwierdził Kim. Cisnął ręcznik do kosza i wyszedł z szatni, nie obdarzając Forreстера spojrzeniem.

Korzystając z telefonu w zamkniętej kabinie, żeby uniknąć Forreстера, Kim zadzwonił do Ginger, by powiadomić ją, że nie wróci już do gabinetu. Odpowiedziała, że przewidziała to i odprawiła wszystkich pacjentów do domu.

— Czy byli źli?

— Chyba nie trzeba pytać — odrzekła Ginger. — Oczywiście, że byli źli, ale zrozumieli, kiedy powiedziałam im, że jeden z twoich pacjentów wymaga nagłej pomocy. Wyjaśniłam, że chodzi o twoją córkę; mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe. Widziałam, że ci współczują.

— Dobrze zrobiłaś — powiedział Kim, choć nie lubił mieszać życia zawodowego z prywatnym.

— Jak czuje się Becky? — spytała Ginger.

Kim wyjaśnił jej, co się stało, dodając, że Becky jest w tej chwili operowana.

— Bardzo mi przykro. Czy mogę jakoś pomóc?

— Nic nie przychodzi mi do głowy — odparł Kim.

— Zadzwon do mnie — poprosiła. — Po aerobiku będę w domu.

— Okay — rzekł Kim i odwiesił słuchawkę.

Kim znał samego siebie na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie usiedzi spokojnie na miejscu, kiedy Becky przechodzi operację, toteż udał się do szpitalnej biblioteki. Czekало go sporo czytania. Musiał dowiedzieć się jak najwięcej na temat *Escherichia coli* 0157:H7 oraz zespołu hemolityczno-mocznicowego.

Kim spojrział na zegarek. Była prawie północ. Znów popatrzył na Becky i zadrżał. Jej rysy zniekształcała przezroczysta rurka z plastiku, która wychodziła z nosa dziewczynki i łączyła się z pompą. Ciemne włosy okalały jej anielską, pobladłą twarz łagodnymi falami. Tracy rozczesywała je przez niemal godzinę. Było to coś, co zawsze sprawiało Becky przyjemność, i tym razem także podziałało; Becky spała twardym snem i wydawała się ucieleśnieniem spokoju.

Kim stał tuż obok łóżka. Pokój tonął w łagodnym blasku nocnego oświetlenia podobnie jak rankiem. Kim był wyczerpany psychicznie i fizycznie.

Tracy siedziała po drugiej stronie łóżka, oparta plecami o jedno z dwóch wyściełanych krzesel stojących w pokoju. Chociaż miała zamknięte oczy, Kim dobrze wiedział, że nie śpi.

Drzwi otworzyły się bez szmeru. Janet Emery, korpulentna pielęgniarka pełniąca nocny dyżur, weszła do środka. Jej blond włosy jaśniały w półmroku. Milcząc, zbliżyła się do łóżka. Gumowe podeszwy butów sprawiały, że jej kroki były niesłyszalne. Zaświeciła małą latarkę, po czym zmierzyła Becky ciśnienie krwi, tętno i temperaturę. Dziewczynka poruszyła się przez sen, lecz natychmiast ponownie znieruchomiała.

— Wszystko ładnie i w normie — odezwała się cicho Janet.

Kim skinął głową.

— Może powinniście państwo iść do domu — dodała pielęgniarka. — Nie spuszczę z oka waszego małego aniołka.

— Dziękuję, ale wolę zostać — oznajmił Kim.

— Wydaje mi się, że odpoczynek dobrze by państwu zrobił — upierała się. — To był długi dzień.

— Niech pani po prostu robi swoje — mruknął Kim.

— Oczywiście — odparła Janet wesóło. Przesunęła się w stronę drzwi i zniknęła cicho.

Tracy otworzyła oczy i ujrzała Kima. Przedstawiał opłakany widok; jego włosy były rozwichrzone, twarz pokryta szczecina. Mdłe światło akcentowało jego zapadłe policzki, nadając oczodołom wygląd czarnych dziur.

— Kim! — odezwała się. — Nie możesz nad sobą panować? W ten sposób nie pomagasz nikomu, nawet sobie.

Tracy czekała na odpowiedź, ale ta nie nadeszła. Kim sprawiał wrażenie rzeźby przedstawiającej milczące cierpienie.

Tracy westchnęła i przeciągnęła się.

— Jak tam Becky?

— Trzyma się. Operacja usunęła bezpośrednie zagrożenie.

Zabieg trwał krótko. Prawdę mówiąc — jak James poinformował Kima — większość czasu dokładnie płukali jamę brzuszną, żeby zmniejszyć ryzyko zakażenia. Po operacji Becky leżała przez jakiś czas w sali pooperacyjnej, potem wróciła na poprzednie piętro. Kim poprosił, aby umieszczono ją w sali intensywnej opieki, ale prośbę odrzucono.

— Opowiedz mi jeszcze raz o kolostomii — poprosiła Tracy. — Mówiłeś, że rana może się zagoić w kilka tygodni.

— Coś koło tego — przyznał ze zmęczeniem Kim. — Jeśli wszystko dobrze pójdzie.

— Dla Becky to był wielki wstrząs. Do tego jeszcze ta rurka w nosie. Z trudem daję sobie radę. Co gorsza, czuje się oszukana, bo nikt jej nie uprzedził, co może ją spotkać.

— Nic nie można było na to poradzić — warknął Kim. Odchylił się i opadł na krzesło podobne do tego, na którym siedziała Tracy. Oparł łokcie na twardych podłokietnikach, ukrył twarz w dłoniach.

Teraz Tracy widziała tylko czubek jego głowy wystający nad łóżkiem Becky. Nie poruszał się. Posąg przedstawiający milczące cierpienie zastygł w jeszcze bardziej ekspresyjnej pozie.

Widok przygnębionego Kima zmusił Tracy do zastanowienia się nad całą sytuacją z jego punktu widzenia. Odwołując się do swoich doświadczeń terapeutycznych, Tracy uświadomiła sobie, jak ciężko musi mu być w tej chwili, biorąc pod uwagę nie tylko jego wiedzę medyczną, ale także — co ważniejsze — jego narcyzm. Raptownie złość, jaką do niego czuła, stopniała bez śladu.

— Kim, — odezwała się. — Może powinieneś pójść do domu. Myślę, że musisz nabrać trochę dystansu i odpocząć. Poza tym masz jutro pacjentów. Ja mogę zostać. Opuszczę kilka lekcji.

— Nie zmrużyłbym oka, nawet gdybym pojechał do domu — odparł Kim, nie odejmując rąk od twarzy. — Za dużo już wiem.

Gdy Becky znajdowała się w sali operacyjnej, Kim studiował w bibliotece publikacje na temat zespołu hemolityczno-mocznicowego. To, czego się dowiedział, było przerażające i przytłaczające. Wszystko, o czym mówiła mu Kathleen, okazało się prawdą. Zespół hemolityczno-mocznicowy był straszną chorobą. Kim mógł mieć tylko nadzieję, że Becky zapadła na coś innego. Problem w tym, że wszystko wskazywało na ten właśnie syndrom.

— Wiesz, Kim, zaczynam rozumieć, jak trudna jest dla ciebie ta sytuacja, pominawszy twoje wykształcenie medyczne — wyznała szczerze Tracy.

Kim odsunął ręce od twarzy i spojrzał w stronę Tracy.

— Błagam, nie serwuj mi swoich psychologicznych bzdur. Nie teraz!

— Nazwij to, jak chcesz — odparła. — Ale zdaję sobie sprawę, że pewnie pierwszy raz w życiu stanąłeś wobec poważnego problemu, którego nie możesz pokonać ani siłą woli, ani swoimi kwalifikacjami. Myślę, że to ciąży ci najbardziej.

— Owszem, ja natomiast sędzę, że ciebie to w ogóle nie obchodzi.

— Wręcz przeciwnie — zaoponowała Tracy. — Bardzo mnie obchodzi. Ale dla ciebie to co innego. Myślę, że musisz uporać się z czymś więcej niż tylko stan zdrowia Becky. Musisz zmierzyć się z nowymi granicami, nowymi barierami, które przeszkadzają ci skutecznie nieść pomoc Becky. Za to płaci się wysoką cenę.

Rozdział 10

Czwartek, 22 stycznia

Koniec końców Kim pojechał do domu, ale tak jak się spodziewał, spał bardzo krótko, dręczony przez niespokojne sny. Kilka z nich było dla niego niezrozumiałych; wyśmiewano się z niego za słabe oceny, które dostał z testów w college'u. O wiele bardziej przerażający koszmar dotyczył Becky i Kim łatwo mógł go zrozumieć. We śnie Becky spadła z nabrzeża do spienionego morza. Chociaż on także tam był, nie mógł podać Becky ręki, niezależnie od tego, jak bardzo się starał. Gdy się obudził, był zlany potem.

Mimo że mało wypoczął, powrót do domu dał mu okazję, żeby wziąć prysznic i ogolić się. Przynajmniej nieco odświeżony, Kim był z powrotem w samochodzie tuż po piątej rano. Jechał po prawie pustych ulicach lśniących od śniegowego puchu.

Stan Becky nie zmienił się od czasu, gdy ją opuścił. Spała pogrążona w złudnie spokojnym śnie. Tracy również mocno spała — zwinęła się na winylowym krześle, okryta szpitalnym kocem.

W dyżurce pielęgniarek Kim podszedł do Janet Emery wypełniającej karty szpitalne pacjentów.

— Przepraszam, jeśli byłem wczoraj zbyt szorstki — odezwał się Kim. Usiadł ciężko na krześle obok Janet. Wyjął z półki kartę Becky.

— Nie wzięłam sobie tego do serca — odpowiedziała Janet. — Wiem, jaki to stres, kiedy ma się dziecko w szpitalu. Przeżyłam to z moim synem.

— Jak minęła noc? Stało się coś, o czym powinienem wiedzieć?

— Stan Becky jest stabilny. Najważniejsze, że temperatura utrzymuje się na normalnym poziomie — stwierdziła Janet.

— Bogu dzięki — westchnął Kim.

Znalazł zapis operacyjny, który podyktował James i który naniesiono na kartę chorobową ostatniej nocy. Kim przeczytał go, ale nie dowiedział się niczego ponad to, co już wiedział. Nie miał nic do roboty, więc udał się do swojego gabinetu i wziął się do przeglądania góry papierów, które zdążyły się nagromadzić. Co chwila patrzył na zegar. Gdy uznał, że nadszedł właściwy moment, uwzględniając godzinę różnicy czasu na Wschodnim Wybrzeżu, Kim zatelefonował do George'a Turnera.

George ogromnie mu współczuł, kiedy usłyszał o perforacji jelita i o niezbędnej w tym wypadku operacji. Kim podziękował mu za troskę i szybko przeszedł do sedna rzeczy: chciał zapytać George'a, co należy zrobić, jeżeli potwierdzi się diagnoza o zespole hemolityczno-mocznicowym wywołanym przez *Escherichia coli* 0157:H7. Kima szczególnie interesowało to, czy Becky powinna zostać przeniesiona gdzie indziej.

— Nie zalecałbym tego — odparł George. — Masz tam wspaniały zespół, zwłaszcza Claire Stevens i Kathleen Morgan. One mają spore doświadczenie z tym zespołem. Być może większe niż ktokolwiek inny.

— A ty miałeś kiedyś do czynienia z zespołem hemolityczno-mocznicowym? — spytał Kim.

— Tylko raz.

— Czy to naprawdę tak okropne, jak opisują? Przeczytałem na ten temat wszystko, co mogłem znaleźć, również w Internecie. Kłopot w tym, że nie ma tego wiele.

— Przypadek, z którym miałem do czynienia, był bardzo smutnym przeżyciem — wyznał George.

— Możesz powiedzieć coś więcej? — poprosił Kim.

— Był nieprzewidywalny i bezwzględny — powiedział George. — Mam nadzieję, że okaże się, iż Becky ma coś innego.

— Czy możesz mówić jaśniej?

— Wolałbym nie. Ten syndrom ciągle się zmienia. Nawet jeśli Becky na niego zapadła, przebieg prawdopodobnie będzie całkiem inny niż w moim przypadku. Mój przypadek był po prostu przygnębiający.

Po paru minutach Kim zakończył rozmowę. Zanim George odwiesił słuchawkę, poprosił Kima, aby na bieżąco informował go o przebiegu choroby. Kim obiecał to zrobić.

Kim zadzwonił następnie do dyżurki pielęgniarek i zapytał Janet o Tracy.

— Wstała już i jest gdzieś tutaj — poinformowała go Janet. — Ostatni raz widziałam ją, kiedy zaglądałam do Becky.

— Mogłabyś poprosić ją do telefonu?

— Proszę bardzo — odparła grzecznie pielęgniarka.

Czekając, Kim myślał o tym, co usłyszał od George'a. Nie podobało mu się ani to, że syndrom jest „nieprzewidywalny i bezwzględny”, ani że przypadek George'a był „przygnębiający”. Te przymiotniki przypomniały Kimowi nocny koszmar i poczuł, jak oblewa się zimnym potem.

— To ty, Kim? — spytała Tracy, podszedłszy do telefonu.

Rozmawiali przez parę minut o tym, jak spędzili ostatnie pięć godzin. Żadne z nich nie spało zbyt dobrze. Potem zaczęli mówić o Becky.

— Zdaje się, że jest z nią trochę lepiej niż wczoraj wieczorem — powiedziała Tracy. — Jest bardziej przytomna. Myślę, że odespała te wszystkie anestetyki. Skarży się głównie na sondę żołądkową. Kiedy jej to wyjmą?

— Kiedy tylko jej układ pokarmowy zacznie pracować.

— Miejmy nadzieję, że wkrótce — dodała Tracy.

— Rozmawiałem z George'em — oznajmił Kim.

— Co powiedział?

— Że Claire i Kathleen to dobry zespół, zwłaszcza jeśli potwierdzi się rozpoznanie zespołu hemolityczno-mocznicowego. Powiedział, że nigdzie indziej nie miałyby lepszej opieki.

— To pocieszające — przyznała Tracy.

— Słuchaj, zamierzam tu zostać — oświadczył Kim. — Przyjmę paru pacjentów, włącznie z tymi, którzy mają wyznaczoną operację na jutro. Mam nadzieję, że nie będziesz mi tego miała za złe.

— Ależ skąd. Uważam nawet, że to dobry pomysł.

— Trudno mi siedzieć i nic nie robić — wyjaśnił Kim.

— Całkowicie cię rozumiem — zapewniła go. — Rób to, co musisz. Ja tutaj będę, więc się nie martw.

— Zadzwoń do mnie, jeśli coś się zmieni — poprosił.

— Oczywiście! Będziesz wiedział pierwszy.

Kiedy przed dziewiątą przybyła Ginger, Kim poprosił ją, żeby odwołała tylu pacjentów, ilu zdoła, gdyż po południu chciał pójść do Becky.

Ginger zapytała o Becky. Stwierdziła, że jest rozczarowana, iż Kim nie zadzwonił do niej wczoraj wieczorem. Martwiła się całą noc, ale bała się zadzwonić. Kim powiedział jej, że Becky czuje się lepiej po operacji. Wyjaśnił też, że wrócił do domu po północy i uznał, że jest już zbyt późno na telefon.

Przyjmowanie pacjentów w takich okolicznościach nie było łatwe, ale zmusił się do skupienia. Wysilek opłacił się. Około południa czuł się odrobinę bardziej odprężony, choć serce skakało mu do gardła, ilekroć rozbrzmiewał dzwonek telefonu.

W porze lunchu nie był głodny, a kupiona na wynos kanapka, którą przyniosła mu Ginger, leżała nietknięta na biurku. Kim wolał bez reszty zagłębić się w problemach swoich pacjentów. Nie musiał wtedy zajmować się własnymi.

Wczesnym popołudniem, kiedy Kim rozmawiał przez telefon z kardiologiem z Chicago, Ginger wsunęła głowę przez drzwi. Z wyrazu jej twarzy mógł wywnioskować, że stało się coś złego. Zakrył słuchawkę dłonią.

— Tracy czeka na drugiej linii — odezwała się Ginger. — Była bardzo zdenerwowana. Powiedziała, że Becky nagle się pogorszyło i została przeniesiona na intensywną opiekę.

Kimowi przyspieszył puls. Szybko zakończył rozmowę z lekarzem z Chicago i odłożył słuchawkę. Zmienił marynarkę, wziął kluczyki od samochodu i pobiegł do drzwi.

— Co mam zrobić z pozostałymi pacjentami? — zapytała Ginger.

— Każ im iść do domu — rzucił zwięźle Kim.

Kim prowadził auto zdecydowanie, często zjeżdżając na pobocze, by uniknąć popołudniowych korków. Im bardziej zbliżał się do szpitala, tym bardziej był niespokojny. Chociaż sam

optował za przeniesieniem Becky na oddział intensywnej opieki, teraz, gdy się tam znalazła, ogarnął go strach. Znał aż nadto dobrze oszczędnościowy program AmeriCare i był pewien, że nie zabrano jej tam w celach profilaktycznych; musiała wystąpić nagła konieczność.

Minął parking dla lekarzy i przejechał prosto przez bramę wjazdową szpitala. Wyskoczył z samochodu i rzucił kluczyki zaskoczonemu strażnikowi. Przeształ z nogi na nogę, gdy winda wiozła go mozolnie na piętro, gdzie mieścił się oddział intensywnej opieki medycznej. Znalazłszy się na zatłoczonym korytarzu, poruszał się najszybciej, jak umiał. Kiedy docierał do poczekalni przeznaczonej dla rodzin pacjentów leżących na tym oddziale, dostrzegł Tracy.

Zobaczyła go, podeszła do niego, zarzuciła mu ramiona na szyję i przywarła do niego mocno. Przez moment nie wypuszczała go. Kim musiał siłą uwolnić ramiona i delikatnie odsunąć ją od siebie. Spojrzał jej w oczy, w których lśniły łzy.

— Co się stało? — zapytał. Bał się usłyszeć odpowiedź.

— Jest z nią gorzej — wyszeptala Tracy. — Znacznie gorzej, i stało się to nagle, tak samo jak było z perforacją.

— Ale o co chodzi? — spytał zatrwożony Kim.

— Oddychanie. Nagle nie mogła oddychać.

Kim próbował wyrwać się z objęć Tracy, ale przytrzymała go, miętosząc mu marynarkę.

— Kim, obiecaj mi, że będziesz panował nad sobą. Musisz, dla dobra Becky!

Oswobodził się z uścisku i wybiegł z poczekalni.

— Kim, zaczekaj! — zawołała i pobiegnęła za nim.

Nie zważając na nic, Kim przeciął hol i wszedł na oddział intensywnej opieki. Zatrzymał się na chwilę w drzwiach i zlustrował wnętrze sali. Większość łóżek była zajęta. Wszyscy leżący w nich pacjenci byli poważnie chorzy. Prawie przy każdym łóżku krzątała się pielęgniarka. Rzędy monitorów popiskiwały i wyświetlały wykresy czynności życiowych.

Największy ruch panował w jednym z małych, oddzielnych pomieszczeń. Wewnątrz znajdowała się grupa lekarzy i pielęgniarek, obok leżał jakiś ciężko chory pacjent. Kim podszedł tam i stanął w wejściu. Zobaczył respirator i usłyszał jego rytmiczny syk.

Spostrzegła go Judy Carlson, pielęgniarka, którą znał. Zawołała go po nazwisku. Wszyscy, którzy otaczali łóżko Becky, cofnęli się, żeby odsłonić Kimowi widok. Dziewczynka była intubowana. Z ust wystawała jej sporych rozmiarów rurka, którą przyklejono do jej policzka. W oddychaniu wspomagał ją respirator.

Kim przypadł do jej łóżka. Becky spojrzała na niego przestraszonymi oczyma. Dano jej środki nasenne, ale wciąż była przytomna. Miała skrępowane ręce, żeby nie wyjęła sobie rurki z tchawicy.

Kim poczuł, że coś się w nim łamie. Miał przed oczami swój sen z ostatniej nocy, tylko że tym razem była to rzeczywistość.

— Jest dobrze, misiaczku, tatuś jest przy tobie — powiedział, walcząc z emocjami. Rozpaczliwie pragnął powiedzieć cokolwiek, byle podtrzymać ją na duchu. Chwycił ją za ręce. Becky chciała coś powiedzieć, ale było to niemożliwe z powodu rurki w ustach.

Kim popatrzył po obecnych. Skupił uwagę na Claire Stevens.

— Co się stało? — spytał, zachowując spokojny ton głosu.

— Może powinniśmy wyjść na zewnątrz — odparła Claire.

Kim skinął głową. Uścisnął dłoń córki i powiedział jej, że zaraz wróci. Becky próbowała coś odpowiedzieć, ale nie mogła.

Lekarze przeszli do sąsiedniej sali i stanęli z boku. Kim złożył ręce na piersi, żeby ukryć ich drżenie.

— Proszę mówić! — nakazał.

— Wpierw pozwoli pan, że wszystkich przedstawię — powiedziała Claire. — Kathleen Morgan oczywiście pan już zna. To jest doktor Arthur Horowitz, nefrolog; doktor Walter Ohanesian, hematolog, i Kevin Blanchard, fizjoterapeuta oddechowy.

Claire wskazywała po kolei każdą osobę. Wszyscy kłaniali się Kimowi, który odpowiadał im tym samym.

— Teraz słucham — odezwał się zniecierpliwiony.

— Najpierw muszę panu powiedzieć, że bez wątpienia mamy do czynienia z *Escherichia coli* 0157:H7 — oznajmiła Claire. — Więcej o tym konkretnym szczepie będziemy wiedzieć jutro po zrobieniu elektroforezy.

— Dlaczego Becky jest intubowana?

— Toksemia zaatakowała jej płuca. Zmniejszyła się ilość tlenu i dwutlenku węgla we krwi.

— Wystąpiła też niewydolność nerek — odezwał się Arthur. — Zaczęliśmy dializę otrzewnową. — Nefrolog był kompletnie łysym mężczyzną z gęstą brodą.

— Dlaczego nie sztuczna nerka? — zapytał Kim. — Czyż nie jest bardziej skuteczna?

— Powinna poczuć się lepiej po dializie — odpowiedział Arthur.

— Ale Becky dopiero co przeszła operację po perforacji — przypomniał Kim.

— Wzięliśmy to pod uwagę. Problem polega na tym, że AmeriCare ma sztuczną nerkę jedynie w Szpitalu Podmiejskim. Musielibyśmy przetransportować tam pacjentkę, to zaś stanowczo odradzamy.

— Inny poważny problem to liczba płytek krwi — odezwał się hematolog. Był starszym, siwym mężczyzną, którego Kim oceniał na siedemdziesiąt parę lat. — Liczba płytek krwi spadła tak znacznie, że uważamy, iż trzeba je uzupełnić, pomimo wiążącego się z tym ryzyka. Inaczej możemy spodziewać się krwawienia.

— Mamy też kłopoty z wątrobą — powiedziała Claire. — Enzymy wątrobowe wyraźnie się podniosły, co wskazuje na...

Umysł Kima był przeciążony. Czuł się oszołomiony do tego stopnia, że przestał przyswajać sobie przedstawiane informacje. Widział, że lekarze mówią, ale ich nie słyszał. Nocny koszmar powtórzył się, Becky miotała się w niebezpiecznym, wzburzonym morzu.

Pół godziny później Kim wyszedł chwiejnym krokiem do poczekalni na oddziale intensywnej opieki. W tym momencie ujrzała go Tracy. Wyglądał jak człowiek załamany nerwowo. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Teraz Kim miał w nich łzy. Tracy wyciągnęła ręce i oboje zamarli w uścisku pełnym lęku i smutku.

Rozdział 11

Piątek, 23 stycznia

Kim przerwał na chwilę, aby zaczerpnąć tchu. Spojrzał na zegar wiszący na wykafelkowanej ścianie sali operacyjnej. Dochodziła druga po południu. Kim szybko posuwał się naprzód. Była to ostatnia z trzech zaplanowanych na dziś operacji.

Znowu popatrzył w otwartą ranę. Serce pacjenta było w pełni odsłonięte. Kim przygotowywał go do włączenia krążenia pozaustrojowego. Gdy skończy, serce będzie można zatrzymać i otworzyć. Wtedy Kim wymieni uszkodzoną zastawkę.

Następny krok był szczególnie trudny: wszczepienie kaniuli infuzyjnej do aorty, żeby udrożyć naczynia wieńcowe. To przez tę kaniulę popłynie roztwór kardioplegiczny, którego wysokie stężenie potasu zatrzyma czynność serca, schłodzi je i będzie odżywiać podczas operacji. Trzeba się jednak było uporać z ciśnieniem tętniczym.

— Skalpel — powiedział Kim.

Instrumentariuszka wetknęła skalpel z odpowiednim ostrzem w wyciągniętą dłoń Kima.

Kim wprowadził ostre narzędzia do rany i skierował je ku aorcie. Skalpel drżał mu w ręce. Kim zastanowił się, czy Tom to dostrzeże.

Wykonał krótkie nacięcie na aorcie i zakrył je czubkiem palca wskazującego lewej ręki. Zrobił to szybko, więc wypłynęło niewiele krwi. Te trochę, które się pokazało, Tom natychmiast odessał.

— Tętnicza kaniula infuzyjna — polecił Kim.

Kaniula została umieszczona w jego dłoni. Wprowadził ją do rany i ustawił przy swoim palcu zatykającym nacięcie w aorcie. Następnie wsunął koniuszek kaniuli pod palec, próbując wetknąć go do pulsującego naczynia. Z niejasnych dla niego przyczyn kaniula nie chciała przejść przez ścianę aorty. Krew tętnicza trysnęła na zewnątrz.

Co dziwniejsze, Kim wpadł w popłoch. Gdy krew wypełniała ranę, wepchnął kaniulę zbyt mocno i rozdarł aortę, powiększając otwór. Teraz nacięcie było zbyt duże, aby jego brzegi zwały się wokół bulwiastego koniuszka kaniuli. Krew wytrysnęła tak wysoko, że opryskała maskę chirurgiczną na twarzy Kima.

Teraz musiał stawić czoło chirurgicznemu wyzwaniu. Zamiast wpaść w większy popłoch, wykorzystał swoje doświadczenie. Szybko odzyskawszy spokój, włożył do rany lewą dłoń.

Palcem wymacał na oślep dziurę w pulsującej aorticie i zatkał ją, częściowo tamując krew. Tom czym prędzej odessał wystarczająco dużo krwi, żeby Kim mógł coś zobaczyć.

— Szwy! — rzucił Kim.

W dłoń wciśnięto mu igłę chirurgiczną z długą czarną jedwabną nicią. Kim zręcznie przeprowadził koniec igły przez ścianę naczynia. Zrobił to kilka razy, toteż gdy zaciągnął ostatni szew, otwór był zamknięty.

Gdy niebezpieczeństwo zostało zażegnane, Kim i Tom spojrzeli sobie w oczy ponad ciałem pacjenta. Tom skinął lekko głową w bok, a Kim przytaknął. Ku zaskoczeniu całego zespołu, obaj chirurdzy odeszli od stołu operacyjnego. Ręce w sterylnych rękawiczkach trzymali przyciśnięte do piersi w sterylnych fartuchach.

— Kim, pozwól mi dokończyć tę ostatnią operację — wyszeptał Tom. Było to przeznaczone wyłącznie do uszu Kima. — Będę mógł ci odplacić za tę samą przysługę, którą wyświadczyłeś mi parę tygodni temu, gdy miałem grypę. Pamiętasz?

— Pewnie, że pamiętam.

— Masz powody, aby być wykończony — dodał Tom.

Rzeczywiście: Kim był wyczerpany. Większość nocy spędził z Tracy w poczekalni oddziału intensywnej opieki. Kiedy stało się jasne, że stan Becky się ustabilizował, Tracy przekonała go, żeby odpoczął parę godzin w jednym z pokojów dla stażystów. Namówiła go też, aby wykonał zaplanowane operacje, argumentując, że pacjenci go potrzebują. Upierała się przy tym, że najlepsza będzie dla niego praca, skoro wszystko, co mógł uczynić dla Becky, to czekać. Najbardziej trafił mu do przekonania argument, że zostanie w szpitalu i będzie osiągalny, jeśli zajdzie taka potrzeba.

— Jak myśmy to robili jako stażyści? — zapytał Kim. — Przecież nigdy nie spaliśmy.

— Uroda młodości — odparł Tom. — Kłopot w tym, że nie jesteśmy już młodzi.

— To prawda — zgodził się Kim i przerwał na moment. Zdanie komuś operacji, nawet komuś tak kompetentnemu jak Tom, nie było dla niego łatwą decyzją. — W porządku — rzekł w końcu. — Przejmij operację. Ale będę cię obserwował jak jastrząb.

— Nie spodziewam się niczego innego — zażartował Tom. Znał Kima dostatecznie dobrze, aby rozpoznać jego poczucie humoru.

Obydwaj wrócili do stołu operacyjnego. Tym razem Tom stanął po prawej stronie pacjenta.

— Uwaga, wszyscy — oznajmił Tom. — Wprowadźmy tę kaniulę. Skalpel proszę!

Tom gładko doprowadził operację do końca. Mimo że Kim stał po lewej stronie pacjenta, to on umieścił zastawkę i założył pierwsze szwy. Tom zrobił resztę. Kiedy mostek został zamknięty, Tom zaproponował Kimowi, aby poszedł.

— Nie masz nic przeciwko temu? — zapytał Kim.

— Do diabła, skądże. Biegnij zająrzeć do Becky.

— Dzięki — odparł Kim. Odszedł od stołu i zdjął fartuch operacyjny i rękawiczki.

W chwili gdy otwierał ciężkie drzwi sali operacyjnej, Tom zawołał:

— Ja i Jane wypiszemy zalecenia pooperacyjne. Jeśli jest coś, co mógłbym jeszcze zrobić, po prostu zadzwoń.

— Jestem ci zobowiązany — odrzekł Kim. Pognał do szatni dla chirurgów, skąd zabrał długi biały kitel i zarzucił go na swój fartuch. Pragnął jak najszybciej znaleźć się na intensywnej terapii i nie chciał tracić czasu na przebieranie się w swoje rzeczy.

Kim zaglądał na oddział intensywnej opieki przed operacjami i między nimi. Stan Becky poprawił się trochę, a nawet wspominało się o odłączeniu jej od respiratora. Kim nie robił sobie zbyt wielkich nadziei, wiedząc, że dziewczynka jest podłączona do aparatu od niecałych dwudziestu czterech godzin.

Kim znalazł czas przed pierwszą operacją, aby ponownie zadzwonić do George'a i spytać go, czy jego zdaniem można coś jeszcze zrobić dla Becky. Niestety George nie miał żadnych sugestii z wyjątkiem plazmaferezy, której jednakże nie zalecał.

Kim przeczytał o leczeniu toksemii *Escherichia coli* 0157:H7 za pomocą plazmaferezy, kiedy szukał materiałów w bibliotece. Polegało to na zastąpieniu osocza pacjenta zamrożonym osoczem pochodzącym z banku krwi. Niestety, leczenie to uważano za kontrowersyjne i eksperymentalne o tyle, że wiązało się z nim ogromne ryzyko zarażenia wirusem HIV, gdyż nowe osocze pochodziło od setek różnych dawców.

Drzwi windy otworzyły się i Kim musiał dołączyć do grupy szczęśliwych pracowników personelu, opuszczających szpital po zakończeniu dziennej zmiany. Wiedział, że to nierozsądne, ale słysząc ich radosne szczebiotanie, nie mógł się oprzeć uczuciu irytacji.

W miarę jak zbliżał się do sali intensywnej opieki, jego zdenerwowanie rosło. Powoli ogarniało go niemal złe przeczucie. Zatrzymał się na progu poczekalni, żeby zobaczyć, czy jest tam Tracy. Wiedział, że zamierzała pojechać do domu, by się umyć i przebrać.

Zobaczył ją siedzącą na krześle koło okna. Ona spostrzegła go w tej samej chwili i wstała. Kiedy do niego podchodziła, Kim dostrzegł, że płacze. Łzy spływały jej po policzkach.

— Co się znowu stało? — zapytał z przestraszeniem. — Zmieniło się coś?

Przez jakiś czas Tracy nie mogła wypowiedzieć słowa. Pytanie wywołało nowy potok łez, który Tracy musiała powstrzymać.

— Z Becky jest gorzej — wychlipała wreszcie. — Doktor Stevens mówiła o postępującej niewydolności najważniejszych organów. Dla mnie był to niezrozumiały żargon, ale powiedziała, że powinniśmy się przygotować. Myślę, że chciała powiedzieć, że Becky może umrzeć!

— Becky nie umrze! — odrzekł Kim z gwałtownością, która graniczyła z gniewem. — Co się stało, że mogła powiedzieć coś takiego?

— Becky miała udar serca — odparła Tracy. — Oni myślą, że oślepla.

Kim zacisnął oczy. Myśl, że jego dziesięcioletnia córka miała udar serca, wydawała się niemożliwością. Kim zdawał sobie jednak sprawę, że choroba od początku sieje w organizmie coraz większe spustoszenie. To, że Becky mogła osiągnąć punkt, z którego nie ma powrotu, nie było całkowitym zaskoczeniem.

Kim zostawił Tracy w poczekalni, prędko pokonał hol i wszedł do sali intensywnej opieki. Ujrzał identyczną scenę jak poprzedniego dnia: salkę Becky wypełniała gromada lekarzy. Kim wcisnął się do środka. Zobaczył nową twarz: doktora Sidneya Hamptona, neurologa.

— Doktorze Reggis! — zawołała Claire.

Kim zignorował ją. Utorował sobie drogę do łóżka i popatrzył na córkę. Była żalonym cieniem samej siebie, zagubiona wśród przewodów, rurek i sprzętu. Wskaźniki z ciekłego kryształu i monitory wyświetlały informacje w formie cyfrowych odczytów i ruchomych krzywych.

Becky miała zamknięte oczy. Jej skóra była przezroczysta, niebieskawobiała.

— Becky, to ja, tata — wyszeptał jej do ucha Kim. Przyjrzał się jej zastygłej twarzy. Becky nie dała żadnego znaku, że go usłyszała.

— Niestety nie reaguje — stwierdziła Claire.

Kim wyprostował się. Oddychał płytko i szybko.

— Myślicie, że miała udar? — zapytał.

— Wszystko na to wskazuje — potwierdził Sidney.

Kim musiał przypomnieć sobie, że nie wolno obwiniać posłańca za złą nowinę.

— Główny problem polega na tym, że toksyna zdaje się niszczyć płytki krwi tak szybko, jak je podajemy — odezwał się Walter.

— To prawda — wtrącił Sidney. — Nie ma sposobu, aby się dowiedzieć, czy to krwotok wewnątrzczaszkowy czy czop zatorowy.

— Albo jedno i drugie — podsunął Walter.

— To możliwe — zgodził się Sidney.

— Tak czy inaczej — ciągnął Walter — raptowne niszczenie płytek jej krwi musi tworzyć skrzepy w mikroobiegu. Mamy do czynienia z postępującą niewydolnością ważniejszych organów, a tego nie lubimy najbardziej.

— Funkcje nerek i wątroby zdecydowanie się pogarszają — powiedział Arthur. — Nie nadążamy z dializą otrzewnową.

Kim musiał powściągnąć złość, słysząc tę egocentryczną dialektykę. Mógł pomóc córce, tylko zachowując spokój. Próbował myśleć i postępować racjonalnie.

— Jeśli dializa otrzewnowa nie przynosi efektu — powiedział Kim z udawanym spokojem — być może powinniśmy ją przewieźć do Szpitala Podmiejskiego i podłączyć ją do sztucznej nerki.

— Wykluczone — odparła Claire. — Jej stan jest krytyczny, i nie można jej przewozić.

— No cóż, wydaje mi się, że musimy coś zrobić — odwarknął Kim, gotując się w środku.

— Myślę, że robimy wszystko, co można — oznajmiła Claire. — Czynnie wspomagamy funkcje płuc i nerek oraz wymieniamy płytki krwi.

— A co z plazmaferezą — spytał Kim.

Claire spojrzała na Waltera.

— AmeriCare niechętnie wyda na to zgodę — odezwał się Walter.

— Ołać AmeriCare! — prychnął Kim. — Jeśli uważacie, że to jest jakaś szansa, zróbmy to.

— Zaraz, doktorze Reggis — zaoponował Walter. Siwowłosego mężczyźna przestąpił z nogi na nogę. Widać było, że czuje się skrępowany. — AmeriCare jest właścicielem tego szpitala. Nie możemy jakby nigdy nic łamać ich przepisów. Plazmafereza jest techniką kosztowną i eksperymentalną. Nie wolno mi o niej nawet wspominać nie wtajemniczonym rodzinom.

— Jak możemy skłonić ich do wydania zgody? — zapytał Kim. — Zapłacę za nią z własnej kieszeni, jeśli to w czymkolwiek pomoże.

— Musiałbym zadzwonić do doktora Normana Shapiro — poinformował Walter. — Jest przewodniczącym Komisji Decyzyjnej w AmeriCare.

— Niech pan dzwoni! Natychmiast! — zawołał Kim.

Walter spojrział na Claire. Wzruszyła ramionami.

— Przypuszczam, że rozmowa nie zaszkodzi.

— Zgoda — odparł Walter. Opuścił salę, aby skorzystać z telefonu przy wejściu na oddział.

— Doktorze Reggis, plazmafereza to chwytanie się brzytwy przez tonącego — stwierdziła Claire. — Myślę, że należy uczciwie powiedzieć i panu, i pana byłej żonie, że powinniście się państwo przygotować na każdą ewentualność.

Kimowi pociemniało w oczach. Nie mieściło mu się w głowie, że miałby „się przygotować”, jak to eufemistycznie określiła Claire. Zamiast tego miał ochotę rzucić się na ludzi odpowiedzialnych za krytyczny stan Becky, w tej chwili zaś najbliższy cel stanowili lekarze znajdujący się w tej sali.

— Czy pan rozumie, co mam na myśli? — zapytała miękko Claire.

Kim nie odpowiedział. W nagłym przebłysku pojął, że oskarżanie tych lekarzy o chorobę Becky to absurd, zwłaszcza że sam wiedział, gdzie szukać winnych. Niespodziewanie Kim odwrócił się i wybiegł z sali. Nie posiadał się ze złości, frustracji i tego upokarzającego poczucia bezsilności. Ruszył wzdłuż holu.

Tracy nadal była w poczekalni. Zobaczyła, jak Kim pospiesznie wychodzi, i od razu zorientowała się, że jest wściekły. Gdy ją minął, nawet nie spoglądając w jej stronę, Tracy pobiegła za nim. Bała się, co może zrobić.

— Kim, stój! Dokąd idziesz? — Pociągnęła go za rękaw.

— Na dwór — odpowiedział, wrywając się.

— Dokąd?

Tracy musiała biec, żeby dotrzymać Kimowi kroku. Wygląd jego twarzy przestraszył ją. Na chwilę zapomniała o własnym cierpieniu.

— Muszę coś zrobić — rzekł Kim. — Nie mogę po prostu siedzieć i załamywać rąk. Teraz nie mogę pomóc Becky jako lekarz, ale, na Boga, zamierzam dowiedzieć się, jak zachorowała.

— W jaki sposób? Kim, powinienes się uspokoić.

— Kathleen powiedziała mi, że *Escherichia coli* najczęściej przenosi się poprzez mieloną wołowinę.

— Wszyscy to wiedzą — stwierdziła Tracy.

— Może, ale ja nie wiedziałem — odparł Kim. — Pamiętasz, jak powiedziałem ci, że tydzień temu wziąłem Becky do Onion Ring przy autostradzie Prairie? Zjadła nie dopieczzonego hamburgera. To wtedy musiała zachorować.

— A więc chcesz mi powiedzieć, że jedziesz do Onion Ring? — spytała Tracy niedowierząco.

— Ma się rozumieć. Jeżeli Becky tam zachorowała, to tam właśnie jadę.

— Teraz nie jest ważne, gdzie ona zachorowała — powiedziała Tracy. — Ważne jest to, że jest chora. Kiedy indziej będziemy się martwić, jak i dlaczego to się stało.

— Może to nieważne dla ciebie. Ale dla mnie tak.

— Kim, nie panujesz nad sobą — zezłościła się Tracy. — Czy chociaż raz mógłbyś pomyśleć o kimś innym niż o sobie?

— O co ci, do diabła, chodzi? — warknął Kim, czując jeszcze większą wściekłość.

— O ciebie i twoje wielkie lekarskie ego.

— Niech to diabli — mruknął Kim. — Nie mam nastroju na wysłuchiwanie twoich psychologicznych głupstw. Nie teraz!

— Nikomu nie pomożesz, uciekając w ten sposób — ciągnęła Tracy. — Jesteś groźny nawet dla samego siebie. Jeżeli musisz iść, przynajmniej zaczekaj, aż się uspokoisz.

— Mam nadzieję, że to mnie uspokoi — odparł Kim. — A może nawet da mi choć odrobinę satysfakcji.

Nadjechała winda, Kim wszedł do niej.

— Przecież nie zdjęłeś nawet fartucha — dodała Tracy z nadzieją, że dla jego własnego dobra znajdzie jakiś sposób, aby go zatrzymać.

— Idę — oznajmił Kim. — W tej chwili. I nikt mnie nie powstrzyma!

* * *

Kim wjechał na parking przed Onion Ring z taką prędkością, że auto zahaczyło podwoziem o krawędź podjazdu. Rozległ się stłumiony grzmot, a samochodem zatrzęsło. Kim nie przejął się tym. Zajął pierwsze wolne miejsce parkingowe, jakie mu się nadarzyło. Po zaciągnięciu hamulca ręcznego i wyłączeniu silnika Kim siedział przez chwilę i przyglądał się restauracji. Była zatłoczona tak jak przed tygodniem.

Jazda ze szpitala stępiła nieco ostrze jego gniewu, ale nie determinację. Zastanowił się, co zrobi, jak tam wejdzie, a potem wysiadł z samochodu. Przechodząc przez główne wejście, zobaczył, że kolejki do kas ciągną się aż do drzwi. Nie zamierzając czekać, przepchnął się do przodu. Jacyś klienci zaczęli utyskiwać. Kim zignorował ich.

Przy kontuarze zwrócił się do jednej z kasjerek, która miała plakietkę z napisem: Cześć, jestem Debbie. Była to niepozorna nastolatka o tlenionych włosach i twarzy pokrytej lekkim trądzikiem. Rysy jej twarzy wyrażały bezdenną nudę.

— Przepraszam — odezwał się Kim, zmuszając się do spokoju, nawet jeśli było widać, że nie jest spokojny. — Chciałbym rozmawiać z kierownikiem.

— Musi pan poczekać w kolejce na przyjęcie zamówienia — odparła Debbie. Spojrzała przelotnie na Kima, ale zupełnie nie wyczuła stanu jego umysłu.

— Nie chcę niczego zamawiać. Chcę porozmawiać z kierownikiem — odrzekł Kim powoli i wyraźnie.

— Jest teraz zajęty — powiedziała Debbie. Ponownie zajęła się stojącą na początku kolejki osobą i poprosiła ją o powtórzenie zamówienia.

Kim rąbnął pięścią w blat z taką siłą, że kilka stojaków z serwetkami zachwiało się i spadło głośno na podłogę. Uderzenie zabrzmiało jak wystrzał z pistoletu. W okamgnieniu wszyscy zamarli niczym na filmowej stop-klatce. Debbie pobladła.

— Nie będę prosił po raz trzeci — oznajmił Kim. — Chcę się widzieć z kierownikiem.

Spoza środkowego bloku za rzędem kas wysunął się jakiś mężczyzna. Był ubrany w dwukolorowy strój Onion Ring. Na plakietce miał napisane: Cześć, jestem Roger.

— Jestem kierownikiem — oświadczył. Podrygiwał nerwowo głową. — O co chodzi?

— O moją córkę — odparł Kim. — Tak się składa, że zapadła w śpiączkę i walczy w tej chwili o życie, a wszystko przez to, że zjadła tu tydzień temu hamburgera.

Kim mówił tak głośno, aby słyszano go w całej restauracji. Klienci, którzy jedli hamburgery, zaczęli im się podejrzliwie przyglądać.

— Przykro mi z powodu pana córki — rzekł Roger — ale tutaj nie mogła zachorować, a już na pewno nie od jednego z naszych hamburgerów.

— To jedyne miejsce, w którym jadła mielone mięso — zaoponował Kim. — Jej chorobę wywołała *Escherichia coli*, bakteria pochodząca z hamburgera.

— No cóż, przykro mi — powtórzył z naciskiem Roger. — Niemniej nasze hamburgery są odpowiednio smażone, a my przestrzegamy surowych zasad zachowania czystości. Mamy regularne inspekcje z wydziału zdrowia.

Hałas i gwar rozległy się tak samo nagle, jak przedtem zapadła cisza. Klienci powrócili do przerwanych rozmów, jakby zgodnie przyznali, że problem Kima — czegokolwiek by dotyczył — ich nie obchodzi.

— Hamburgera, którego zjadła moja córka, nie dosmażono — powiedział Kim. — Był surowy.

— Niemożliwe — odparł Roger, przewracając oczyma.

— Sam go widziałem — ciągnął Kim. — Był różowy w środku. Chciałbym zapytać, czy...

— Nie mógł być różowy — wtrącił się Roger, zbywając Kima gestem ręki. — To wykluczone. Przepraszam, ale muszę wracać do pracy.

Zamierzał odwrócić się od kasy, gdy Kim chwycił go pełną garścią za firmową koszulę. Silnymi ramionami wyciągnął przestraszonego kierownika zza kontuaru tak, że twarz tamtego znalazła się o parę cali od jego twarzy. Natychmiast też zaczęła sinieć. Żelazny uścisk Kima wstrzymywał przepływ krwi w szyi Rogera.

— Nie zaszkodziłoby trochę skruchy — syknął Kim. — Standardowa gadka to stanowczo za mało.

Roger wycharczał coś niezrozumiale, walcząc bezskutecznie z zaciśniętymi palcami Kima.

Kim brutalnie odepchnął Rogera od kontuaru i pozwolił mu upaść na podłogę. Kasjerki, personel kuchenny i czekający w kolejkach ludzie wstrzymali głośno oddech, ale wstrząśnięci tkwili nieruchomo w miejscu.

Kim obszedł kontuar, żeby pomówić bezpośrednio z szefem kuchni.

Roger pozbierał się na nogi, a widząc, że Kim zmierza do kuchni, próbował go zatrzymać.

— Tam nie wolno — wyjąkał słabo. — Wstęp tylko dla pracowników...

Kim nie dał mu dokończyć. Po prostu zmiotł go z drogi, rzucając o kontuar. Roger wpadł na plastikową maszynę do soków, która roztrzaskała się na kafelkach. Sok chlusnął szerokim łukiem na podłogę. Najbliżej stojący ludzie odskoczyli. W restauracji znowu zapadła cisza. Kilku konsumentów pospiesznie wyszło, zabierając ze sobą jedzenie.

— Wezwać policję! — zaskrzeczał Roger, ponownie podnosząc się na nogi.

Kim szedł dalej wzdłuż wewnętrznego bloku, aż natknął się na mizerną postać Paula. Kim zobaczył wysuszoną skórę na jego twarzy i tatuaż na ramieniu i zastanowił się, czy tamten rzeczywiście dba o higienę osobistą.

Podobnie jak inni, Paul nie poruszył się od chwili, gdy Kim rąbnął pięścią w blat. Na ruszcie przed nim przypalało się kilka hamburgerów.

— Moja córka tydzień temu, mniej więcej o tej porze, zjadła tu surowego hamburgera — zagrzmał Kim. — Chcę wiedzieć, jak mogło do tego dojść.

Roger zbliżył się z tyłu do Kima i klepnął go w ramię.

— Musi pan stąd wyjść — powiedział.

Kim odwrócił się. Miał już dosyć natrętnego kierownika.

Roger cofnął się rozsądnie o krok i podniósł obie ręce do góry.

— Okay, okay — wymamrotał.

Kim znów obrócił się do Paula.

— No więc? — spytał.

— Nie wiem — odparł Paul. Widział kiedyś ludzi, którzy zwariowali na platformach wiertniczych, teraz błysk w oczach Kima przypomniał mu ich.

— Gadaj — warknął Kim. — Pewnie pracowałeś wtedy w kuchni. Musisz coś wiedzieć.

— Roger mówił prawdę — potwierdził Paul. — Hamburger nie mógł być surowy. Wszystkie hamburgery są u mnie dobrze wypieczone. To podstawowa zasada.

— Ludzie, wy naprawdę zaczynacie mnie wkurzać — warknął Kim. — Mówię ci, że hamburger był surowy. Widziałem to na własne oczy. Byłem tu z moją córką.

— Ale ja wszystkie smażę tak samo — powiedział Paul. Wskazał swoją łopatką na przypiekające się na ruszcie kotleciki.

Kim chwycił jeden z kilku przygotowanych hamburgerów, które Paul położył na półce nad rusztem, tak aby Roger umieścił je na tackach z zamówionymi posiłkami. Kim bezceremonialnie przełamał hamburgera na pół i przyjrzał się wnętrzu kotlecika. Było starannie dopieczone. Powtórzył to jeszcze trzy razy, przełamane hamburgery odrzucał z powrotem na talerzyki.

— Widzi pan — odezwał się Roger. — Wszystkie są usmażone jak trzeba. Teraz, jeśli wyjdzie pan z kuchni, będziemy mogli porozmawiać sobie spokojniej.

— Przypiekamy je nawet w wyższej temperaturze niż ta, którą zaleca Organizacja Żywności i Lekarstw — wyjaśnił Paul.

— Skąd wiecie, jaka temperatura jest wewnątrz? — zapytał Kim.

— Mamy specjalny termometr z pięcioma zębami — odparł Roger. — Mierzymy temperaturę na chybił trafił, parę razy dziennie, i zawsze jest taka sama: prawie osiemdziesiąt stopni Celsjusza.

Paul odłożył łąpatkę i otworzył blaszaną szufladę pod rusztem. Wyjął stamtąd termometr i pokazał go Kimowi.

Kim zlekceważył go. Wziął kolejnego hamburgera i złamał go. Był równie dobrze usmażony jak poprzednie.

— Gdzie trzymacie mięso przed przyrządzeniem?

Paul odwrócił się i otworzył lodówkę. Kim pochylił się i zajrzał do środka. Domyślał się, że patrzy jedynie na część zapasu mięsa.

— A gdzie reszta?

— W chłodni — rzekł Paul.

— Pokażcie mi!

Paul spojrział na Rogera.

— Nie ma mowy — odezwał się Roger. — Wstęp do chłodni jest wzbroniony osobom nie upoważnionym.

Kim oburącz pchnął Paula w piersi, tak że tamten się zachwiał. Paul odwrócił się i skierował się w stronę zaplecza. Kim ruszył za nim.

— Zabraniam panu — powiedział Roger. Dogonił Kima i pociągnął go za ramię. — Tylko pracownikom wolno wchodzić do chłodni.

Kim spróbował strząsnąć rękę Rogera, ale ten nadal go trzymał. Rozzłoszczony Kim zdzielił kierownika na odlew w twarz ze znacznie większą siłą, niż zamierzał. Głowa Rogera odskoczyła, a kierownik z rozciętą górną wargą ponownie upadł na podłogę.

Nie spojrzawszy nawet na niego, Kim poszedł za Paulem, który właśnie otwierał drzwi chłodni. Weszli do środka. Bojąc się siły Kima i jego impulsywności, Paul trzymał się od niego z dala. Popatrzył na swojego kierownika, który siedział teraz na gumowej wycieracze kuchennej i dotykał ręką krwawiącej wargi. Niepewny, co ma robić, Paul wszedł za Kimem do chłodni.

Kim oglądał kartony ustawione po lewej stronie. Tylko pierwszy z nich był otwarty. Napis na naklejce głosił: Mercer meats, kotleciki hamburgerowe z chudego mięsa, waga: 0,1 funta, partia 2, seria 1-15, data produkcji: 29 grudnia, spożyć przed: 29 marca.

— Czy hamburger podany w zeszły piątek wieczorem mógł pochodzić z tego kartonu? — spytał Kim.

Paul wzruszył ramionami.

— Pewnie tak, albo z innego.

Kim wszedł głębiej do chłodni i zobaczył inny, również otwarty karton, wciśnięty między zamknięte pudła. Kim otworzył go i zajrzał do środka. Stwierdził, że opakowanie na jednym z pudełek wewnątrz jest rozerwane.

— Dlaczego ten karton jest otwarty? — zapytał.

— Przez pomyłkę — odparł Paul. — Zużywamy najpierw starsze zapasy, dzięki czemu nie musimy się martwić o termin przydatności do spożycia.

Kim przyjrzał się naklejce widniejącej na kartonie. Była podobna do poprzedniej, ale różniła się datą produkcji. „12 stycznia” zamiast „29 grudnia”.

— Czy hamburger z ubiegłego piątku mógł pochodzić stąd? — spytał Kim.

— Możliwe — odrzekł Paul. — Nie pamiętam, kiedy ten karton został omyłkowo otwarty.

Kim wyjął z kieszeni swojego białego kitla długopis i kawałek papieru. Spisał dane z naklejek obu otwartych kartonów. Potem wyjął po jednym kotleciku z każdego z nich. Nie było to łatwe, gdyż kawałki były zamrożone w większych stosach i poprzedzielane arkuszami impregnowanego papieru. Oba kotleciki i kartkę papieru Kim schował do kieszeni.

Kiedy Kim wychodził z chłodni, doszedł go przytłumiony dźwięk zawodzącej w oddali syreny. Jego zaabsorbowany umysł zignorował to.

— Co to jest Mercer Meats? — zapytał.

Paul zamknął drzwi chłodni.

— To spółka zajmująca się przetwórstwem mięsa. Dostarczają nam kotleciki — odpowiedział. — Tak naprawdę to zaopatrują w nie całą sieć Onion Ring.

— Są z naszego stanu?

— Pewnie — odparł Paul. — Fabryka jest za miastem, w Bartonville.

— Dobrze się składa — rzekł Kim.

Gdy wszedł z powrotem do kuchni, frontowe drzwi restauracji otworzyły się z rozmachem. Do środka wpadło dwóch umundurowanych policjantów, trzymając ręce na kaburach pistoletów. Na ich twarzach malowała się zawziętość. Za nimi szedł Roger i prawą ręką wskazywał ze złością na Kima, lewą zaś przytrzymał przy ustach zakrwawioną serwetkę.

Rozdział 12

Sobota, 24 stycznia

Słabe poranne światło załamywało się w wypełnionym pyłem powietrzu sali sądowej, tworząc świetliste pasmo na podłodze. Pośrodku stał Kim i mrużył oczy przed blaskiem. Przed nim zasiadał w swej czarnej sędziowskiej todze sędzia Harfowe. Okulary do czytania spoczywały niepewnie na jego długim, haczykowatym nosie. Dla Kima sędzia wyglądał niczym ogromne, czarne ptaszysko.

— Po przeszło dwudziestu czterech latach w zawodzie — przemówił sędzia Harfowe, łypiąc groźnie na Kima znad swoich okularów — nie powinienem być zaskoczony tym, co widzę i słyszę. Ale to jest przedziwna historia.

— Sprawił to stan, w jakim znajduje się moja córka — odezwał się Kim. Był ciągle ubrany w swój długi, biały kitel włożony na chirurgiczny fartuch, maska chirurgiczna wciąż zwisała mu z szyi. Ale kitel nie był już świeży i czysty. Po nocy spędzonej w areszcie był wygnieciony i pobrudzony. Pod lewą kieszenią widniała czerwonobrazowa plama.

— Panie doktorze, głęboko panu współczuję z powodu poważnej choroby pańskiej córki — powiedział sędzia Harfowe. — Trudno mi jednak pojąć, dlaczego nie jest pan przy niej w szpitalu.

— Byłbym — odparł Kim — ale jej stan jest tak poważny, że nic nie mogę zrobić. Poza tym zamierzałem oddalić się od niej najwyżej na godzinę.

— Cóż, nie do mnie należy dokonywanie osądów moralnych — oświadczył sędzia. — Muszę jednak napiętnować pańskie zachowanie: złamał pan zakaz wstępu, pobił kierownika restauracji szybkiej obsługi i, co być może najbardziej rażące, stawiał opór i uderzył policjanta. Panie doktorze, takie zachowanie jest niedopuszczalne bez względu na okoliczności.

— Wysoki sądzie, ale ja... — zaczął Kim.

Sędzia podniósł rękę, żeby go uciszyć.

— Nie ma znaczenia, że podejrzewa pan, iż pańska córka mogła zachorować z winy Onion Ring przy autostradzie Prairie. Jako lekarz powinien pan wiedzieć najlepiej, że mamy w tym kraju ministerstwo zdrowia, które jest upoważnione do badania tego rodzaju rzeczy, poza tym zaś mamy sądy. Czy wyrażam się jasno?

— Tak, wysoki sądzie — odrzekł zrezygnowany Kim.

— Mam nadzieję, że zwróci się pan o stosowną pomoc, doktorze — kontynuował sędzia Harfowe. — Jestem wręcz zdumiony pańskim zachowaniem, tym bardziej że znam pana jako renomowanego kardiochirurga. Operował pan mojego teścia, który do dzisiaj głosi pańską cześć. Tak czy owak, zwalnim pana po pańskim zobowiązaniu pisemnym. Stawi się pan na proces za cztery tygodnie od dnia dzisiejszego. Proszę się udać do kancelisty.

Sędzia Harfowe uderzył młotkiem i ogłosił następną sprawę.

Wychodząc z gmachu sądu, Kim wypatrzył telefon publiczny. Zawahał się na chwilę, nie mogąc się zdecydować, czy powinien zadzwonić do szpitala. Poprzedniego wieczoru próbował skontaktować się z Tracy, ale choć wykorzystał na to dozwoloną liczbę telefonów, nie zastał jej w domu. Teraz ociągał się, widząc w pobliżu telefon. Czuł się winny, że nie było go tak długo, oraz zakłopotany tym, co się wydarzyło. Bał się też tego, co może dowiedzieć się o Becky. Postanowił, że lepiej będzie pojechać niż dzwonić.

Na postoju taksówek przed sądem Kim wziął taksówkę do Onion Ring. Rano, przed otwarciem, wyludniona restauracja sprawiała zupełnie inne wrażenie. Stary samochód Kima był jedynym pojazdem na parkingu, nigdzie też nie było widać żywego ducha.

Kim ruszył w stronę szpitala. Pojechał objazdem, tak aby wstąpić do laboratorium Sherring. Podeszedł do kontuaru i nacisnął dzwonek z nierdzewnej stali. Po paru sekundach pojawiła się kobieta. Była ubrana w laboratoryjny kitel.

Kim wyjął z lewej kieszeni dwa, już rozmrożone, kotleciki hamburgerowe i wręczył je kobiecie.

— Prosiłbym o zbadanie tego mięsa na obecność *Escherichia coli* 0157:H7 — powiedział. — Również o zbadanie toksyczności.

Laborantka niepewnie przyjrzała się odbarwionemu mięsu.

— Myślę, że byłoby lepiej, gdyby pan trzymał te próbki w lodówce — oznajmiła. — Po paru godzinach w temperaturze pokojowej w mięsie rozwija się mnóstwo bakterii.

— Rozumiem — odparł Kim. — Ale mnie nie interesują inne bakterie. Chcę tylko wiedzieć, czy jest w tym obecna *Escherichia coli* 0157:H7.

Kobieta na chwilę zniknęła. Gdy wróciła, miała na rękach lateksowe rękawiczki. Wzięła mięso i włożyła każdą próbkę do oddzielnego pojemnika. Potem wpisała dane do rachunku. Kim posłużył się kontem swojego gabinetu lekarskiego.

— Jak długo to potrwa? — zapytał.

— Ostateczny wynik będzie za czterdzieści osiem godzin — odpowiedziała laborantka.

Kim podziękował jej, umył ręce w toalecie i wrócił do samochodu.

Zbliżając się do szpitala, czuł narastający niepokój. Kiedy parkował samochód, poczuł, że cały drży. Drżenie nasiliło się, gdy wjeżdżał windą na górę. Ponieważ wolał sprawdzić, co z Becky, zanim zobaczy się z Tracy, wybrał tylne wejście na oddział intensywnej opieki medycznej, żeby nie przechodzić przez poczekalnię. Kiedy maszerował korytarzami, ludzie przyglądali mu się z ciekawością. Biorąc pod uwagę swój wygląd, Kim rozumiał ich zainteresowanie. Prócz czystego ubrania potrzebny był mu prysznic i golenie, a jego włosom przydałby się grzebień.

Na oddziale uklonił się pielęgniarce odcinkowej, lecz nie odezwał się ani słowem. Zbliżając się do salki, w której leżała Becky, przyłapał się na zawieraniu paktu z Bogiem. „Gdyby tylko Becky została uratowana...”

Podszedł do łóżka Becky. Pielęgniarka właśnie zmieniała jej butelkę z kroplówką i była odwrócona do niego plecami. Kim spojrział na swoją córkę. Najbliższy cień nadziei, jaką żywił, zniknął bez śladu. Becky ciągle była pogrążona w śpiączce. Miała zamknięte powieki, nadal była intubowana i podłączona do respiratora. Jediną zmianę stanowiły wielkie, ciemnofioletowe plamy krwawienia podskórnego, które nadawały jej twarzy trupi wygląd.

— Na miłość boską, przestraszył mnie pan! — zawołała pielęgniarka, gdy spostrzegła Kima. Przyłożyła rękę do piersi. — Nie słyszałam, jak pan wchodzi.

— Nie wygląda dobrze. — Starał się nie zdradzić tonem swego głosu smutku, gniewu i upokarzającej bezsilności, którą czuł.

— Niestety — przyznała pielęgniarka, patrząc na Kima przelęknionym wzrokiem. — Biedny mały aniołek okropnie się namęczył.

Wytrawne ucho Kima kazało mu się odwrócić do ekranu monitora śledzącego czynności serca. Sygnały były nieregularne, podobnie jak krzywa wyznaczona przez kursor.

— Ma arytmie! Kiedy to się pojawiło?

— Nie tak dawno. Wczoraj w nocy dostała wylewu, który szybko wywołał objawy tamponady. Trzeba było nakłuć jej osierdzie.

— Kiedy? — spytał Kim. Teraz czuł się jeszcze bardziej winny, że nie było go na miejscu. Jako kardiochirurg znał się na tego typu wylewach.

— Tuż po czwartej rano — odpowiedziała pielęgniarka.

— Czy któryś z jej lekarzy jest jeszcze? — spytał Kim.

— Myślę, że tak — odparła pielęgniarka. — Chyba rozmawiają z matką pacjentki w poczekalni.

Kim uciekł. Nie potrafił znieść widoku córki w takim stanie. Na korytarzu przystanął, by wziąć oddech i odzyskać nieco równowagę. Następnie poszedł do poczekalni. Tracy rozmawiała z Claire Stevens i Kathleen Morgan; gdy tylko ujrzały Kima, zamilkły.

Przez chwilę panowała cisza.

Tracy była na skraju rozpacz. Na jej twarzy widniał ponury grymas. Stała ze ściśniętymi kolanami i złożonymi dłońmi. Spojrzała na Kima z mieszaniną smutku i zakłopotania, która wyrażała zarazem troskę i wzdargę. Potrząsnęła głową.

— Nawet się nie przebrałeś. Szkoda słów. Gdzieś ty był?

— Moja wizyta w Onion Ring trwała znacznie dłużej, niż myślałem. — Kim popatrzył na Claire. — Więc Becky ma teraz zapalenie osierdzia.

— Obawiam się, że tak — potwierdziła Claire.

— Mój Boże! — wykrzyknął Kim. — A co potem?

— W tym stanie właściwie wszystko jest możliwe — odezwała się Kathleen. — Mamy potwierdzenie, że to szczególnie chorobotwórczy szczep *Escherichia coli*, który wytwarza nie jedną, lecz dwie nadzwyczaj silne toksyny. Mamy do czynienia z w pełni rozwiniętym zespołem hemolityczno-mocznicowym.

— Co z plazmaferezą? — zapytał Kim.

— Doktor Ohanesian zaapelował w tej sprawie do przewodniczącego Komisji Decyzyjnej w AmeriCare — poinformowała Claire. — Ale jak już ostrzegaliśmy, komitet zapewne nie wyrazi zgody.

— Dlaczego nie? — spytał z naciskiem Kim. — Musimy coś zrobić, a ja powiedziałem, że za to zapłacę.

— To, że pan zapłaci, nie ma znaczenia — odparła Claire. — Z ich punktu widzenia powstałby niebezpieczny precedens. Byliby wtedy zmuszeni oferować plazmaferezę rodzinom, które by nie mogły lub nie chciały płacić.

— Przenieśmy więc Becky gdzieś, gdzie robią plazmaferezę — warknął Kim.

— Doktorze Reggis — powiedziała ze współczuciem Claire. — Becky jest dzisiaj w gorszym stanie niż wczoraj, a już wczoraj przeniesienie nie wchodziło w grę. Ale plazmaferezy nie można jeszcze wykluczyć. Ciągłe jest nadzieja, że dadzą nam zielone światło. Po prostu musimy czekać.

— Czekać i nic nie robić — dodał gorzko Kim.

— To nieprawda — zaprzeczyła żarliwie Claire. Potem zreflektowała się i westchnęła. Rozmowa z Kimem była obowiązkiem, którego nie lubiła. — Utrzymujemy ją przy życiu w każdy możliwy sposób.

— Chce pani powiedzieć, że siedzicie na tyłkach i leczycie powikłania — uciął Kim.

Claire wstała i spojrzała na Tracy i Kathleen.

— Myślę, że już czas, abym zajrzała do pozostałych pacjentów. Ale będę osiągalna w razie potrzeby. Po prostu wezwijcie mnie przez pager.

Tracy kiwnęła głową. Kathleen odparła, że za parę minut także pójdzie do swoich pacjentów. Claire oddaliła się.

Kim opadł na zwolnione przez nią krzesło i ukrył twarz w dłoniach. Walczył z natłokiem sprzecznych emocji: najpierw złości, potem smutku, potem znowu złości. Teraz powrócił smutek. Kim powstrzymywał łzy. Wiedział, że powinien zająć się własnymi pacjentami, ale w tej chwili nie był do tego zdolny.

— Dlaczego twój wyjazd do Onion Ring trwał tak długo? — zapytała Tracy. Wprawdzie zachowanie byłego męża irytowało ją, jednak wbrew sobie martwiła się o niego. Wyglądał żałośnie.

— Prawdę mówiąc, byłem w areszcie — wyznał Kim.

— W areszcie!

— Jeżeli chcesz mi powiedzieć, że miałaś rację, to owszem, miałaś rację — rzekł Kim. — Powinienem był się uspokoić, zanim się stąd ruszyłem.

— Dlaczego byłeś w areszcie? — zapytała Tracy.

— Straciłem panowanie nad sobą. Pojechałem tam sprawdzić, czy mają zepsute mięso. Kierownik bezczelnie się wszystkiego wyparł i krew mnie zalała.

— Myślę, że wina nie leży po stronie restauracji szybkiej obsługi — odezwała się Kathleen.

— Jeśli chodzi o ten problem z *Escherichia coli*, to restauracje są tak samo ofiarami jak klienci. Otrzymują już zakażone hamburgery.

— I ja tak sądzę — powiedział Kim z twarzą nadal ukrytą w dłoniach. — Następnym razem odwiedzę Mercer Meats.

— Kiedy Becky jest w takim stanie, trudno mi zebrać myśli — odezwała się Tracy. — Ale skąd się tam bierze zakażone mięso? Przecież te miejsca są pod ciągłą kontrolą, prawda? To znaczy, czy departament rolnictwa nie wydaje certyfikatów na mięso?

— Tak, wydaje — potwierdziła Kathleen. — Ale w dzisiejszych czasach założenie, że mięso jest nie zakażone, jest dość pochopne.

— Dlaczego? — zapytała Tracy.

— Z wielu przyczyn — odparła Kathleen. — Głównie dlatego, że departament rolnictwa jest rozdarty wewnętrznym konfliktem interesów.

Kim podniósł twarz znad dłoni.

— Jakim konfliktem?

— Z jednej strony departament jest oficjalnym obrońcą interesów amerykańskiego rolnictwa — wyjaśniła Kathleen. — W tym potężnego przemysłu mięsnego. Właściwie to jego główne zadanie. Z drugiej strony ma on jednak obowiązek przeprowadzania inspekcji. Rzecz jasna, obie te funkcje nie idą ze sobą w parze. To tak, jakby prosić wilka o pilnowanie owczarni.

— Niewiarygodne — stwierdził Kim. — Wie to pani na pewno, czy tylko słyszała pani o tym i przekazuje dalej?

— Obawiam się, że wiem o tym z pierwszej ręki. Przez ponad rok badałam problem zakażonej żywności. Udzielałam się też w paru zrzeczeniach konsumenckich, które toczą twardą batalię, żeby coś z tym zrobić.

— Jak pani do nich trafiła? — spytała Tracy.

— Trudno było nie trafić — odrzekła Kathleen. — Zainfekowana żywność i choroby, które wywołuje, złożyły się na większość mojej praktyki lekarskiej. Wydaje się, że na ogół ludzie wolą chować głowy w piasek. Ale z dnia na dzień ten problem narasta.

— Niesłychane! — zawołał Kim. Gniew znowu przewyciężył w nim smutek.

— Nie koniec na tym — ciągnęła Kathleen. — W departamencie rolnictwa nie tylko istnieje konflikt interesów, ale też, o ile mogłam się przekonać, między nim a przemysłem mięsnym istnieją aż nadto ściśle powiązania.

— Co pani przez to rozumie? — zapytał Kim.

— Dokładnie to, co mówię — odparła Kathleen. — Zwłaszcza na średnim szczeblu zarządzania bez przerwy przetasowuje się ludzi, aby zapewnić przemysłowi mięsnemu jak największą nietykalność.

— Bez wątpienia chodzi o zyski — domyślił się Kim.

— Naturalnie. Przemysł mięsny przynosi wiele miliardów dolarów. Jego cel to maksymalizacja zysków, a nie interes publiczny.

— Chwileczkę — wtrąciła się Tracy. — Coś mi się nie zgadza. W przeszłości departament wykrywał nieprawidłowości i coś z nimi robił. Na przykład nie tak dawno z zakładami Hudson Meat...

— Przepraszam — weszła jej w słowo Kathleen. — To nie departament przyczynił się do wykrycia *Escherichia coli* w Hudson Meat. Zrobił to czujny urzędnik zdrowia publicznego. Gdy już zdarzy się taki incydent, departament jest zmuszony do przeprowadzenia popisowej akcji. Robią wtedy wielki raban w mediach, aby sprawić wrażenie, że chronią interes publiczny, ale niestety nie czynią nic istotnego. Na ironię zakrawa fakt, że departament nie jest władny wycofać mięsa, które uzna za zakażone. Może tylko złożyć wniosek, aby to zrobiono. Jego ustalenia do niczego nie zobowiązują.

— Czy coś takiego nie stało się z Hudson Meat? — zapytała Tracy. — Na początku departament zakwestionował tylko dwadzieścia pięć tysięcy funtów mięsa.

— Właśnie tak — potwierdziła Kathleen. — Dopiero zrzeczenia konsumentów zmusiły departament, aby podnieść tę ilość do ponad miliona funtów. Nie departament jednak był tutaj wnioskodawcą.

— Nie miałam o tym wszystkim pojęcia — przyznała Tracy. — A uważam się za osobę dość dobrze zorientowaną.

— Być może najgorsze jest to — mówiła dalej Kathleen — że kiedy departament rozmawia na temat infekcji ze swymi służbami inspekcyjnymi, mówi się zwykle o zakażeniu odchodami, które widać gołym okiem. Przemysł mięsny przez lata opierał się jakimkolwiek inspekcjom bakteriologicznym. Podobno teraz zakłada się jakieś kultury bakterii, ale to tylko kropla w morzu.

— Nie do wiary — westchnęła Tracy. — Zawsze byłam pewna, że mięso jest bezpieczne.

— To przykra sytuacja — przyznała Kathleen. — Skutki zaś są tragiczne.

Przez jakiś czas wszyscy milczeli.

— O czym sami wiemy najlepiej — odezwała się Tracy, jakby nagle uświadomiła sobie powagę ich rozmowy. Jej córka nie była abstrakcją. Po jej policzkach znów popłynęły łzy.

— Dobrze, zatem postanowione — stwierdził Kim. Zerwał się gwałtownie na nogi.

— Co postanowione? Dokąd znowu idziesz? — zapytała Tracy.

— Jadę do Bartonville — odpowiedział Kim. — Zamierzam złożyć krótką wizytę w Mercer Meats.

— Myślę, że powinieneś tu zostać — powiedziała rozdrażniona Tracy. — Wiesz lepiej ode mnie, że stan Becky jest poważny. Doktor Stevens i doktor Morgan uzmysłowiły mi, że być może trzeba będzie podjąć trudne decyzje.

— Oczywiście wiem, że jej stan jest poważny — warknął Kim. — Właśnie dlatego nie mogę siedzieć tutaj i nic nie robić. Bezczytność doprowadza mnie do szału. Zbyt ciężko mi nawet patrzeć na Becky, kiedy wiem, że jako lekarz w niczym nie mogę jej pomóc. Poza tym to wszystko,

co usłyszałem o przemyśle mięsnym i departamencie rolnictwa, wywołuje we mnie wściekłość. Powiedziałem, że zamierzam dowiedzieć się, dlaczego Becky zachorowała. Pójdę śladem *Escherichia coli* do końca, gdziekolwiek mnie zaprowadzi. Przynajmniej tyle mogę zrobić dla mojej córki.

— A jeśli będziemy cię potrzebować? — spytała Tracy.

— W samochodzie mam telefon komórkowy — odparł Kim. — Możesz do mnie zadzwonić. Poza tym nie wyjeżdżam na długo.

— Tak, tak jak wczoraj.

— Dostałem nauczkę — przyznał Kim. — Nie stracę już panowania nad sobą.

Tracy nie wydawała się przekonana.

— Jedź, jeśli musisz — rzuciła rozżłoszczona.

Kim wybiegł z poczekalni. Ciężył mu nie tylko pogarszający się stan Becky, lecz także wrogość Tracy. Zaledwie dzień wcześniej twierdziła, że rozumie jego przygnębienie. Teraz zachowywała się tak, jakby zapomniała o swoich słowach.

Kiedy znalazł się na autostradzie, postanowił zatelefonować do Toma. Próbując go znaleźć, dodzwonił się do kilku miejsc, nim wreszcie zastał go w szpitalnym laboratorium.

— Muszę cię prosić o jeszcze jedną przysługę — odezwał się Kim.

— Jak się czuje Becky?

— Mówiąc szczerze, jest z nią bardzo źle. Oszukiwałem samego siebie co do jej stanu, ale nie mogę tego więcej robić. To nie wygląda dobrze. Nie miałem pojęcia, że ta bakteria *coli* jest tak patogenna, a gdy toksyna już przedostanie się do organizmu, choroba staje się nieuleczalna. W każdym razie nie jestem optymistą. — Urwał, powstrzymując łzy.

— Tak mi przykro — powiedział Tom. — Taka tragedia. W jaki sposób mógłbym pomóc?

— Czy zająłbyś się w szpitalu moimi pacjentami przez parę dni? — wyjąkał Kim. — Ja jestem wykończony.

— Nie ma sprawy — odparł współczująco Tom. — Zrobię własny obchód, kiedy tu skończę za kilka minut, i po prostu dodam do niego twój. Powiem też pielęgniarce, żeby dzwoniły do mnie, gdyby były jakieś problemy.

— Dzięki, Tom. Mam u ciebie dług.

— Chciałbym móc zrobić więcej — odparł Tom.

— Ja też.

Bartonville było oddalone o niecałe czterdzieści minut jazdy samochodem. Kim przemknął główną ulicą miasteczka, a potem jechał według wskazówek, których udzielono mu na stacji benzynowej przy zjeździe z autostrady. Odnalazł Mercer Meats bez problemu.

Fabryka okazała się znacznie większa, niż się spodziewał. Budynek był cały biały, o nowoczesnym wyglądzie, ale poza tym nie wyróżniał się niczym szczególnym. Teren był starannie zaprojektowany, z granitowymi drózkami i kępami drzew na parkingu. Cały kompleks emanował aurą dobrobytu.

Kim zaparkował dość blisko drzwi frontowych, na jednym z sześciu miejsc „dla gości”. Wysunął się zza kierownicy i ruszył w stronę wejścia. Idąc, powtarzał sobie, że musi zachować zimną krew. Po przygodzie w Onion Ring wiedział, że w przeciwnym razie znowu znajdzie się w tarapatach.

Hol przypominał bardziej wejście do towarzystwa ubezpieczeniowego niż do koncertu pakującego mięso. Pluszowe dywany wyścielały ściśle podłogę, wiele mebli było tapicerowanych, a na ścianach wisiały oprawione w ramy zdjęcia. Jedynie one zdradzały charakter tego biznesu: przedstawiały różne rasy bydła.

Przy okrągłym stole na środku pomieszczenia siedziała pulchna kobieta z mikrofonem bezprzewodowym przy ustach.

— Czy mogę panu pomóc? — zapytała.

— Mam nadzieję — odrzekł Kim. — Jak się nazywa prezes Mercer Meats?

— Pan Everett Sorenson — odpowiedziała kobieta.

— Czy zechce pani zadzwonić do pana Sorensona i powiedzieć mu, że przyjechał doktor Kim Reggis i chce się z nim zobaczyć? — poprosił Kim.

— Mogę powiedzieć panu Sorensonowi w jakiej sprawie? — spytała kobieta. Przyglądała mu się sceptycznym wzrokiem. Z wyglądu bardziej przypominał bezdomnego aniżeli lekarza.

— Czy to konieczne? — zapytał Kim.

— Pan Sorenson jest bardzo zajęty człowiekiem — wyjaśniła kobieta.

— W takim razie niech mu pani powie, że chodzi o zakażone kotleciki hamburgerowe, które Mercer Meats sprzedaje sieci restauracji Onion Ring.

— Proszę? — odezwała się kobieta. Zdawało jej się, że się przestyszała.

— A jeszcze lepiej — mówił Kim, zapominając o swoim postanowieniu — niech pani mu powie, że chciałbym omówić z nim pewien fakt, a mianowicie to, że moja jedyna córka walczy teraz o życie po zjedzeniu mięsa z Mercer Meats.

— Może zechce pan usiąść? — poprosiła recepcjonistka. Nerwowo przełknęła ślinę. Kim pochylał się w jej stronę, oparty rękoma o jej biurko. — Przekażę szefowi pańską wiadomość.

— Dziękuję pani — odparł Kim. Posłał jej wymuszony uśmiech i usiadł na kanapie.

Kobieta powiedziała coś do mikrofonu, rzucając nerwowe spojrzenia w kierunku Kima. Ponownie się uśmiechnęła. Nie słyszał, co tamta mówi, ale z wyrazu jej twarzy zorientował się, że chodzi o niego.

Kim założył nogę na nogę i kiwał stopą. Upłynęło pięć długich minut. Im dłużej czekał, tym silniej narastał w nim gniew. Gdy pomyślał, że już dłużej nie wytrzyma, zjawił się mężczyzna w długim, białym kitlu, całkiem podobnym do tego, który nosił Kim, tyle że czystym i wyprasowanym. Na głowie miał niebieską czapkę baseballową z napisem Mercer Meats nad daszkiem. W ręku trzymał tabliczkę z przypiętymi do niej papierami.

Podszedł prosto do Kima i wyciągnął rękę. Kim wstał i uściśnął mu dłoń, chociaż nie zamierzał tego robić.

— Doktorze Reggis, nazywam się Jack Cartwright. Miło mi pana poznać.

— Gdzie jest prezes? — zapytał Kim.

— W tej chwili jest zajęty — odparł Jack. — Ale poprosił mnie, abym przyszedł z panem pomówić. Jestem jednym z wiceprezesów i między innymi odpowiadam za public relations firmy.

Jack był przysadzistym mężczyzną o pełnej, nalanej twarzy i lekko zadartym świńskim nosie. Uśmiechał się przymilnie.

— Chcę mówić z prezesem — oświadczył Kim.

— Proszę posłuchać — odparł bez zająknięcia Jack. — Niezmiernie mi przykro, że pana córka jest chora.

— Jest więcej niż chora. Jest o krok od śmierci i walczy o życie z bakterią zwaną *Escherichia coli* 0157:H7. Wydaje mi się, że słyszał pan o tym paskudztwie?

— Niestety tak — potwierdził Jack. Uśmiech zniknął mu z twarzy. — Słyszał o nim każdy, kto pracuje w przemyśle mięsnym, zwłaszcza po aferze z Hudson Meat. W gruncie rzeczy boimy się tej bakterii tak bardzo, że z nawiązką wypełniamy wszystkie przepisy, zasady i wnioski, które napływają z departamentu rolnictwa. Dowodem naszych starań niech będzie to, że nigdy nie wytknięto nam ani jednego uchybienia.

— Chciałbym zajrzeć na linię produkcyjną kotlecików hamburgerowych — powiedział Kim. Nie interesowała go wyreżyserowana przemowa Jacka.

— To niemożliwe. Ze zrozumiałych względów ograniczamy tam dostęp osób trzecich, żeby uniknąć skażenia. Niemniej...

— Zaraz — przerwał mu Kim, czerwieniejąc na twarzy. — Jestem lekarzem. Rozumiem względy sanitarne. Włożę każdy strój, jaki normalnie tam obowiązuje. Cokolwiek trzeba zrobić, zrobię to. Ale nie przyjmę do wiadomości odpowiedzi odmownej.

— Hej, spokojnie — powiedział dobrodusznie Jack. — Nie dał mi pan skończyć. Nie może pan wejść na linię produkcyjną, ale mamy oszklone pasáže obserwacyjne, skąd będzie pan mógł przyjrzeć się całemu procesowi produkcji. Co więcej, wcale nie musi się pan przebierać.

— Dobry początek — przytaknął Kim.

— Wspaniale! — odparł Jack. — Proszę za mną.

Jack poszedł przodem, prowadząc Kima wzdłuż korytarza.

— Interesuje pana wyłącznie produkcja hamburgerów? — zapytał. — A inne produkty mięsne, na przykład kiełbaski?

— Tylko hamburgery — odparł Kim.

— Bombowo — ucieszył się Jack.

Dotarli do schodów i zaczęli na nie wchodzić.

— Chciałbym podkreślić, że w Mercer Meats jesteśmy bardzo czuli na punkcie czystości — mówił Jack. — Codziennie myjemy całą linię produkcyjną, najpierw parą pod wysokim ciśnieniem, a potem czwartorzędowym związkami amonu.

— Rozumiem — bąknął Kim.

— W hali produkcyjnej panuje stała temperatura jednego stopnia — podjął Jack, gdy doszli do szczytu schodów. Chwycił za klamkę drzwi przeciwpożarowych. — Pracownicy dostają w kość, ale jeszcze bardziej bakterie. Wie pan, co mam na myśli? — roześmiał się Jack.

Kim milczał.

Przeszli przez drzwi i wkroczyli na szklany korytarz znajdujący się kondygnację wyżej niż hala produkcyjna. Korytarz biegł przez całą długość budynku.

— Robi wrażenie, prawda? — rzekł dumnie Jack.

— Gdzie przygotowuje się kotleciki? — zapytał Kim.

— Dojdziemy tam — wyjaśnił Jack. — Ale chciałbym panu wytłumaczyć, do czego służą te wszystkie maszyny.

Poniżej Kim zobaczył pracujących robotników. Wszyscy byli ubrani w białe kombinezony i białe czapki przypominające czepki kąpielowe. Nosili też rękawice i pokrowce na buty. Kim musiał przyznać, że fabryka sprawia wrażenie nowoczesnej i czystej. Był zaskoczony. Spodziewał się czegoś o wiele mniej imponującego.

Jack musiał mówić głośno, żeby przekrzyczeć hałas maszyn. Szyby szklanego korytarza nie były podwójne.

— Nie wiem, czy zdaje pan sobie sprawę, że hamburger to zazwyczaj mieszanka świeżego i zamrożonego mięsa — ciągnął Jack. — Mieli się je oddzielnie, o tam. Oczywiście zamrożone mięso trzeba wpięrcw rozmrozić.

Kim skinął głową.

— Po cyklu mielenia świeże i zamrożone mięso wędruje do mieszarki i składa się na poszczególne serie. Potem serie te mieli się na drobno w tych wielkich rozcieraczach.

Jack pokazał je ręką. Kim skinął głową.

— Wypuszczamy pięć serii na godzinę — tłumaczył Jack. — Później łączy się je w partie.

Kim wskazał wielki plastikowy kosz na kółkach.

— Świeże mięso jest przywożone w tych pojemnikach? — zapytał.

— Tak — potwierdził Jack. — Nazywamy je „kombo”, każdy mieści dwa tysiące funtów. Jesteśmy bardzo pedantyczni, jeśli chodzi o świeże mięso. Trzeba je wykorzystać w ciągu pięciu dni, a przechowywane musi być w temperaturze poniżej jednego stopnia. Jak pan zapewne wie, jest to temperatura niższa niż w standardowej lodówce.

— Co się dzieje z partią mięsa?

— Jak tylko wyjdzie z rozcieracza, jedzie tym przenośnikiem pod nami do maszyny formującej mięso w kotlety.

Kim przytaknął. Maszyna do formowania hamburgerów znajdowała się w osobnym pomieszczeniu, odseparowana od reszty hali produkcyjnej. Szli szklanym korytarzem, aż znaleźli się bezpośrednio nad nią.

— Imponująca maszyna, nieprawdaż?

— Dlaczego stoi osobno? — odpowiedział pytaniem Kim.

— Dla zachowania czystości i ochrony. To najdroższe urządzenie na tym piętrze i zarazem koń pociągowy całej fabryki. Wyrzuca z siebie zwykle kotleciki o wadze jednej dziesiątej funta albo porcje ćwierćfuntowe.

— Co się dzieje dalej z kotletami?

— Przenośnik transportuje je prosto do tunelu z ciekłym azotem — odpowiedział Jack. — Potem pakuje się je ręcznie do pudełek, a pudełka do kartonów.

— Czy można dojść pochodzenia mięsa? — spytał Kim. — To znaczy, znając numer partii, numer serii i datę produkcji?

— Pewnie — powiedział Jack. — Wszystko jest zapisywane w księgach.

Kim sięgnął do kieszeni i wyjął kartkę papieru, na której spisał dane z naklejek w chłodni Onion Ring. Rozpostarł kartkę i pokazał ją Jackowi.

— Chciałbym się dowiedzieć, skąd pochodziło mięso z kartonów o tych dwóch numerach i datach.

Jack zerknął na kartkę, ale potem przecząco pokręcił głową.

— Przykro mi, lecz nie mogę udzielić panu tego rodzaju informacji.

— Do diabła, czemu nie? — zapytał Kim.

— Po prostu nie mogę — odparł Jack. — To dane poufne. Nie do wiadomości publicznej.

— Cóż to za sekret?

— Żaden sekret. To po prostu polityka naszego koncernu.

— W takim razie po co prowadzicie księgi?

— Wymaga tego departament rolnictwa — wyjaśnił Jack.

— Wydaje mi się to podejrzane — oznajmił Kim, mając na myśli to, co usłyszał od Kathleen wcześniej rano. — Departament wymaga prowadzenia ksiąg, z których informacje nie są dostępne społeczeństwu.

— Nie ja ustalam zasady — odparł niepewnie Jack.

Kim omiół wzrokiem pomieszczenie z maszyną do formowania kotlecików. Wypolerowany sprzęt z nierdzewnej stali i błyszczące kafelki na podłodze robiły niekłamane wrażenie. Urządzenia doglądało trzech mężczyzn i jedna kobieta.

Kim zauważył, że kobieta nosi tabliczkę, na której raz po raz coś zapisuje. W przeciwieństwie do mężczyzn w ogóle nie dotykała maszyn.

— Kim jest ta kobieta? — zapytał Kim.

— To Marsha Baldwin. Niezła laleczka, co?

— Co ona robi? — spytał Kim.

— Inspekcję — odparł Jack. — Jest inspektorem z ramienia departamentu rolnictwa. Zagląda do nas trzy, cztery, czasem pięć razy w tygodniu. To prawdziwa zołza. We wszystko wściubia swój nos.

— Przypuszczam, że umiałyby dojść, skąd pochodzi mięso — powiedział Kim.

— Jasne — przytaknął Jack. — Przegląda księgi za każdym razem, kiedy tu jest.

— A co teraz robi? — zapytał Kim.

Marsha, pochyliwszy się, zaglądała w otwartą czeluść maszyny formującej kotleciki.

— Nie mam zielonego pojęcia — przyznał Jack. — Pewnie sprawdza, czy maszynę wyczyszczono, jak należy, co niewątpliwie miało miejsce. Ona czepia się każdego szczegółu. Przy najmniej trzyma nas na wysokich obrotach.

— Trzy do pięciu razy na tydzień — powtórzył Kim. — To imponujące.

— Chodźmy — powiedział Jack i gestem pokazał Kimowi, aby szedł za nim. — Nie widział pan jeszcze, jak pudełka są pakowane do kartonów i kartony przed wysyłką umieszcza się w chłodni.

Kim zrozumiał, że zobaczył tyle, na ile mu pozwolono. Wiedział, że nie porozmawia już z Everettem Sorensonem.

— Jeśli ma pan jeszcze jakieś pytania — zakończył Jack, gdy wrócili do holu wejściowego — niech pan śmiało dzwoni.

Podał Kimowi swoją wizytówkę i błysnął triumfalnym uśmiechem. Potem wylewnie potrząsnął ręką Kima, poklepał go po plecach i podziękował mu za wizytę.

Kim wyszedł z budynku Mercer Meats i wsiadł do samochodu. Zamiast zapuścić silnik, włączył radio. Po upewnieniu się, że telefon komórkowy również jest włączony, odchylił się do tyłu i spróbował odprężyć. Po kilku minutach opuścił częściowo szybę. Nie chciał zasnąć.

Czas płynął bardzo powoli. Parokrotnie Kim omal nie dał za wygraną i nie odjechał. Czuł się coraz bardziej winny, że zostawił Tracy samą. Lecz po jakiejś godzinie cierpliwość Kima się opłacała: z Mercer Meats wyszła Marsha Baldwin. Była ubrana w płaszcz koloru khaki i niosła coś, co wyglądało na neseser.

Przestraszywszy się nagle, że nie zdąży, zanim kobieta wsiądzie do swojego auta, Kim zaczął zмагаć się z drzwiami. Czasem się zacinały — pamiątka po dawnej stłuczce. Po kilku próbach otworzył je, wyskoczył z wozu i pognał w stronę kobiety.

Gdy do niej dobiegł, zdążyła otworzyć tylne drzwi swego żółtego forda sedana i odłożyć neseser na tylne siedzenie. Kim był zaskoczony jej wzrostem. Oceniał, że musi mieć co najmniej pięć stóp i dziesięć cali.

— Marsha Baldwin? — zapytał.

Nieco zaskoczona, że ktoś zaczepia ją na parkingu po nazwisku, Marsha odwróciła się i szybko otaksowała Kima swoimi szmaragdowozielonymi oczyma. Odruchowo odgarnęła z czoła kosmyk ciemnych blond włosów i założyła go za ucho. Wygląd Kima zbił ją z tropu, zaś napastliwy ton jego głosu natychmiast obudził w niej czujność.

— Tak, jestem Marsha Baldwin — odpowiedziała z wahaniem.

Kim ogarnął spojrzeniem całą sytuację: zarówno nalepkę „Ratujcie krowy morskie” na zde-rzaku — najwyraźniej służbowego — samochodu, jak i postać kobiety, która zdaniem Jacka Cartwrighta była „laleczką”. Dostrzegł brzoskwinowy odcień jej skóry i wyraziste rysy twarzy i uznał, że nie może mieć ona więcej niż dwadzieścia pięć lat. Miała wydatny, ale arystokratyczny nos i ostro zarysowane usta.

— Musimy pomówić — stwierdził dobitnie Kim.

— Doprawdy? — spytała z powątpiewaniem Marsha. — A kim pan jest, bezrobotnym chirurgiem czy może urwał się pan z balu przebierańców?

— W innych okolicznościach uznałbym tę replikę za błyskotliwą — odparł Kim. — Powiedziano mi, że jest pani inspektorem z departamentu rolnictwa.

— A kto udzielił panu tej informacji? — zapytała ostrożnie Marsha. Podczas szkolenia ostrzeżono ją, że czasami może mieć do czynienia ze świrami.

Kim wskazał ręką wejście do Mercer Meats.

— Pewien tłustawy szef public relations w Mercer Meats nazwiskiem Jack Cartwright.

— Dobrze, założmy, że jestem inspektorem z departamentu rolnictwa — stwierdziła Marsha. Zamknęła tylne drzwi swojego samochodu i otworzyła przednie. Nie miała zamiaru poświęcać temu dziwakowi zbyt wiele czasu.

Kim wydobyl z kieszeni kartkę z danymi spisanyymi z kartonów mięsa, które znalazł w Onion Ring, i wyciągnął ją w jej stronę.

— Chciałbym, aby pani dowiedziała się, skąd pochodziło mięso, które znalazło się w tych dwóch partiach.

Marsha spojrziała na kartkę.

— Niby po co? — zapytała.

— Ponieważ mam powody sądzić, że jedna z tych partii zawierała złośliwy szczep *Escherichia coli*, który sprawił, że moja córka jest umierająca — wyjaśnił Kim. — Chcę nie tylko się dowiedzieć, skąd pochodziło to mięso, ale również dokąd jeszcze zostało wysłane.

— Skąd pan wie, że to jedna z tych partii? — spytała Marsha.

— Nie wiem z całą pewnością. Przynajmniej na razie.

— Och, naprawdę? — zapytała z udawanym zdumieniem.

— Tak, naprawdę — odparł gniewnie Kim, urażony tonem jej głosu.

— Przepraszam, ale nie mogę zdobyć dla pana tego rodzaju informacji — oznajmiła Marsha.

— Dlaczego nie? — spytał Kim.

— Moja praca nie polega na podawaniu takich informacji do wiadomości publicznej. Jestem pewna, że to wbrew przepisom — odpowiedziała i zamierzała wsiąść do samochodu.

Mając przed oczami swoją śmiertelnie chorą córkę w szpitalnym łóżku, Kim obcesowo chwycił kobietę za ramię, żeby ją zatrzymać.

— Zapomnij o przepisach, ty cholerna biurokratko — warknął. — To bardzo ważne. Masz podobno chronić zdrowie ludzi. Teraz masz okazję, żeby tego dowieść.

Marsha nie przestraszyła się. Spojrzała najpierw na rękę ściskającą jej ramię, a potem na oburzoną twarz Kima.

— Puść mnie albo zacznę wrzeszczeć, ty wariacie.

Uznawszy, że kobieta może dotrzymać słowa, Kim puścił jej ramię. Był zmieszany nieoczekiwaną asertywnością Marshy.

— A teraz bądź grzeczny — dodała Marsha, jakby rozmawiała z nieletnim. — Nic ci nie zrobiłam.

— Nie ruszyłaś palcem, do cholery! Gdybyście wy, ludzie z departamentu, nie pozorowali działań i naprawdę kontrolowali przemysł mięsny, moja córka nie byłaby chora, a co roku udaloby się uratować jakieś pięćset dzieci.

— Zaraz, nie tak szybko. Ja ciężko pracuję i traktuję swoją pracę bardzo poważnie — odcięła się Marsha.

— Bzdura — syknął Kim. — Mówiono mi, że ciężko pracujecie nad tym, by się nie przepracować. Słyszałem też o waszych układach z przemysłem, który powinniście kontrolować.

Usta Marshy rozwarły się szeroko. Była w najwyższym stopniu oburzona.

— Nie zamierzam komentować tych insynuacji — stwierdziła. Usiadła za kierownicą, zatrzasnęła drzwi i włożyła kluczyk do stacyjki.

Kim zastukał w okno.

— Jeszcze sekundkę! — ryknął. — Przepraszam panią. Proszę! — Drżącą ręką przesunął po swoich roztarganych włosach. — Rozpaczliwie zależy mi na pani pomocy. Nie chciałem pani dotknąć. Przecież nawet pani nie znam.

Po paru sekundach namysłu Marsha opuściła szybę i spojrzała na niego. O ile przed chwilą wydawał jej się ekscentrycznym świrem, o tyle teraz wyglądał na znękanego człowieka.

— Naprawdę jest pan lekarzem? — spytała.

— Tak. A ściślej kardiochirurgiem.

— Pana córka naprawdę jest chora?

— Bardzo, bardzo chora — odpowiedział Kim łamiącym się głosem. — Zaraziła się niezwykle złośliwym szczepem *Escherichia coli*. Jestem niemal pewny, że zachorowała po zjedzeniu surowego hamburgera.

— Bardzo przykro mi to słyszeć — powiedziała Marsha. — Jednak nie ze mną powinien pan mówić. Ja pracuję w departamencie dopiero od niedawna i jestem na samym dole służbowej drabiny.

— A z kim, pani zdaniem, powinienem się skontaktować?

— Z szefem rejonu — odparła Marsha. — Nazywa się Sterling Henderson. Mogę panu dać jego numer telefonu.

— Czy on należy do tak zwanego średniego szczebla zarządzania? — zapytał Kim. W myślach słyszał głos Kathleen.

— Przypuszczam, że tak.

— W takim razie nie interesuje mnie to — stwierdził Kim. — Powiedziano mi, że faktyczny problem ze służbami inspekcyjnymi w ministerstwie polega na konflikcie interesów, zwłaszcza na średnim szczeblu zarządzania. Czy wiadomo coś pani na ten temat?

— Cóż, wiem, że są jakieś problemy — przyznała Marsha. — To sprawy polityczne.

— Czyli wielomiliardowy przemysł, jak przemysł mięsny, może wywierać spory nacisk.

— Coś w tym rodzaju — zgodziła się Marsha.

— Czy pomoże mi pani? — spytał Kim. — Ze względu na moją córkę? Nie mogę jej pomóc jako lekarz, ale jestem pewien, że dowiem się, jak i dlaczego zachorowała, i może dzięki temu coś zmienię. Chciałbym ustrzec inne dzieciaki przed tym samym nieszczęściem. Twierdzę, że jedna z partii mięsa z tej kartki jest zainfekowana szczególnie niebezpiecznym szczepem bakterii.

— O rany, nie wiem, co powiedzieć — odparła Marsha. Namysławiając się, bębniła palcami po kierownicy. Argument o uratowaniu dzieci przed poważną chorobą trafił jej do przekonania. Ale było też ryzyko.

— Sądzę, że bez pani pomocy nie uda mi się zdobyć tych informacji — wyjaśnił Kim. — Przynajmniej nie dość szybko, by zapobiec nieszczęściu.

— Co pan na to, żeby powiadomić o tym departament zdrowia? — zaproponowała Marsha.

— To jakiś pomysł — zgodził się Kim. — Mógłbym to zrobić w poniedziałek. Ale mówiąc szczerze, nie liczyłbym na efekty. Prawdopodobnie trafiłbym na kolejnych biurokratów i sprawa przeciągnęłaby się w nieskończoność. Poza tym chcę to zrobić sam. Dlatego że nie potrafiłem pomóc córce jako lekarz.

— Ryzykuję utratę pracy — stwierdziła Marsha. — Chociaż może udałoby mi się zapewnić pomoc mojego szefa. Kłopot w tym, że między nami nigdy nie układało się najlepiej w pracy.

— Czy to ten szef rejonu, o którym pani wspomniała?

— Ten sam — potwierdziła Marsha. — Sterling Henderson.

— Wolałbym, żeby zostało to między panią i mną — zdecydował Kim.

— Łatwo panu mówić. Ale tutaj idzie o moją pracę, nie pańską.

— Niech pani mi powie — odezwał się nagle Kim, jakby przyszedł mu do głowy jakiś pomysł. — Czy widziała pani kiedyś dziecko chore w wyniku zakażenia *Escherichia coli*? Pytam dlatego, że ja nie widziałem, dopóki nie zachorowała moja córka, choć jestem lekarzem. Przedtem czytałem o tym, oczywiście, ale zawsze była to abstrakcja, dane statystyczne.

— Nie, nigdy nie widziałam takiego dziecka — wyznała.

— Wobec tego niech pani jedzie ze mną zobaczyć moją córkę — powiedział Kim. — Niech pani na nią popatrzy, a potem zdecyduje, co dalej. Zgodzę się z każdą pani decyzją. Przynajmniej pani praca zyska jakiś sens.

— Gdzie ona jest?

— W Uniwersyteckim Centrum Medycznym — odpowiedział Kim. — W tym samym szpitalu, w którym pracuję. — Kim wskazał na telefon komórkowy Marshy, który dostrzegł między przednimi siedzeniami. — Proszę zadzwonić do szpitala, jeśli mi pani nie wierzy. Jestem doktor Kim Reggis. Moja córka nazywa się Becky Reggis.

— Wierzę panu — odparła Marsha. Nadal była niezdecydowana. — Kiedy mielibyśmy jechać?

— Teraz — rzekł Kim. — W drogę. Tam stoi mój wóz. — Wskazał ręką. — Może pani jechać ze mną. Potem przywiozę tu panią po pani samochód.

— Nie mogę tego zrobić — odpowiedziała Marsha. — Nie znam pana.

— W porządku — powiedział Kim, ciesząc się na myśl, że Marsha zobaczy Becky. — Niech pani jedzie za mną. Martwiłem się tylko, gdzie pani zaparkuje przed szpitalem, ale chrzanić to. Niech pani wjedzie za mną na parking dla lekarzy. Co pani na to?

— Że jest pan wytrwały i przekonujący — odpowiedziała Marsha.

— Genialnie! — zawołał Kim, unosząc zaciśniętą pięść dla podkreślenia słów. — Zakręcę tutaj, a potem niech pani tylko za mną jedzie.

— Okay — powiedziała niepewnie Marsha, zastanawiając się, w co też się pakuje.

* * *

Jack Cartwright stał z nosem przyciśniętym do szyby. Obserwował Kima od chwili, gdy się rozstali, i widział całą scenę. Nie mógł oczywiście słyszeć, o czym mówili, ale zobaczył, jak Marsha wyjeżdża z parkingu za jego samochodem po tym, jak oboje najwyraźniej osiągnęli jakieś porozumienie.

Opuściwszy hol wejściowy, Jack pognął środkowym korytarzem. Minał wejście na schody, którymi poprowadził Kima do szklanego tunelu widokowego. Na końcu hol rozszerzał się i tam właśnie znajdowały się biura.

— Jest szef? — zapytał Jack jedną z sekretarek.

— Pewnie, że jest — odpowiedziała, nie odrywając wzroku od monitora komputera.

Jack zapukał do zamkniętych drzwi prezesa. Tubalny głos kazał mu „włazić do środka”.

Everett Sorenson z powodzeniem zarządzał Mercer Meats od prawie dwudziestu lat. To pod jego kierownictwem spółka została wykupiona przez Foodsmart i wybudowano nową fabrykę. Sorenson był postawnym mężczyzną, jeszcze większym niż Jack, o rumianej twarzy, dziwnie małych uszach i lśniącej łysince.

— Czemu, do diabła, biegasz jak z pieprzem? — zapytał Everett, gdy Jack wszedł do jego gabinetu. Everett miał szósty zmysł, jeśli chodzi o Jacka, swoją prawą rękę. Osobiście awansował go z robotnika w hali produkcyjnej na członka władz spółki.

— Mamy problem — rzucił Jack.

— Och — westchnął Everett. Przysunął się z krzesłem do biurka i oparł się na łokciach. — Co znowu?

Jack usiadł na jednym z krzeseł przed biurkiem Everetta.

— Pamiętasz ten artykuł, na który dziś rano zwróciłeś uwagę w gazecie? Ten o zwariowanym doktorze gadającym o *Escherichia coli* i aresztowanym w restauracji Onion Ring przy autostradzie Prairie?

— Oczywiście — odparł Everett. — I co z tego?

— Był tutaj.

— Ten lekarz? — spytał Everett z niedowierzaniem.

— Ten sam facet — powiedział Jack. — Nazywa się Reggis. I powiem ci od razu: ten facet to kompletny szajbus. Nie panuje nad sobą, twierdzi, że jego córka złapała *Escherichia coli*, bo zjadła jeden z naszych hamburgerów.

— Cholera! — zawołał Everett. — Nie potrzebujemy tego.

— Jest jeszcze gorzej — mówił Jack. — Przed chwilą widziałem, jak Reggis rozmawiał na parkingu z Marshą Baldwin. Potem oboje odjechali.

— Myślisz, że pojechali gdzieś razem?

Jack skinął głową.

— Wyglądali podejrzanie — oznajmił. — Zanim odjechali, rozmawiali przez jakiś czas na parkingu.

— Chryste Panie! — krzyknął Everett i walnął w biurko ręką wielkości łopaty. Odepchnął się od biurka i wstał, żeby pospacerować. — Nie potrzebujemy czegoś takiego! Ani trochę! Ta cholerna dziwka Baldwin tkwi jak cierń w moim boku od dnia, kiedy się tu pojawiła. Ciągłe wypełnia te głupie raporty o niedociągnięciach. Dzięki Bogu, że Sterling Henderson jest w stanie je wyłowić.

— Czy Sterling może z nią coś zrobić? — zapytał Jack. — Na przykład wylać ją z pracy?

— Chciałbym — westchnął Everett. — Skarzyłem się na nią do utraty tchu.

— Za pieniądze, które mu płacimy, jak gdyby nadal tu pracował — stwierdził Jack — mógłby przynajmniej gdzieś ją przenieść.

— Trzeba przyznać, że sytuacja jest trudna — przypomniał Everett. — Najwyraźniej jej ojciec ma kontakty w Waszyngtonie.

— Czyli siedzimy z ręką w nocniku — dopowiedział Jack. — Teraz mamy na głowie napałowaną inspektorę, która nie gra według ustalonych reguł, i zbzikowanego lekarza, który pozwala się aresztować w restauracji, żeby postawić na swoim. Obawiam się, że ten facet może być jak kamikadze. Poświęci siebie, ale zarazem pograży i nas.

— Zgadzam się w stu procentach — potwierdził nerwowo Everett. — Kolejna wpadka z *Escherichia coli* byłaby katastrofą. Zarząd Hudson Meat już raz przegrał z tą cholerną bakterią. Ale co możemy zrobić?

— Musimy znaleźć sposób obrony. Inaczej utoniemy. Wydaje mi się, że nadszedł czas, żeby włączyć do gry nowo utworzony Komitet Prewencyjny. Powołano go dokładnie po to, aby radził sobie z takimi sytuacjami jak obecna.

— Wiesz co, masz rację. Tak będzie najlepiej. Nie będziemy w to bezpośrednio zaangażowani — stwierdził Everett.

— Można by zadzwonić do Bobby'ego Bo Masona — zasugerował Jack.

— Zadzwoń — powiedział Everett, odzyskując humor. Właśnie myślenie taktyczne i umiejętność podejmowania decyzji zdecydowały o tym, że awansował kiedyś Jacka na stanowisko wiceprezesa.

— Czas nagli — rzucił Jack.

— Zaraz do niego dzwonię.

— Może skorzystalibyśmy z dzisiejszej kolacji u Bobby'ego? — spytał Jack. — To przyspieszyłoby bieg spraw. Przecież wszyscy tam będą.

— To jest myśl! — powiedział Everett, sięgając po słuchawkę.

* * *

Kim zatrzymał samochód i szybko wysiadł, aby skierować Marszę na jedno z miejsc parkingowych dla lekarzy, które — jak sądził — powinno być wolne przez całą sobotę. Otworzył drzwi jej auta, gdy tylko się zatrzymała.

— Jest pan pewien, że to dobry pomysł? — spytała Marsha, wysiadając. Spojrzała na okazałą fasadę szpitala. W trakcie jazdy przez miasto, gdy miała czas zastanowić się nad planem Kima, ogarnęły ją wątpliwości.

— Sądzę, że to mistrzowski pomysł — odrzekł Kim. — Nie wiem, czemu zajęło mi tyle czasu, żeby na niego wpaść. Chodźmy!

Kim wziął Marszę pod rękę i poprowadził ją ku wejściu. Najpierw nieco się opierała, ale potem poddała się okolicznościom. Rzadko bywała w szpitalach i nie wiedziała, jak zareaguje. Bała się, że ta wizyta może wytrącić ją z równowagi bardziej, niż przypuszczała na parkingu przed Mercer Meats. Ku jej zdumieniu, kiedy czekali na windę w holu szpitala, zauważyła, że to Kim drży, a nie ona.

— Czy wszystko w porządku? — zapytała.

— Prawdę rzekłszy, nie — wyznał Kim. — Oczywiście byłem w wielu szpitalach, odkąd skończyłem studia, i nigdy mi to nie przeszkadzało. Ale teraz, gdy Becky jest chora, czuję straszliwy niepokój za każdym razem, gdy przechodzę przez te drzwi. Myślę, że to głównie z tej przyczyny nie mogłem tu siedzieć przez cały czas. Byłoby inaczej, gdybym mógł coś dla niej zrobić. Ale nie mogłem.

— To musi być bardzo bolesne — powiedziała Marsha.

— Nie ma pani pojęcia, jak bardzo.

Weszli do zatłoczonej windy i milczeli do chwili, kiedy znaleźli się na korytarzu prowadzącym na oddział intensywnej opieki medycznej.

— Nie chciałabym być wścibska — odezwała się Marsha. — Ale jak pańska żona znosi ciężar choroby waszej córki?

— Jesteśmy rozwiedzeni — odparł Kim. — Ale łączy nas troska o Becky. Tracy, moja była żona, znosi to z trudem, choć czuję, że lepiej ode mnie. Jestem pewien, że jest na oddziale. Przedstawię panią.

Marsha zadygotała. Konieczność obcowania z bólem matki miała uczynić to przeżycie jeszcze trudniejszym. Zaczynała pytać się w duchu, dlaczego dała się w to wciągnąć. Potem, jakby tego było za mało, Marsha zobaczyła strzałki wskazujące drogę na oddział intensywnej opieki medycznej — w stronę, w którą właśnie zmierzali.

— Pana córka jest na intensywnej terapii? — zapytała, mając nadzieję, że usłyszy odpowiedź negatywną.

— Niestety, tak — potwierdził Kim.

Marsha westchnęła. Zapowiadało się gorzej, niż się obawiała.

Kim zatrzymał się na progu poczekalni. Spostrzegł Tracy i pokazał Marshy, aby szła za nim. Gdy podchodzili, jego była żona wstała.

— Tracy, chciałbym ci przedstawić Marshę Baldwin. Marsha jest inspektorem z departamentu rolnictwa i mam nadzieję, iż pomoże mi dowiedzieć się, skąd pochodziło mięso, które zjadła Becky.

Tracy nie odpowiedziała. Widząc wyraz jej twarzy, Kim od razu się zorientował, że coś się stało. Za każdym razem, kiedy wracał, z Becky było coraz gorzej. To było jak kiepski film grany wciąż i wciąż od nowa.

— Co tym razem? — zapytał posepnie Kim.

— Dlaczego nie odbierałaś telefonów? — spytała Tracy, jednocześnie znużona i poirytowana.

— Telefon nie dzwonił.

— Próbowałam się do ciebie dodzwonić — powiedziała Tracy. — Kilka razy.

Kim uświadomił sobie, że zostawił telefon w samochodzie, kiedy był w Mercer Meats i kiedy rozmawiał z Marshą.

— Dobrze, już jestem — powiedział niepocieszony. — Co się stało?

— Ustała akcja serca — odparła Tracy. — Ale pobudzili je znowu. Byłam przy niej, kiedy to się stało.

— Chyba powinnam zostawić państwa samych — odezwała się Marsha.

— Nie! — rzucił z naciskiem Kim. — Proszę zostać! Pójdę tylko i zobaczę, co się dzieje.

Kim okręcił się na pięcie i wybiegł z poczekalni.

Tracy i Marsha przyglądały się sobie skrępowanym wzrokiem.

— Przykro mi z powodu pani córki — powiedziała Marsha.

— Dziękuję — odparła Tracy. Dotknęła kącików oczu papierową chusteczką. Tyle się napłakała w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin, że już prawie zabrakło jej łez. — To takie cudowne dziecko.

— Nie zdawałam sobie sprawy, że pani córka jest aż tak chora — oznajmiła Marsha. — To musi być okropne brzemię.

— Niewyobrażalne.

— W takich chwilach czuję się jak intruz — dodała Marsha. — Bardzo mi przykro. Może powinnam po prostu odejść.

— Nie musi pani wychodzić przeze mnie — powiedziała Tracy. — Kimowi wyraźnie zależało, aby pani została. Nie rozumiem, jak on może w takim momencie myśleć o pochodzeniu tego mięsa. Mnie trudno nawet oddychać.

— Pewnie dlatego, że jest lekarzem — domyśliła się Marsha. — Wyjaśnił mi, że próbuje ustrzec inne dzieci przed tym samym problemem.

— Przyznaję, nie myślałam o tym w ten sposób — odparła Tracy. — Być może nie powinienam zbyt pochopnie go osądzać.

— Boi się, że gdzieś jest następna partia zarażonego mięsa — powiedziała Marsha.

— Myślę, że to całkiem możliwe — przytaknęła Tracy. — Mimo to nie pojmuję, dlaczego panią tutaj przywiózł. Przepraszam, jeśli brzmi to niegrzecznie.

— Rozumiem — odparła Marsha. — Otóż prosił mnie, żebym pomogła mu ustalić, skąd pochodzi mięso z paru konkretnych partii. Nie zgodziłam się; to nie należy do moich obowiązków. Za podawanie tego typu informacji mogę stracić pracę, jeśli mój szef się o tym dowie. Jego pomysł, żebym zobaczyła waszą córkę i naocznie przekonała się, do czego może doprowadzić zatrucie *Escherichia coli*, miał odmienić moje zdanie. A przynajmniej nadać sens mojej pracy.

— Cierpienie Becky może sprawić, że stanie się pani najbardziej sumiennym inspektorem na świecie. Nadal chce pani widzieć, jak bardzo jest chora? Do tego trzeba dużego hartu ducha.

— Nie wiem — odparła szczerze Marsha. — Tak jak powiedziałam, nie chcę być intruzem.

— Nie jest pani intruzem — stwierdziła Tracy z nagłym postanowieniem. — Chodźmy. Zaprowadzę tam panią.

Tracy wyprowadziła Marshę z poczekalni. Przed drzwiami sali przystanęła na moment.

— Proszę tu poczekać — powiedziała. — Nie możemy wchodzić tam bez wiedzy personelu. Marsha skinęła głową. Jej serce biło szybko, zaczęła się pocić.

Tracy otworzyła drzwi i obie kobiety weszły do środka. Tracy ruszyła prędkim krokiem do sali Becky, Marsha szła tuż za nią. Kilka pielęgniarek zobaczyło je, ale nic nie powiedziały. W ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin Tracy stała się na oddziale znajomą postacią.

— Obawiam się, że niewiele zobaczymy — stwierdziła Tracy, kiedy stanęły na progu małej salki. Oprócz Kima znajdowało się w niej sześciu lekarzy i dwie pielęgniarki. Ale słychać było tylko jego głos.

— Rozumiem, że ustawało parokrotnie! — krzyczał. Mieszanina strachu i złości obudziła w nim wściekłość. Ze swego klinicznego doświadczenia wiedział, że jego córka jest u progu śmierci, ale nikt nie chce dać mu konkretnej odpowiedzi ani nic nie robi; wszyscy stali wokół i pocierali w zamyśleniu podbródki. — Pytam, dlaczego tak się dzieje.

Kim gapił się na Jasona Zimmermana, kardiologa dziecięcego, którego dopiero co mu przedstawiono. Mężczyzna odwrócił wzrok, wołał spoglądać na monitor rejestrujący pracę serca, na którym widniał nieregularny rytm. Coś złego wisiało w powietrzu.

Kim odwrócił się, by spojrzeć na Claire Stevens. Przez jej ramię dostrzegł Tracy i Marshę.

— Nie wiemy, co się dzieje — przyznała Claire. — Nie ma płynu osierdżowego, więc to nie tamponada.

— Wydaje mi się, że to wada wrodzona mięśnia sercowego — odezwał się Jason. — Trzeba zrobić porządne EKG.

Zaledwie kardiolog wypowiedział te słowa, rozległ się sygnał alarmowy monitora. Biegący przez ekran kursor stał się linią prostą. Serce Becky ponownie stanęło.

— Niebieski kod! — krzyknęła jedna z pielęgniarek, żeby zaalarmować pozostałe siostry z głównej sali intensywnej opieki.

Jason odepchnął Kima od łóżka. Natychmiast rozpoczął zewnętrzny masaż serca, składając dłonie i uciskając wątłą klatkę piersiową Becky. Jane Flanagan, anestezjolog, która odpowiedziała na pierwszy kod i nadal była w sali, sprawdziła, czy rurka dotchawicza pozostaje na swoim miejscu. Zwiększyła też ilość tlenu dostarczanego przez respirator.

Nadbiegły pielęgniarki, ciągnąc wózek reanimacyjny. Prawie że wpadły na Tracy i Marszę, które musiały uskoczyć im z drogi.

W pomieszczeniu zaczął się gorączkowy ruch, wszyscy lekarze przystąpili do swoich działań. Każdy zdawał sobie sprawę, że nie tylko serce przestało bić, ale ustała też jego aktywność elektryczna.

Tracy zasłoniła ręką usta. Chciała uciec, ale nie mogła. Stała jak sparaliżowana, jakby musiała obejrzeć każdy okrutny szczegół.

Marsha mogła jedynie skulić się za plecami Tracy i starać się nie przeszkadzać.

Kim początkowo odsunął się z niedowierzaniem i przerażeniem. Jego spojrzenie wędrowało między ekranem monitora a biednym ciałem jego córki, maltretowanym przez kardiologa.

— Epinefryna! — wrzasnął Jason, nie przerywając masażu.

Pielęgniarki przy wózku reanimacyjnym napełniły strzykawkę lekarstwem i podały ją dalej. Po chwili strzykawkę wręczono Jasonowi, który przerwał na chwilę masaż, aby wbić igłę prosto w serce Becky.

Tracy zakryła oczy i załkała. Marsha instynktownie objęła ją ramieniem, lecz sama nie mogła odwrócić oczu od rozgrywającego się przed nią upiornego dramatu.

Jason powrócił do masażu, ze wzrokiem utkwionym w monitor. Nieubłagana prosta przebiegająca ekran nie zmieniła się ani na jotę.

— Dajcie elektrody! — wrzasnął Jason. — Zobaczymy, czy po wstrząsie będzie aktywność elektryczna. Jeśli to nie zadziała, będziemy musieli ją stymulować. Przygotujcie się.

Doświadczone pielęgniarki naładowały tymczasem defibrylator. Podały elektrody. Jason przerwał masaż i wziął je.

— Wszyscy do tyłu! — krzyknął i ustawił je.

Gdy wszyscy odstąpili od Becky, a elektrody spoczywały w odpowiednich miejscach, nadusił przycisk wyładowania.

Pobladłe ciało Becky poderwało się, a białe ręce zatrzępotały. Oczy wszystkich pobiegły do monitora, w nadziei, że nastąpią jakieś zmiany. Ale nic się nie zmieniło, kursor sunął uparcie po prostej, płaskiej linii.

Kim przepchnął się do przodu. Nie podobał mu się sposób, w jaki Jason wykonał masaż.

— Masz niewłaściwe nachylenie elektrod — stwierdził. — Ja przejmę masaż.

— Nie — zaproponowała Claire, stając za jego plecami i odciągając go do tyłu. — Doktorze Reggis, tak nie można. Poradzimy sobie sami. Uważam, że powinien pan poczekać na zewnątrz.

Kim strząsnął jej rękę. Miał rozszerzone źrenice i wypieki na twarzy. Nie zamierzał się ruszać.

Jason zareagował na słowa Kima. Jako człowiekowi małej postury było mu trudno użyć dość siły w pozycji stojącej. Żeby sobie ułatwić zadanie, wspiął się i ukląkł na łóżku. Mógł teraz lepiej ucisnąć pierś Becky — na tyle lepiej, że wszyscy obecni usłyszeli, chrzęst łamanych żeber.

— Więcej epinefryny! — szczechnął Kim.

— Nie! — krzyknął Jason, łapiąc oddech. — Dajcie wapń!

— Epinefryna — powtórzył Kim. Wpatrywał się z natężeniem w kursor na monitorze. Nie podawano mu strzykawki, więc spojrzał na wózek do reanimacji. — Gdzie epinefryna? — zapytał.

— Wapń! — powtórzył Jason. — Musimy mieć aktywność elektryczną. Musi być nierównowaga jonowa.

— Podajemy wapń — poinformowała Claire.

— Nie! — ryknął Kim. Przepchnął się do wózka reanimacyjnego i wbił wzrok w pielęgniarkę.

Ta spoglądała to na rozpaloną twarz Kima, to na Claire. Zupełnie nie wiedziała, co ma robić.

Kim, nawykły do posłuchu, porwał opakowanie ze strzykawką i rozerwał je. Potem chwycił ampułkę z epinefryną i odłamał jej czubek. Jego drżące palce upuściły igłę. Musiał wziąć następną.

— Doktorze Reggis, nie! — powiedziała Claire.

Złapała Kima za ramię. Walter Ohanesian, hematolog, próbował jej pomóc, ujmując Kima pod drugie ramię.

Kim z łatwością strząsnął z siebie obu lekarzy i bez przeszkód napełnił strzykawkę. Rozpętało się piekło, kiedy spróbował dostać się z nią z powrotem do łóżka Becky. Kathleen i Arthur Horowitz, nefrolog, przyszli w sukurs Claire i Walterowi. Zaczęła się szamotanina pełna krzyków i gróźb.

— O Boże! — jęknęła Tracy. — Co za koszmar!

— Wszyscy stać! — wrzasnęła z całych sił Jane, żeby zwrócić na siebie uwagę. Przepychanki ustały. Wówczas Jane dodała zdecydowanym, ale już normalnym tonem głosu: — Dzieje się coś bardzo dziwnego. Jason prawidłowo masuje serce, ja podaję sto procent tlenu, a mimo to źrenice się rozszerzają! Z jakiegoś powodu ustało krążenie krwi.

Kim wyrwał się krepującym go rękami. Nikt się nie poruszył ani nie odezwał, z wyjątkiem Jasona, który kontynuował masaż serca. Lekarze byli zakłopotani. Przez pewien czas nikt nie wiedział, co robić.

Kim zareagował pierwszy. Jego chirurgiczne doświadczenie nie pozwalało mu namyślać się ani chwili dłużej. Wiedział, co musi zrobić. Bez krążenia krwi, mimo właściwego wychylenia klatki piersiowej, była tylko jedna możliwość. Błyskawicznie odwrócił się do pielęgniarek stojących przy wózku reanimacyjnym.

— Skalpel! — szczechnął.

— O nie! — zawołała Claire.

— Skalpel! — powtórzył Kim z większym uporem.

— Nie może pan — zaprotestowała Claire.

— Skalpel!!! — zawył Kim. Cisnął na bok strzykawkę z epinefryną i utorował sobie drogę ku wózkowi reanimacyjnemu. Chwycił szklaną rurkę zawierającą skalpel. Trzęsącymi się palcami odkręcił wieczko i wyjął sterylne narzędzie. Odrzucił szklaną rurkę, tak iż rozbiła się na kafelkach podłogi. Wziął wacik ze spirytusem i rozerwał pakunek zębami. W tym momencie jedynie Claire chciała nadal próbować go powstrzymać. Ale jej wysiłki spełzły na niczym. Odepchnął ją na bok delikatnym, lecz stanowczym ruchem.

— Nie! — krzyknęła Tracy. Nie była lekarzem, ale intuicja podpowiadała jej, co Kim zamierza zrobić. Dała krok do przodu, Marsha puściła ją.

Kim podszedł do łóżka i dosłownie zrzucił z niego Jasona. Przetarł pierś Becky wacikiem ze spirytusem. Następnie, zanim Tracy zdążyła do niego dojść, rozciął tors córki jednym zdecydowanym, bezkrwawym pociągnięciem skalpela.

Zbiorowe westchnienie wyrwało się z ust wszystkich oprócz Tracy. Jej reakcja była bardziej dramatyczna. Z jękiem zachwiała się do tyłu i z pewnością by się przewróciła, gdyby Arthur w porę jej nie podtrzymał.

Po drugiej stronie łóżka Jason pozbierał się na nogi. Kiedy zobaczył, co się dzieje, również się cofnął.

Kim nie tracił czasu. Nie zwracając uwagi na pozostałych, chirurg rozsunał oburącz wąskie żebra Becky, tak iż rozległ się wyraźny trzask. Potem wepchnął w otwartą pierś gołą rękę i zaczął rytmicznie uciskać jej serce.

Nadludzki wysiłek Kima nie trwał długo. Już po pierwszych kilku uciskach Kim poczuł, że serce Becky jest podziurawione i jakby zbudowane z gąbki. Jak gdyby nie było mięśniem, ale czymś znacznie delikatniejszym, co rozpryskiwało mu się w palcach. Oszołomiony tym nagłym odkryciem, Kim wyjął rękę, wyciągając przy tym odrobinę obcej w dotyku tkanki. Nie wiedząc, co to może być, przysunął zakrwawioną rękę do twarzy, żeby jej się przyjrzeć. Z jego ust wyrwał się przenikliwy, drżący skowyt, gdy uświadomił sobie, że trzyma w dłoniach strzępy martwej tkanki serca swojej córki. Toksyna była bezlitosna. Wyglądało to tak, jakby jego córka została zjedzona od środka.

Drzwi do sali intensywnej opieki otworzyły się z rozmachem. Do środka wmaszerowało dwóch umundurowanych strażników ochrony szpitala. Wezwała ich naczelną pielęgniarka po szamotaninie o epinefrynę.

Strażnicy, ujrawszy całą scenę, stanęli jak wryci. Becky wciąż była podłączona do respiratora, jej różowe płuca wzbierały i opadały w rozwartym nacięciu. Przy niej stał Kim, z zakrwawionymi rękoma i oczami oszalałymi z rozpacz. Usiłował ostrożnie włożyć martwą tkankę do klatki piersiowej Becky. Gdy w końcu dał za wygraną, odrzucił głowę do tyłu i z jego ust wyrwało się łkanie, jakiego nigdy przedtem nie słyszano na tym oddziale.

Tracy zdążyła na tyle dojsć do siebie, aby uczynić krok do przodu. Bolesny lament Kima dotknął ją do głębi. Chciała go ukoić, tak jak sama pragnęła ukojenia. Ale on był ślepy na wszystko i wszystkich. Nim ktokolwiek się zorientował, Kim był już za drzwiami. Pognał na oślep przed siebie. Na jego widok ludzie usuwali się z drogi. Jakiś pielęgniarz nie zdążył zrobić tego dostatecznie szybko i Kim wpadł na niego; mężczyzna przewrócił się, ciągnąc za sobą wózek z wodą.

Kim pobiegł do samochodu. Po chwili wystrzelił z rykiem silnika z parkingu dla lekarzy, zostawiając na asfalcie ślady opon.

Pędził jak szalony autostradą Prairie. Na szczęście nie natknął się na żaden patrol policji. Kiedy skręcał na parking Onion Ring, rozpędzone auto otarło się podwoziem o nawierzchnię. Samochód gwałtownie podskoczył i zatrzymał się z piskiem opon tuż przed zatłoczoną restauracją. Kim szarpnął za hamulec ręczny i już miał wysiąść, lecz w tym samym momencie zawałał się. Do jego przeciążonego wrażeniami mózgu wkradł się promyk racjonalnej myśli. Było sobotnie popołudnie, tłum delektował się hamburgerami, koktajlami mlecznymi i frytkami; stwierdzenie, że ludzie nie zdają sobie sprawy z jego bólu, podziałało na Kima jak kubek zimnej wody.

Przyjechał do Onion Ring w poszukiwaniu kozła ofiarnego. Teraz jednak, gdy już tu był, nie wysiadł z samochodu. Zamiast tego podniósł prawą rękę i wpatrzył się w nią. Patrząc na ciemną, zaschniętą krew swojej córki, Kim utwierdził się w brutalnej prawdzie: Becky nie żyje. On zaś nie był w stanie niczego zrobić, żeby ją uratować. Zaczął łkać. W geście bezradności oparł głowę na kierownicy.

* * *

Tracy potrząsała głową, nie wierząc w to, co się stało. Przeczesała ręką splątane włosy, podczas gdy Marsha głaskała ją po ramieniu. Poza wszystkim trudno było jej uwierzyć, że pociesza ją ktoś obcy.

Tracy zareagowała zupełnie inaczej niż Kim. Zamiast wypaść z sali w ślepej furii, czuła całkowite odrętwienie, nie mogła nawet płakać.

Zaraz po nagłym wyjściu Kima, Claire i Kathleen odprowadziły Tracy do poczekalni. Marsha szła za nią, chociaż Tracy nie zdawała sobie wtedy sprawy z jej obecności. Claire i Kathleen zostały z Tracy przez jakiś czas, żeby złożyć jej wyrazy współczucia i wytłumaczyć, co się stało. Odpowiadając na pytania, nie pominęły żadnego szczegółu, włącznie z tym, że toksyna najwyraźniej zaatakowała mięsień sercowy i osierdzie.

Claire i Kathleen zaproponowały, że pomogą Tracy wrócić do domu, ale powiedziała, że ma samochód i zdoła pojechać sama. Dopiero wtedy, gdy obie lekarki oddaliły się, Tracy uświadomiła sobie, że Marsha ciągle jej towarzyszy; obie kobiety zaczęły długą rozmowę.

— Chcę pani podziękować, że została pani ze mną przez ten cały czas — odezwała się Tracy. — Była mi pani wielką podporą. Mam nadzieję, że nie zanudziłam pani tymi wszystkimi opowieściami o Becky.

— Musiała być wspaniałym dzieckiem.

— Najlepszym — powiedziała melancholijnie Tracy. Potem odetchnęła głęboko i wyprostowała się na krześle. Obie kobiety siedziały w najdalszym kącie poczekalni, przy oknie, na ustawionych obok siebie krzesłach. Długie cienie późnego, zimowego popołudnia kładły się na ziemi. — Wie pani — mówiła Tracy. — Rozmawiamy już chwilę, a nie wspomnieliśmy jeszcze o moim byłym mężu, który przecież przywiózł tu panią.

Marsha skinęła głową.

— Życie jest pełne niespodzianek — westchnęła Tracy. — Oto tracę ukochaną córkę, która była sensem mojego życia, i z zaskoczeniem stwierdzam, że martwię się o niego. Mam tylko nadzieję, że odejście Becky nie załamie go do końca.

— Co pani ma na myśli?

— Sama nie wiem — wyznała Tracy. — Jestem przerażona tym, co on może zrobić. Niedawno aresztowano go za pobicie kierownika restauracji, w której, jak sądzi, zaraziła się Becky. Mam nadzieję, że nie posunie się do szaleństwa i nie zrobi krzywdy komuś lub sobie.

— Rzeczywiście, wydaje się zły — zgodziła się Marsha.

— Łagodnie powiedziane. Zawsze był takim perfekcjonistą. Kiedyś swoją złość kierował przeciwko sobie. Czynił z niej bodziec do ciągłego rozwoju, ale zmieniło się to przez ostatnie parę lat. Między innymi dlatego się rozwiedliśmy.

— Przykro mi to słyszeć — rzekła Marsha.

— To dobry człowiek — ciągnęła Tracy. — Skupiony na sobie egoista, ale jednak bardzo dobry lekarz. Z całą pewnością jeden z najlepszych chirurgów w swojej specjalności.

— To by się zgadzało. Duże wrażenie zrobiło na mnie to, że w tej sytuacji nie przestał myśleć o innych dzieciach.

— Czy zamierza mu pani pomóc po tym, co pani dziś zobaczyła? — zapytała Tracy. — Byłoby wspaniale, gdyby można obrócić jego złość w jakimś pozytywnym kierunku.

— Bardzo bym chciała pomóc. Ale zdaje się, że nieźle mnie przestraszył. Nie znam go tak dobrze jak pani, trudno mi jakoś ogarnąć jego działania — odrzekła Marsha.

— Rozumiem. Mam jednak nadzieję, że pani to przemyśli. Dam pani jego adres. Znam go dobrze i jestem pewna, że zaszyje się gdzieś, aż gniew i poczucie niesprawiedliwości każą mu wyjść. Liczę na to, że z pani pomocą jego energia skupi się na działaniu, które zmieni coś na lepsze.

Marsha wsiadła do samochodu. Nie ruszyła od razu, lecz zamyśliła się nad wydarzeniami tego dziwnego dnia. Wszystko zaczęło się wtedy, gdy pod wpływem impulsu postanowiła pracować parę nadgodzin w Mercer Meats.

Zastanawiała się, w jaki sposób zdobyć informacje potrzebne Kimowi. Pochodzenie mięsa z różnych partii było zapisane w księgach, ale czytanie poszczególnych zapisów wykraczało poza sferę jej obowiązków. Jej praca ograniczała się do sprawdzania, czy księga jest prowadzona na bieżąco. Marsha wiedziała, że ktoś zawsze ma ją na oku, i zastanawiała się, jak mogłaby to zrobić, nie wzbudzając podejrzeń. Problem polegał na tym, że nie chciała, aby jej szef wiedział, co zamierza; było to o tyle trudne, że Mercer Meats utrzymywało bliskie kontakty z jej zwierzchnikami, którzy interesowali się wszystkim, co ona robi.

Rozwiązanie było oczywiste. Pójdzie do Mercer Meats po godzinach, kiedy pracuje tam tylko ekipa sprzątaczy. W gruncie rzeczy sobota była na to wymarzonym dniem, gdyż panował tam większy spokój niż zwykle.

Wyjęła otrzymany od Tracy adres i odszukała go na planie, który miała w samochodzie. Dom Kima znajdował się względnie blisko. Postanowiła złożyć mu wizytę i przekonać się, czy nadal jest zainteresowany jej pomocą.

Odnalezienie domu nie zajęło Marshy dużo czasu, ale gdy tam przyjechała, stwierdziła z przygnębieniem, że ani jedno światło nie rozprasza zapadającego mroku. Budynek odcinał się olbrzymią, czarną bryłą od gęstwiny otaczających go drzew.

Już zamierzała odjechać, kiedy nagle dostrzegła samochód Kima zaparkowany w głębokim cieniu przed garażem. Postanowiła wyjść z auta i podejść do drzwi frontowych, by sprawdzić, czy Kim jest w domu.

Marsha nadusiła dzwonek. Była zaskoczona głośnością i czystością jego tonu. Po chwili zauważyła, że drzwi są lekko uchylone. Ponieważ Kim nie odpowiedział na dzwonek, nadusiła go ponownie. Nadal panowała cisza.

Zafrapowana — i zaniepokojona uchylonymi drzwiami — Marsha zaryzykowała i pchnęła je. Wślizgnęła się do przedpokoju i zawołała Kima po imieniu. Nikt nie odpowiedział.

Jej oczy przyzwyczyły się do ciemności; z miejsca, w którym stała, mogła dojrzeć schody, jadalnię i przejście do kuchni. Zawołała raz jeszcze, ale ponownie nie było odpowiedzi.

Niepewna, co robić dalej, Marsha zabierała się do wyjścia. Wtedy do głowy przyszedł jej słowa Tracy, że Kim może sobie zrobić krzywdę. Zastanowiła się, czy powinna wezwać policję, ale wydało jej się to zbyt skrajnym posunięciem przy tak wątpliwych podstawach. Zdecydowała się jeszcze trochę rozejrzeć, zanim postanowi, co dalej.

Zebrawszy się na odwagę, Marsha wsunęła się głębiej do przedpokoju. Chciała dojść do podnóża schodów, lecz nie dotarła tak daleko. W połowie holu zamarła w pół kroku. Ledwie trzy metry od niej, w pustym pokoju siedział na fotelu Kim. W półmroku wyglądał jak duch. Jego biały lekarski fartuch jarzył się jak fosforyzujący cyferblat starego zegarka.

— O Boże! — krzyknęła Marsha. — Przestraszył mnie pan!

Kim nie odpowiedział. Nawet się nie poruszył.

— Doktorze Reggis? — Przez sekundę myślała, że nie żyje.

— Czego pani chce? — zapytał Kim zmęczonym, monotonnym głosem.

— Może nie powinnam przychodzić. Chciałam panu zaoferować pomoc.

— A jak zamierza mi pani pomóc?

— Robiąc to, o co prosił mnie pan wcześniej. Wiem, że nie przywróci to życia pańskiej córce, ale chcę pomóc panu znaleźć mięso z tych partii, które według pana mogą być zarażone. Oczywiście może się to nie udać. Proszę zrozumieć, że w dzisiejszych czasach mięso z jednego hamburgera może pochodzić od stu różnych krów z dziesięciu różnych krajów. Ale mimo wszystko jestem gotowa spróbować, jeśli pan nadal chce, żebyśmy to zrobiła.

— Skąd ta nagła zmiana zdania?

— Głównie dlatego, że miał pan słuszość, mówiąc o wrażeniu, jakie wywołuje widok chorego dziecka. Ale także dlatego, że miał pan sporo racji co do departamentu rolnictwa. Nie chciałam jej panu przyznać wcześniej, ale wiem, że moi przełożeni grają na zwłokę i że istnieje cicha umowa między departamentem a przemysłem mięsnym. Wszystkie raporty o wykrytych przeze mnie uchybieniach, które wysłałam, trafiły do szuflady mojego szefa. Dał mi niedwuznacznie do zrozumienia, że jeśli znajdę jakieś niedociągnięcie, mam przymknąć na nie oczy.

— Dlaczego nie powiedziała mi pani tego przedtem? — zapytał Kim.

— Nie wiem — odparła Marsha. — Może lojalność wobec pracodawcy? Widzi pan, ja myślałam, że ten system może działać sprawnie. Potrzeba tylko więcej ludzi takich jak ja, którzy chcą, żeby tak działał.

— A tymczasem mięso jest zarażane, a ludzie chorują — stwierdził Kim. — A dzieci takie jak Becky umierają.

— Niestety to prawda — przyznała Marsha. — Ale ludzie z branży wiedzą, gdzie tkwi cały problem: w rzeźniach. W zyskach czerpanych kosztem bezpieczeństwa.

— Kiedy chce mi pani pomóc?

— W każdej chwili — odpowiedziała Marsha. — Choćby zaraz, jeśli czuje się pan na siłach. Prawdę mówiąc, dzisiaj warto by spróbować, bo jest to mniej ryzykowne. W Mercer Meats została jedynie ekipa sprzątająca po godzinach. Pewnie w ogóle by nie zauważyli, gdybym przejrzała księgi w fabryce.

— Zgoda — rzekł Kim. — Spróbujmy. Pojedźmy tam.

Rozdział 13

Sobota wieczór, 24 stycznia

Tracy była zdruzgotana. Jej sprawa rozwodowa należała do trudnych, szczególnie walka z Kimem o przyznanie opieki nad Becky, ale było to nic w porównaniu z tym, co czuła teraz. Dzięki swojemu doświadczeniu terapeuty właściwie rozpoznała objawy: była na krawędzi poważnej depresji. Doradzała innym ludziom w podobnych okolicznościach i wiedziała, że nie będzie jej łatwo, ale chciała z tym walczyć. Równocześnie wiedziała, że musi pogodzić się z cierpieniem.

Pokonawszy ostatni zakręt, zbliżała się do domu, gdy zobaczyła zaparkowane przy krawężniku żółte lamborghini Carla. Nie wiedziała, czy spotkanie z nim sprawi jej radość, czy nie. Wjechała na podjazd i wyłączyła silnik. Carl zszedł po schodach, by ją przywitać. Niósł bukiet kwiatów.

Tracy wyszła z samochodu i padła mu w ramiona. Przez kilka minut nie odzywali się; Carl obejmował ją wśród popołudniowych ciemności.

— Skąd wiedziałeś? — zapytała, z głową ciągle przytuloną do piersi Carla.

— Jestem w zarządzie szpitala — wyjaśnił. — Dochodzą do mnie wszystkie wieści. Tak mi przykro.

— Dziękuję ci. Boże, czuję się wykończona.

— Wyobrażam sobie. Chodź. Wejdźmy do środka. — Ruszyli. — Słyszałem, że Kim całkiem oszalał. To pewnie jeszcze bardziej cię przygnębia.

Tracy tylko kiwnęła głową.

— Ten człowiek zupełnie nie panuje nad sobą. Wydaje mu się, że jest kim, Bogiem? Mówię ci, cały szpital aż huczy od plotek.

Tracy otworzyła drzwi, nic nie mówiąc. Weszli do środka.

— Kim ma teraz bardzo zły okres — stwierdziła Tracy.

— Ha! — skwitował Carl. Odebrał od niej płaszcz i powiesił go obok swojego we wnęce na korytarzu. — Mało powiedziane. Jak zawsze jesteś wyrozumiała. Ja jestem o wiele mniej miłośnierny. Tak naprawdę chętnie dałbym mu w ucho za to, co wczoraj zrobił w restauracji, rozpowiadając, że Becky tam zachorowała. Widziałeś ten artykuł w gazecie? Odbiło się to zaraz na cenie akcji Onion Ring. Aż trudno uwierzyć, ile straciłem z powodu jego obłędu.

Tracy weszła do salonu i padła na kanapę. Czowała się znużona, a zarazem podekscytowana i niespokojna. Carl wszedł za nią.

— Może coś ci podać? Coś do picia albo do jedzenia? — zapytał.

Tracy potrząsnęła przecząco głową. Carl usiadł naprzeciw niej.

— Rozmawiałem z innymi członkami zarządu Foodsmartu — oznajmił. — Poważnie rozważamy, czy nie podać go do sądu, jeśli ceny akcji nadal będą spadać.

— To nie było jakieś bezpodstawne oskarżenie — odezwała się Tracy. — Zanim Becky zachorowała, dzień wcześniej zjadła tam surowego hamburgera.

— Och, daj spokój — odparł Carl, lekceważąco machając ręką. — Becky tam nie zachorowała. Restauracje tej sieci wypiekają setki tysięcy hamburgerów. I nikt się jeszcze od nich nie rozchorował. Smażymy je na śmierć.

Tracy milczała. Carl naraz uświadomił sobie, co powiedział.

— Przepraszam. Niefortunnie dobrałem słowa.

— W porządku, Carl — rzekła Tracy zmęczonym głosem.

— Powiem ci, co mnie w tym wszystkim wkurza — podjął Carl. — Hamburgerom zaszkodziła ta cała wrzawa wokół *Escherichia coli*. Ludzie automatycznie kojarzą jedno z drugim: *Escherichia coli* i hamburgera. Do diabła, przecież tej bakterii można się nabawić, spożywając sok jabłkowy, sałatę albo mleko, a nawet pływając w zakażonym jeziorze. Czy nie uważasz, że to nie fair, że hamburger musi brać na siebie cały ten syf?

— Nie wiem — przyznała Tracy. — Przepraszam, że nie jestem bardziej rozmowna. Czuję się otępiała. Trudno mi myśleć.

— Oczywiście, kochanie — pospieszył Carl. — To ja powinienem przeproszać za moje gadanie. Myślę, że musisz coś zjeść. Kiedy ostatni raz jadłaś?

— Nie pamiętam.

— No widzisz — stwierdził Carl. — Co byś powiedziała, żebyśmy wyszli do jakiegoś przytulnego lokalu?

Tracy spojrzała na Carla z całkowitym niedowierzaniem.

— Przed chwilą umarła moja córka. Nigdzie nie wychodzę. Jak możesz w ogóle pytać?

— Okay — odrzekł Carl, unosząc ręce w geście obrony. — Rzuciłem tylko pomysł. Po prostu myślę, że powinnaś coś zjeść. Może zamówię jedzenie na wynos. Co ty na to?

Tracy schowała twarz w dłoniach. Carl ani trochę jej nie pomógł.

— Nie jestem głodna. Poza tym może będzie lepiej, jeśli zostanę dziś sama. Nie nadaję się do dotrzymywania towarzystwa.

— Naprawdę? — zapytał Carl. Czuł się dotknięty.

— Tak, naprawdę — potwierdziła Tracy i uniosła głowę. — Ale jestem pewna, że ty powinieneś się czymś zająć.

— No cóż, jest kolacja w domu Bobby'ego Bo Masona. Pamiętasz, wspominałem ci o tym — powiedział Carl.

— Nie bardzo — odparła zmęczona Tracy. — Kto to jest Bobby Bo?

— Jeden z miejscowych potentatów handlu bydłem — wyjaśnił Carl. — Dzisiaj wieczorem odbędzie się uroczystość na cześć objęcia przez niego kierownictwa w Amerykańskim Związku Żywca Wołowego.

— Brzmi poważnie — stwierdziła Tracy tonem przeciwnym do tego, co czuła.

— Owszem. To najpotężniejsza ogólnokrajowa organizacja w tym przemyśle.

— W takim razie nie chcę cię dłużej zatrzymywać — powiedziała Tracy.

— Nie obrazisz się? — spytał Carl. — Wezmę telefon komórkowy. Możesz do mnie zadzwonić: w dwadzieścia minut będę z powrotem.

— Dlaczego miałabym się obrażać? Naprawdę źle bym się czuła, gdybyś przeze mnie nie poszedł na tę uroczystość.

* * *

Lampki na desce rozdzielczej oblewały twarz Kima łagodnym światłem. Marsha zerknęła na niego ukradkiem. Teraz, gdy miała okazję mu się przypatrzeć, musiała w głębi ducha przyznać, że jest przystojnym mężczyzną — mimo dwudniowego zarostu.

Przez dłuższy czas jechali w milczeniu. Wreszcie Marsha zdołała nakłonić Kima, by opowiedział jej o Becky. Przeczowała, że rozmowa o córce dobrze mu zrobi, i miała rację. Kim wyraźnie się ożywił. Uraczył Marszę opowieściami o wyczynach łyżwiarskich Becky — było to coś, o czym Tracy nie wspominała.

Kiedy rozmowa o Becky urwała się, Marsha opowiedziała trochę o sobie. W szkole weterynaryjnej ona i jej przyjaciółka zainteresowały się departamentem rolnictwa i postanowiły sobie, że zatrudnią się w tej instytucji i spróbują tam coś zmienić. Wyjaśniła, że po skończeniu szkoły przekonały się, jak trudno im będzie dostać się do wydziału weterynaryjnego w departamencie. Jedyne wolne miejsca były w służbach inspekcyjnych. Ostatecznie tylko Marsha podjęła pracę. Jej przyjaciółka uznała, że oczekiwanie rok albo dłużej na przeniesienie to zbyt wielkie poświęcenie, i wybrała prywatną praktykę weterynaryjną.

— Weterynaria? Nigdy bym nie przypuszczał.

— Dlaczego nie? — zdziwiła się Marsha.

— No, nie wiem — odparł Kim. — Może jesteś trochę zbyt... Kim urwał, szukając właściwego słowa — ...zbyt elegancka — dokończył. — Wiem, że nieładnie tak mówić, ale spodziewałbym się raczej kogoś...

— Kogo? — spytała Marsha, gdy Kim znów się zaciął. Bawiło ją jego lekkie zakłopotanie.

— Brzydkiego kaczątka — dopowiedział Kim. Zachichotał. — Chyba plotę bez sensu.

Marsha również się roześmiała. Przynajmniej zdawał sobie sprawę z absurdalności swoich słów.

— Jeśli wolno zapytać — odezwał się Kim — Ile masz lat? Wiem, że to niestosowne pytanie, ale jeżeli nie jesteś cudownym dzieckiem, to domyślam się, że skończyłaś dwadzieścia lat dawniej, niż z początku sądziłem.

— O Boże! Mam już dwadzieścia dziewięć. Trzydziestka na karku.
Pochyliła się i włączyła wycieraczki. Zaczęło padać. Było ciemno choć oko wykol, mimo że dopiero minęła szósta.

— Jak to załatwimy? — zapytał Kim.
— Co? — spytała Marsha.
— Moje wejście do Mercer Meats.
— Mówiłam ci, nie będzie z tym kłopotu — oświadczyła Marsha. — Dzienna zmiana i nadzór poszły już dawno do domu. Teraz jest tam tylko ekipa sprzątaczy i strażnik.
— Cóż, strażnik nie będzie zachwycony moją wizytą. Może powinienem zostać w samochodzie.
— Ochrona to żaden problem — odparła Marsha. — Mam przy sobie legitymacje z ministerstwa rolnictwa i z Mercer Meats.
— Zatem ty dasz sobie radę — stwierdził Kim. — Ale co ze mną?
— Nie martw się. Znają mnie. Nigdy nie prosili mnie nawet, żebym okazała plaketkę. Jeśli będzie trzeba, powiem im, że jesteś moim szefem. Albo powiem, że jesteś u mnie na szkoleniu — roześmiała się.
— Nie wyglądam jak ktoś z departamentu — zauważył Kim, pokazując na swoje ubranie. Marsha rzuciła na Kima okiem i zachichotała jeszcze głośniejsze.
— A co strażnik na nocnej zmianie może o tym wiedzieć? Moim zdaniem wyglądasz na tyle dziwnie, żeby uchodzić za każdego.
— Zdaje się, że traktujesz to dość nonszalancko — skomentował Kim.
— Zresztą co się może stać? Najwyżej nas nie wpuszczą.
— Będziesz miała kłopoty.
— Pomyślałam już o tym — uspokoiła go. — Co będzie, to będzie.

Marsha zjechała z autostrady i skręciła do Bartonville. W miasteczku musieli zatrzymać się na jedynych światłach w miejscu, gdzie Mercer Street krzyżowała się z Main Street.

— Kiedy myślę o hamburgerach, dziwię się, że wszyscy je jedzą. Zanim rozpoczęłam tę pracę, byłam półwegetarianką. Teraz w ogóle nie jem mięsa.
— W ustach inspektora z departamentu rolnictwa nie brzmi to zachęcająco — stwierdził Kim.
— Żołądek mi się przewraca na myśl o tym, z czego zrobiony jest hamburger — ciągnęła Marsha.
— Dlaczego? Z mięśni.
— Z mięśni i innej zbieraniny. Słyszałeś kiedyś o Udoskonalonym Systemie Odzyskiwania Mięsa?
— Chyba nie — odparł Kim.
— To maszyna pod wysokim ciśnieniem, która czyści wołowe kości — wyjaśniła Marsha. — Wyrzuca z siebie szarą miazgę, którą następnie barwi się na czerwono i dodaje do hamburgerów.

— Obrzydlistwo — stwierdził Kim.

— Są tam tkanki ośrodkowego układu nerwowego — mówiła Marsha. — Na przykład rdzeń kręgowy. To siedzi w każdym hamburgerze.

— Naprawdę?

— Oczywiście — zapewniła. — To gorsze, niż się wydaje. Słyszałeś o chorobie szalonych krów?

— A kto nie słyszał? To jedna z chorób, które mnie przerażają. Groza ogarnia mnie na myśl o istnieniu zabójczego białka, odpornego na wysokie temperatury. Dzięki Bogu nie mamy tej choroby w naszym kraju.

— Na razie nie mamy — uściśliła Marsha. — Przynajmniej dotąd jej nie wykryto. Ale jeśli chcesz znać moje zdanie, to jedynie kwestia czasu. Czy wiesz, co się uważa za przyczynę choroby szalonych krów w Anglii?

— Zdaje się, że karmienie krów padłymi owcami — powiedział Kim. — Owcami chorymi na kłusawkę.

— Właśnie — potwierdziła Marsha. — W tym kraju istnieje ponoć zakaz karmienia krów padłymi owcami, ale nikt nie egzekwuje tego prawa. Ludzie z branży donieśli mi, że jedna czwarta przetwórców owczego mięsa prywatnie przyznaje, że w ogóle nie dba o ten zakaz.

— Innymi słowy, powstają u nas te same warunki, które wywołały chorobę szalonych krów w Anglii?

— Otóż to — potwierdziła Marsha. — A że hamburgery na co dzień faszeruje się rdzeniem kręgowym i innymi resztkami, człowiek jest na następnym miejscu w łańcuchu chorobowym. Dlatego twierdzę, że jest tylko kwestią czasu, zanim pojawią się pierwsze przypadki.

— Dobry Boże! Im więcej słyszę o tym paskudnym biznesie, tym bardziej mnie on przeraża. Przedtem o niczym nie miałem pojęcia.

— Ani opinia publiczna — dodała Marsha.

Przed nimi wynurzył się biały budynek Mercer Meats i Marsha skręciła na parking, na którym teraz stało zaledwie parę samochodów. Marsha zatrzymała się na tym samym miejscu co rano, blisko wejścia frontowego. Wyłączyła silnik.

— Gotowy?

— Jesteś pewna, że powinienem iść?

— Idziemy! — rzuciła Marsha. Otworzyła drzwi i wysiadła.

Drzwi były zamknięte. Marsha zastukała. Wewnątrz, przy okrągłym biurku, siedział strażnik i czytał jakieś czasopismo. Podniósł się i podszedł do drzwi. Był starszym człowiekiem z przeredzonym wąsikiem. Jego mundur wydawał się o kilka rozmiarów za duży.

— Zamknięte — powiedział przez szybę.

Marsha pokazała plaketkę identyfikacyjną Mercer Meats. Strażnik przyjrzał się jej, po czym przekręcił klucz i otworzył drzwi. Marsha natychmiast weszła do środka.

— Dzięki — powiedziała zwyczajnie.

Kim wkroczył za nią. Co prawda zauważył, że strażnik patrzy na niego podejrzliwie, ale ten nie odezwał się słowem. Po prostu zamknął drzwi na klucz.

Kim musiał podbiec, aby dogonić Marszę, która zdążyła już minąć biurko recepcji i maszerowała żwawo korytarzem.

— A nie mówiłam? — spytała. — Nie było żadnego problemu.

* * *

Strażnik doszedł do końca holu wejściowego i zerknął w głąb korytarza. Zobaczył, jak Marsha i Kim znikają w przebieralni prowadzącej do hali produkcyjnej. Wrócił do swojego biurka i podniósł słuchawkę. Numer, którego potrzebował, był zapisany na kartce przyklejonej do krawędzi blatu.

— Panie Cartwright — odezwał się po chwili — ta pani z departamentu, panna Baldwin, którą kazał mi pan mieć na oku, właśnie przyszła tu z jakimś facetem.

— Czy był ubrany w biały kitel, jaki mają lekarze?

— Tak — potwierdził strażnik.

— Kiedy będą wychodzić, każ im się podpisać — polecił Jack. — Chcę mieć dowód, że u nas byli.

— Zrobię to, proszę pana — zapewnił strażnik.

Jack nie fatygował się odkładaniem słuchawki. Zamiast tego nadusił odpowiedni przycisk na swym aparacie i czekał na połączenie. Chwilę później w słuchawce rozległ się dudniący głos Everetta.

— Marsha Baldwin i ten lekarz znowu są w fabryce — oznajmił Jack.

— Wielkie nieba! — wybełkotał Everett. — Nie to chciałem usłyszeć. Jak się o tym, do diaska, dowiedziałeś?

— Kazałem strażnikowi dzwonić, jeśli się zjawią. Tak na wszelki wypadek.

— Dobra robota — pogratulował Everett. — Ciekawe, co oni tam, do diabła, robią.

— Przypuszczam, że próbują ustalić pochodzenie pewnych partii mięsa — powiedział Jack. — Przynajmniej o to pytał mnie dziś rano ten lekarz.

— Lepiej nie przypuszczać — rzekł Everett. — Jedź tam i zobacz, co oni kombinują. Potem przyjeżdżaj do mnie. Nie chcę zepsuć sobie tego wieczoru.

Jack odłożył słuchawkę. On również nie chciał psuć sobie wieczoru. Od miesiąca z niecierpliwością czekał na kolację u Bobby'ego Bo, a powrót do fabryki nie figurował w jego planach. Biorąc swój płaszcz i wychodząc do garażu po samochód, Jack był w parszywym nastroju.

* * *

Kim tupał i klepał się rękami po bokach. Nie wiedział czemu, ale temperatura jednego stopnia Celsjusza panująca w pomieszczeniu, gdzie stała maszyna do formowania kotlecików, zdawała mu się co najmniej o pięć stopni niższa. Kim wciągnął biały kitel Mercer Meats na swój,

ale obydwaj były z bawełny, a pod spodem miał jedynie fartuch chirurgiczny. Trzy cienkie warstwy stanowiły marną ochronę przed chłodem, tym bardziej że Kim stał właściwie w miejscu. Biała czapka podobna do czepka kąpielowego też niewiele pomogła.

Marsha kartkowała grube księgi i robiła to już od ponad kwadransa. Ustalanie dat, numerów partii i serii mięsa trwało dłużej, niż można się było spodziewać. Z początku Kim zaglądał jej przez ramię, ale im bardziej marzył, tym mniej był zainteresowany.

W pomieszczeniu oprócz Marshy i Kima znajdowało się jeszcze dwóch innych ludzi. Ciągnęli gumowe węże i czyścili maszynę strumieniami pary. Byli tam już, gdy weszła Marsha z Kimem, ale nie próbowali nawiązać rozmowy.

— Ach, mam! — triumfalnie oznajmiła Marsha. — Dwudziesty dziewiąty grudnia.

Przebiegła palcem wzdłuż kolumny, aż odnalazła partię numer dwa. Potem przesunęła go poziomo, póki nie trafiła na właściwą serię: od jeden do pięciu.

— Ojej — powiedziała.

— Co się stało? — zapytał Kim. Podszedł bliżej, żeby zobaczyć.

— To, czego się obawiałam — odparła Marsha. — Seria, która nas interesuje składała się z mieszaniny świeżej wołowiny bez kości z Higgins i Hancock oraz mrożonej mielonej wołowiny z importu. Jeśli chodzi o mięso importowane, to można najwyżej wskazać kraj pochodzenia. Oczywiście dla ciebie byłoby to bezużyteczne.

— Co to jest Higgins i Hancock?

— Miejscowa rzeźnia — odpowiedziała Marsha. — Jedna z większych.

— A co z drugą partią?

— Sprawdźmy — rzekła Marsha. Przerzuciła stronę. — Tu jest data. Jaki był numer partii i serii?

— Szóstka, seria dziewięć czternaście — powiedział Kim, patrząc na swoją kartkę.

— Okay, jest — wskazała Marsha. — Hej, jeśli mięso z dwunastego stycznia okaże się felerne, to mamy szczęście. Wszystkie partie pochodzą z Higgins i Hancock. Popatrz.

Kim spojrział na miejsce, które wskazywała mu Marsha. Z zapisu wynikało, że cała partia została wykonana ze świeżej wołowiny wyprodukowanej dziewiątego stycznia w rzeźni Higgins i Hancock.

— Czy nie było tak, że oba kotleciki pochodziły z tej samej partii? — zapytała Marsha.

— Według kucharza z Onion Ring nie — odpowiedział Kim. — Ale wziąłem próbki z obu kartonów i oddałem je do laboratorium. Wyniki powinny być w poniedziałek.

— Zanim będą, przyjmijmy, że chodzi o mięso ze stycznia — zaproponowała Marsha. — Ponieważ tego drugiego i tak nie można prześledzić. Miejmy nadzieję, że uda nam się dowiedzieć, skąd trafiło do Higgins i Hancock.

— Naprawdę? Chcesz powiedzieć, że możemy określić pochodzenie mięsa, zanim znalazło się w rzeźni?

— Tak ten system został pomyślany — odparła Marsha. — Przynajmniej w teorii. Kłopot w tym, że w tych wielkich „kombo”, gdzie wchodzi po dwa tysiące funtów wołowiny bez kości,

miesza się mięso z wielu różnych krów. Cała sztuka polegałaby na tym, aby poprzez faktury kupna dotrzeć do ranczo lub farmy, skąd one pochodziły. Tak więc nasz następny krok to wizyta w Higgins i Hancock.

— Oddaj mi tę cholerną księgę! — wrzasnął Jack Cartwright.

Marsha i Kim podskoczyli ze strachu, gdy Jack wyszedł zza Marshy i wyrwał jej ciężką księgę. Szum pary pod ciśnieniem nie pozwolił im usłyszeć, że Jack wszedł do pomieszczenia i zaszedł ich od tyłu.

— A jednak przekroczyła pani swoje uprawnienia, panno Baldwin! — zarechotał triumfalnie Jack z palcem wymierzonym oskarżycielsko w twarz Marshy.

Ta wyprostowała się, usiłując odzyskać spokój.

— O czym pan mówi? — zapytała, starając się nadać swemu głosowi władczy ton. — Mam prawo zapoznawać się z księgami.

— Wierutna bzdura — zaprzeczył Jack, nadal wskazując ją palcem. — Ma pani prawo pilnować, czy księgi są prowadzone, ale same księgi stanowią prywatną własność spółki. I co ważniejsze, jako urzędnik departamentu rolnictwa nie ma pani prawa udostępniać ich zapisów osobom postronnym.

— Wystarczy — odezwał się Kim. Wszedł między nich. — Jeżeli kogoś należy tu oskarżać, to mnie.

Jack zignorował go.

— Mogę panią zapewnić, panno Baldwin, że Sterling Henderson, szef rejonu z ramienia departamentu, niebawem usłyszy o pogwałceniu przez panią przepisów.

Kim trzepnął Jacka w wystawiony bezczelnie palec i chwycił go za kłapy białego kitla.

— Słuchaj, ty tłusty bękartie...

Marsha złapała Kima za ramię.

— Nie! — krzyknęła. — Zostaw go. Nie pogarszajmy sprawy.

Kim niechętnie wypuścił Jacka. Ten wygładził na sobie ubranie.

— Zabierajcie się stąd oboje — warknął — zanim wezwę policję i wsadzę was do pudła.

Kim spojrział ze złością na wiceprezesa Mercer Meats. Na jedną krótką chwilę człowiek ten stał się uosobieniem całej jego wściekłości. Marsha musiała pociągnąć Kima za rękaw.

Jack patrzył za odchodzącymi. Jak tylko drzwi się zamknęły, podniósł księgi i wsunął je na odpowiednie półki. Następnie poszedł do przebieralni. Kim i Marsha już wyszli. Wrócił korytarem do holu wejściowego. Zdążył jeszcze zobaczyć, jak samochód Marshy wyjeżdża z parkingu i przyspiesza na ulicy.

— W ogóle nie zwrócili na mnie uwagi — poskarżył się strażnik. — Próbowałem im powiedzieć, że muszą się podpisać.

— To nie ma znaczenia — skwitował Jack. Udał się do swojego gabinetu, skąd zatelefonował do Everetta.

— I co, dowiedziałeś się czegoś? — zapytał Everett.

— Moje podejrzania się potwierdziły. Byli przy maszynie i przeglądali księgi.

— Nie oglądali ksiąg receptur? — spytał Everett.

— Strażnik twierdzi, że nie chodzili nigdzie indziej — odrzekł Jack. — Nie mogli więc widzieć ksiąg receptur.

— Przynajmniej jedna dobra nowina — ucieszył się Everett. — Jeszcze tylko tego by brakowało, żeby ktoś wykrył, że przerabiamy przeterminowane kotleciki. A to się może zdarzyć, jeśli ktoś zacznie węszyć w księgach.

— Teraz to nie nasze zmartwienie — uspokoił go Jack. — Zmartwieniem jest to, że tych dwoje może dotrzeć do Higgins i Hancock. Zanim ich zaskoczyłem, słyszałem, jak mówili coś o rzeźni. Sądzę, że należy ostrzec Daryla Webstera.

— Wyśmienity pomysł — przyznał Everett. — Wspomnimy o tym Darylowi, kiedy zobaczymy go dziś wieczorem. Albo jeszcze lepiej od razu do niego zadzwonię.

— Im szybciej, tym lepiej — poparł go Jack. — Kto wie, do czego jest zdolna ta dwójka, a zwłaszcza ten szalony lekarz.

— Do zobaczenia u Bobby'ego Bo — powiedział Everett.

— Mogę się nieco spóźnić — uprzedził Jack. — Muszę jeszcze pojechać do domu i przebrać się.

— No to ruszaj się — ponaglił go Everett. — Chcę cię widzieć na spotkaniu Komitetu Prewencyjnego.

— Zrobię, co mogę — odrzekł Jack.

Everett odłożył słuchawkę i zaczął szukać numeru telefonu do Daryla Webstera. Był w swoim gabinecie na piętrze, który sąsiadował z garderobą. Nie zdążył jeszcze włożyć fraka. Kiedy zadzwonił Jack, zmagął się właśnie ze spinkami do mankietów. Everettowi nie co dzień zdarzało się nosić strój wieczorowy.

— Everett! — dobiegł go głos Gladys Sorenson z sypialni. Gladys i Everett byli małżeństwem dłużej, niż Everett miałby ochotę komukolwiek się przyznać. — Pospiesz się, kochanie. Za pół godziny mamy być u Masonów.

— Muszę jeszcze zadzwonić! — zawołał Everett. Wreszcie znalazł numer i prędko go wykręcił. Usłyszał zgłoszenie już po pierwszym sygnale. — Daryl, tu Everett Sorenson — odezwał się.

— Co za niespodzianka — odrzekł Daryl. Obaj mężczyźni nie tylko przeszli te same szczeble kariery, byli też do siebie podobni fizycznie. Daryl był tęgiej budowy ciała, o grubym karku, szufłowatych dłoniach i pełnej, rumianej twarzy. Różnił się tylko tym, że na głowie miał wszystkie włosy, a uszy normalnych rozmiarów. — Moja pani i ja wychodzimy już do Masonów.

— Ja i Gladys również — powiedział Everett. — Ale coś się stało. Znasz tę młodą i upierdliwą inspektorę, Marshę Baldwin, która przyprawia mnie o niestrawność?

— Tak, Henderson mówił mi o niej — potwierdził Daryl. — Jak rozumiem, jest niezależna i bardzo dokuczliwa.

— Spiknęła się z tym lekarzem-maniakiem, którego aresztowano wczoraj w nocy w restauracji Onion Ring. Czytałeś o tym w dzisiejszej gazecie?

— Nie sposób było to przeoczyć — odrzekł Daryl. — Przez to jego gadanie o *Escherichia coli* oblałem się zimnym potem.

— I ja także — zapewnił go Everett. — Ale teraz jest jeszcze gorzej. Przed chwilą zakradła się z tym doktorkiem do mojej fabryki. W jakiś sposób przekonał ją, aby pomogła mu ustalić pochodzenie mięsa.

— Zapewne szukają bakterii — podsunął Daryl.

— Bez wątpienia — potwierdził Everett.

— To straszne.

— Absolutnie się z tobą zgadzam. Zwłaszcza że Jack Cartwright podsłuchał, jak mówili o Higgins i Hancock. Niepokoimy się, że mogą pokazać się w twojej firmie z tą swoją kruczają.

— Jeszcze tego brakowało — stwierdził Daryl.

— Dziś wieczorem zastanowimy się nad ostatecznym rozwiązaniem — oznajmił Everett. — Powiadomiono cię?

— Tak — odparł Daryl. — Dzwonił do mnie Bobby Bo.

— Może tymczasem powinieneś podjąć jakieś środki ostrożności? — zasugerował Everett.

— Dzięki za radę. Zadzwońię do ochrony i postawię ich na nogi.

— Właśnie to chciałem ci zaproponować — ucieszył się Everett. — Do zobaczenia niebawem.

Daryl rozłączył się. Podniósł palec, by pokazać swojej żonie Hazel, że musi wykonać jeszcze jeden szybki telefon. Hazel, nienagannie ubrana, czekała niecierpliwie u drzwi. Podczas gdy przytupywała nerwowo, Daryl wykręcił numer do rzeźni.

* * *

Marsha skręciła na podjazd przed domem Kima i zatrzymała się tuż za jego samochodem. Zostawiła włączony silnik i światła.

— Jestem ci wdzięczny za to, co zrobiłaś — powiedział Kim. Trzymał rękę na klamce drzwi, ale nie otwierał ich. — Przykro mi, że się nie udało.

— Mogło być gorzej — odparła promiennie Marsha. — Zresztą, kto wie, co się jeszcze zdarzy. Nie pozostaje nam nic innego, jak czekać na bieg wypadków.

— Chciałabyś wejść? Mój dom to rudera, ale chętnie poczęstuję cię drinkiem. Co ty na to?

— Dzięki, może innym razem — odpowiedziała Marsha. — Za twoją sprawą rozpoczęłam coś, co zamierzam skończyć. Zanim będą wyniki badań laboratoryjnych, chcę ustalić pochodzenie mięsa, jeżeli to możliwe. Musimy mieć argumenty, kiedy wniesiemy o wycofanie mięsa.

— Czy masz coś konkretnego na myśli?

— Owszem. — Marsha skinęła głową. Spojrzała na zegarek. — Pojadę prosto do Higgins i Hancock. To może być moja jedyna szansa. Jak już ci mówiłam, szef rejonu i ja nigdy nie

żyliśmy w zgodzie. W poniedziałek, kiedy dowie się od Jacka Cartwrighta o naszej małej eskapadzie, mogą znaleźć się na bruku. To zaś oznaczałoby oczywiście pozbawienie mnie legitymacji inspektora departamentu rolnictwa.

— Boże! — westchnął Kim. — Będę się czuł koszmarnie, jeśli stracisz pracę. Nie takie miałem zamiary.

— Nie musisz się czuć odpowiedzialny — odparła Marsha. — Wiedziałam, na jakie ryzyko się narażam. I myślę, że było warto. Słusznie powiedziałaś, że mam podobno chronić zdrowie ludzi.

— Jeżeli wybierasz się do rzeźni, jadę z tobą. Nie pozwolę ci jechać tam samej — oświadczył Kim.

— Przepraszam, ale to wykluczone — zaprotestowała Marsha. — Nie spodziewałam się problemów w Mercer Meats, lecz pomyliłam się. A co dopiero w Higgins i Hancock! Wiem, że tam będą problemy. Nawet ja z moją legitymacją mogę nie wejść do środka.

— Jak to możliwe? Czy jako inspektor z ramienia departamentu rolnictwa nie możesz skontrolować dowolnego przedsiębiorstwa?

— Tylko te, do których jestem przypisana — poinformowała Marsha. — A już na pewno nie rzeźnie. One mają własnych inspektorów opłacanych przez departament. Widzisz, rzeźnie są jak elektrownie nuklearne, jeśli chodzi o przyjmowanie gości. Nie potrzebują ich ani ich sobie nie życzą. Goście zawsze sprawiają kłopoty.

— Co takiego ukrywają rzeźnie?

— Najczęściej swoje metody — wyjaśniła Marsha. — Nawet w najlepszych warunkach nie jest to piękny widok, zwłaszcza zaś teraz, gdy po zmianie przepisów w latach osiemdziesiątych wszystkie rzeźnie przyspieszyły cykl produkcyjny, co znaczy, że przetwarzają więcej zwierząt na godzinę. Niektóre potrafią przerobić po dwieście pięćdziesiąt, trzysta sztuk. Przy takiej prędkości nie da się uniknąć zakażenia mięsa. To nieuniknione — tak dalece, że przemysł mięsny zaskarżył departament rolnictwa, kiedy ten postanowił oficjalnie nazywać mięso z *Escherichia coli* „zakażonym”.

— Chyba żartujesz.

— Ani trochę — zapewniła Marsha. — To święta prawda.

— Mówisz, że przemysłowcy dobrze wiedzą, że w mięsie są bakterie *coli*? — spytał Kim. — I utrzymują, że nie można temu zaradzić?

— No właśnie — potwierdziła Marsha. — Nie w całym mięsie, tylko w niektórych partiach.

— To skandal! — wybuchnął Kim. — Opinia publiczna musi się o tym dowiedzieć. Przekonałaś mnie, że muszę zobaczyć, jak pracuje rzeźnia.

— Właśnie z tego powodu rzeźnie nie lubią gości — stwierdziła Marsha. — I dlatego nigdy nie uda ci się tam wejść. Choć to nie cała prawda. Ubój zwierząt zawsze był pracochłonny, a jedną z największych bolączek jest ciągły niedobór pracowników. Przypuszczam, że gdybyś zmęczył się kardiochirurgią, łatwo dostałbyś pracę w rzeźni. Oczywiście byłoby lepiej, gdybyś był nielegalnym imigrantem, wtedy mogliby ci płacić poniżej minimalnej stawki.

— Czy nie przedstawiasz tego w nieco zbyt czarnym kolorze?

— Takie są realia — odparła Marsha. — To ciężka, niewdzięczna praca, ten przemysł zawsze trwał dzięki imigrantom. Dzisiaj zmieniło się tylko to, że są nimi raczej robotnicy z Ameryki Łacińskiej, zwłaszcza z Meksyku, niż z Europy Wschodniej, skąd przyjeżdżali dawniej.

— To brzmi coraz gorzej — przyznał Kim. — Nie mogę uwierzyć, że nigdy o tym nie pomyślałem. To znaczy, że jedząc mięso, ja też jestem w jakiś sposób odpowiedzialny.

— To ciemna strona kapitalizmu. Nie chcę mówić jak radykalna socjalistka, ale jest to szczególnie jaskrawy przykład triumfu zysku nad etyką. Chciwość i kompletne nieliczenie się z konsekwencjami. Między innymi z tych pobudek zatrudniłam się w departamencie, gdyż mógł on coś zmienić.

— Jeśli zmiany uznano by za pożądane przez decydentów — dodał Kim.

— Racja — zgodziła się Marsha.

— Podsumowując — rzekł Kim — mówimy o przemyśle, który wyzyskuje swoich pracowników i nie cofa się przed zabiciem setek dzieci rocznie. — Kim potrząsnął z niedowierzaniem głową. — Wiesz, to jest zupełny brak etyki, który jeszcze bardziej każe mi się martwić o siebie.

— Nie rozumiem — odrzekła Marsha.

— Chodzi mi o to, że za chwilę pojedziesz złożyć wizytę w Higgins i Hancock pod fałszywym pretekstem — wyjaśnił Kim. — Posługując się swoją legitymacją, dasz im do zrozumienia, że to oficjalna wizyta.

— Naturalnie — odparła Marsha. — To jedyny sposób, żeby tam weszła.

— Ale skoro oni są tak przezorni — stwierdził Kim — czy nie będziesz zanadto ryzykować? I nie mam na myśli bezpieczeństwa i higieny pracy.

— Rozumiem, co masz na myśli — powiedziała Marsha. — Dziękuję ci za troskę, ale nie martwię się o swoje bezpieczeństwo. Najgorsze, co może się zdarzyć, to to, że poskarżą się mojemu szefowi, tak jak groził Jack Cartwright.

— Jesteś pewna? — zapytał Kim. — Nie chciałbym, żebyś jechała, jeżeli istnieje choćby cień niebezpieczeństwa. Mówiąc szczerze, po tym zajściu w Mercer Meats denerwuję się, kiedy masz coś dla mnie zrobić. Może powinnaś pozwolić mi działać na własną rękę. Jeśli pojedziesz tam dziś w nocy, przez cały czas będę się denerwował.

— Pochlebiam ci twoja troska — odparła Marsha. — Uważam jednak, że powinnam po prostu pojechać i zobaczyć, co się da zrobić. Nie pozwolę się skrzywdzić ani nie wpadnę w jeszcze większe kłopoty niż obecnie. Mogą mnie tam w ogóle nie wpuścić. Natomiast ty, jak już mówiłam, sam nie byłbyś w stanie nic zrobić, bo z pewnością by cię tam nie wpuszczono.

— Mógłbym postarać się tam o pracę — powiedział Kim. — Tak jak sugerowałaś.

— Hej, tylko żartowałam — obruszyła się Marsha. — To był jedynie przykład.

— Jestem gotów zrobić to, co trzeba — stwierdził Kim.

— Posłuchaj — poprosiła Marsha — wezmę telefon komórkowy i będę dzwonić do ciebie co piętnaście, dwadzieścia minut, zgoda? Wtedy nie będziesz musiał się martwić, a ja na bieżąco będę cię informować, co znalazłam. No, co ty na to?

— To jest coś — odparł Kim bez wielkiego entuzjazmu. Ale im dłużej zastanawiał się nad tą propozycją, tym bardziej mu się podobała. Pomysł, aby zatrudnić się do pracy w rzeźni, nie był zbyt pociągający. Ale najważniejsze, że Marsha stanowczo zapewniła go, iż nie ma ryzyka.

— Coś ci powiem — dodała. — Ta wizyta nie potrwa długo, a kiedy wrócę, wypiję tego drinka, którego mi proponowałeś. To znaczy, jeżeli zaproszenie jest wciąż aktualne.

— Oczywiście — powiedział Kim. Pokiwał głową, jakby po raz ostatni przebiegał w myślach plan działania. Potem szybko uściśnął ramię Marshy i wysiadł z samochodu. Zanim zamknął drzwi, wsunął przez nie głowę. — Lepiej weź mój numer telefonu.

— Dobry pomysł — przyznała Marsha. Sięgnęła po długopis i kawałek papieru.

Kim podał jej swój numer.

— Będę warował przy telefonie, więc lepiej zadzwoń.

— Nie musisz się martwić — zapewniła Marsha.

— Powodzenia — rzucił Kim.

— Wkrótce się do ciebie odezwę — obiecała.

Kim zatrzasnął drzwi samochodu. Patrzył, jak Marsha cofa się, skręca i przyspiesza. Patrzył za nią, aż czerwone światła samochodu i ich odbicie na zmytej deszczem ulicy pochłonęła czarna noc.

Kim odwrócił się i spojrzał na swój ciemny, opustoszały dom. Jego ponurej sylwetki nie ożywiało żadne światło. Kim zadygotał. Nagle został sam i całą mocą uświadomił sobie stratę Becky. Powróciła ta przygniatająca melancholia, którą czuł wcześniej. Ogarnęła go rozpacz nad tym, jak kruchy okazał się jego świat. Rodzina i kariera, które wydawały się tak trwałe, w mgnieniu oka rozpadły się na kawałki.

* * *

Dom Bobby'ego Bo Masona świecił jak kasyno w Las Vegas. Żeby zapewnić właściwą oprawę swojej inauguracyjnej kolacji, Bobby Bo wynajął specjalistów od oświetlenia z teatru. Żeby zaś jeszcze bardziej podkreślić świąteczny klimat, wynajął meksykańską kapelę, która grała teraz pod namiotem na frontowym trawniku. Drobną deszczą z pewnością nie mógł ostudzić gorącej atmosfery.

Bobby Bo był jednym z największych w kraju potentatów handlu bydłem. Jak przystało na taką pozycję w branży, a także wyobrażenie samego siebie, Bobby Bo wybudował sobie dom tak ostentacyjny, że stanowił on wręcz pomnik kiczu w stylu cesarstwa rzymskiego. Krużganki z kolumnami rozciągały się w niespodziewanych kierunkach. Na każdym kroku wyrastały gipsowe imitacje rzymskich i greckich rzeźb naturalnej wielkości. Niektóre pomalowano nawet w realistycznych odcieniach ludzkiej skóry.

Kamerdynerzy w liberjach stali szeregiem przy wjeździe na kolisty podjazd, oczekując przybycia gości. Wyznaczające drogę pochodnie o wysokości sześciu stóp trzaskały w lekkim deszczu.

Mercedes Everetta Sorensona wyprzedził lexusa należącego do Daryla Webstera o niecałą minutę. Tak jakby to zaplanowali. Kiedy wyszli z aut, uściskali się, podobnie jak ich żony.

Kamerdynerzy natychmiast odprowadzili samochody na parking, podczas gdy reszta służby ochraniała gości wielkimi golfowymi parasolami. Cała czwórka zaczęła wspinać się po okazalych schodach prowadzących do podwójnych drzwi.

— Ufam, że powiadomiłeś ochronę — odezwał się półgłosem Everett.

— Chwilę po rozmowie z tobą — potwierdził Daryl.

— To dobrze — rzekł Everett. — Nigdy dosyć ostrożności, zwłaszcza teraz, gdy przemysł mięsny znów odzyskuje dobrą formę.

Doszli do drzwi i zadzwonili. Kiedy czekali, Gladys wyprostowała Everettowi węzeł krawata.

Podwójne drzwi otworzyły się. Światło wylewające się ze środka było tak silne, że nowo przybyli goście musieli zmrużyć oczy, gdy odbiło się od białych marmurów holu. Przed nimi stał Bobby Bo Mason, ujęty w grube ramy granitowej framugi i nadproża.

Bobby Bo był równie tęgi jak Everett i Daryl i podobnie jak jego przyjaciele wierzył w swój produkt na tyle mocno, że pochłaniał steki przyprawiające swymi rozmiarami o zawrót głowy. Miał pociągłą twarz i wielką, baryłową pierś. Ubrany był w szyty na miarę frak, z ręcznie wiązaną muchą obwiedzioną złotą nitką i diamentowymi spinkami w mankietach. Jego idolem w dziedzinie mody był „Wytworny Don”, zanim został skazany i wtrącony do więzienia.

— Witajcie, ludziska. — Bobby Bo rozpromienił się. Jego uśmiech odsłonił kilka złotych zębów. — Oddajcie płaszcze tej ślicznej pani i proszę, częstujcie się szampanem.

Z salonu dobiegła muzyka i wesołe śmiechy. Sorensonowie i Websterowie nie przybyli pierwszy. W przeciwieństwie do meksykańskiej kapeli na dworze, muzyka w środku była bardziej powściągliwa, wykonywana przez kwartet smyczkowy.

Po zdjęciu płaszczy Gladys i Hazel, trzymając się pod ramię, zmieszały się z innymi gośćmi. Bobby Bo zatrzymał Everetta i Daryla.

— Brakuje jeszcze tylko Sterlinga Hendersona — zauważył. — Jak tylko przyjedzie, spotkamy się na chwilę w mojej bibliotece. Wszyscy inni zostali już uprzedzeni.

— Jack Cartwright też się trochę spóźni — powiedział Everett. — Chcę, żeby uczestniczył w tym spotkaniu.

— Nie mam nic przeciwko temu — odparł Bobby Bo. — Zgadnijcie, kto jeszcze jest?

Everett spojrzał na Daryla. Żaden nie kwapił się ze zgadywaniem.

— Carl Stahl — obwieścił triumfalnie Bobby Bo.

Na Everetta i Daryla padł cień strachu.

— Dla mnie to dość niezręczna sytuacja — przyznał Everett.

— Muszę powiedzieć to samo o sobie — dodał Daryl.

— Spokojnie, chłopaki — zaczął się droczyć Bobby Bo. — A co on wam może zrobić? Najwyżej was wyleje — roześmiał się.

— Nie bardzo mam ochotę żartować na ten temat — oznajmił Daryl.

— Ani ja — rzekł Everett. — Tym bardziej musimy postarać się stłumić problem w zarodku.

Rozdział 14

Sobota wieczór, 24 stycznia

Wycieraczki wybijały monotony rytm, kiedy Marsha pokonała ostatni zakręt i ujrzała budynek Higgins i Hancock. Był to rozległy kompleks niskich budynków z obszerną zagrodą dla bydła na tyłach. Wyglądał złowieszczo w tym zimnym deszczu.

Marsha skręciła na wielki, opustoszały parking. Tu i ówdzie stały pojedyncze samochody. Kiedy przyjechała tu druga zmiana sprzątaczy, parking był wypełniony samochodami robotników dziennej zmiany.

Marsha odwiedziła już raz tę fabrykę, podczas zaznajamiania się ze swoim okręgiem, toteż wiedziała, że należy podjechać z boku. Rozpoznała nie oznakowane drzwi wejściowe dla pracowników. Pojedyncza lampa rzucała wokół skąpe światło.

Marsha zaparkowała, zaciągnęła hamulec i wyłączyła silnik, lecz nie wysiadła z auta. Przez jakiś czas siedziała, próbując wzmocnić swoją pewność siebie. Po rozmowie z Kimem denerwowała się tym, co miała zrobić.

Mimo że Kim wcześniej wspominał jej o zagrożeniu fizycznym, Marsha nigdy nie brała go pod uwagę. Teraz była o wiele mniej pewna. Dosyć nasłuchiwała się historii o prawie dżungli, jakie przemysł mięsny stosuje wobec imigrantów i sympatyków związków zawodowych. Nie miała więc pojęcia, jak zareagują na stan zagrożenia, w którym niewątpliwie ich postawi jej samowolne działanie.

— Jesteś zbyt melodramatyczna — powiedziała do siebie głośno. Podjąwszy nagłą decyzję, zdjęła z widełek swój telefon komórkowy i sprawdziła baterię. — Dobra, idziemy — stwierdziła i wysiadła z samochodu.

Padło mocniej, niż się spodziewała, więc pobiegła do wejścia dla pracowników. Kiedy tam dotarła, pociągnęła za klamkę, ale drzwi były zamknięte na klucz. Tuż przy drzwiach znajdował się przycisk z napisem: Po godzinach. Wdusiła go.

Gdy po trzydziestu sekundach nie było żadnej odpowiedzi, Marsha nadusiła dzwonek ponownie, a potem zakolatała pięścią w solidne drzwi. Już myślała, że wróci do samochodu i zadzwoni do fabryki z telefonu komórkowego, kiedy drzwi otworzyły się. Wyjrzał przez nie mężczyzna w brązowo-czarnym mundurze pracownika ochrony, z wyrazem zakłopotania na twarzy. Goście najwyraźniej stanowili tu rzadkość.

Marsha błysnęła mu swoją legitymacją departamentu Rolnictwa i spróbowała wepchnąć się do środka. Mężczyzna ani drgnął, zmuszając ją do pozostania na deszczu.

— Chciałbym to obejrzeć — powiedział.

Marsha podała mu kartę. Przyjrzał jej się dokładnie, nawet na odwrocie.

— Jestem inspektorem z departamentu rolnictwa — oznajmiła Marsha. Udawała rozgniewaną. — Myśli pan, że to grzecznie trzymać mnie tutaj na deszczu?

— Co pani tu robi? — zapytał mężczyzna.

— To, co zwykle robią inspektorzy. Sprawdzam, czy przestrzega się tutaj przepisów federalnych — odpowiedziała.

W końcu strażnik odstąpił o krok, tak iż Marsha mogła wejść do środka. Starła krople deszczu z czoła, a potem strząsnęła je z ręki.

— Teraz jest tylko sprzątanie — poinformował ją strażnik.

— Rozumiem — odparła Marsha. — Może mi pan oddać moją legitymację?

Strażnik wręczył ją jej z powrotem.

— Dokąd pani idzie?

— Będę w biurze — rzuciła przez ramię Marsha, ruszając z miejsca. Szła zdecydowanym krokiem i nie oglądała się za siebie, chociaż reakcja strażnika zaskoczyła ją i jeszcze bardziej wzmogła niepokój.

* * *

Bobby Bo Mason zamknął oba skrzydła mahoniowych drzwi biblioteki. Dochodzące zewsząd odgłosy zabawy urwały się nagle. Bobby Bo odwrócił się do swoich wyfrakowanych kolegów, którzy zdążyli się rozproszyć po bibliotece. Byli tu przedstawiciele większości przedsiębiorstw tego miasta związanych z wołowiną i jej produktami: hodowcy bydła, dyrektorzy rzeźni, prezesi zakładów przetwórstwa mięsnego i szefowie placówek handlowych. Niektórzy z nich siedzieli na krzesłach obitych ciemnozielonym aksamitem, inni stali, trzymając kieliszki do szampana.

Biblioteka była jednym z ulubionych pokoi Bobby'ego Bo. Zazwyczaj sprowadzał tutaj każdego gościa i kazał mu podziwiać jej harmonijne wnętrze. W całości wyłożono ją starym brazylijskim mahoniem. Na podłodze leżał starodawny perski dywan gruby na cal. Tak się dziwnie składało, że „biblioteka” nie zawierała żadnych książek.

— Pospieszmy się, żebyśmy mogli wrócić do ważniejszych rzeczy, takich jak jedzenie i picie — odezwał się Bobby Bo.

Jego uwaga wzbudziła śmiech u części obecnych. Bobby Bo uwielbiał być w centrum zainteresowania i nie mógł się doczekać objęcia na rok funkcji kierownika Amerykańskiego Związku Żywca Wołowego.

— Przedmiotem naszego spotkania jest panna Marsha Baldwin — kontynuował Bobby Bo, kiedy wszyscy skupili na nim uwagę.

— Przepraszam — odezwał się czyjś głos. — Chciałbym coś powiedzieć.

Bobby Bo patrzył, jak Sterling Henderson podnosi się ze swego miejsca. Był to zwały mężczyzna o topornej twarzy i grzywie przedwcześnie posiwiałych włosów.

— Chciałbym zacząć od wyrażenia przeprosin — powiedział smutnym głosem Sterling. — Od pierwszego dnia próbowałem powstrzymać tę kobietę, ale nic nie skutkowało.

— Wszyscy wiemy, że masz związane ręce — wpadł mu w słowo Bobby Bo. — Mogę cię zapewnić, że spotkaliśmy się tutaj nie po to, by obwiniać kogokolwiek, ale by rozwiązać nasz problem. Byliśmy zadowoleni ze sposobu, w jaki sobie z nim radziłeś aż do dzisiejszego dnia. Sprawa panny Baldwin przerodziła się w kryzys, kiedy ta przyłączyła się nagle do szurniętego lekarza, który skupił na sobie uwagę mediów wrzawą, jaką podniósł na temat *Escherichia coli*.

— Ta znajomość wróży kłopoty — odezwał się Everett. — Godzinę temu przyłapaliśmy ich w naszej fabryce, jak przeglądali księgi.

— Zabrała tego lekarza do Mercer Meats? — zapytał z najwyższym zdumieniem Sterling.

— Obawiam się, że tak — potwierdził Everett. — To daje wyobrażenie, co nas czeka. Sytuacja jest krytyczna. Jeżeli szybko czegoś nie zrobimy, będziemy musieli stawić czoło kolejnej wpadce z *Escherichia coli* w roli głównej.

— To gadanie o *Escherichia coli* jest jak wrzód na dupie — parsknął Bobby Bo. — Wiecie, co mnie najbardziej wkurza? To, że cholerny przemysł drobiarski rzuca na rynek towary, w których aż się roi od Salmonelli i innych bakterii, a nikt nawet słowem nie piśnie. Z drugiej strony my mamy niewielki problem z bakteriami *coli* w jakichś... dwóch, trzech procentach naszych produktów i wszyscy podnoszą wielkie larum. Czy ktoś mi powie, że to jest w porządku? O co tu chodzi? Czy mają silniejsze lobby?

W ciszy, jaka zapadła po porywczej filipice Bobby'ego Bo, rozległ się stłumiony sygnał telefonu komórkowego. Połowa gości w bibliotece sięgnęła do kieszeni fraków. Tylko wyświetlacz telefonu Daryla zapalał się równocześnie z odgłosem dzwonka. Daryl wycofał się w odległy kąt pokoju, żeby odebrać telefon.

— Nie wiem, jak przemysł drobiarski wykręca się od odpowiedzialności — powiedział Everett. — Ale to w tej chwili nie powinno zaprzętać naszej uwagi. Wiem, że zarząd Hudson Meat nie przetrwał tej hecy z *Escherichia coli*. Zatem musimy coś zrobić, i to szybko. Taka jest moja opinia. W przeciwnym razie po co, do diabła, powołaliśmy Komitet Prewencyjny?

Daryl złożył swój telefon i wsunął go do wewnętrznej kieszeni marynarki. Dołączył do grupy. Był bardziej czerwony na twarzy niż zwykle.

— Złe wieści? — spytał Bobby Bo.

— Piekielnie złe. Dzwonił jeden ze strażników z rzeźni. Jest tam Marsha Baldwin i przegląda właśnie dokumentację departamentu rolnictwa. Weszła, okazując legitymację departamentu. Powiedziała, że chce się upewnić, czy są przestrzegane przepisy federalne.

— Nie ma prawa tam w ogóle być — stwierdził oburzony Sterling. — A tym bardziej zaglądać do dokumentów.

— Racja — przyznał Everett. — Sądzę, że nie ma się nad czym naradzać. Pozostaje nam jedno wyjście.

— Gotów byłbym się zgodzić — oznajmił Bobby Bo. Powiódł wzrokiem po pozostałych. — Co myślą inni?

Rozległ się gremialny pomruk zgody.

— Świetnie. Zatem decyzja zapadła — obwieścił Bobby Bo.

Wszyscy ruszyli w stronę drzwi, które Bobby Bo otworzył na oścież. Do biblioteki wtargnęły śmiechy, muzyka i woń czosnku.

Wszyscy z wyjątkiem Bobby'ego Bo wyszli z pokoju, aby odszukać swoje małżonki. Bobby Bo podszedł do telefonu i wybrał numer wewnętrzny. Zaledwie odłożył słuchawkę na widełki, w drzwiach pokoju stanął Shanahan O'Brian.

Shanahan był ubrany w ciemny garnitur i krawat w stonowanych kolorach. Uwielbiał nosić ten rodzaj słuchawek, jakich używają agenci służb specjalnych. Był wysokim, smagłym Irlandczykiem, uciekinierem z targanej zamieszkami Irlandii Północnej. Bobby Bo z miejsca go wynajął i przez ostatnie pięć lat Shanahan kierował grupą ochrony Bobby'ego. Obaj znakomicie się rozumieli.

— Wzywałeś mnie?

— Wejdz i zamknij drzwi.

Shanahan zrobił, jak mu kazano.

— Komitet Prewencyjny wydał swoje pierwsze postanowienie — oznajmił Bobby Bo.

— Wspaniale — odrzekł Shanahan z miękkim, celtyckim akcentem.

— Usiądź — rzekł Bobby Bo. — Powiem ci, co zdecydowano.

Pięć minut później obydwaj mężczyźni wyszli z biblioteki. W foyer rozdzielili się. Bobby Bo stanął w progu salonu spojrzał ponad tłumem biesiadników.

— Czemu tutaj tak cicho?! — wykrzyknął Bobby Bo. — Co jest, pogrzeb? Dalej, bawmy się!

* * *

Shanahan zszedł do podziemnego garażu. Wsiadł do swojego czarnego cherokee i odjechał w ciemną noc. Skręcił w obwodnicę i rozpedził samochód do maksymalnej prędkości, na jaką pozwalały przepisy. Zjechał z autostrady i pomknął na zachód. Dwadzieścia minut później woczył się na wyboisty, zwirowany parking przed popularnym miejscem nocnych rozrywek, zwanym El Toro. Na szczycie budynku widniał czerwony neon przedstawiający naturalnej wielkości byka. Shanahan zatrzymał się na poboczu, z dala od rozklekotanych furgonetek wypełniających parking. Nie chciał, by ktoś, otwierając drzwi, zadrapał lakier jego nowego samochodu.

Zanim jeszcze zbliżył się do wejścia, usłyszał dudniące, basowe tony hiszpańskiej muzyki; w środku panował ogłuszający huk. Popularna knajpa roiała się od ludzi i przesycona była papierosowym dymem. Klientami byli w większości mężczyźni, choć nie brakowało też paru jaskra-

wo ubranych kobiet o kruczoczarnych włosach. Po jednej stronie znajdował się długi bar, po drugiej ciąg oddzielnych stolików. Środek zajmowały stoły i krzesła oraz kawałek podłogi do tańca. Pod ścianą znajdowała się rzęście oświetlona, staromodna szafa grająca. Na tyłach, za przejściem w kształcie łuku, widać było rzędy stołów bilardowych.

Shanahan przyjrzał się osobom siedzącym przy barze. Nie zobaczył tego, którego szukał. Bez powodzenia przeszedł się wzdłuż szeregu stolików. Zrezygnowany dotarł do obleganego przez ludzi baru. Najpierw musiał się między nimi przecisnąć, potem miał problem ze zwróceniem na siebie uwagi barmana.

Machając dziesięciodolarowym banknotem, Shanahan poradził sobie tam, gdzie nie pomagały okrzyki. Wręczył banknot barmanowi.

— Szukam Carlosa Mateo! — wrzasnął.

Pieniądze zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Barman nie odezwał się. Po prostu wskazał ręką na tył pomieszczenia i wykonał ruch, jakby uderzał kijem w bilę.

Shanahan przepchnął się między tańczącymi parami. Tyłne pomieszczenie nie było tak zatłoczone. Człowieka, którego szukał, znalazł przy drugim stole.

Shanahan poświęcił wiele czasu i wysiłku, aby wybrać najlepszego rekruta do Komitetu Prewencyjnego. Idąc po niezliczonych tropach, po przeprowadzeniu mnóstwa rozmów, w końcu zdecydował się na Carlosa. Carlos uciekł z więzienia w Meksyku i odtąd ciągle zmieniał miejsce pobytu. Przed sześcioma miesiącami zdołał — za pierwszym razem — przekroczyć granicę Stanów Zjednoczonych. Kiedy trafił do Higgins i Hancock, rozpaczliwie potrzebował pracy.

Carlos zrobił na Shanahanie spore wrażenie swoją nonszalancką postawą wobec śmierci. Nie był zbyt rozmowny, ale Shanahan dowiedział się, że uwięziono go w Meksyku za to, że zakłuł nożem znajomego. Jego praca w Higgins i Hancock polegała na szlachtowaniu ponad dwóch tysięcy zwierząt dziennie. Emocjonalnie Carlos traktował zabijanie na równi z czyszczeniem swojej ciężarówki.

Shanahan wstąpił w krąg światła rzucany na drugi stół bilardowy. Carlos właśnie przymierzał się do wbicia bili i nie odpowiedział na jego przywitanie. Shanahan musiał zaczekać.

— *Mierda!* — zaklął Carlos, gdy bila nie wpadła do łuzy. Trzepnął ręką w bandę stołu i wyprostował się. Dopiero wtedy popatrzył na Shanahana.

Carlos był ciemnowłosym, chudym mężczyzną o śniadej cerze, z mnóstwem ekstrawaganckich tatuaży na obu ramionach. Miał krzaczaste brwi, cienkie wąsiki i zapadnięte policzki. Oczy przypominały czarne marmurowe kule. Miał na sobie czarną skórzaną kamizelkę, która ekspozowała zarówno jego niezbyt pokaźne mięśnie, jak i tatuaże. Nie nosił koszulki.

— Mam dla ciebie robotę — odezwał się Shanahan. — Taką jak ta, o której mówiliśmy. Jesteś zainteresowany? Musisz się szybko decydować.

— Płacisz mi, jestem zainteresowany — odpowiedział Carlos. Mówił z silnym hiszpańskim akcentem.

— Chodź ze mną — polecił Shanahan. Wskazał drzwi wejściowe.

Carlos odłożył kij bilardowy, wcisnął parę wymiętych banknotów protestującemu przeciwnikowi i ruszył za Shanahanem. Dopóki nie wyszli na zewnątrz, żaden z nich nie odezwał się ani słowem.

— Nie wiem, jak można wytrzymać ten hałas dłużej niż pięć minut — rzucił Shanahan.

— Co ty, człowieku? — odparł Carlos. — To dobra muzyka.

Jako że ciągle padał deszcz, Shanahan zaprowadził Carlosa do swojego samochodu. Obydwaj mężczyźni zamknęli się w środku.

— Dobra, załatwmy to szybko — zaczął Shanahan. — Nazywa się Marsha Baldwin. Jest atrakcyjną, wysoką blondynką w wieku około dwudziestu pięciu lat.

Twarz Carlosa wykrzywiła się w uśmiechu, przez co jego wąsiki pod wąskim nosem wyglądały jak dwa apostrofy.

— Musisz działać szybko — wyjaśniał Shanahan. — Ona jest teraz tam, gdzie pracujesz.

— W Higgins i Hancock? — zapytał Carlos.

— Właśnie. Jest w części administracyjnej i przegląda dokumenty, których nie powinna widzieć. Nie będziesz w stanie jej przeoczyć. Jeśli będziesz miał kłopoty ze znalezieniem jej, spytaj strażnika. Ma ją mieć na oku.

— Ile płacisz? — zapytał Carlos.

— Więcej, niż mówiłem, ale pod warunkiem, że zrobisz to teraz — odpowiedział Shanahan. — Chcę, żebyś zaraz tam pojechał.

— Ile?

— Setkę teraz i dwie setki potem, jeśli zniknie bez śladu — powiedział Shanahan. Wyjął portfel i wyciągnął z niego świeżutki studolarowy banknot. Uniósł go, żeby Carlos mógł sobie na niego popatrzeć. Spowijało go czerwone światło spływające z neonowego byka.

— A co z moją pracą? — zapytał Carlos.

— Jak obiecałem — odrzekł Shanahan. — Zdejmę cię z punktu ubojowego do końca miesiąca. Gdzie chcesz pracować? Przy oddzielaniu kości czy obdzieraniu skór?

— Przy kościach — odparł Carlos.

— A więc umowa stoi? — spytał Shanahan.

— Pewnie — przytaknął Carlos. Wziął banknot, złożył go i wsunął do kieszonki dzinsów. Zupełnie tak, jakby przed chwilą poproszono go o zamiecenie liści lub odgarnięcie śniegu.

— Nie spieprz tego — dodał Shanahan.

— W Higgins i Hancock pójdzie łatwo — zapewnił Carlos.

— I ja tak myślę — powiedział Shanahan.

Marsha podniosła ręce i przeciągnęła się. Tak długo pochylała się już nad szufladą otwartej kartoteki, że zdrętwiały jej plecy. Zasuwała biodrem szufladę, która wskoczyła na swoje miejsce z głośnym pstryknięciem. Marsha zabrała swój telefon komórkowy i skierowała się do drzwi. Idąc, wystukała numer do Kima.

Czekając na połączenie, otworzyła drzwi biura i rozejrzała się po cichym korytarzu. Była zadowolona, że nikogo nie widzi. Kiedy przeglądała rejestry, słyszała, jak strażnik przechadza się za drzwiami, a kilka razy nawet zatrzymuje się przy nich. Nie przeszkodził jej, ale jego spacer wzmógł jej niepokój. Wiedziała, że gdyby do niej wszedł, czułaby się osaczona w tym opustoszałym budynku. Jak dotąd nie widziała nikogo z ekipy sprzątaczy, która miała tu podobno pracować.

— Obyś to była ty — odezwał się Kim, nie mówiąc „halo”.

— Dziwny sposób odpowiadania na telefon — stwierdziła Marsha, śmiejąc się nerwowo. Zamknęła drzwi biura i ruszyła pustym korytarzem.

— Miałaś dzwonić wcześniej.

— Na razie szczęście mi nie dopisało — oznajmiła Marsha, ignorując ton skargi w głosie Kima.

— Dlaczego tak długo się nie odzywałaś? — dopytywał się.

— Hej, spokojnie — odparła Marsha. — Byłam zajęta. Nie masz pojęcia, ile papierkowej roboty domaga się departament. Codzienne raporty sanitarne, odpisy rozporządzeń, raporty z rzeźni, doniesienia o usterkach w produkcji, raporty o uboju i faktury kupna. Musiałam przejrzeć wszystko, co nosiło datę dziewiątego stycznia.

— I co znalazłaś? — zapytał Kim.

— Nic nadzwyczajnego — odparła Marsha. Podeszła do drzwi z matową szybą, na której widniał napis: Archiwum. Spróbowała otworzyć drzwi. Były otwarte. Weszła do środka, zamknęła drzwi i przekręciła klucz w zamku.

— No cóż, przynajmniej sprawdziłaś — pocieszył ją Kim. — Ale teraz zabieraj się stamtąd.

— Najpierw muszę zajrzeć do akt spółki — zaoponowała Marsha.

— Jest piętnaście po ósmej — stwierdził Kim. — Powiedziałaś mi, że to będzie krótka wizyta.

— To już nie potrwa długo — zapewniła go. — W tej chwili jestem w archiwum. Zadzwoń do ciebie za jakieś pół godziny.

Marsha rozłączyła się, zanim Kim zdążył się sprzeciwić. Położyła telefon na długim bibliotecznym stole i stanęła przed ciągnącym się przez całą ścianę rzędem szafek na dokumenty. Na przeciwległej ścianie znajdowało się pojedyncze okno, o którego szyby uderzał deszcz. Krople stukały jak ziarenka ryżu. Na końcu pokoju były drugie drzwi. Marsha podeszła do nich i sprawdziła, czy są zamknięte.

Czując się względnie bezpieczna, wróciła do szafek i jednym pociągnięciem wysunęła pierwszą szufladę.

* * *

Po kilku minutach Kim wypuścił wreszcie słuchawkę z dłoni. Miał nadzieję, że Marsha zaraz do niego oddzwoni. Rozmowa skończyła się tak nagle, że pomyślał, iż została przerwana. Koniec końców musiał pogodzić się z faktem, że Marsha się rozłączyła.

Siedział na tym samym fotelu, na którym znalazła go Marsha. Lampa stojąca obok krzesła była jedynym światłem, które paliło się w domu. Na stoliku obok stała szklaneczka czystej whisky, którą sobie nalał, ale później jej nie tknął.

Kim jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak źle. Jego umysł wciąż wypełniały obrazy Becky i lzy ciekły mu z oczu. W następnej chwili nie chciał uwierzyć w całą grozę tego, co się stało, powtarzał sobie, że to przedłużenie jego nocnego koszmaru, w którym Becky wpadła w morską topiel.

Dobiegający z kuchni dźwięk włączającej się z brzękiem lodówki przypomniał mu, że powinien coś zjeść. Nie pamiętał już, kiedy ostatnim razem miał coś konkretnego w ustach. Kłopot w tym, że w ogóle nie był głodny. Potem pomyślał, że powinien pójść na górę, wziąć prysznic i przebrać się, ale oznaczało to zbyt wielki wysiłek. W końcu Kim postanowił spokojnie siedzieć i czekać na telefon.

* * *

Stara półciężarówka marki Toyota nie miała ogrzewania, więc Carlos trząsał się z zimna, kiedy skręcił z utwardzonej jezdni na wysypaną żwirem drogę okrążającą zagrodę dla bydła przy Higgins i Hancock. Wyłączył jedyne sprawne przednie reflektory i dalej posuwał się na pamięć, trzymając się ciemnych zarysów ogrodzenia po prawej stronie. Dojechał aż do miejsca, w którym zagroda przechodziła w tunel prowadzący do rzeźni. To tędy szły za dnia wszystkie nieszczęsne zwierzęta.

Zaparkował ciężarówkę w cieniu budynku. Zdjął niewygodne mitenki używane do jazdy i zastąpił je ściśle przylegającymi, czarnymi rękawiczkami ze skóry. Sięgnął pod siedzenie i wyjął długi, zakrzywiony nóż do zabijania zwierząt, ten sam, którego używał w pracy. Odruchowo sprawdził kciukiem ostrze. Nawet przez rękawiczki wyczuwał, że nóż jest ostry jak brzytwa.

Carlos wysiadł z kabiny. Oślepiiony deszczem, szybko przesadził płot i wylądował w stratomowanym grzędawisku zagrody. Nie zważając na krowie odchody, pobiegł do tunelu i zniknął w jego ciemnym wnętrzu.

* * *

Z widelcem do ostryg w jednej ręce i kryształową szklaneczką burbona w drugiej Bobby Bo wspiął się na stolik z zakąskami. Po drodze strącił talerz z marynowanymi krewetkami, czym wzbudził zachwyty swoich dwóch profesjonalnie ostrzyżonych pudli.

Bobby Bo głośno zastukał widelcem o szklankę. Nikt tego nie usłyszał, dopóki kwartet nie przestał grać.

— Słuchajcie, wszyscy! — wrzasnął Bobby Bo ponad głowami gości. — Kolację podaje się w jadalni. Pamiętajcie, aby przynieść numerkę, który wyciągnęliście z koszyka. To numer waszego stołu. Jeśli jeszcze nie macie numerka, to koszyk stoi w foyer.

Tłum zaczął masowo opuszczać salon. Bobby Bo zdołał zejść ze stolika, nie powodując już innego nieszczęścia poza tym, że przestraszył jednego z pudli, który szczeknął i uciekł do kuchni.

Bobby Bo zmierzał do jadalni, gdy dojrzał Shanahana O'Briana. Mruczając przeprosiny, przecisnął się przez gości, by stanąć u boku szefa ochrony.

— I co? — szepnął. — Jak poszło?

— Bez problemu.

— Czy to będzie dziś w nocy?

— W każdej chwili — potwierdził Shanahan. — Myślę, że należy powiadomić Daryla Webstera. Niech przekaże swoim strażnikom, żeby się nie wtrącali.

— Dobry pomysł — pochwalił Bobby Bo. Uśmiechnął się uszczęśliwiony, poklepał Shanahana po plecach i pospieszył za gośćmi.

* * *

Dzwonek do drzwi wyrwał Kima z melancholijnego odrętwienia. Przez moment nie mógł się zorientować, skąd dochodzi ten dźwięk. Sięgnął nawet ręką do telefonu. Spodziewał się telefonu, a nie nocnej wizyty. Spojrzał na zegarek — była za kwadrans dziewiąta. Nie mógł uwierzyć, że ktoś dzwoni do jego drzwi o tej porze w sobotni wieczór.

Jedyną osobą, która przyszła mu na myśl, była Ginger, ale ona nigdy nie przychodziła bez telefonicznej zapowiedzi. Wtedy Kim przypomniał sobie, że nie odsłuchał automatycznej sekretarki, więc Ginger mogła wcześniej dzwonić i zostawić wiadomość. Podczas gdy rozważał tę możliwość, dzwonek do drzwi zabrzmiał jeszcze raz.

Nie chciał się widzieć z Ginger, ale gdy dzwonek zabrzmiał po raz trzeci i zawtórowało mu lekkie pukanie, Kim podniósł się z krzesła. Dobierał w myślach słowa, które mógłby powiedzieć, gdy ku swemu zdumieniu, za drzwiami ujrzał Tracy.

— Wszystko w porządku u ciebie? — zapytała cicho Tracy.

— Chyba tak — odparł Kim. Był zmieszany.

— Czy mogę wejść?

— Oczywiście. — Odsunął się o krok, żeby zrobić Tracy miejsce. — Przepraszam. Powinienem był od razu zaprosić cię do środka. Jestem zaskoczony, że to ty.

Tracy weszła do skąpo oświetlonego przedpokoju. Zobaczyła, że jedyne światło w domu znajduje się w pokoju dziennym, tuż obok fotela. Zsunęła płaszcz przeciwdeszczowy z kapturem. Kim wziął od niej rzeczy.

— Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, że tak nagle tu przyszedłam — odezwała się Tracy. — Wiem, że to nieco impulsywna decyzja.

— Ależ skąd — odparł Kim. Powiesił jej płaszcz.

— Chciałam zostać sama — wyjaśniła Tracy. Westchnęła. — Ale potem, zaczęłam myśleć o tobie i martwić się, zwłaszcza po tym, jaki byłeś wzburzony, kiedy wybiegłeś ze szpitala. Pomyślałam, że skoro straciliśmy córkę, to jedynie my wiemy, co w tej chwili czujemy. Mówię tak, bo potrzebuję pomocy i przypuszczam, że ty także.

Słowa Tracy wymiotły resztki kłamstwa, które Kim sobie wmawiał. Poczłł dojmującą falę smutku, przed którą tak bardzo starał się uciec. Odetchnął ciężko i przełknął ślinę, dławiąc łzy. Przez chwilę nie mógł wydobyć głosu.

— Siedziałeś tu, w pokoju?

Kim skinął głową.

— Wezmę krzesło z jadalni — powiedziała Tracy.

— Pozwól — zaoferował się Kim. Był wdzięczny, że może coś zrobić. Przyniósł krzesło do pokoju dziennego i umieścił je w półcieniu światła rzucanego przez lampę. — Napijesz się czegoś? Nalałem sobie trochę szkockiej.

— Dziękuję, nie — odparła Tracy. Usiadła ze znużeniem, po czym pochyliła się do przodu, oparła łokcie na kolanach i złożyła brodę na dłoniach.

Kim usadowił się w swoim fotelu i popatrzył na byłą żonę. Jej ciemne włosy, zawsze puszyste i uczesane, teraz przylegały do głowy. Dyskretny makijaż, jaki zazwyczaj nosiła, był rozmazany. Tracy wyraźnie cierpiała, lecz jej oczy były równie bystre i błyszczące jak zawsze.

— Chciałam ci coś powiedzieć — odezwała się Tracy. — Miałam trochę czasu na przemyślenia i doszłam do wniosku, że to, co zrobiłeś dzisiaj dla Becky, wymagało dużej odwagi. — Przerwała na chwilę i zagryzła wargę. — Wiem, że ja nie mogłabym tego zrobić, nawet gdybym była chirurgiem — dodała.

— Doceniam to, co mówisz — powiedział Kim. — Dziękuję ci.

— Początkowo byłam przerażona — przyznała Tracy.

— Masaż na otwartym sercu to w każdych okolicznościach akt desperacji — stwierdził Kim. — A masaż serca własnej córki... no cóż, jestem pewien, że szpital nie postrzeżga tego tak jak ty.

— Zrobiłeś to z miłości — powiedziała Tracy. — To nie była tylko urażona duma, jak z początku myślałam.

— Zrobiłem to, ponieważ było dla mnie jasne, że masaż zewnętrzny nie skutkuje — oznajmił Kim. — Nie mogłem pozwolić, żeby Becky tak po prostu zgasła, a wszystko na to wskazywało. Nikt nie wiedział, dlaczego jej serce ulega martwicy. Oczywiście teraz wiem, dlaczego i dlaczego masaż zewnętrzny nic nie dał.

— Nie miałam pojęcia, że *Escherichia coli* wywołuje taką straszliwą chorobę — przyznała Tracy.

— Ani ja — dodał Kim.

Raptowny dzwonek telefonu poderwał ich oboje. Kim chwycił słuchawkę.

— Halo! — warknął.

Tracy patrzyła, jak na twarzy Kima ukazała się w pierw dezorientacja, a potem złość.

— Dosyć! — rzucił do słuchawki Kim. — Znam tę śpiewkę. Nie jestem zainteresowany kartą Visa i chcę, żebyście zwolnili mi linię. — Gwałtownie odłożył słuchawkę.

— Najwyraźniej spodziewasz się telefonu — rzekła podchwytliwie Tracy. Wstała z krzesła. — Przeszkadzam ci. Może powinnam sobie pójść.

— Nie — odparł Kim, ale natychmiast się poprawił: — To znaczy, tak, spodziewam się telefonu, ale nie powinnaś odchodzić.

Przekrzywiła głowę na bok.

— Dziwnie się zachowujesz — stwierdziła. — O co chodzi?

— Jestem skończoną ofertą — wyznał Kim. — Ale...

Telefon przerwał wyjaśnienia. Kim ponownie porwał słuchawkę z widełek i rzucił wściekle „halo”.

— To znowu ja — powiedziała Marsha. — Tym razem coś znalazłam.

— Co? — zapytał Kim. Gestem pokazał Tracy, aby usiadła.

— Coś, co może być interesujące. Pod datą dziewiątego stycznia jest pewna niezgodność w dokumentach departamentu i Higgins i Hancock.

— Jaka niezgodność?

— Pod koniec owego dnia zaszlachtowano jedno zwierzę więcej — wyjaśniła Marsha. — W papierach spółki figuruje ono jako partia numer trzydzieści sześć, pozycja pięćdziesiąt siedem.

— Tak? — zdziwił się Kim. — Czy jedno zwierzę więcej ma jakieś znaczenie?

— Myślę, że tak — odparła Marsha. — Gdyż znaczy to, że nie skontrolował go weterynarz z departamentu.

— Uważasz, że mogło być zakażone? — zapytał Kim.

— To całkiem możliwe — rzekła Marsha. — Potwierdzałyby to faktura zakupu. To ostatnie zwierzę nie było hodowane na mięso. To była mleczna krowa kupiona od człowieka nazwiskiem Bart Winslow.

— Chyba będziesz musiała mi to wytłumaczyć — poprosił Kim.

— No więc mleczne krowy często są przeznaczane na hamburgery — zaczęła Marsha. — To po pierwsze. Po drugie kowarzę to nazwisko, Bart Winslow. To miejscowy facet, którego nazywają tutaj 3-U: krąży po okolicy i zbiera chore bydło. Umarłe, umierające i upośledzone sztuki, które padają na farmach. Powinien je oddawać do przetwórni, aby przerobiono je na nawóz albo karmę dla zwierząt.

— Nie jestem pewien, czy chcę słuchać dalej — przerwał Kim. — Nie mów mi, że czasami sprzedają te zwierzęta do rzeźni zamiast do przetwórni.

— Zdaje się, że właśnie to stało się z tą ostatnią krową — powiedziała Marsha. — Pozycja pięćdziesiąt siedem w partii numer trzydzieści sześć: to musiała być chora krowa.

— Obrzydlistwo — stwierdził Kim.

— To nie koniec — mówiła Marsha. — Znalazłam raport spółki poświęcony temu samemu zwierzęciu, który nie łączy się ani z jego chorobą, ani badaniem przez weterynarza. Jesteś gotowy? To naprawdę ohydne...

— Mów! — ponaglił ją Kim.

— Ojej! — zawołała Marsha. — Ktoś jest pod drzwiami. Muszę włożyć te papiery z powrotem do teczki.

Kim usłyszał głośnie uderzenie. W tle zdołał dosłyszeć szelest papierów, a potem wyraźny odgłos zatraskiwanej szuflady.

— Marsha! — wrzasnął.

Nie odezwała się. Zamiast tego rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Był tak głośny, że Kim aż podskoczył. Na ułamek sekundy odruchowo oderwał słuchawkę od ucha.

— Marsha! — krzyknął ponownie.

Nie odpowiedziała. Rozległ się łomot, jakby ktoś wywracał krzesła. Potem zapadła martwa cisza.

Kim odsunął słuchawkę od ucha i spojrzał na Tracy przerażonym wzrokiem.

— Co się dzieje? — spytała zaniepokojona. — Czy to Marsha Baldwin?

— Myślę, że jest w niebezpieczeństwie! — wyjąkał Kim. — Mój Boże!

— Jakim niebezpieczeństwie? — dopytywała się Tracy, wyczuwając jego napięcie.

— Muszę jechać! To moja wina! — zawołał Kim.

— Jaka wina? Proszę, powiedz mi, co się dzieje?

Kim nie odpowiedział, tylko okręcił się na pięcie i wypadł z domu. W pośpiechu zostawił uchylone drzwi. Tracy pobiegła za nim, dopytując się, dokąd jedzie.

— Zostań tu! — wrzasnął Kim, zanim wskoczył do samochodu. — Zaraz wrócę. — Trzasnęły zamknięte drzwi. Chwilę później zawył silnik. Kim błyskawicznie wycofał samochód na ulicę, a potem pomknął prosto w noc.

Tracy przesunęła ręką po włosach. Nie miała pojęcia, co się dzieje ani co powinna zrobić. W pierwszym odruchu miała ochotę wsiąść do samochodu i pojechać do domu. Ale zachowanie Kima zmartwiło ją i chciała się dowiedzieć, o co chodzi. Ponadto myśl o powrocie do domu nie bardzo jej odpowiadała — dopiero co stamtąd uciekła.

Otrzeźwił ją zimny deszcz. Odwróciła się i pobiegła do domu. Tak jak polecił jej Kim, postanowiła tam zaczekać.

* * *

Wszystko zaczęło się od rozbicia szyby w drzwiach. Czyjaś dłoń w rękawiczce sięgnęła przez ostre jęzory rozbitego szkła i otworzyła drzwi od wewnątrz. Drzwi rozwarły się z impetem i trzasnęły o ścianę.

Marsha krzyknęła. Przed sobą zobaczyła szczupłego, śniadego mężczyznę trzymającego w ręku długi nóż. Tamten zrobił krok w jej stronę i wtedy Marsha odwróciła się i rzuciła do ucieczki, wywracając za sobą krzesła w nadziei, że to utrudni pościg. Instykt bezbłędnie powiedział jej, że mężczyzna przyszedł ją zabić.

Rozpaczliwie odblokowała tylne drzwi. Zza pleców doleciały ją hiszpańskie przekleństwa i rumor krzesel. Nie miała odwagi obejrzeć się za siebie. Na korytarzu pobiegła przed siebie, szukając kogokolwiek, choćby tego obcesowego strażnika. Próbowała wołać o pomoc, ale ucieczka kosztowała ją tyle wysiłku, że jej głos zamieniał się w charkot.

Minęła biegiem puste biura. Na końcu korytarza wbiegła do stołówki. Na jednym z wielu długich stołów stało kilka pudełek na jedzenie i termosów, ale nigdzie nie było widać ich właścicieli. Za sobą słyszała szybko zbliżające się kroki.

Na końcu stołówki były otwarte drzwi. Za nimi widać było stopnie schodów, które prowadziły do solidnych drzwi przeciwpożarowych. Nie mając wyboru, Marsha przebiegła przez stołówkę, przewracając za sobą tyle krzesel, ile tylko mogła. Zaczęła wspinać się na schody, pokonując po dwa stopnie naraz. Gdy dobiegła do drzwi przeciwpożarowych, z trudem chwyciła powietrze. Z tyłu słyszała, jak jej prześladowca zмага się z leżącymi krzesłami.

Szarpnąwszy za drzwi przeciwpożarowe, Marsha otworzyła je i wpadła do przestronnego, zimnego pomieszczenia. Tutaj dokonywano uboju zwierząt — panował tu półmrok, mdłe światło rzadko rozmieszczonych lamp nadawało mu upiorny, obcy wygląd, zwłaszcza że niedawno oczyszczono je parą. Zimna, szara mgiełka snuła się wokół widmowych metalowych pomostów, złowieszczych haków zwisających spod sufitu i rzeźnickich narzędzi z nierdzewnej stali.

Labirynt stojących maszyn zwolnił tempo Marshy. Jej bieg przeszedł w forsowny marsz. Rozpaczliwie krzyczała o pomoc, lecz słyszała własny głos, odbijający się od zimnych, nagich, betonowych ścian.

Gdzieś z tyłu rąbnęły otwierane drzwi przeciwpożarowe. Marsha była dostatecznie blisko, aby słyszeć zdyszany oddech ścigającego. Schowała się za jakąś olbrzymią machiną i wcisnęła się w cień rzucany przez metalowe schodki. Daremnie starała się stłumić oddech.

Nie było słyhać żadnego odgłosu z wyjątkiem powoli kapiącej gdzieś wody. Ekipa sprzątaczy musiała się znajdować w pobliżu. Marsha wiedziała, że musi ich znaleźć. Zaryzykowała i zerknęła w stronę drzwi przeciwpożarowych. Były zamknięte. Nigdzie nie widziała mężczyzny, który ją gonił.

Nagle rozległo się głośnie pstryknięcie. Chwilę później całe pomieszczenie zalało przenikliwe światło. Serce Marshy zadrżało w piersi. Nie ulegało wątpliwości, że zostanie wkrótce wykryta.

Kolejny rzut oka na drzwi przeciwpożarowe wystarczył, żeby podjęła błyskawiczną decyzję. Jej jedyna szansa to uciec tą samą drogą, którą tu przyszła. Wysunąwszy się z ukrycia, Marsha skoczyła w stronę drzwi przeciwpożarowych. Złapała za uchwyt i szarpnęła je. Ciężkie drzwi drgnęły, ale nie udało jej się otworzyć ich szerzej. Podniosła wzrok. Nad ramieniem zobaczyła

wytatuowaną rękę przytrzymującą drzwi. Marsha odwróciła się i przywarła do nich plecami. Ze strachem spojrzała w zimne, czarne oczy mężczyzny. Gigantyczny nóż tkwił teraz w lewej ręce.

— Czego ode mnie chcesz?! — krzyknęła.

Carlos nie odpowiedział. Jedynie uśmiechnął się zimno. Przerzucił nóż z jednej ręki do drugiej.

Marsha spróbowała ponownie uciec, ale w pośpiechu poślizgnęła się na mokrym cemencie. Przewróciła się twarzą w dół na zimną podłogę. Carlos dopadł jej momentalnie.

Marsha przetoczyła się na plecy. Próbując się bronić, złapała nóż obydwiema rękami, ale jego ostre jak brzytwa ostrze przecięło jej dłonie aż do kości. Próbowwała krzyczeć, lecz napastnik zatkał jej usta lewą ręką. Gdy Marsha usiłowała odepchnąć jego rękę, Carlos szybko uniósł nóż i ciężką rękojeścią zadał jej silny cios w głowę. Ciało Marshy zwiotczało.

Carlos powstał i wziął parę głębokich oddechów. Potem skrzyżował ręce kobiety tak, że przecięte dłonie znalazły się na jej brzuchu. Chwyciwszy ją za nogi, powłókł ją po podłodze do kraty, którą kończyła się rynnna dla bydła. Podszedł do skrzynki przyłączonej i przekręcił włącznik, uruchamiając urządzenia w pomieszczeniu.

* * *

Kim prowadził jak szalony, nie zważając na to, że ulice są śliskie od deszczu. Gubił się w domysłach, co takiego przydarzyło się Marshy w archiwum Higgins i Hancock. Stwierdził, że ludzi się nadzieją, iż zaskoczył ją pracownik ochrony, nawet jeśli znaczyło to aresztowanie. Żadnego większego nieszczęścia nie chciał brać pod uwagę.

Skręcając na parking przed ogromną fabryką, zauważył, że stoi na nim ledwie parę samochodów. Auto Marshy dostrzegł na samym krańcu parkingu, z dala od wjazdu. Zahamował naprzeciw drzwi frontowych i wyskoczył z samochodu. Spróbował otworzyć drzwi. Były zamknięte. Załomotał w nie pięściami. Przystawiając dłonie z obu stron twarzy, zajrzał przez szybę do środka. Mógł zobaczyć jedynie skąpo oświetlony, opustoszały korytarz. Nigdzie nie było widać strażnika.

Kim nasłuchiwał. Jego uszu nie dobiegał żaden dźwięk. Czuł coraz większy niepokój. Cofnął się od drzwi i rozejrzał po frontowej ścianie budynku. Na parking wychodził rząd okien.

Kim zszedł z betonowej płyty przy wejściu i dziarsko ruszył na północ, wzdłuż ściany budynku. Zaglądał do każdego okna i próbował je otworzyć. Wszystkie były zamknięte.

Kiedy zerknął przez trzecie okno, ujrzał szafki z dokumentami i powywracane krzesła. Na stole dostrzegł telefon, który musiał należeć do Marshy. Okno to było zamknięte tak jak i pozostałe. Bez chwili wahania Kim schylił się i podniósł jeden z wielkich kamieni wytyczających parking. Dźwignął go na wysokość ramienia i cisnął nim w okno. Po brzęku rozbitej szyby rozległ się łomot, gdy kamień potoczył się po drewnianej podłodze i wpadł na poprzewracane krzesła.

* * *

Carlos zatrzymał się i nadstawił uszu. W pomieszczeniu, w którym się znajdował, służącym do skórowania głów, odgłos rzuconego przez Kima kamienia dał się słyszeć jedynie jako stłumiony łoskot. Carlos był jednak doświadczonym złodziejem i dobrze wiedział, że nie wolno mu lekceważyć żadnych niespodziewanych hałasów. Nieodmiennie zapowiadały one kłopoty.

Zamknął wieko ogromnego „kombo” i zgasił światło. Zrzucił z siebie zakrwawiony biały kitel i ściągnął długie, żółte gumowe rękawice. Upchnął wszystko pod zlewem. Chwycił nóż i cichym, ale prędkim krokiem przeszedł do hali ubojowej. Tam również zgasił światło. Ponownie zatrzymał się i nasłuchiwał. Najchętniej wycofałby się po rynnie dla bydła, lecz nie zdążył skończyć tego, co zaczął.

* * *

Kim wdrapał się na okno i wsadził głowę do środka. Najlepiej jak potrafił starał się ominąć kawałki stłuczonego szkła, ale nie całkiem mu się to udało. Gdy stanął na nogi, musiał ostrożnie strzepnąć z dłoni parę drobnych odłamków. Rozejrzał się po pokoju. Wysoko w rogu zobaczył migające czerwone światełko na detektorze ruchu, ale je zignorował.

Porzucony telefon komórkowy, wywrócone krzesła oraz stłuczona szyba w drzwiach na korytarz łatwo przekonały Kima, że stoi w pokoju, z którego Marsha do niego dzwoniła. Z tyłu zauważył też otwarte drzwi i domyślił się, że tamtędy uciekła, kiedy ją spłoszono. Kim podbiegł do drzwi i spojrzał w głąb opustoszałego korytarza. Przystanął, aby posłuchać. Nie doszedł go nawet szmer, co tylko wzmogło jego niepokój.

Ruszył korytarzem, raptownie otwierając wszystkie drzwi, obok których przechodził. Zajrzał do magazynów, pokoi gospodarczych, szatni i kilku toalet. Na samym końcu korytarza dotarł do stołówki. Na progu zatrzymał się. Jego uwagę przykuł szlak poprzewracanych krzesel wiodący do tylnych drzwi. Kim ruszył tym śladem — wyszedł ze stołówki i wspinał się po schodach. Otworzył drzwi przeciwpożarowe i przeszedł przez nie.

Znowu przystanął. Nie wiedział, co robić. Znalazł się w pomieszczeniu, które było istnym labiryntem jakichś urządzeń i metalowych platform. Ich groteskowe cienie kładły się na podłodze.

Kim poczuł ledwo uchwytny odór, który wydał mu się dziwnie znajomy. Wysiłił pamięć, starając się go skojarzyć. Odpowiedź przyszła po kilku sekundach. Odór nasunął mu zapach panujący podczas autopsji, którą oglądał jako student drugiego roku medycyny. Wzdrygnął się na to niemiłe wspomnienie ukryte głęboko w pokładach pamięci.

— Marsha! — wrzasnął z rozpaczą Kim. — Marsha!

Nikt nie odpowiedział. Kim usłyszał jedynie zwiłokrotnione echo własnego rozdygotanego głosu.

Na prawo od niego znajdowało się stanowisko przeciwpożarowe z gaśnicą, wielką latarką i oszkloną gablotką, w której tkwił zwinięty wąż strażacki i topór z długim trzonkiem. Kim wyrwał latarkę z klamry i włączył ją. Skoncentrowany strumień światła rzucił na ściany jeszcze bardziej groteskowe cienie.

Kim wkroczył w obcy świat, oświetlając sobie drogę zamaszystymi łukami światła. Posuwał się zgodnie z ruchem wskazówek zegara, zanurzając się między rzędami maszyn. Po paru minutach zatrzymał się i ponownie zawołał Marszę. Oprócz echa słyszał wyłącznie odgłos kapiącej wody.

Strumień światła przesunął się po kracie. Kim cofnął go. Pośrodku kraty widniała ciemna plama. Zbliżywszy się do kraty, Kim pochylił się i skierował światło wprost na plamę. Niepewnie wyciągnął rękę przed siebie i dotknął plamy palcem wskazującym. Po kręgosłupie przebiegł mu zimny dreszcz. To była krew!

* * *

Carlos przywarł do ściany pomieszczenia do skórowania głów, tuż przy pozbawionym drzwi wejściu do hali ubojowej. Zaszedł tutaj, cofając się przed posuwającym się w jego stronę Kimem. Carlos zobaczył go po raz pierwszy, jak nadchodzi tylnym korytarzem, najwyraźniej szukając kogoś lub czegoś. Nie miał pojęcia, kim jest ten obcy, i początkowo liczył na to, że tamten zadowoli się obejściem biur. Ale gdy Kim wszedł do hali ubojowej i zaczął wołać Marszę, Carlos wiedział, że będzie musiał go zabić. Nie przeraziło go to. Komplikacje stanowiły naturalny element jego pracy. Poza tym uznał, że dostanie większą zapłatę, może nawet podwójną. Nie martwił się też posturą obcego wskazującą na siłę fizyczną. Carlos był doświadczony i miał przewagę zaskoczenia, co najważniejsze zaś, miał swój ulubiony nóż, który akurat trzymał w prawej ręce, tuż przy policzku.

Carlos ostrożnie wysunął głowę, żeby zajrzeć do hali ubojowej. Dzięki światłu latarki łatwo było śledzić trasę obcego. Carlos widział go, jak prostuje się nad kratą przy jego stanowisku pracy.

Raptem latarka zaświeciła prosto na Carlosa. Umknął przed strumieniem światła, osłaniając ostrze noża, by nie błysnęło w ciemności. Wstrzymał oddech, kiedy obcy zbliżał się powoli, badając podłogę snopem światła.

Carlos przylgnął do ściany i napiął mięśnie. Tak jak przypuszczał, obcy wchodził do pomieszczenia, gdzie czyszczono mięso z kości. Wścibskie światło latarki migało wokół coraz częściej i jaśniej. Carlos czuł szybkie tętno, kiedy adrenalina zaczęła krążyć w jego ciele. Uwielbiał to uczucie. Było jak kop po amfetaminie.

Kim wiedział, że rzeźnia tego dnia pracowała, więc znalezienie krwi nie powinno być czymś zaskakującym. Jednak krew nie była skrzepnięta i wydawała się świeża. Nie chciał dopuścić myśli, że może to być krew Marshy, ale już sama możliwość, że tak jest, doprowadzała go znowu do furii. Teraz pragnął ją znaleźć jeszcze bardziej niż przedtem, a gdyby rzeczywiście była ranna, chciał znaleźć tego, kto za to odpowiadał.

Po zbadaniu hali ubojowej Kim postanowił przeszukać pozostałe sektory olbrzymiej fabryki. Skierował się do jedyne go przejścia, jakie widział, mając się na baczności przed człowiekiem lub ludźmi, którzy dopiero co przelali krew.

Uratowała go czujność. Kątem oka spostrzegł nagły ruch gdzieś z boku. Odruchowo skoczył do przodu i długą latarką sparował zbliżający się cios.

Skryty w cieniu Carlos rzucił się do przodu, mając nadzieję, że zada Kimowi szybkie pchnięcie w bok, wyciągnie nóż i wycofa się. Zamierzał wykończyć go później, gdy ten się wykrwawi. Ale nóż chybił celu i zostawił tylko płytkie nacięcie na dłoni Kima.

Kiedy Carlos próbował odzyskać równowagę, Kim wymierzył mu cios latarką. Uderzył go w ramię i chociaż go nie zranił, Carlos jednak zachwiał się i zwałił na ziemię. Zanim zdążył się pozbierać, Kim uciekł. Pobiegł przez pomieszczenie do skórowania głów do głównej hali, gdzie oczyszczano kości. Następne pomieszczenie było prawie równie obszerne jak hala ubojowa, tyle że ciemniejsze. Wypełniał je labirynt długich stalowych stołów i pasów transmisyjnych. Powyżej znajdowała się sieć okratowanych pomostów, skąd nadzorujący pracę mogli doglądać, jak poniżej, na stołach, rozcina się mięso na poszczególne części.

Kim rozglądał się gwałtownie za jakąś bronią, którą mógłby odpierać ciosy długiego noża. Bojąc się znowu zapalić latarkę, mógł jedynie szukać po omacku na stołach. Niczego nie znalazł.

Wielka, pusta plastikowa beczka na odpadki przewróciła się, kiedy Kim się o nią potknął. Rozpaczliwym gestem złapał ją, żeby nie potoczyła się dalej i nie zdradziła jego pozycji. Spojrzawszy w tył, Kim dostrzegł sylwetkę człowieka z nożem. Przez moment tamten był oświetlony od tyłu, zanim ponownie bezszelestnie wślizgnął się w cień.

Kim zadrzał z lęku. Ściągał go uzbrojony w nóż zabójca w ciemnym, zupełnie obcym otoczeniu, które nie dawało żadnej możliwości obrony. Wiedział, że musi pozostać w ukryciu. Nie mógł pozwolić, żeby tamten go podszedł. Co prawda zdołał uniknąć pierwszego ataku, ale był dość inteligentny, aby zdawać sobie sprawę, że za drugim razem może mieć mniej szczęścia.

Kim poderwał się, gdy nagle rozległ się piskliwy dźwięk, zwiastujący uruchomienie elektronicznych urządzeń. Otaczająca go płatanina pasów transmisyjnych ruszyła hałaśliwie. Równocześnie pomieszczenie zostało zalane jasnym światłem jarzeniówek. Serce podeszło Kimowi do gardła. Prysłły wszelkie nadzieje, że uda mu się ukryć w jakimś zakątku.

Kim skulił się najlepiej jak potrafił za plastikową beczką na odpadki. Patrzył pod stołami i widział ścigającego go wytatuowanego mężczyznę. Ten skradał się powoli przejściem między stołami. Obydwie ręce miał uniesione; w prawej ścisnął nóż, który dla Kima wyglądał niemal jak maczeta.

Kim wpadł w panikę. Carlos był oddalony zaledwie o jeden rząd stołów. Kim wiedział, że mężczyzna zobaczy go, gdy dotrze do następnego rzędu. Była to kwestia sekund. Gwałtownie zerwał się na nogi, łapiąc plastikową beczkę. Wrzasnął jak celtycki wojownik przed bitwą i natarł wprost na swego prześladowcę. Osłaniając się plastikową beczką niczym tarczą, wpadł na uzbrojonego w nóż Meksykanina.

Carlosa odrzuciło do tyłu. Mimo zaskoczenia niespodziewanym atakiem i potężnym impetem uderzenia zachował dość zimnej krwi, aby nie wypuścić noża z ręki. Kim znalazł się w pewnej odległości za nim. Odepchnął plastikową beczkę i ruszył sprintem przez wielką halę. Wiedział, że udało mu się tylko przewrócić napastnika na ziemię; wcale go nie unieszkodliwił. Czuł, że największe szanse daje mu ponowna ucieczka. Minał drugie przejście bez drzwi i znalazł się w zimnym, mrocznym i skąpo oświetlonym lesie zwierzęcych tusz. Każda była przecięta na pół i zawieszona na systemie ruchomych haków pod sufitem. Jedyne światło dochodziło z sufitowych żarówek za siatką, które umieszczono w środkowym przejściu oddzielającym długie rzędy zimnych tusz.

Kim biegł tym przejściem, rozpaczliwie wypatrując jakiejś kryjówki. W chłodni było tak zimno, że widział własny oddech. Wkrótce przeciął biegnący prostopadle korytarz, za którym dojrzał błysk upragnionego zielonego światła z napisem „Wyjście”. Zakreślił w tym kierunku, ale tylko po to, aby odkryć, że drzwi są zabezpieczone łańcuchem i solidną kłódką.

Wówczas usłyszał odległy, ale niewątpliwie należący do jego prześladowcy odgłos obcasów na betonowej podłodze. Tamten zbliżał się, i Kima znowu ogarnęła panika. Poruszając się najszybciej jak mógł wzdłuż ściany chłodni, zaczął szukać innego wyjścia. Znalazł je, lecz niestety ono również było zamknięte na łańcuch.

Zniechęcony szukał dalej. Pomieszczenie było gigantycznych rozmiarów. Przeciskając się między ścianą a wiszącymi tuszami, Kim potrzebował kilku minut, aby dotrzeć do kąta chłodni, gdzie obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni. Tutaj mógł się poruszać prędzej. Zanim dotarł do środkowego przejścia, biegnącego przez całą długość pomieszczenia, natknął się na wewnętrzne drzwi. Nacisnął klamkę i z ulgą stwierdził, że za nimi jest jakaś ciemna hala. Tuż przy drzwiach znajdował się przełącznik światła. Kim zapalił je. Był to duży magazyn z metalowymi półkami.

Dał nura do środka z rozpaczliwą nadzieją, że znajdzie tam coś, co posłuży mu za broń. Szybko obszedł całą przestrzeń, lecz bez rezultatu. Znalazł jedynie drobne części zapasowe, między innymi łożyska kulkowe do systemu ruchomych haków pod sufitem oraz tekturowe pudło z gumowymi pieczętkami używanymi przez inspektorów departamentu do oznaczania mięsa „wyborowego”, „delikatesowego” i „ekstra”. Jedyнным przedmiotem większych rozmiarów była miotła. Kim podniósł ją, wychodząc z założenia, że miotła to lepiej niż nic. Powrócił do drzwi magazynu i już miał z niego wyjść, gdy znów usłyszał kroki mężczyzny; tamten był blisko, nie dalej niż dwadzieścia stóp, i zbliżał się środkowym przejściem.

Kim ponownie uległ panice, ale przymknął drzwi magazynu tak szybko i cicho, jak to było możliwe. Trzymając miotłę oburącz za koniec trzonka, przylgnął do ściany na prawo od drzwi.

Odgłos kroków ucichł. Kim słyszał, jak mężczyzna przeklina. Potem znowu rozległy się kroki, stawały się coraz głośniejsze, aż zatrzymały się tuż za drzwiami.

Kim wstrzymał oddech. Chwycił mocniej miotłę. Przez jedną nieskończenie długą chwilę nic się nie działo. Potem Kim ujrzał, jak klamka zaczyna się obracać. Napastnik wchodził do środka!

Serce łomotało Kimowi w piersi. Drzwi otworzyły się na oścież. Gdy tylko Kim wyczuł, że napastnik przekroczył próg, zagryzł zęby i z całą siłą, na jaką go było stać, zamachnął się miotłą na wysokości piersi. Przypadkowo trafił mężczyznę prosto w twarz, wyrzucając go z powrotem za drzwi. Na skutek zaskoczenia i siły ciosu tamten upuścił nóż na podłogę.

Nie wypuszczając miotły z lewej ręki, Kim skoczył po nóż. Podniósł go, ale przekonał się, że to tylko latarka.

— Nie ruszać się! — zagrział czyjś głos.

Kim wyprostował się i spojrzał w oślepiające światło drugiej latarki. Odruchowo uniósł rękę, żeby zasłonić oczy. Dopiero teraz rozpoznawał mężczyznę leżącego na podłodze. Nie był to Meksykanin, lecz człowiek ubrany w brązowo-czarny mundur Higgins i Hancock: Pracownik ochrony, który przyciskał obie ręce do twarzy. Z nosa ciekła mu krew.

— Rzuć miotłę! — rozkazał głos skrywający się za światłem latarki.

Kim puścił i miotłę, i latarkę. Upadły z trzaskiem na podłogę.

Oślepiająca struga światła przesunęła się w dół i Kim z olbrzymią ulgą zobaczył, że ma przed sobą dwóch umundurowanych policjantów. Ten bez latarki trzymał oburącz pistolet wymierzony prościutko w niego.

— Dzięki Bogu! — wysapał Kim, choć patrzył w wylot lufy sterzący zaledwie dziesięć stóp od siebie.

— Zamknij się! — rozkazał policjant z pistoletem. — Wyłaż i stań twarzą do ściany!

Kim podporządkował się mu z radością. Wyszedł z magazynu i położył ręce na ścianie, tak jak to widział w filmach.

— Przeszukaj go — rzucił policjant.

Kim poczuł czyjeś ręce przebiegające po jego ramionach, nogach i tułowiu.

— Jest czysty.

— Odwróć się!

Kim zrobił, jak mu kazano, wciąż trzymając ręce nad głową, żeby opacznie nie odebrano jego zamiarów. Stał na tyle blisko, aby odczytać nazwiska funkcjonariuszy widniejące na plakietkach. Policjant z bronią nazywał się Douglas Foster, drugi zaś Leroy McHalverson. Postawili na nogi ochroniarza, a do rozkwazzonego nosa przyłożyli mu chustkę. Metalowa obręcz miotły rąbnęła go dostatecznie mocno, by złamać mu nos.

— Skuj go — polecił Douglas.

— Hej, spokojnie! — zawołał Kim. — To nie mnie powinniście skuć.

— Naprawdę? — zapytał złośliwie Douglas. — A kogo według ciebie?

— Jest tu ktoś jeszcze — odpowiedział Kim. — Smagły, chudy facet z tatuażami, uzbrojony w olbrzymi nóż.

— I bez wątplenia nosi maskę hokejową — dodał szyderczym tonem Douglas. — I ma na imię Jason.

— Mówię poważnie — odrzekł Kim. — Jestem tu z powodu kobiety nazwiskiem Marsha Baldwin.

Dwaj policjanci wymienili spojrzenia.

— Słowo honoru! — zaręczył Kim. — Jest inspektorem z departamentu rolnictwa. Wykonywała tu pewną pracę. Rozmawiałem z nią przez telefon, kiedy ktoś ją zaskoczył. Słyszałem roztrzaskujące się szkło i szamotaninę. Kiedy tutaj przyszedłem, żeby jej pomóc, zostałem zaatakowany przez człowieka z nożem, prawdopodobnie tego samego, który zaatakował Marszę Baldwin.

Nie wyglądało na to, że policjanci mu wierzą.

— Patrzcie, jestem chirurgiem w Uniwersyteckim Centrum Medycznym — powiedział Kim. Pogrzebał w kieszeni swojego poplamionego białego kitla.

Douglas mocniej zacisnął pistolet w dłoni. Kim wydobyl swoją laminowaną kartę identyfikacyjną ze szpitala i podał ją Douglasowi. Douglas pokazał Leroyowi, aby ten ją odebrał.

— Wydaje się autentyczna — stwierdził Leroy, obejrzawszy ją pobieżnie.

— Oczywiście, że jest autentyczna — potwierdził Kim.

— Czy wy, lekarze, daliście sobie spokój z higieną osobistą? — zapytał Douglas.

Kim przesunął ręką po szczeciniastym zaroście i popatrzył na swój brudny kitel. Od piątkowego poranka nie zmieniał rzeczy, nie mył się i nie golił.

— Wiem, że wyglądam na nieco wymęczonego — powiedział. — Później to wyjaśnię. W tej chwili bardziej martwi mnie panna Baldwin i to, gdzie jest ten mężczyzna z nożem.

— Co ty na to, Curt? — Douglas zwrócił się do ochroniarza. — Była tutaj jakaś inspektorka z departamentu albo dziwny, smagły, wytatuowany facet?

— Nic mi o tym nie wiadomo — odezwał się Curt. — Na pewno nie przyszli podczas mojej służby. Siedzę tu od trzeciej po południu.

— Przykro mi, kolego — powiedział do Kima Douglas. — O mało się nie nabrałem. — Następnie dodał, zwracając się do Leroya: — Idź go skuć.

— Zaczekajcie — powiedział Kim. — W innym pomieszczeniu jest krew i obawiam się, że może to być krew panny Baldwin.

— Gdzie? — spytał Douglas.

— Na kracie — odparł Kim. — Mogę wam pokazać.

— To jest rzeźnia — wtrącił się Curt. — Tu wszędzie jest krew.

— Ta wyglądała na świeżą — upierał się Kim.

— Skuj go i pójdziemy to zobaczyć — zdecydował Douglas.

Kim pozwolił skuć sobie ręce za plecami. Potem kazano mu iść na czele środkowym przejściem. Poprowadził tamtych do głównego pomieszczenia. Curt poprosił policjantów, żeby poczekali, aż wyłączy światło i pasy transmisyjne.

— To ten mężczyzna z nożem włączył tę maszynę — odezwał się Kim.

— Pewnie, że on — przytaknął Douglas.

Kim nie próbował się spierać, nie wskazał też plastikowej beczki na odpadki, która potoczyła się pod jeden ze stołów. Był pewien, że krew przekona policjantów, iż mówi prawdę.

Kim zaprowadził ich pod odpowiednią kratę. Gdy Curt oświetlił ją swoją latarką, Kim zobaczył ku swemu rozczarowaniu, że krew zniknęła.

— Była tutaj! — zawołał, kręcąc głową. — Ktoś ją zmył.

— Bez wątplenia człowiek z nożem — stwierdził, chichocząc, Leroy.

— A któż by inny? — dodał wesoło Douglas.

— Zaczekajcie chwilę — powiedział nagle Kim. Był zrozpaczony. Musiał coś zrobić, aby mu uwierzyli. — Telefon! Rozmawiała ze mną przez telefon komórkowy. Jest w archiwum.

— Co za inwencja — stwierdził Douglas. — Muszę przyznać, że masz wyobraźnię. — Spojrzał na Curta. — Myślisz, że moglibyśmy tam zajrzeć? To i tak po drodze.

— Oczywiście — odparł Curt.

Kiedy Curt prowadził Kima i Douglasa do archiwum, Leroy poszedł do wozu patrolowego, żeby skontaktować się z posterunkiem. Na progu archiwum Curt odsunął się na bok i ustąpił miejsca pozostałym. Ledwie weszli, Kim natychmiast upadł na duchu. Krzesła stały równo poustawiane i co najważniejsze, telefon zniknął.

— Był tutaj, przysięgam! — zawołał Kim. — A niektóre krzesła były poprzewracane.

— Nie widziałem żadnego telefonu, kiedy wszedłem sprawdzić, czy to włamanie — odezwał się Curt. — Natomiast krzesła stały tak jak teraz.

— A co z rozbitą szybą w drzwiach? — zapytał podniecony Kim. Ręką wskazywał na frontowy korytarz. — Jestem pewien, że słyszałem, jak ją rozbijano, kiedy rozmawiałem przez telefon z panną Baldwin.

— Pomyślałem, że drzwi zostały uszkodzone w trakcie włamania — zasugerował Curt. — Razem z oknem.

— To niemożliwe — zaprzeczył Kim. — Wybiłem szybę w oknie, ale szyba w drzwiach była już stłuczona, kiedy tu wszedłem. Patrzcie, wszystkie kawałki szkła z drzwi leżą wewnątrz. Ktokolwiek to zrobił, musiał znajdować się na korytarzu.

— Hmm — mruknął Douglas. Popatrzył na kawałki szkła pod drzwiami. — Słuszne spostrzeżenie.

— Jej samochód! — krzyknął Kim, wpadając na inny pomysł. — Ciągle musi stać przed fabryką. To żółty ford sedan. Jest zaparkowany na końcu budynku.

Zanim Douglas zdążył odpowiedzieć na tę nową sugestię, z wozu patrolowego wrócił Leroy. Szeroką twarz rozjaśniał mu krzywy uśmiešek.

— Przed chwilą połączyłem się przez radio z posterunkiem — oznajmił. — Piorunem sprawdzili naszego doktora, i wiesz co? Ma pełną teczkę. Nie dalej jak wczoraj w nocy aresztowano go za naruszenie prywatnej własności, stawianie oporu podczas zatrzymania, uderzenie funkcjonariusza i pobicie szefa restauracji szybkiej obsługi. W tej chwili jest na zwolnieniu za własnym poręczeniem.

— Coś takiego — rzekł Douglas. — Notoryczny przestępca. Okay, doktoru, dosyć tych bzdur. Jedziemy na posterunek.

Rozdział 15

Niedziela przedpołudnie, 25 stycznia

Kim doznał uczucia *déjà vu*. Znowu był w tej samej sali sądowej przed tym samym sędzią. Jedyną istotną różnicą była pogoda na zewnątrz. Tym razem nie świeciło słońce, dzień był pochmurny z przelotnymi opadami śniegu — równie pochmurny jak nastrój sędziego Harfowe’a.

Kima posadzono przy odrapanym stole bibliotecznym obok Tracy. Przed nimi, tuż poniżej sędziowskiej ławy, stał Justin Devereau, prawnik i wieloletni przyjaciel Kima. Z wyglądu przypominał arystokratę, od czasu studiów na Harvardzie kierował się starą maksymą: „Jedź na Zachód, młody człowieku!” Zaczął prowadzić firmę, która wkrótce stała się jedną z największych i najprężniejszych kancelarii adwokackich w mieście. Liczba wygranych przez niego spraw nie miała sobie równych. Lecz tego szczególnego poranka Justin wydawał się zmartwiony. Toczył mozolną bitwę z gniewem sędziego Harfowe’a.

Kim wyglądał jeszcze gorzej niż przedtem, spędziwszy kolejną noc w areszcie w tym samym ubraniu. Nie umył się ani nie ogolił. Wyraźnie też niepokoił się przebiegiem obecnej rozprawy. Ostatnie, czego pragnął, to ponownie wylądować w więzieniu.

Justin odchrząknął.

— Proszę pozwolić mi powtórzyć, że przed tragicznym odejściem jego jedynej córki doktor Kim Reggis był wzorowym obywatelem naszego społeczeństwa.

— Choroba jego córki stała się usprawiedliwieniem dla jego pojawienia się przed tym sądem już w dniu wczorajszym — odparł zniecierpliwiony sędzia Harlowe. — W ciągu jednego weekendu nie lubię oglądać po dwakroć tej samej twarzy, panie obrońco. To obraża mnie jako sędziego, który wypuścił na wolność tego osobnika po pierwszym wykroczeniu.

— Niedawna śmierć córki doktora Reggisa wywołała u niego olbrzymi stres, Wysoki Sądzie — argumentował Justin.

— To oczywiste — odrzekł sędzia Harfowe. — Pytanie brzmi: czy w obecnym stanie umysłu stanowi on zagrożenie dla społeczeństwa?

— Były to karygodne incydenty, które się już więcej nie powtórzą — stwierdził Justin. — Jak Wysoki Sąd słyszał, doktor Reggis wyraża szczerą skruchę za swoje pochopne postępowanie.

Sędzia Harfowe bawił się swoimi okularami. Bacznie wpatrywał się w Kima. Musiał przyznać, że ten wydaje się skruszony. Oraz godny pożałowania. Popatrzył na Tracy. Jej sposób bycia oraz zeznania zrobiły na nim duże wrażenie.

— W porządku — odezwał się sędzia Harfowe. — Przyznaję kaucję, ale przekonuje mnie do tego nie tyle pompatyczny wywód obrony, ile raczej fakt, że była żona doktora Reggisa wspaniałomyślnie zgodziła się stawić przed sądem, aby zaświadczyć o jego charakterze. Moje doświadczenie w sprawach spadkowych pozwala mi sądzić, że jest to przekonujące zeznanie. Pięć tysięcy dolarów kaucji i proces za cztery tygodnie. Następna sprawa!

Sędzia stuknął młotkiem i podniósł kolejną stertę papierów.

— Proszę wybaczyć, Wysoki Sądzie — odezwał się Justin. — Jako że nie zachodzi tu możliwość ucieczki, pięć tysięcy dolarów to niezmiernie wysoka kaucja.

Sędzia zerknął w dół sponad oprawek okularów do czytania.

— Będę udawał, że tego nie dosłyszałem — oznajmił. — I radzę panu nie kusić losu, który już stał się udziałem pańskiego klienta. Następna sprawa, proszę!

Justin wzruszył ramionami i podszedł szybko do Tracy i Kima. Pozbierał swoje rzeczy i gestem kazał im wyjść z sali rozpraw.

Z pomocą Justina kaucja została szybko zapłacona. Niecałe pół godziny później wszyscy troje wyszli z gmachu sądu w posepny, zimowy poranek. Zatrzymali się u stóp schodów. Z nieba spływały pojedyncze płatki śniegu.

— Z początku obawiałem się, że Harfowe nie zgodzi się na kaucję — powiedział Justin. — Miał rację: w sumie ci się poszczęściło.

— W tych okolicznościach trudno mi uważać się za szczęściarza — odrzekł Kim pozbawionym emocji głosem. — Ale dziękuję ci za pomoc. Przepraszam, że musiałem cię wyciągać z domu w niedzielę rano.

— Cieszę się, że mogłem pomóc. I jest mi strasznie przykro z powodu Becky. Współczuję wam obojgu z całego serca.

Kim i Tracy podziękowali.

— No cóż, lepiej już sobie pójdę — oznajmił Justin. Dotknął róna swego kapelusza. — Do zobaczenia. Życzę wam wszystkiego najlepszego w tym trudnym czasie.

Justin cmoknął Tracy w policzek, uścisnął dłoń Kima i zaczął się oddalać. Uszedł ledwie parę kroków, gdy się zatrzymał.

— Jedna rada, Kim. Nie pozwól się znowu aresztować. Jeśli cię zamkną, gwarantuję ci, że już nie dostaniesz kaucji. Przez te ciągłe aresztowania stałeś się przypadkiem szczególnym.

— Rozumiem — odparł Kim. — Będę uważał.

Patrzyli, jak Justin odchodzi. Kiedy znalazł się poza zasięgiem ich głosu, odwrócili się do siebie.

— A teraz chcę, żebyś mi powiedział, co się naprawdę stało — powiedziała Tracy.

— Powiem ci tyle, ile wiem — odparł szczerze Kim. — Ale muszę odzyskać samochód. Czy sprawi ci kłopot podwiezienie mnie do Higgins i Hancock?

— Ależ skąd — odpowiedziała Tracy. — Zamierzałam to właśnie zrobić.

— Porozmawiamy w wozie.

Ruszyli przez ulicę, kierując się w stronę parkingu.

— Przeżywam koszmar — wyznał Kim.

— Tak jak powiedziałam wczoraj, oboje potrzebujemy pomocy i może jesteśmy jedynymi ludźmi, którzy potrafią jej sobie udzielić — rzekła Tracy.

Kim westchnął.

— Pewnie wydaje ci się szalone to, że wpakowałam się po uszy w tę krucznię przeciwko *Escherichia coli*. Nasza córka nie żyje, a ja miotam się i węszę jak jakiś detektyw. — Potrząsnął głową. — Przez te wszystkie lata schlebiałem sobie, że jestem od ciebie silniejszy, ale teraz widzę, że to ty masz wewnętrzną siłę. Wiem, że nie mogę do końca życia negować śmierci Becky, ale teraz nie potrafię się z nią pogodzić. Mam nadzieję, iż rozumiesz, że po prostu nie mogę się z tym uporać.

W samochodzie Tracy przez chwilę milczała. Potem wyciągnęła rękę i położyła ją na kolanie Kima.

— Rozumiem — potwierdziła. — I nie chcę cię ponaglać. Nawet pomogę ci w twoich poszukiwaniach. Ale któregoś dnia będziesz musiał spojrzeć prawdzie w oczy.

Kim skinął głową.

— Wiem — szepnął. — Dziękuję ci.

Podróż minęła szybko. Kim opowiedział Tracy o wszystkim, co zaszło, odkąd Marsha zjawiła się w jego domu, aż do momentu, gdy zatrzymali go policjanci i znalazł się w areszcie. Kiedy opisywał atak mężczyzny z nożem, Tracy była przerażona. Pokazał jej nawet płytką ranę na wierzchu dłoni.

— Jak ten człowiek wyglądał? — zapytała Tracy. Drżała. Groza ataku w ciemnej rzeźni przechodziła jej pojęcie.

— To działo się tak szybko — odparł Kim. — Nie bardzo potrafię go opisać.

— Stary, młody? Wysoki, niski? — Z jakiejś nie wyjaśnionej przyczyny chciała poznać wygląd tego osobnika.

— Ciemny — powiedział Kim. — Śniada cera, czarne włosy. Myślę, że to Meksykanin, na pewno Latynos. Szczupły, ale dobrze umięśniony. Miał dużo tatuaży.

— Dlaczego nie poinformowałeś o tym Justina? — zapytała.

— W jakim celu? — spytał Kim.

— Mógłby coś powiedzieć sędziemu — obstawała przy swoim Tracy.

— Niczego by to nie zmieniło — stwierdził Kim. — W rzeczywistości mogłoby tylko pogorszyć sprawę. To brzmi całkiem niewiarygodnie, a ja chciałem po prostu stamtąd uciec, żeby się zastanowić, co dalej.

— Więc sądzisz, że Marsha Baldwin jest ciągle w rzeźni Higgins i Hancock? — spytała Tracy. — Trzymana tam wbrew swojej woli?

— Lub jeszcze gorzej — potwierdził Kim. — Jeżeli krew, którą odkryłem, była ludzka, Marsha mogła zostać zabita.

— Nie wiem, co powiedzieć — wyznała Tracy.

— Ani ja. Nadal mam nadzieję, że uciekła. Może powinienem odsłuchać automatyczną sekretarkę. Może dzwoniła do mnie.

Tracy wyciągnęła telefon z zestawu samochodowego i podała go Kimowi. On wybrał numer i słuchał. Po kilku minutach odłożył aparat na miejsce.

— I co?

Kim potrząsnął ze smutkiem głową.

— Nic z tego — odparł. — Tylko Ginger.

— Powiedz mi jeszcze raz, ale dokładnie, co słyszałeś, gdy rozmawiałeś z nią ostatnim razem — poprosiła Tracy.

— Słyszałem dźwięk tłukącego się szkła — powtórzył Kim. — Rozległ się zaraz po tym, jak powiedziała, że ktoś jest za drzwiami. Potem słyszałem serię trzasków, które były chyba spowodowane przez przewracane krzesła. Myślę, że ktokolwiek przeszedł przez te drzwi, zaczął ją gonić.

— I powiedziałeś o tym wszystkim policji? — upewniła się Tracy.

— Oczywiście — odparł Kim. — Nie na wiele się to zdało. Zresztą nie mam do nich pretensji. Uznali mnie za jakiegoś wariata. Kiedy próbowałem pokazać im krew, była już zmyta. Kiedy chciałem pokazać im telefon komórkowy, już go nie było. Na parkingu nawet nie było jej samochodu, chociaż stał tam, kiedy przyjechałem.

— Czy mogła zabrać telefon? — spytała Tracy. — A potem odjechać własnym samochodem?

— Mam nadzieję, że tak się, na Boga, stało — odpowiedział Kim. — Nie dopuszczam innej możliwości, czuję się za to odpowiedzialny. To przeze mnie tam pojechała.

— Nie zmuszałeś jej, żeby zrobiła coś, czego nie chciała — zaproponowała Tracy. — Byłam z nią krótki czas, ale mogłam się przekonać, że nie należy do osób, które dają się wodzić za nos. Zapewne miała własny powód.

— Chciałbym dostać w łapy tego strażnika — stwierdził Kim. — Musiał wiedzieć, że Marsha tam jest, a jednak temu zaprzeczył.

— Skoro okłamał policjantów, to tobie z pewnością niczego nie powie — odparła Tracy.

— Tak, ale muszę coś zrobić.

— Czy wiesz coś o niej? — spytała Tracy. — Na przykład gdzie mieszka, skąd pochodzi albo czy ma w pobliżu rodzinę?

— Prawie nic o niej nie wiem — przyznał Kim. — Z wyjątkiem tego, że ma dwadzieścia dziewięć lat i ukończyła szkołę weterynaryjną.

— Szkoda — stwierdziła Tracy. — Byłoby dobrze, gdybyś mógł jednoznacznie ustalić, czy zaginęła, czy nie. Wtedy policja musiałaby cię wysłuchać.

— Właśnie poddałaś mi pewien pomysł — stwierdził Kim. Wyprostował się na siedzeniu. — Co myślisz o tym, żebym pojechał do Kelly Anderson i poprosił ją o pomoc?

— Owszem, to niezły pomysł — przyznała Tracy. — Ale pytanie brzmi, czy się zgodzi?

— Nie sposób się tego dowiedzieć, dopóki jej nie zapytam — stwierdził Kim.

— Sprawiała ci wiele przykrości. Wydaje mi się, że coś ci jest winna.

— O rany, media mogłyby wiele pomóc — mówił Kim. — Nie tylko w sprawie Marshy, ale też w całej sprawie zakażonego mięsa.

— Im więcej o tym myślę, tym bardziej mi się to podoba — zgodziła się Tracy. — Być może będę mogła pomóc ci ją przekonać.

Kim spojrział z uznaniem na swoją byłą żonę. Po goryczy rozvodu i zawziętej walce o przyznanie opieki nad córką zapomniał, jaka jest zycziwa.

— Wiesz, Tracy — odezwał się — jestem ci naprawdę wdzięczny, że przysłałaś do sądu, nie tylko dlatego, że zależało ci, abym wyszedł za kaucją. Jestem wdzięczny, że chcesz być ze mną po tym wszystkim, co się stało.

Tracy spojrzała na Kima. Takie wyznanie nie pasowało do niego, lecz patrząc mu w oczy, wiedziała, że jest ono szczerze.

— Bardzo miło mi to słyszeć — odpowiedziała.

— Mówię poważnie — zapewnił ją.

— Cóż, doceniam twoje słowa. Nie pamiętam już, kiedy ostatnio dziękowałeś mi za coś. Pewnie zanim jeszcze się pobraliśmy.

— Wiem — przyznał Kim. — Masz rację. W areszcie miałem trochę czasu do namysłu i muszę powiedzieć, że wydarzenia ostatnich dwudziestu czterech godzin, a zwłaszcza odejście Becky, otworzyły mi oczy.

— Otworzyły ci oczy na co?

— Na to, co naprawdę się liczy w życiu — odpowiedział Kim. — Przypuszczam, że to brzmi melodramatycznie, ale uświadomiłem sobie, jak wielki błąd popełniłem. Za bardzo skoncentrowałem się na karierze i rywalizacji kosztem rodziny. I nas.

— Jestem pod wrażeniem — przyznała Tracy. To nie było podobne do Kima, z którym się rozwiodła.

— Obawiam się, że w całym swoim dorosłym życiu byłem egoistą — mówił dalej Kim. — Brzmi to nieco ironicznie, zważywszy, że cały czas ukrywałem się pod maską miłosiernego, poświęcającego się lekarza. Jak dziecko potrzebowałem ciągłych pochwał i potwierdzenia, a zawód chirurga świetnie się do tego nadawał. To wszystko mnie smuci i zawstydzia. I każe mi cię przeprosić i żałować, że nie mogę cofnąć tylu zmarnowanych lat.

— Jestem zaskoczona i oszołomiona — wyznała Tracy. — Przyjmuję twoje przeprosiny. I jestem pod wrażeniem twojej przenikliwości.

— Dzięki — odparł zwyczajnie Kim.

Patrzył przez przednią szybę samochodu. Skręcili na boczną drogę i zbliżali się do Higgins i Hancock. Przykryty śniegowym puchem budynek wydawał się cichy i czysty.

— To tutaj?

Kim skinął głową.

— Zaraz będzie wjazd na parking — oznajmił. — Mój samochód powinien stać przed głównym wejściem. Przynajmniej tam go zostawiłem.

Tracy skrzyła w stronę, którą wskazał Kim. Natychmiast zobaczyli stojące samotnie jego auto. Były tam jeszcze dwa inne samochody, ale stały na samym końcu parkingu.

— Samochód Marshy był zaparkowany tam, gdzie tamte dwa — wyjaśnił Kim. — Może tam jest wejście dla pracowników.

Tracy przyhamowała obok samochodu Kima. Zatrzymała się i zaciągnęła hamulec ręczny.

Kim wskazał na zabite teraz deskami okno archiwum, którym przedostał się do budynku.

— Jakie masz plany? — zapytała, kiedy umilkł.

Kim westchnął.

— Muszę jechać do szpitala. Tom zgodził się przejąć moich pacjentów, ale ja też muszę ich obejrzeć. Potem pojedę zobaczyć się z Kelly Anderson. Spróbuję się dowiedzieć, gdzie mieszka.

— Czekają nas ważne decyzje w sprawie Becky — powiedziała Tracy.

Kim skinął głową, ale stał, zapatrzony w dal.

— Wiem, że to trudne — rzekła Tracy. — Ale musimy zająć się organizacją pogrzebu. Być może to pomoże nam przyjąć do wiadomości to, że umarła.

Kim zagryzł dolną wargę.

— Złość i oszukiwanie się składają się na smutek — wyjaśniła Tracy, gdy Kim nie odpowiedział. — Ja również im ulegam, podobnie jak ty, ale mamy obowiązki do spełnienia.

Kim odwrócił się do niej. W kącikach oczu miał łzy.

— Masz rację — przyznał. — Ale jak mówiłem, potrzebuję trochę więcej czasu, by się pozbierać. Czy mógłbym cię prosić, żebyś załatwiła wszystkie formalności sama? Wiem, że proszę o wiele. Oczywiście zgodzę się ze wszystkim, co postanowisz, i rzecz jasna będę na pogrzebie. Chodzi o to, że chciałbym natychmiast zrealizować ten pomysł z Kelly Anderson.

Tracy bębniła palcami w kierownicę, patrząc na Kima i rozważając jego prośbę. W pierwszym odruchu chciała odmówić i powiedzieć, że znowu zachowuje się egoistycznie. Ale potem zaczęła się zastanawiać. Mimo że nie chciała brać wszystkiego na siebie, wiedziała, iż pogrzeb jest znacznie ważniejszy niż jego załatwienie. Zdawała też sobie sprawę, że w tym momencie ona bardziej nadaje się do tego niż Kim.

— Nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeśli wybiorę dzień. I miejsce pogrzebu? — zapytała.

— Skądże. Zgodzę się na wszystko, co postanowisz.

— W porządku — stwierdziła. — Ale musisz mi obiecać, że zadzwonisz natychmiast, jak tylko wrócisz do domu.

— Obiecuję — rzekł Kim. Zanim wysiadł z samochodu wyciągnął rękę i uściśnił jej ramię.

— Zaczekam, aż ruszysz — dodała Tracy.

— Dobry pomysł — rzucił Kim. — Dzięki.

Zamknął drzwi. Pomachał jej ręką i poszedł do swojego auta.

Tracy również mu pomachała i zastanowiła się, czy dobrze robi.

* * *

Kim otworzył drzwi samochodu, ale nie wsiadł do niego od razu. Spojrzał na budynek rzeźni Higgins i Hancock i zadrżał na wspomnienie poprzedniej nocy. Strach, jaki czuł, uciekając przed mężczyzną z nożem, teraz ogarnął go ponownie. Wiedział, że było to przeżycie, którego nigdy nie zapomni.

Już chciał wsiąść do samochodu, ale znów się zawahał. Przez krótką chwilę miał ochotę pomówić ze strażnikiem, aby się dowiedzieć, jak skontaktować się z Curtem, który miał służbę poprzedniej nocy. Natychmiast jednak przypomniał sobie ostrzeżenie Tracy i doszedł do wniosku, że miała słuszość. Jeśli Curt skłamał przed policją na temat obecności Marshy, to z pewnością nie będzie skłonny zdradzić prawdy Kimowi. Już to, że kłamał, oznaczało, że afera ta ma głębszy wymiar, niż mogło się wydawać na pierwszy rzut oka.

Samochód ruszył z łatwością, a Kim pomachał. Odpowiedziała mu tym samym i pierwsza wyjechała z parkingu. Kim trzymał się za nią w pewnej odległości, przebiegając w myślach niedawną rozmowę. Uznał za ironię losu, że straszliwe wydarzenia ostatnich paru dni — śmierć Becky i niedoszły zamach na jego życie — mogły sprawić, iż zbliżył się do Tracy bardziej niż w ciągu wielu lat, może nawet bardziej niż kiedykolwiek.

Ich drogi rozeszły się na autostradzie. Kim nadusił na pożegnanie klakson. Tracy odtrąbiła mu, pędząc w kierunku swego domu. Kim zjechał z autostrady na drogę biegnącą do centrum medycznego.

W niedzielę parking dla lekarzy był niemal pusty, toteż Kim mógł zaparkować blisko głównego wejścia. Wysiadając z samochodu, obiecał sobie, że najpierw pójdzie do szatni dla chirurgów. Chciał się umyć, ogolić i przebrać w zwykłe rzeczy, które zostawił tam w piątek rano.

* * *

Zarówno Martha Trumbull, jak i George Constantine mieli już po siedemdziesiąt lat i oboje byli oddanymi wolontariuszami w Uniwersyteckim Centrum Medycznym wystarczająco długo, żeby zdobyć prestiżową odznakę „Przyjaciele Szpitala”. Martha nosiła ją z dumą na piersi swojego różowego kaftanika, George zaś w klapie błękitnego blezera.

Ulubionym zajęciem Marthy i George’a było przesiadywanie w punkcie informacyjnym znajdującym się w holu szpitala. Najbardziej lubili pracować w niedzielę, kiedy mieli cały punkt dla siebie. W pozostałe dni tygodnia dyżurował tam etatowy pracownik szpitala.

Serio traktowali swoją rolę i znali nie tylko szczegółowy plan szpitala, ale też nazwiska wszystkich członków personelu. Gdy Kim wszedł przez drzwi, idąc do windy, obojgu zdawało się, że go poznają, chociaż nie byli w stu procentach pewni.

Martha zerknęła na George'a.

— Czy to doktor Reggis? — spytała półgłosem.

— Chyba tak — odparł George. — Ale nie mam pojęcia, co on robił w tym białym kitlu, chyba że musiał zmienić oponę.

— Jego zarost wygląda jeszcze gorzej niż kitel — stwierdziła Martha. — Ktoś powinien mu to powiedzieć, przecież sprawia takie sympatyczne wrażenie.

— Zaraz, zaraz — przypomniał sobie George. — Czy nie mieliśmy zadzwonić do doktora Biddle'a, jeśli zobaczymy doktora Reggisa?

— To było wczoraj — odparła Martha. — Myślisz, że to jeszcze aktualne?

— Po co ryzykować? — stwierdził George i sięgnął po telefon.

* * *

Wsiadając na parterze do windy, Kim z ulgą odkrył, że jest pusta, i na piętro chirurgii dojechał sam. Mniej mu się poszczęściło, kiedy przechodził przez pokój chirurgów. Było tam kilka pielęgniarek z bloku operacyjnego i paru dyżurujących anestezjologów, którzy popijali kawę. Mimo że nikt się nie odezwał, całe towarzystwo przyjrzało mu się z zaciekawieniem.

Kim wszedł do szatni dla chirurgów, umykając przed badawczymi spojrzeniami. Ze szczególnym zadowoleniem stwierdził, że szatnia jest pusta, toteż nie tracił czasu. Wyjął z kieszeni swoją kartę identyfikacyjną, kilka papierów i długopisów oraz taśmę chirurgiczną, po czym zdjął płaszcz, fartuch i bieliznę. Wszystko powędrowało do kosza na brudne rzeczy.

Nagusieńki Kim wzdrygnął się na widok własnego odbicia w lustrze. Jego twarz wyglądała o wiele gorzej, niż sobie wyobrażał. Twardy zarost nie był już porannym meszkiem, ale jeszcze nie mógł uchodzić za brodę. Włosy przykleiły mu się do czoła i sterczały z tyłu głowy, co sprawiało wrażenie, jakby przed chwilą wstał z łóżka.

Kim otworzył zamek szyfrowy i wyciągnął z szafki przybory kosmetyczne, po czym szybko się ogolił. Potem wszedł pod prysznic z buteleczką szamponu.

Trzymał głowę pod natryskiem, kiedy wydało mu się, że ktoś zawołał go po imieniu. Wychylił spod strugi wody, ale wciąż miał zamknięte oczy. Nasłuchiwał. Ktoś powtórzył jego imię. Głos był zdecydowanie bardziej rozkazujący niż przyjazny.

Kim splukał z siebie pianę, a potem spojrzął w kierunku drzwi. Znajdował się we wspólnej kabinie z czterema prysznicami. Na wykafelkowanym progu stał doktor Forrester Biddle, ordynator kardiochirurgii, i doktor Robert Rathborn, kierownik personalny. Tworzyli osobliwą parę. W porównaniu z ascetyczną posturą Forreстера, Robert był okazem nienasyconego obżarciucha.

— Doktorze Reggis — powtórzył Robert, gdy był już pewien, że Kim go słyszy. — Jako szef personelu medycznego mam obowiązek powiadomić pana, że pańskie przywileje szpitalne zostały tymczasowo zawieszane.

— To dziwna rozmowa, jeśli zważyć, że jestem pod prysznicem — odezwał się Kim. — A może mieliście, panowie, zamiar przyłapać mnie nago?

— Pańska elokwencja nigdy nie była bardziej nie na miejscu — parsknął Forrester. — Ostrzegalem pana, doktorze Reggis.

— Nie moglibyście poczekać pięć minut? — zapytał Kim.

— Uznaliśmy, że sprawa jest tak poważna, że należy poinformować pana jak najszybciej — wyjaśnił Robert.

— Na jakiej podstawie się mnie zawiesza?

— Idzie o pańskie zachowanie utrudniające resuscytację pana córki — wytłumaczył Robert. — Troje lekarzy i dwie pielęgniarki złożyło na pana oficjalną skargę dotyczącą fizycznego zastraszenia, które uniemożliwiło im wykonywanie obowiązków służbowych.

— Mnie zaś poraziła pańska decyzja o zastosowaniu masażu na otwartym sercu pańskiej córki — oznajmił Forrester. — Moim zdaniem to nie mieści się w ramach profesjonalnego zachowania.

— Ona umierała, Robercie — syknął Kim. — Masaż zewnętrzny nie skutkował. Jej źrenice rozszerzały się.

— Byli przy tym również inni specjaliści — odparł podniosłym tonem Robert.

— Którzy nie kiwnęli palcem! — warknął Kim. — Nie mieli pojęcia, co się, do cholery, dzieje. Ja zresztą również, dopóki nie zobaczyłem jej serca. — Jego głos załamał się i Kim na moment odwrócił wzrok.

— Odbędzie się przesłuchanie — oznajmił Robert. — Rozstrzygnie ono, czy jest pan zagrożeniem dla pacjentów, a nawet dla samego siebie. Będzie miał pan możliwość przedstawić swoją wersję tych nieszczęsnych wypadków. Do tego czasu jednak nie wolno panu uprawiać zawodu lekarza w obrębie tych murów. Jest pan też objęty specjalnym zakazem wykonywania jakichkolwiek operacji.

— No, to bardzo miło z panów strony, że przyszlście do mojego gabinetu podzielić się ze mną tak dobrymi wiadomościami — powiedział Kim.

— Na pana miejscu byłbym nieco skromniejszy — upomniał go Forrester.

— Ja także — dodał Robert. — O tym incydencie, jak i naszych działaniach, zostanie powiadomiona Izba Lekarska. Grozi panu utrata uprawnień lekarskich.

Kim odwrócił się, aby zademonstrować tę część swojego ciała, którą uważał za najważniejszą dla obu swoich gości. Pochylił się i ponownie zabrał się do mycia włosów szamponem.

W świetle dnia bar El Toro wyglądał zupełnie inaczej. Pozbawiony czerwonej poświaty neonowego byka, bez skocznych, dudniących dźwięków hiszpańskiej muzyki, stary budynek wydawał się opuszczony. Jedyнным dowodem, że jest inaczej, były świeżo opróżnione puszki piwa walające się po pustym parkingu.

Patrząc na tę posępną scenerię, Shanahan kręcił z politowaniem głową, podczas gdy jego czarny cherokee sunął między stertami śmieci na parkingu. Deszczowa, mglista pogoda utrudniała orientację, zasnuwając okolicę gęstą mżawką. Shanahan zatrzymał się obok ciężarówki Carlosa, której wygląd harmonizował z otoczeniem.

Carlos wysiadł z auta i podszedł do Shanahana od strony kierowcy. Okno było mocno zaciemnione, tak iż dopóki Shanahan nie opuścił szyby, Carlos widział na nim jedynie swoje odbicie.

Bez powitania i bez wyjaśnień Shanahan wręczył Carlosowi studolarowy banknot.

Carlos spojrział na pieniądze, a potem na Shanahana.

— Co to jest? — powiedział. — Mówiłeś dwie stowy. Zająłem się kobietą, tak jak ustaliliśmy.

— Spaprałeś — odrzekł Shanahan. — To nie była czysta robota. Słyszeliśmy o tym lekarzu. Jego też powinieneś był załatwić. Wiedziałeś, że szuka tej kobiety.

— Próbowałem — odparł Carlos.

— Co to znaczy: próbowałeś? — zapytał szyderczo Shanahan. — Podobno cieszysz się sławą wielkiego nożownika. A facet nie był uzbrojony.

— Nie zdążyłem — tłumaczył Carlos. — Kiedy się włamał, włączył cichy alarm i policja zjawiała się, zanim mogłem go wykończyć. Na szczęście pozbyłem się jej krwi i rzeczy.

— Co zrobiłeś z jej wozem? — zapytał Shanahan.

— Jest w garażu mojego kuzyna — odparł Carlos.

— Weźmiemy go stamtąd — stwierdził Shanahan. — Niech nikt go nie używa. Trzeba go oddać na złom.

— Nikt go nie będzie używał — zapewnił Carlos.

— Co z telefonem?

— Mam go w ciężarówce.

— Dawaj go! — rozkazał Shanahan.

Carlos posłusznie wrócił do ciężarówki. Po minucie znowu był przy oknie Shanahana. Carlos podał mu telefon komórkowy.

Shanahan rzucił go na siedzenie dla pasażera.

— Mam nadzieję, że nie muszę pytać, czy z niego dzwoniłeś.

Carlos uniósł niewinnie swoje ciemne brwi, lecz nie odpowiedział ani słowem.

Shanahan zamknął oczy, przyłożył rękę do czoła i z przerażeniem potrząsnął głową.

— Proszę, powiedz mi, że nie używałaś telefonu — wycedził przez zaciśnięte zęby, chociaż znał już odpowiedź.

Carlos ciągle milczał, więc Shanahan otworzył oczy i wlepił otepiałe spojrzenie we współnika. Usiłował zapanować nad gniewem.

— W porządku, do kogo dzwoniłeś? Nie wiesz, że zidentyfikują cię po tej rozmowie? Jak możesz być tak głupi?

— Dzwoniłem do mojej matki w Meksyku — przyznał Carlos z poczuciem winy.

Shanahan przewrócił oczami i zaczął się martwić, w jaki sposób pozbędzie się Carlosa. Zawsze tak było, że kiedy raz sprawy zaczynały iść źle, szybko wymykały się spod kontroli.

— Ale matka nie ma telefonu — dodał Carlos. — Zadzwoiłem do sklepu, gdzie pracuje moja siostra.

— Jaki to sklep? — zapytał Shanahan.

— Duży — odparł Carlos. — Sprzedaje różne rzeczy.

— Coś jak supermarket? — spytał Shanahan.

— Tak, jak supermarket — potwierdził Carlos.

— Kiedy dzwoniłeś?

— Wczoraj w nocy. W sobotę sklep jest otwarty do późna, a matka zawsze wychodzi po siostrę, żeby przyprowadzić ją do domu.

— Do jakiego miasta dzwoniłeś?

— Mexico City.

Shanahan odetchnął z ulgą. Anonimowy telefon do dużego sklepu w najbardziej zaludnionym mieście świata nie stanowił zbyt dobrego śladu.

— I więcej nie dzwoniłeś? — zapytał Shanahan.

— Nie, człowieku — odpowiedział Carlos. — Tylko jeden raz.

— Pogadajmy teraz o lekarzu — powiedział Shanahan. — Czy wie, co się stało z kobietą?

— Prawdopodobnie — przyznał Carlos. — Widział krew.

— Tak czy inaczej jest niebezpieczny — podsumował Shanahan. — Musi zniknąć. Za wykonanie tej roboty zapłacimy ci drugą stówę plus trzysta dodatkowo. Co ty na to?

— Kiedy? — zapytał Carlos.

— Dziś w nocy — odparł Shanahan. — Znamy jego adres. Mieszka całkiem sam w dzielnicy Balmoral.

— No, nie wiem — zawahał się Carlos. — To duży facet.

— Myślałem, że dla ciebie nie istnieją takie problemy — stwierdził Shanahan.

— Zabicie go nie będzie trudne — wyjaśnił Carlos. — Trudno będzie pozbyć się ciała.

— O to niech cię głowa nie boli — powiedział Shanahan. — Zrób swoje i odejdz. Możesz upozorować rabunek i zabrać jakieś pieniądze i kosztowności. Tylko nie bierz niczego, co mogliby znaleźć.

— No, nie wiem — powtórzył Carlos. — Policja nie lubi Meksykanów jeżdżących po Balmoral. Raz mnie tam zatrzymali.

— Słuchaj, Carlos — zaczął Shanahan. Tracił już cierpliwość. — Nie masz zbyt wielkiego wyboru. Ostatniej nocy nawaliłeś, i tyle. Wiem, że gdybyś chciał, zdążyłbyś zabić tego lekarza. A poza tym nie masz nawet zielonej karty.

Carlos przestąpił z nogi na nogę i zziębnięty potarł przedramiona, żeby je rozgrzać. Nie miał płaszcza, nadal miał na sobie skórzaną kamizelkę bez koszulki.

— Jaki to adres? — zapytał z rezygnacją.

— No, trzeba było tak od razu — stwierdził Shanahan i podał mu wizytówkę.

* * *

Lekceważąc decyzję o zawieszeniu uprawnień lekarskich, którą obwieścił mu Robert Rathborn, Kim zrobił obchód i zajrzał do wszystkich swoich pacjentów. Najwięcej czasu poświęcił leżącym na sali pooperacyjnej. Tom Bridges, tak jak obiecał, zaopiekował się jego pacjentami. Kim był zadowolony, że wszyscy czują się dobrze i nie wystąpiły żadne komplikacje. Kiedy opuszczał szpital, było już po południu.

Kim najpierw chciał zadzwonić do Kelly Anderson i umówić się na spotkanie, ale potem postanowił, że lepiej będzie od razu tam pojechać. Po pierwsze nie znał jej numeru telefonu, a po drugie wytłumaczył sobie, że numer i tak z pewnością jest zastrzeżony.

Kelly Anderson mieszkała w domu w stylu farmerskim, położonym w dzielnicy Christie Heights. Lokalizacja nie była może tak luksusowa jak Balmoral, ale niewiele jej ustępowała. Kim zatrzymał samochód, wyjął kluczyki ze stacyjki i omiół dom wzrokiem. Przez chwilę zbierał się na odwagę. Spotkanie z Kelly Anderson równało się dla niego konszachtowaniu z samym diabłem, a raczej diabolicą. Czuł, że jej potrzebuje, ale ani trochę bardziej jej przez to nie lubił.

Pomaszerował do drzwi wejściowych; uzmysłowił sobie, że być może w ogóle nie uda mu się przekroczyć progu.

Drzwi otworzyła Caroline, nad wiek rozwinięta córka Kelly. Przez chwilę Kim nie mógł wydobyć z siebie głosu. Dziecko przywołało w jego pamięci obraz Becky leżącej na oddziale intensywnej terapii.

Z wnętrza domu doszedł Kima głos mężczyzny pytający Caroline, kto przyszedł.

— Nie wiem! — odskrzyknęła Caroline przez ramię. — Nic nie mówi!

— Jestem doktor Kim Reggis — wykrztusił Kim.

Za Caroline pojawił się jej ojciec, Edgar Anderson. W okularach w ciężkich, czarnych oprawkach wyglądał na naukowca. Nosił za duży wełniany sweter z łatami na łokciach. Z kącika ust zwisała mu fajka.

— Słucham pana? — zapytał Edgar.

Kim ponownie się przedstawił i spytał, czy może mówić z Kelly Anderson.

Edgar odparł, że jest mężem Kelly, i zaprosił Kima do środka. Powiodł go do salonu, który wyglądał tak, jakby nigdy z niego nie korzystano.

— Powiem jej, że pan przyszedł — odezwał się Edgar. — Proszę usiąść. Może coś panu podać? Kawy?

— Nie, dziękuję — odparł Kim. Czuł się skrępowany, jakby był chodzącym po domach żebrakiem. Usiadł na nieskalanej czystej kanapie.

Edgar zniknął, ale Caroline została i gapiła się na Kima zza oparcia fotela. Kim nie mógł spoglądać na nią bez wspomnienia o Becky.

Odczuł ulgę, gdy do pokoju weszła Kelly. Zerwał się na nogi.

— Coś podobnego — zdumiała się. — Ciekawostka. Lis poluje na psa gończego. Proszę, niech pan siada! — Kelly usadowiła się w fotelu. — I czemuż to zawdzięczam ten nieoczekiwany zaszczyt? — dodała.

— Czy możemy porozmawiać w cztery oczy? — zapytał Kim.

Kelly, zachowując się, jakby nie wiedziała o obecności Caroline, kazała córce znaleźć sobie jakieś zajęcie.

Gdy tylko Caroline wyszła, Kim zaczął mówić o śmierci Becky. Kelly natychmiast przestała zachowywać się z wyższością. Widać było, że jest głęboko poruszona.

Kim opowiedział jej całą historię, łącznie ze szczegółami rozmów, które odbył z Kathleen Morgan i Marshą Baldwin. Opowiedział o wizycie i aresztowaniu w restauracji Onion Ring. Opowiedział jej nawet o koszmarnym epizodzie w Higgins i Hancock, który skończył się drugim aresztowaniem.

Kiedy zamilkł, Kelly odetchnęła i rozparła się w fotelu. Potrząsnęła głową.

— Co za historia — powiedziała. — I jaka tragedia dla pana. Domyślam się, że chce pan, abym coś zrobiła.

— Oczywiście. Chcę, żeby pani zrobiła o tym program. To coś, o czym ludzie powinni się dowiedzieć. Chcę też nagłośnić sprawę Marshy Baldwin. Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej jestem przekonany, że to jakaś konspiracja. Jeśli ona żyje, to im szybciej zostanie odnaleziona, tym lepiej.

Kelly przygryzała wewnętrzną stronę policzka, namyślając się nad prośbą Kima. W tej historii były pewne intrygujące elementy, ale też i spore problemy. Po paru chwilach Kelly potrząsnęła przecząco głową.

— Dziękuję, że pan przyszedł i opowiedział mi o tym, lecz z zawodowego punktu widzenia nie jestem zainteresowana, przynajmniej na razie.

Kim pobałdł. Kiedy opowiadał tę historię, coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że ma ona swoje mocne strony, toteż nagła odmowa Kelly była niemiłą niespodzianką.

— Może pani wyjaśnić dlaczego?

— Pewnie. Chociaż współczuję panu z powodu tragicznej śmierci pańskiej utalentowanej córki, nie jest to taki typ dziennikarstwa telewizyjnego, jaki z reguły uprawiam. Mnie interesują trudne historie, które odbijają się szerokim echem, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

— Ale ta historia odbije się szerokim echem — stwierdził smutno Kim. — Becky umarła z powodu bakterii *Escherichia coli* 0157:H7. To staje się problemem ogólnoswiatowym.

— Zgoda — przyznała Kelly. — Ale to tylko jeden przypadek.

— O to chodzi — ożywił się Kim. — Jeden przypadek jak dotąd. Jestem przekonany, że zaraziła się w restauracji Onion Ring przy autostradzie Prairie. Obawiam się, aby to nie był przypadek pokazowy czegoś, co może przerodzić się w wielką epidemię.

— Póki co, epidemii nie ma — odrzekła Kelly. — Sam pan powiedział, że córka zachorowała ponad tydzień temu. Jeśli miałyby nastąpić epidemia, powinno być już więcej przypadków, a ich nie ma.

— Ale będą — zapewnił ją Kim. — Jestem o tym przekonany.

— Wspaniale — odparła Kelly. — Kiedy się pojawiają, zrobię o nich program. Jeden odosobniony przypadek to stanowczo za mało. Niestety, inaczej nie potrafię tego wyrazić.

— Każdego roku ta bakteria zabija setki dzieci — zauważył Kim. — Ludzie nie mają o tym pojęcia.

— Być może — przyznała Kelly. — Ale te setki przypadków nie są ze sobą związane.

— Ależ są — zaoponował zirytowany Kim. — Prawie wszystkie spowodowało spożycie mielonej wołowiny. Przemysł mięsny, który produkuje hamburgery, stanowi zagrożenie dla każdego, kto je mieloną wołowinę. To jest fakt, który należy przedstawić opinii publicznej.

— Hej, czyżby spadł pan z księżycy? — zapytała Kelly z nie mniejszą irytacją. — Ten fakt został już dawno przedstawiony. Nie słyszał pan o aferze w Hudson Meat? O tej bakterii od miesięcy mówi się w wiadomościach.

— Mówi się, ale media źle o tym informują — stwierdził Kim.

— Och, naprawdę? — spytała złośliwie Kelly. — Jak przypuszczam, jest pan nie tylko kardiochirurgiem, ale również ekspertem od mediów?

— Nie twierdzę, że jestem. Wiem tylko, że sposób, w jaki ukazuje się w mediach tę sprawę, stworzył dwa istotne, fałszywe wrażenia: po pierwsze, że obecność *Escherichia coli* w mielonym mięsie jest czymś wyjątkowym, i po drugie, że departament rolnictwa, dokonując inspekcji mięsa, gwarantuje jego bezpieczeństwo. Obie te informacje są fałszywe, o czym świadczy śmierć blisko pięciuset dzieci rocznie.

— Uwaga! — zawołała Kelly. — Wstępuje pan na bardzo cienki lód. Stawia pan dwa poważne oskarżenia. Co pan ma na ich poparcie? Jakimi dowodami pan dysponuje?

— Śmiercią mojej córki — odparł z nie ukrywanym gniewem Kim. — Oraz raportami Centrum Kontroli Chorób na temat innych zgonów.

— Mówię o oskarżeniu, że *Escherichia coli* występuje w mięsie częściej, niż się sądzi, i że departament niewłaściwie kontroluje mięso.

— W tej chwili nie mam konkretnych dowodów — przyznał Kim. — Spodziewałem się, że to pani je znajdzie, przygotowując materiał do programu. Ale gdyby to nie była prawda, nie umierałoby aż tyle dzieci. Wszystko to była gotowa potwierdzić Marsha Baldwin.

— Ach tak, oczywiście — rzekła powątpiewająco Kelly. — Jak mogłam zapomnieć? Tajemnicza pani inspektor z departamentu, która, jak pan stwierdził, zaginęła niespełna dwadzieścia cztery godziny temu. I która, pańskim zdaniem, została unieszkodliwiona.

— Tak jest — potwierdził Kim. — Musieli ją uciszyć.

Kelly przekrzywiła głowę na bok. Nie była w stu procentach pewna, czy nie powinna się obawiać Kima, zważywszy, że już dwukrotnie go aresztowano. Wyczuwała, że śmierć córki rozstroiła go nerwowo. Sprawiał wrażenie, że cierpi na paranoję. Kelly chciała, aby opuścił jej dom.

— Niech mi pan powie jeszcze raz — poprosiła. — Powody, dla których uważa pan, że Marsha Baldwin zagineła, to przerwana rozmowa telefoniczna, a następnie krew, którą znalazł pan w rzeźni?

— Tak jest — powtórzył Kim.

— I powiedział pan o tym policjantom, którzy pana aresztowali? — upewniła się Kelly.

— Oczywiście. Ale mi nie uwierzyli.

— Nie dziwię się — mruknęła do siebie Kelly. Nagle wstała z fotela. — Przepraszam, doktorze Reggis — odezwała się głośno. — Obawiam się, że gonimy w piętękę. Opieramy się na pogłoskach i wiadomościach z drugiej ręki, które donikąd nas nie prowadzą. Chciałabym panu pomóc, ale w tym momencie nie mogę, przynajmniej do czasu, aż zdobędzie pan jakiś namacalny dowód, coś, na czym można by zbudować program.

Kim ciężko podniósł się z kanapy. Czuł powracającą falę złości, ale zwalczył ją w sobie. Chociaż nie zgadzał się z Kelly, musiał przyznać, że ją rozumie, a uświadomienie sobie tego jeszcze bardziej zwiększyło jego determinację.

— W porządku — rzekł stanowczo Kim. — Wrócę, kiedy będę miał coś konkretnego.

— Proszę bardzo. A wtedy ja zrobię program.

— Trzymam panią za słowo.

— Nigdy go nie łamię — oznajmiła Kelly. — Oczywiście, decyzja, czy dowody są wystarczające, będzie należeć do mnie.

— Postaram się, aby były jednoznaczne — dodał Kim.

Wyszedł z domu i szybkim krokiem skierował się do samochodu zaparkowanego przy krawężniku. Spieszył się nie z powodu deszczu, choć ten wzmógł się, gdy Kim był u Andersonów. Spieszył się, gdyż wiedział już, co zrobi, by dostarczyć Kelly satysfakcjonującego dowodu. To nie było łatwe, ale Kim nie dbał o własne bezpieczeństwo. Był człowiekiem owładniętym poczuciem misji.

Zawrócił i przydusił pedał gazu. Nie zauważył Kelly stojącej w drzwiach domu i po raz ostatni potrząsającej głową.

Kiedy wjechał na autostradę, wystukał na telefonie komórkowym numer do Tracy.

— Tracy — rzucił natychmiast, gdy się odezwała. — Spotkajmy się w centrum handlowym.

W słuchawce panowała martwa cisza. Kim najpierw pomyślał, że połączenie zostało przerwane, i już miał je ponowić, gdy usłyszał głos Tracy:

— Zrobiłam, jak powiedziałeś. Załatwiłam formalności pogrzebowe.

Kim westchnął. Chwilami całkiem zapominał o Becky. Dziękował Bogu za Tracy. Była taka silna. Bez niej nie potrafiłby stawić czoła tej tragedii.

— Dziękuję ci — powiedział w końcu. Trudno było mu znaleźć właściwe słowa. — Jestem ci wdzięczny, że robisz to sama.

— Odbędzie się w domu pogrzebowym Sullivana przy River Street — wyjaśniła Tracy. — We wtorek.

— Dobrze — odrzekł Kim. Wciąż nie mógł się zmusić, by myśleć o tym zbyt długo. — Chciałbym się z tobą spotkać w centrum.

— Nie chcesz usłyszeć pozostałych szczegółów?

— W tej chwili spotkanie w centrum jest dla mnie ważniejsze — rzekł Kim. Miał nadzieję, że nie zabrzmiało to zbyt chłodno. — Następnie chciałbym cię prosić, abys wróciła ze mną do naszego starego domu.

— Czy spotkanie w centrum jest dla ciebie ważniejsze niż pogrzeb naszej córki? — spytała ze złością Tracy.

— Zaufaj mi — odparł Kim. — Opowiesz mi o szczegółach, kiedy się zobaczymy.

— Kim, co się dzieje? — zapytała Tracy. Wyczuwała w jego głosie niecierpliwą ekscytację.

— Wyjaśnię ci później.

— W centrum, ale gdzie? — spytała zrezygnowana Tracy. — To duży kompleks.

— W Connolly Drugs — powiedział Kim. — W aptece.

— Kiedy?

— Właśnie tam jadę. Bądź tak szybko, jak możesz.

— Nie będę przedzej niż za pół godziny — powiedziała Tracy. — Wiesz, że zamykają o osiemnastej?

— Wiem — potwierdził Kim. — Mamy jeszcze dużo czasu.

Tracy odłożyła słuchawkę. Zastanowiła się, czy pozwalając Kimowi uniknąć przygotowań do pogrzebu, nie krzywdzi go, zamiast mu pomóc. Nie miała jednak zbyt wiele czasu, żeby to roztrząsać.

Pomimo przykrych wspomnień dotyczących rozwodu myślenie o Kimie obudziło w niej matczyne instynkt. Tracy przyłapała się na tym, że zastanawia się, kiedy on ostatnio zjadł posiłek. Choć sama nie była głodna, uznała, że byłoby lepiej, gdyby oboje coś zjedli. Zanim udała się do centrum, wrzuciła do torby coś do jedzenia. Po drodze postanowiła wymóc na Kimie udział w ostatnich formalnościach związanych z pogrzebem Becky. Doszła do wniosku, że tak będzie najlepiej dla nich obojga.

Ponieważ było zimne, deszczowe, niedzielne popołudnie i drogi świeciły pustkami, Tracy dotarła do Sterling szybciej, niż przewidywała. Nawet parking był względnie pusty. Po raz pierwszy udało jej się zająć miejsce o parę kroków od głównego wejścia.

W centrum handlowym było jednak bardziej tłoczno, niż się spodziewała po liczbie samochodów na parkingu. Tuż za wejściem naparła na nią grupa emerytów nieustraszenie torująca sobie drogę przez tłum. Żeby jej nie stratowano, Tracy musiała uskoczyć do jednego ze sklepów. Idąc dalej, odwracała wzrok od lodowiska. Obawiała się, że obudzi w niej niedawne wspomnienia.

Apteka Connolly Drugs była jak zawsze wypełniona ludźmi, zwłaszcza przy okienku realizacji recept, gdzie czekało ponad dwadzieścia osób. Tracy szybko obeszała cały sklep, ale nigdzie nie zauważyła Kima. Przechadzając się wolniej, dostrzegła go w dziale artykułów do pielęgnacji włosów. Niósł pudełko z nożyczkami i torbę jednego z najmodniejszych sklepów z odzieżą.

— Ach, Tracy — odezwał się. — Jesteś na czas. Chciałbym, żebyś pomogła mi wybrać farbę do włosów. Postanowiłem zostać blondynem.

Uniosła dłonie do ust i zdezorientowana spojrzała na byłego męża.

— Dobrze się czujesz? — spytała.

— Tak, świetnie — zapewnił Kim. Był zajęty oglądaniem ogromnej oferty produktów do włosów.

— Co masz na myśli, mówiąc, że zostajesz blondynem?

— Dokładnie to, co mówię — stwierdził Kim. — I nie żadnym świńskim blondynem, ale takim z prawdziwego zdarzenia.

— Kim, to szaleństwo — powiedziała Tracy. — Chyba zdajesz sobie z tego sprawę. A jeśli nie, tym bardziej mi ciebie żal.

— Niepotrzebnie. Nie pomieszało mi się w głowie, jeśli o to się martwisz. Chcę się po prostu zakamuflować. Zostaję szpiclem.

Tracy wyciągnęła rękę i złapała go uspokajająco za ramię. Pochyliwszy się, przyjrzała się nagle jego uchu.

— Co to jest? — zapytała. — Nosisz kolczyk!

— Cieszę się, że zauważyłaś. Miałem trochę czasu, zanim tu przyszedłem, więc sprawiłem go sobie. Pomyślałem, że to zupełnie nie w moim stylu. Kupiłem też skórzane ubranie. — Podniósł torbę z zakupami.

— A po co ci nożyczki?

— Dla ciebie, żebyś mnie ostrzygła — wyjaśnił Kim.

— Nigdy nikogo nie strzygłam — powiedziała Tracy. — Wiesz o tym.

— Nie szkodzi — odparł z uśmiechem Kim. — Chcę wyglądać jak skinhead.

— Dziwaczny pomysł — pożałowała się Tracy.

— Im dziwniej, tym lepiej — stwierdził Kim. — Nie chcę, żeby mnie rozpoznano.

— Dlaczego?

— Ponieważ byłem u Kelly Anderson — odparł Kim. — I odmówiła nam swoich dziennikarskich usług, dopóki nie dostarczę jej niezbitych dowodów.

— Jakich dowodów?

— Na poparcie oskarżeń, które Kathleen Morgan i Marsha Baldwin wygłosiły pod adresem przemysłu mięsnego i departamentu rolnictwa.

— I to przebranie ma ci w tym pomóc?

— Pomoże mi dostać pracę — wytłumaczył Kim. — Marsha Baldwin powiedziała mi, że rzeźnie nie lubią gości, ale zasugerowała, że mógłbym znaleźć pracę w Higgins i Hancock. Zwłaszcza gdybym był nielegalnym imigranem. Nie chcę przez to powiedzieć, że staram się wyglądać jak nielegalny imigrant, ale powiedzmy jak osobnik z marginesu społecznego, który potrzebuje trochę grosza.

— Ja chyba śnię — odparła Tracy. — To znaczy, że chcesz pójść do Higgins i Hancock i zatrudnić się u nich po tym, jak próbowano cię tam zabić?

— Mam nadzieję, że kadrowy i człowiek z nożem to dwie różne osoby — stwierdził Kim.

— Kim, to nie jest zabawne. Nie podoba mi się ten pomysł, szczególnie jeśli twoje obawy dotyczące Marshy są uzasadnione.

— Może być niewesoło, jeśli mnie rozpoznają — zgodził się Kim. — Dlatego chcę, żeby przebranie było bez zarzutu. Marsha twierdziła, że rzeźnia wciąż potrzebuje pracowników, bo tak duża jest ich rotacja. Liczę więc na to, że nie będą zbyt wybredni.

— Ani trochę mi się to nie podoba — powtórzyła Tracy. — Uważam, że to zbyt ryzykowne. Musi być lepszy sposób. A może ja powinnam porozmawiać z Kelly Anderson?

— Ona nie zmieni zdania — stwierdził Kim. — Nie pozostawiła co do tego cienia wątpliwości. Muszę się dostać do Higgins i Hancock, bez względu na ryzyko. Zresztą nawet jeżeli wiąże się z tym niebezpieczeństwo, warto je podjąć przez wzgląd na Becky. Dla mnie to jedyny sposób, aby nadać jej śmierci jakikolwiek sens. — Poczul, jak do oczu napływają mu łzy. — Poza tym — dodał z trudem — mam teraz czas, bo jestem bezrobotny. Szpital zafundował mi przymusowy urlop.

— Z powodu tego, co zaszło na oddziale intensywnej opieki?

— Uhm — przytaknął Kim. — Najwyraźniej jesteś jedyną osobą, która uznała mój czyn za odważny.

— Bo to był akt odwagi — potwierdziła stanowczym tonem Tracy.

Była pod wrażeniem zmiany, jaka się dokonała w Kimie. Naprawdę chciał coś zrobić dla Becky i był gotów w tym celu ryzykować swoją karierę i reputację. Tracy nie mogła powątpiewać w uczciwość jego motywów i celów. Bez słowa odwróciła się w stronę rzędów półek i ruszyła wzdłuż nich, aż w końcu znalazła najlepszy specyfik do rozjaśniania włosów.

* * *

Carlos zaczekał, aż zapadnie zmierzch, nim pojechał swoją sfatygowaną półciązarówką do dzielnicy Balmoral. Odpowiadało mu to, że ulice są ciemne. Jedyne światła świeciły się na rogach ulic, nad znakami drogowymi. Po przestudiowaniu mapy odnalezienie Edinburgh Lane, a potem domu Kima nie trwało zbyt długo.

Carlos wyłączył jedyne sprawne reflektory i zatrzymał się w cieniu drzew rosnących z obu stron ulicy. Wygasił silnik i czekał. Z miejsca, gdzie parkował, widział sylwetę domu Kima

rysującą się na tle ciemniejącego nieba. Carlos był zadowolony. W domu nie świeciły się światła, co wskazywało na to, że Kim jeszcze nie wrócił. Carlos mógł ponownie wykorzystać element zaskoczenia, ale tym razem uczyni to skuteczniej. Kim będzie zupełnie bezbronny.

Carlos odczekał dwadzieścia minut, zanim poczuł się na tyle pewnie, żeby wysiąść. Usłyszał ujadanie psa i zamarł. Pies znowu zaszczekał, ale odgłos wyraźnie się oddalał. Carlos odechnął. Spod siedzenia w ciężarówce wyjął jeden z długich noży używanych do uboju zwierząt. Wsunął go pod płaszcz.

Obszedłszy swoją starą toyotę, Carlos wszedł między drzewa oddzielające dom Kima od sąsiedniego. W czarnym skórzanym płaszczu i ciemnych spodniach był prawie niewidzialny, kiedy cicho skradał się przez gęstwiny krzaków.

Carlos ucieszył się, gdy odsłonił się przed nim widok na tyły domu. Podobnie jak od frontu, w żadnym oknie nie paliło się światło. Teraz był już pewien, że dom jest pusty.

Zgarbiony wybiegł spod osłony drzew, przemknął przez podwórze i przywarł płasko do tylnej ściany domu. Raz jeszcze odczekał chwilę, aby się upewnić, że jego obecność nie została wykryta. Wokół panowała śmiertelna cisza. Nie było słychać nawet szczekającego wcześniej psa.

Skryty w cieniu domu, Carlos zbliżył się do drzwi z siatką. W skąpym świetle błysnęło ostrze noża, gdy wycinał w siatce otwór — na tyle długi, żeby wślizgnąć się do środka. Włamania były prawdziwą specjalnością Carlosa, talent do zabijania zrodził się u niego z konieczności.

* * *

Kim zjechał z głównej drogi i minął bramę wyznaczającą granicę osiedla Balmoral. Rzucił okiem we wsteczne lusterko, aby zobaczyć, czy Tracy jedzie za nim. Cieszył się, że zgodziła się ostrzyć mu włosy, a jeszcze bardziej z jej towarzystwa. Cieszył się również, kiedy zaproponowała, że przygotuje coś do jedzenia. Kim nie pamiętał już, kiedy ostatnio coś jadł, przypuszczał jednak, że było to w czwartek wieczorem.

Zatrzymał auto przed garażem i pozbierał torby z zakupami. Kiedy wyszedł na spotkanie z Tracy, ta wysiadła właśnie z samochodu. Deszcz rozpadał się na dobre. Kim i Tracy, pogrążeni w kompletnych ciemnościach, kluczyli między czarnymi kałużami, które utworzyły się na ścieżce prowadzącej do domu.

Kiedy weszli na ganek, Tracy zaproponowała, że potrzyma pakunki, aby Kim mógł wyciągnąć klucze.

— Nie ma potrzeby — odparł Kim. — Drzwi nie są zamknięte.

— To niezbyt mądre — stwierdziła Tracy.

— Dlaczego? W domu nie ma zbyt wiele do wyniesienia, a łatwiej jest wejść pośrednikowi od nieruchomości.

— Chyba tak — potwierdziła Tracy bez przekonania. Otworzyła drzwi i weszli do przedpokoju.

Zdjęli płaszcze i starli z czoła krople deszczu. Zakupy zanieśli do kuchni.

— Coś ci powiem — odezwała się Tracy, stawiając na blacie torbę z jedzeniem. — Jestem szczęśliwa, że mogę ci pomóc, ale najpierw chciałabym wziąć prysznic i trochę się rozgrzać. Nie będzie ci to przeszkadzać?

— Przeszkadzać? — zdziwił się Kim. — Wcale. Czuj się jak u siebie.

— Z przykrością muszę się przyznać — dodała Tracy — że prysznic jest jedyną rzeczą w tym domu, za którą tęsknię.

— Całkowicie cię rozumiem — odrzekł Kim. — To jedyna rzecz, którą sami zbudowaliśmy. W szafce z ręcznikami jest szlafrok, gdybyś go chciała. Oczywiście są też twoje rzeczy, ale przenieśliśmy je do wnęki w korytarzu.

— Nie martw się, coś znajdę — powiedziała Tracy.

— Ja wykapałem się w szpitalu — dodał Kim. — Zaraz rozpalę w kominku. Może dzięki temu ten pusty dom stanie się mniej przygnębiający.

Tracy poszła na górę, a Kim wyjął latarkę z kuchennej szuflady i zszedł do sutereny, gdzie leżało drewno na opał. Włączył światło, ale pojedyncza żarówka nigdy nie oświetlała wielkiego, zagraconego pomieszczenia jak należy.

Kim nie czuł się tu dobrze, a to z powodu pewnego urazu z dzieciństwa. Kiedy miał sześć lat, starszy brat zamknął go w nie używanym schowku na wino, po czym całkiem o nim zapomniał. Przez szczelnie odgradzone drzwi nikt nie usłyszał histerycznego płaczu Kima ani jego wściekłego łomotu. Dopiero gdy matka zaniepokoiła się, że nie przyszedł na obiad, brat przypomniał sobie, gdzie go zostawił.

Ilekoć Kim schodził do sutereny, zawsze ogarniał go ten sam strach, jaki czuł trzydzieści osiem lat temu. Toteż kiedy zbierając drewno do kominka, usłyszał stuknięcie w przyległej spiżarni, wszystkie włosy stanęły mu dęba. Zamarł i nasłuchiwał. Znowu usłyszał szmer.

Przewyciężając w sobie chęć, by rzucić się do ucieczki, Kim położył drewno na ziemi. Wziął latarkę i podszedł do drzwi spiżarni. Zmusił się do otwarcia ich nogą i zaświecił latarką do środka. W tej samej chwili spojrzało na niego z pół tuzina maleńkich, rubinowych punkciók światła, które natychmiast się rozpierzchnęły.

Kim odetchnął z ulgą. Wrócił do stosu drewna i na nowo zaczął je zbierać.

* * *

Tracy wspinała się po schodach z uczuciem nostalgii. Dawno już nie była na pierwszym piętrze tego domu. Przystanęła przed drzwiami pokoju Becky i zastanawiała się, czy odważy się tam wejść. W końcu uchyliła je i stanęła na progu.

Pokój Becky nie zmienił się. Kiedy obojgu rodzicom przyznano równe prawo do opieki, Tracy kupiła córce nowe meble, a stare zostawiła w domu Kima. Becky jednak wolała zostawić wszystkie swoje dziecięce zabawki w starym pokoju. Nie zabrała nawet swojej kolekcji wypchanych gałgankami zwierzątek.

Myśl, że Becky odeszła, nadal przekraczała zdolności pojmwania Tracy. Córka była całym jej życiem, szczególnie odkąd rozpadł się związek z Kimem.

Tracy głęboko odetchnęła i delikatnie zamknęła drzwi. Idąc w kierunku łazienki, otarła łzy z oczu. Wiedziała z doświadczenia, jak trudne będą dla niej i Kima najbliższe miesiące.

Weszła do głównej łazienki prosto z korytarza, zamiast iść dookoła przez sypialnię. Włączyła światło i zamknęła za sobą drzwi. Zlustrowała wnętrze łazienki. Nie było tu już tak czysto jak wtedy, gdy mieszkała w tym domu, choć granitowa półka i marmurowe kafle nadal robiły wrażenie.

Tracy wślizgnęła się do kabiny i odkręciła wodę, ustawiając prysznic w taki sposób, aby tryskał pulsującymi strugami. Następnie otworzyła obszerną wnękę i wyciągnęła stamtąd wielki ręcznik kąpielowy oraz włochaty szlafrok. Położyła je na półce i zaczęła ściągać swoje przemoczone rzeczy.

* * *

Carlos usłyszał prysznic i uśmiechnął się. Ta robota miała się okazać łatwiejsza, niż przypuszczał. Stał w szafie w głównej sypialni i czekał, aż nieświadomy niczego Kim otworzy drzwi. Ale słysząc odkręcony prysznic, Carlos pomyślał, że lepiej będzie osaczyć doktorka w ograniczonej przestrzeni łazienki. Ucieczka z niej będzie niemożliwa.

Rozsunął drzwi szafy — jego twarz przecięło wąskie pasemko białego światła. Wyjrzał na zewnątrz. W sypialni było niemal całkiem ciemno, jedyne światło dochodziło z łazienki. Carlos ucieszył się. Znaczyło to, że nie musi się martwić, iż zostanie zauważony, kiedy będzie podchodził do drzwi. Mógł działać tak, jak lubił — przez zaskoczenie.

Trzymając nóż w prawej ręce, wyszedł z szafy. Skradając się jak kot, posuwał się wolno do przodu. Przez otwarte drzwi łączące oba pomieszczenia widział coraz większy fragment łazienki. Zobaczył, jak czyjaś dłoń rzuca rzeczy na półkę. Uczynił jeszcze jeden krok i zamarł. To nie był Kim. Była to bardzo zgrabna, pociągająca kobieta, która właśnie rozpinęła stanik. Po chwili ukazały się jej delikatne, białe piersi. Kobieta wsunęła kciuki pod gumkę majtek i zdjęła je.

Carlos był oszołomiony tym niespodziewanym, lecz przyjemnym spektaklem. Tracy odwróciła się do niego plecami i wstąpiła w rozedrganą mgielkę wydobywającą się z wylotu prysznicca. Zamknęła za sobą pokryte zaciekami szklane drzwi i przerzuciła ręcznik przez poręcz z tyłu kabiny.

Carlos ruszył przed siebie, jakby wabiła go syrena. Chciał zobaczyć więcej.

* * *

Tracy włożyła rękę pod strumień pary, po czym cofnęła ją. Tak jak się spodziewała, woda była zbyt gorąca. Zamierzała tak ustawić prysznic, aby wziąć kąpiel parową w umiarkowanej temperaturze. Sięgnęła i przekręciła pokrętło. Czekając, aż temperatura opadnie, spojrzała na podstawkę pod mydło i zauważyła, że jest pusta. Kostka mydła leżała na umywalce.

Tracy otworzyła szklane drzwi, aby wziąć mydło, gdy naraz jej uwagę przykuł jakiś błysk. Spojrzała w stronę sypialni. Z początku sądziła, że jej się przywidziało, i zamrugała oczami. W strumieniu światła sączącego się z łazienki widziała upiorny zarys mężczyzny w czerni. Błysk pochodził od ostrza olbrzymiego noża, który trzymał w prawej ręce.

Przez chwilę wpatrywali się w siebie — Tracy z najwyższym przerażeniem, Carlos z lubieżną ciekawością.

Pierwsza zareagowała Tracy. Wrzasnęła przeraźliwie i zatrzasnęła drzwi kabiny. Potem wyrwała poręcz na ręczniki i przełożyła ją przez uchwyt w ciężkich szklanych drzwiach, tak iż nie można było ich otworzyć.

Carlos wskoczył do łazienki. Chciał dopaść kobietę, zanim jej krzyk sprowadzi Kima. Przerzuciwszy nóż do lewej ręki, chwycił za uchwyt drzwi i szarpnął. Sfrustrowany, zaparł się jedną nogą, aby ciągnąć z większą siłą. Lekka poręcz na ręczniki powoli odgięła się i zaczynała się wykrzywiać.

* * *

Kiedy rozległ się krzyk Tracy, Kim wchodził po schodach z naręczem drewna na opał. Nieoczekiwane spotkanie z myszami nieco go zdenerwowało, ale teraz serce podskoczyło mu do gardła. Upuścił drewno — ze straszliwym łoskotem potoczyło się po stopniach, strącając wszystkie stojące na nich przedmioty.

Później Kim nawet nie pamiętał, jak przedostał się przez kuchnię, jadalnię i przedpokój i znalazł się na piętrze. Gdy dotarł na korytarz, znowu rozległ się krzyk Tracy, i Kim przyspieszył. Z impetem uderzył w cienkie, wykonane ze sklejki drzwi łazienki i roztrzaskał je. Wpadł do środka i poślizgnął się na dywaniku. Zobaczył, jak Carlos zapiera się o szklane drzwi, najwyraźniej usiłując je otworzyć. Dopiero na widok noża uświadomił sobie, że powinien był wziąć coś do obrony.

Carlos obrócił się i ciał nożem na oślep. Zanim Kim zdążył się odchylić, końcówka ostrza drasnęła go w nasadę nosa. Napastnik przerzucił nóż do prawej ręki i skoncentrował całą uwagę na Kimie, który z oczyma utkwionymi w nożu wolno cofał się w kierunku rozbitych drzwi.

Tracy tymczasem zmagala się z wygiętą poręczą na ręczniki, chcąc wyjąć ją spomiędzy uchwytów. Gdy wreszcie jej się to udało, Kim i Carlos zniknęli już na korytarzu. Chwyciła poręcz w jedną rękę i energicznie wyskoczyła spod prysznicza. Naga pobięła za dwoma mężczyznami.

Carlos, grożąc Kimowi nożem, zmuszał go do ciągłego cofania się. Kim podniósł kawałek ramy z rozbitych drzwi i usiłował parować nim pchnięcia Carlosa. Krew z rozciętego nosa spływała mu po twarzy.

Tracy bez chwili wahania przyskoczyła do Carlosa od tyłu i parokrotnie zdzieliła go w głowę poręczą. Lekka rurka nie mogła tamtego zranić, ale zmusiła go do obrony przed ciosami. Odwrócił się i zadał parę pchnięć w stronę Tracy, która natychmiast się cofnęła.

Kim wykorzystał okazję, by chwycić małą konsolkę. Wyrwał stół ze ściany i roztrzaskał go o balustradę, żeby oderwać nogę. Kiedy Carlos odwrócił się do niego, Kim wywijał nogą jak pałką.

Mając z jednej strony Kima, a z drugiej Tracy, Carlos doszedł do wniosku, że jego zabójcza broń nie zda się na nic. Pognał w dół schodów.

Kim skoczył w pościg, Tracy tuż za nim.

Carlos otworzył drzwi wejściowe i wybiegł na trawnik przed domem. Kim deptał mu po piętach, ale zatrzymało go wołanie Tracy. Obejrzał się za siebie. Stała w drzwiach.

— Wracaj! — wrzeszczała. — Nie warto!

Kim zdążył jeszcze dostrzec, jak Carlos wskakuje do półciężarówki zaparkowanej w cieniu drzew. W następnym momencie z rury wydechowej buchnęły spaliny i pojazd potoczył się, nabierając prędkości.

Kim wrócił biegiem do domu i jednym pchnięciem otworzył drzwi. Tracy stała w przedpokoju, zawinięta jedynie w płaszcz.

Kim otoczył ją ramionami.

— Jesteś cała? — spytał szybko.

— To ty jesteś ranny — odpowiedziała Tracy.

Z rany biegnącej przez nos i brew płynęła krew.

Kim puścił Tracy. Wszedł do małej łazienki i uważnie obejrzał się w lustrze. Był zaskoczony, widząc, jak obficie krwawi. Nad ramieniem ujrzał twarz Tracy, która podeszła do niego z tyłu.

— O mały włos — stwierdził Kim, ponownie przyglądając się ranie. — Mogło być gorzej. Wpierw rozciął mi rękę, a teraz ciął prosto między oczy.

— Myślisz, że to ten sam, który zaatakował cię wczoraj w nocy? — spytała zdziwiona Tracy.

— Bez wątplenia — odparł Kim. — Trudno mi go było opisać, ale nietrudno rozpoznać.

Kim zauważył w lustrze, że mimo płaszcz Tracy drży na całym ciele. Odwrócił się i chwycił ją za ramiona.

— Co się stało? Wszystko w porządku, prawda? Nie jesteś ranna?

— Fizycznie nic mi nie jest — wykrztusiła Tracy. — W końcu dotarło do mnie, co się naprawdę stało. Ten człowiek chciał nas zabić.

— Chciał zabić mnie — sprostował Kim. — Zdaje się, że twoja obecność go zaskoczyła, dzięki czemu jestem nadal wśród żywych. Całe szczęście, że cię nie zranił.

Tracy wyzwoliła się z uścisku Kima.

— Dzwonię na policję — rzuciła, wchodząc do pokoju dziennego.

Kim dogonił ją, chwycił za rękę i zatrzymał.

— Nie zawracaj głowy policji — powiedział.

Tracy popatrzyła na zaciśniętą na jej przedramieniu rękę Kima, a potem przeniosła wzrok na jego twarz.

— Co to znaczy: „nie zawracaj głowy”? — zapytała z niedowierzaniem.

— Chodź — ponaglił Kim, delikatnie ciągnąc ją w kierunku schodów. — Weźmiemy mój rewolwer. Wątpię, żeby ten facet tu wrócił, ale musimy być przygotowani na każdą ewentualność.

Tracy zatrzymała się.

— Dlaczego nie chcesz zadzwonić na policję? — zapytała.

— To nie ma sensu. Policja nic nie robi. Stracimy tylko mnóstwo cennego czasu. Zapewne potraktują to jako nieudaną próbę włamania, ale my już dobrze wiemy, o co tu chodzi.

— Czyżby? — spytała Tracy.

— Oczywiście — potwierdził Kim. — Mówiłem ci, że to ten typ, który na mnie napadł. Najwyraźniej Marshy przytrafiło się to, czego się obawiałem, a odpowiedzialni za to ludzie — nie wiem, czy z rzeźni, czy potentaci przemysłu mięsnego — teraz się mnie boją.

— To kolejny powód, żeby zadzwonić na policję — odparła Tracy.

— Nie! — rzekł z naciskiem Kim. — Nie tylko nic nie zrobią, ale mogą jeszcze narobić kłopotów. Przede wszystkim jednak nie chcę, żeby przeszkadzali mi w zdobyciu dowodów dla Kelly Anderson. W ich oczach już jestem przestępcą. Uważają mnie za wariata.

— Ale mnie nie uważają za wariatkę — zauważyła Tracy.

— Mogą tak pomyśleć — stwierdził Kim. — Wystarczy, że im powiesz, że byłaś ze mną.

— Tak sądzisz? — zapytała Tracy. Tego nie wzięła pod uwagę.

— Chodź — poprosił Kim. — Weźmy broń.

Ruszyli w górę schodów. Tracy miała mętlik w głowie, lecz na razie dała się przekonać Kimowi. Mimo że atak mężczyzny z nożem przeraził ją.

— Zaczynam mieć wątpliwości, czy nie za bardzo angażujesz się w to wszystko — powiedziała.

— A ja wręcz przeciwnie — odparł Kim. — Czuję jeszcze większą determinację. Wszelkie wątpliwości, jakie miałem, wyfrunęły przez okno po tym, kiedy przekonałem się, że są gotowi na wszystko, byle chronić siebie.

Minęły wylamane drzwi do łazienki. Tracy usłyszała, że z prysznicą ciągle leje się woda. Znowu wzdygnęła się, przypominając sobie mordercę, oddzielonego od niej zaledwie szklaną taflą. Weszli do sypialni. Kim podszedł do stolika nocnego i wyciągnął mały rewolwer Smith i Wesson, kaliber trzydzieści osiem. Sprawdził bębenek. Był naładowany. Wsunął rewolwer do kieszeni marynarki i spojrzał na otwarte drzwi szafy.

— Ten kutas musiał się tu schować — powiedział Kim. Podeszedł tam i włączył światło. Zawartość większości szuflad została wyrzucona na podłogę. Kim wysunął szufladę, w której trzymał swoje skromne kosztowności. — Pięknie — dodał. — Wziął sobie Piageta mojego ojca.

— Kim, myślę, że musimy zapomnieć o tej całej sprawie — odezwała się Tracy. — Sądzę, że nie powinieneś starać się o pracę w rzeźni.

— Nie mam już wyboru — odparł Kim. — Nie zamierzam oddawać zegarka ojca bez walki.

— Nie czas teraz na żarty — obruszyła się Tracy. — Mówię serio. To zbyt niebezpieczne.

— Co według ciebie powinniśmy zrobić? Wyjechać za granicę?

— To jest jakiś pomysł — przyznała.

Kim zaśmiał się niewesoło.

— Wolnego — pospieszył z wyjaśnieniem. — Ja tylko żartowałem. Dokąd chciałabyś wyjechać?

— Gdzieś do Europy. Po naszej rozmowie jeszcze raz rozmawiałam z Kathleen. Powiedziała, że są takie kraje, na przykład Szwecja, gdzie mięso nie jest skażone.

— Serio?

— Tak powiedziała — zapewniła Tracy. — Może płacą więcej za dodatkową kontrolę, ale uznali, że warto.

— I poważnie myślisz o przeprowadzce do innego kraju?

— Nie myślałam, dopóki o tym nie wspomniałeś — odpowiedziała Tracy. — Ale owszem, zastanowiłabym się nad tym. Chciałabym jakoś nagłośnić to, co przydarzyło się Becky, wykorzystać wyjazd, aby poinformować wszystkich o sytuacji żywnościowej w tym kraju. Z pewnością byłoby to o wiele mniej ryzykowne.

— Chyba tak — zgodził się Kim. Przez chwilę rozważał pomysł Tracy, po czym potrząsnął głową. — Myślę, że wyjazd oznaczałby ucieczkę. Przez pamięć dla Becky zamierzam pozostać tutaj aż do końca.

— Jesteś pewien, że nie robisz tego po to, aby odwlec chwilę, w której będziesz musiał pogodzić się ze śmiercią naszej córki? — zapytała Tracy. Westchnęła nerwowo. Wiedziała, że poruszyła drażliwą kwestię. Dawny Kim zareagowałby ze złością.

Jednak on nie odpowiedział natychmiast. Kiedy to zrobił, jego głos brzmiał spokojnie.

— Ponownie przyznaję, że tak jest, ale sądzą zarazem, że robię to także przez pamięć o Becky. Może uda się w ten sposób uchronić inne dzieci od losu, który ją spotkał.

Tracy była wzruszona. Podeszła do Kima i objęła go. Rzeczywiście wydawał się innym człowiekiem.

— Do dzieła — ponaglił ją. — Zrzuć ten płaszcz i przebierz się w swoje rzeczy. Weźmiemy farbę i inne manatki i wyniesiemy się stąd.

— Dokąd pojedziemy?

— Najpierw do szpitala — odrzekł Kim. — Muszą mi założyć szwy, inaczej będę tak wyglądał do końca życia. Potem możemy pojechać do ciebie, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Myślę, że tam będziemy się czuli znacznie bezpieczniej niż tutaj.

* * *

— A to kto znowu, do diabła? — zapytał Bobby Bo Mason.

Razem z żoną i dwojgiem dzieci spożywali właśnie skromną niedzielną kolację złożoną ze steków z polędwicy, pieczonych ziemniaków, groszku i kukurydzianych bułeczek. Dzwonek u drzwi zakłócił ich spokój.

Bobby Bo uniósł rąbek serwetki i otarł kąciki ust. Drugi koniec serwetki był wetknięty pod kołnierzyk koszuli, tuż pod olbrzymim jabłkiem Adama. Spojrzał na zegar ścienny. Było parę minut przed siódmą.

— Chcesz, żebym otworzyła, kochanie? — zapytała Darlene.

Darlene była trzecią żoną Bobby'ego Bo i matką jego najmłodszych dzieci. Dwoje innych uczyło się w stanowej szkole rolniczej.

— Ja się tym zajmę — mruknął Bobby Bo.

Wstał od stołu, wysunął swoją wydatną szczękę i skierował się do drzwi frontowych. Zastanawiał się, kto ma czelność odrywać go od kolacji, uznał jednak, że to coś ważnego, skoro tamten przeszedł przez posterunek ochrony przy bramie. Otworzył drzwi. Za nimi stał Shanahan O'Brian, miętosząc w rękach kapelusz.

— Nie wyglądasz mi na szczęśliwego — odezwał się Bobby Bo.

— Bo nie jestem — przyznał Shanahan. — Mam niedobre wieści.

Bobby Bo obejrzał się przez ramię za siebie, aby upewnić się, że Darlene nie przyszła za nim do drzwi.

— Chodź do biblioteki — rzekł Bobby Bo. Wpuścił Shanahana, a potem ruszył przed nim w stronę biblioteki. Zamknął drzwi. — Okay. W czym problem?

— Przed chwilą dzwonił Carlos — powiedział Shanahan. — Nie załatwił doktora.

— Myślałem, że ten facet uchodzi za jakiegoś mistrza noża — pożalił się Bobby Bo.

— Mnie też tak powiedziano — zapewnił Shanahan. — Carlos upiera się, że doktor ma po prostu fart. Carlos włamał się do jego domu. Powiedzieliśmy mu, że tamten mieszka sam, ale tym razem przyjechał z jakąś kobietą.

— Wielkie halo. I to ma być zabójca? Co to za różnica, jeśli tam była kobieta?

— Najwyraźniej mu przeszkodziła — odpowiedział Shanahan. — Przyłapał ją nago pod prysznicem i...

— Dość — wtrącił Bobby Bo, unosząc dłoń. — Nie chcę słyszeć nic więcej. Ten cholerny amator spartaczył robotę, i tyle.

— Można to i tak nazwać — potwierdził Shanahan.

— Diabli! — zaklął Bobby Bo. Uderzył pięścią w krawędź biurka i zaczął chodzić nerwowo, przeklinając głośno.

Shanahan dał swojemu szefowi nieco czasu, by ten ochłonął. W ciągu wielu lat nauczył się, że kiedy Bobby Bo się złości, najlepiej trzymać język za zębami.

— Dobra — odezwał się w końcu Bobby Bo. Nadal przechadzał się tam i z powrotem przed kominkiem. — To tylko pokazuje, jak głupio jest oszczędzać parę dolców, zdając się na nowicjusza. Koniec z Komitetem Prewencyjnym. Weźmiemy tego zawodowca z Chicago. Trzeba go tutaj ściągnąć jak najszybciej, żeby uporządkował ten bajzel. Jak on się nazywa?

— Derek Leutmann — poinformował Shanahan. — Ale jest drogi. Moim zdaniem powinniśmy dać Carlosowi ostatnią szansę.

— Jak drogi? — zapytał Bobby Bo.

— Przynajmniej pięć patyków — odparł Shanahan.

— Do diabła, pięć patyków to pestka, jeśli zapobiegnie następnej aferze mięsnej — stwierdził Bobby Bo. — Mówimy o setkach milionów dolarów, jeśli nie o przyszłości całego przemysłu mięsnego, gdyby opinia publiczna dowiedziała się, na jaką skalę zagraża jej problem *Escherichia coli*. Już lepiej, żeby Jamesowi Garnerowi wszczepiono bypass po tym, jak rekomendował nasze mięso. — Bobby Bo zaśmiał się z własnego dowcipu.

— Obawiam się, by doktorek nie sprawił nam kłopotów w związku z Marshą Baldwin — wtrącił Shanahan.

— Właśnie, to też — zgodził się Bobby Bo.

— A co z Carlosem? — zapytał Shanahan. — Jest naprawdę wściekły. Chce to zrobić za darmo. Dla niego stało się to kwestią prestiżu.

— Jakie były skutki ostatniej nieudanej próby? — zapytał Bobby Bo. — Czy zawiadomiono policję? Czy mam się spodziewać kupy bzdur w mediach?

— Nic podobnego. Oglądaliśmy wiadomości przez całe popołudnie i wieczór. Nic nie było.

— Dzięki Bogu! — westchnął Bobby Bo. — Powiem ci, co zrobimy. Skontaktuj się z Leutmannem, ale jeśli nadarzy się okazja, damy jeszcze jedną szansę Carlosowi. Co ty na to?

— Leutmann zażąda zaliczki, zanim tu przybędzie — wyjaśnił Shanahan. — Później trudniej to będzie odkręcić.

— Przynajmniej zaoszczędzimy dwa i pół patyka — odparł Bobby Bo. — No i mamy podwójne zabezpieczenie. Tak czy inaczej, pozbedziemy się tego natrętnego doktora.

— Okay — powiedział Shanahan. — Zaraz to załatwię.

— To dobrze — stwierdził Bobby Bo. — Kiedy następnym razem będziesz ze mną rozmawiał, postaraj się o lepsze wieści.

— Biorę to na siebie — obiecał Shanahan.

— Aha, jeszcze coś — przypomniał sobie Bobby Bo. — Zdobądź jakieś informacje o tym lekarzu. Kiedy przyjedzie tu Leutmann, chcę, żeby wiedział co i jak bez robienia szumu dokoła.

Izba przyjęć w Uniwersyteckim Centrum Medycznym była jak zwykle zatłoczona. Kim i Tracy siedzieli w poczekalni tuż obok miejsc, na których kiedyś czekali z Becky. Kim trzymał przy ranie duży sterylny opatrunek.

— To dość nieprzyjemne *déjà vu* — stwierdził Kim.

— Wydaje się, jakbyśmy tu byli rok temu — powiedziała z nostalgią w głosie Tracy. — Nie mogę uwierzyć, że tyle się wydarzyło w ciągu paru dni.

— W pewnym sensie wydaje się, że to długo, ale w innym mgnieniu oka — stwierdził Kim. Zaciśnął zęby. — Mimo woli zastanawiam się, czy wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby szybciej zbadano Becky podczas tej pierwszej wizyty i założono hodowlę z próbek.

— Zadałam to pytanie doktor Morgan — rzekła Tracy. — W jej przekonaniu niewiele by to zmieniło.

— Trudno w to uwierzyć.

— Dlaczego nie poprosiłeś któregoś z twoich kolegów, żeby zszął ci ranę? — spytała Tracy.

— Z tych samych względów, dla których nie zawiadamałem policji — wyjaśnił Kim. — Chcę, aby założyli mi szwy, i koniec. Nie życzę sobie wielkiego *larum*. Koledzy zaczęliby zadawać pytania, a ja czułbym się winny, kłamiąc.

— Tutaj też pewnie pytają cię, jak to się stało — stwierdziła Tracy. — Co im powiesz?

— Nie wiem — odparł Kim. — Coś wymyślę.

— Jak myślisz, jak długo będziemy musieli tu czekać? — zapytała Tracy.

— David Washington twierdzi, że niedługo — odparł Kim.

Szefa oddziału pierwszej pomocy medycznej spotkali przypadkowo, tuż po przybyciu do izby przyjęć. David słyszał już o śmierci Becky i złożył im wyrazy głębokiego współczucia. Obiecał opatrzyć Kima tak szybko, jak to będzie możliwe, i obojętnie przyjął jego prośbę, aby zarejestrowano go pod fałszywym nazwiskiem.

Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu, bezmyślnie obserwując paradujący przed nimi orszak chorych i rannych. Pierwsza przerwała milczenie Tracy.

— Im dłużej myślę o tym, co przeżyliśmy, tym mniej jestem skłonna pozwolić ci zrealizować to, co zaplanowałeś. Pchanie się im w łapy po tym wszystkim, co już się zdarzyło, to czyste szaleństwo.

— Co masz na myśli, mówiąc „pozwoić ci”? — spytał zirytowany Kim. Jego głowę zaprzętała nadal niedawna wizyta w izbie przyjęć. — Co w związku z tym zamierzasz: własnym ciałem stanąć mi na drodze?

— Kim, proszę — powiedziała Tracy. — Próbuję z tobą rozmawiać. Martwię się, czy po tym, co stało się Becky, jesteś w stanie podejmować rozsądne decyzje. Wydaje mi się oczywiste, że praca w rzeźni to zbyt duże ryzyko.

— Być może — zgodził się Kim. — Ale nie ma innego wyjścia. To jedyny sposób, żeby zainteresować media, a media są naszą jedyną nadzieją na odmianę tej przykłej sytuacji.

— Co spodziewasz się tam znaleźć, aby uzasadnić takie ryzyko? — spytała Tracy. — Powiedz, proszę.

— Nie dowiem się, póki się tam nie dostanę — wyznał Kim. — Nigdy nie byłem w rzeźni, więc nie wiem, czego się spodziewać. Ale wiem, na jakie pytania będę szukał odpowiedzi. Po pierwsze, jak zachorowała Becky. Marsha Baldwin odkryła coś na temat ostatniej krowy zaszlachtowanej w dniu dziewiątego stycznia. Chcę się dowiedzieć, o co chodzi. Drugie pytanie dotyczy zniknięcia Marshy Baldwin, na pewno krążą już jakieś pogłoski. I po trzecie, w jaki sposób *Escherichia coli* najczęściej dostaje się do mięsa. Marsha zasugerowała, że istnieje tu związek z metodą uboju zwierząt. Chcę to zobaczyć na własne oczy i jakoś udokumentować. Potrzebuję dowodów, aby wciągnąć do tego Kelly Anderson. Wyświetlenie roli, jaką odgrywa departament rolnictwa, pozostawię już jej.

Tracy patrzyła przed siebie nieruchomym wzrokiem.

— Nic mi nie odpowiesz? — zapytał Kim po chwili milczenia.

— Ależ tak — rzekła Tracy, jakby obudziła się z krótkiego transu. — W twoich ustach wszystko to brzmi całkiem rozsądnie. Ale powiem ci coś. Nie pozwolę ci pójść tam samemu. Muszę w taki czy inny sposób wziąć w tym udział, abym w razie potrzeby mogła ci pomóc, nawet jeżeli również musiałabym się tam zatrudnić.

— Ty mówisz poważnie! — zawołał Kim. Był zdumiony.

— Oczywiście, że mówię poważnie — zapewniła Tracy. — Becky była także moją córką. Sądzę, że ryzyko powinno się rozłożyć po równo.

— No, to ciekawy pomysł — orzekł Kim. Teraz on zapatrzył się w dal, pogrążony w myślach.

— Nie musiałabym nawet sprawiać sobie kamuflażu — dodała Tracy. — Nigdy mnie nie widzieli.

— Nie wiem, czy znajdziesz tam pracę — odparł Kim. — W każdym razie nie tak łatwo.

— Dlaczego? — spytała Tracy. — Jeżeli ty możesz się tam zatrudnić, to dlaczego nie ja?

— Marsha powiedziała, że rzeźnie cierpią na niedobór rąk do pracy, ale tylko przy uboju — wyjaśnił. — Nie sądzą, abyś się do tego nadawała.

— Nie, ale może będą potrzebowali sekretarki albo kogoś w tym rodzaju — powiedziała Tracy. — Nie dowiemy się, dopóki nie spróbuję.

— Mam lepszy pomysł — oznajmił Kim. — Pamiętasz Lee Cooka, który pracował kiedyś ze mną w Dobrym Samarytaninie?

— Chyba tak — odpowiedziała Tracy. — Czy to nie ten bystry technik, który umiał naprawić każde urządzenie elektroniczne i dzięki któremu funkcjonowało całe wyposażenie szpitala?

— To on — potwierdził Kim. — Po przejściu szpitala odszedł na emeryturę. Buduje własny samolot w piwnicy i wykonuje dziesiątki innych dorywczych prac. Ale jestem pewien, że mógłby założyć mi pluskwę. Siedziałabyś sobie w samochodzie na parkingu i słuchała na żywo. Gdyby zaszła taka potrzeba, mogłabyś zatelefonować po policję.

— Chcesz powiedzieć, że słyszałabym cię przez cały czas? — zapytała Tracy.

— Tak, non stop — potwierdził Kim.

— Czy mogłabym z tobą rozmawiać?

— No cóż, tego nie wiem — odparł Kim. — Musiałbym mieć w uchu mikrofon, a to mogłoby mnie zdradzić. Nie wydaje mi się, żeby zbyt wielu zatrudnionych w Higgins i Hancock używało mikrofonów.

— Mogłabym nagrywać twoje słowa — ożywiła się Tracy.

— To prawda — potwierdził Kim.

— A gdyby tak użyć kamery?

— Hej, być może — przytaknął Kim. — Wiem, że najnowocześniejsze kamery są malutkie. Może to dostarczyłoby dowodów, których potrzebujemy dla Kelly Anderson.

— Pan Billy Rubin! — zawołał ponad głowami czekającego tłumu czyjś głos.

Kim podniósł swoją wolną rękę i wstał. Tracy zrobiła to samo. Ubrany na białą szafkę zobaczył ich i podszedł. Niósł tabliczkę z wpiętą kartą rejestracyjną Kima.

— Pan Billy Rubin? — upewnił się. Jego plakietka identyfikacyjna nosiła napis: Dr Steve Ludwig, lekarz izby przyjęć. Był krzepkim, uśmiechniętym mężczyzną o rzadkich, krótko przystrzyżonych blond włosach. — Czy wie pan, że bilirubina to termin medyczny?

— Nie — odparł Kim. — Nie miałem pojęcia.

— A jednak — stwierdził Steve. — Powstaje w wyniku rozpadu hemoglobiny. Ale rzućmy okiem na pańską ranę.

Kim odsunął gazę. Z powodu opuchlizny nacięcie było jeszcze szersze niż przedtem.

— Ho, ho! — zawołał Steve. — Paskudne cięcie. Lepiej je zaszyjmy. Jak do niego doszło?

— Przy goleniu — odpowiedział Kim.

Tracy z trudem powstrzymała się od uśmiechu.

Rozdział 16

Poniedziałek, 26 stycznia

Zniecierpliwiona Tracy przestąpiła z nogi na nogę. Miała złożone ręce i opierała się o gipsową ścianę w korytarzu na piętrze. Usadowiła się naprzeciwko drzwi do łazienki dla gości. Stała tak już od prawie pięciu minut.

— No i co?! — zawołała przez drzwi.

— Jesteś gotowa? — odpowiedział głos Kima.

— Od dawna! — krzyknęła Tracy. — Otwieraj drzwi!

Drzwi otworzyły się z piskiem. Tracy przyłożyła rękę do ust i wbrew sobie zachichotała głośno.

Kim zmienił się nie do poznania. Jego włosy były postrzępione i krótko obcięte, stały prawie prosto, utlenione na platynowy blond. Brwi były tego samego koloru i tworzyły silny kontrast z pokrytą ciemnym zarostem twarzą. Zeszyta rana obiegała nasadę nosa i przecinała jedną brew, nadając mu wygląd Frankensteinia. Kim był ubrany w czarną, sztruksową koszulę z podwójnymi kieszeniami, włożoną na czarną koszulkę, i w czarne skórzane spodnie. Nosił też pas z czarnej skóry i klamrę zdobioną stalowymi ćwiekami. Całości dopełniał tkwiący w lewym uchu kolczyk ze sztucznym diamentem oraz wytatuowany na prawym przedramieniu wilk ze słowem „lobo”.

— Co mówisz? — zapytał Kim.

— Wyglądasz niesamowicie! — zawołała Tracy. — Zwłaszcza te szwy z czarnego jedwabiu. Nie chciałabym cię spotkać na ciemnej ulicy.

— Właśnie o taki efekt mi chodziło.

— Z pewnością nie przypominasz żadnego z moich znajomych — dodała Tracy.

— Może powinienem kopnąć się do szpitala — podsunął Kim. — Wyglądam tak, że przywróciliby mi uprawnienia lekarskie bez żadnych przesłuchań.

— Do głowy by mi nie przyszło, że jesteś lekarzem — zaśmiała się Tracy. — Szczególnie podoba mi się twój tatuaż.

Kim podniósł ramię i przyjrzał się z podziwem swojemu dziełu.

— Bezbledny, nie? Według gwarancji powinien trzymać od trzech do czterech dni, pod warunkiem że nie będę się mył. Wyobrażasz sobie?

— Gdzie jest mikrofon?

— Pod kołnierzem — odparł Kim i podwinął górną krawędź koszuli. Miniaturowy mikrofon przypięty był spinką do podszewki.

— Szkoda, że nie udało się z kamerą — zauważyła Tracy.

— Hej, jeszcze nie wiadomo. Lee powiedział, że nad tym popracuje, a kiedy on tak mówi, to w dziewięciu przypadkach na dziesięć daje sobie radę. Trzeba będzie poczekać parę dni.

— Sprawdźmy, czy jest odsłuch — zaproponowała Tracy. — Chcę mieć pewność, że to będzie działać tak dobrze jak wczoraj w nocy w garażu Lee.

— Dobry pomysł — rzekł Kim. — Wskakuj do samochodu i jedź za róg. To powinno wystarczyć. Lee powiedział, że będzie działać na odległość dwustu metrów.

— A ty gdzie będziesz? — zapytała Tracy.

— Będę krążył po domu — odpowiedział Kim. — Spróbuję też zejść do piwnicy.

Tracy skinęła głową i zeszła po schodach na dół. Z wnęki w holu wyjęła płaszcz, a potem zawołała na górę:

— Nie zapomnij wsadzić słuchawki do ucha.

— Już ją mam! — krzyknął Kim.

Tracy wyszła na zewnątrz. Był wczesny, rzeński poranek. W nocy nadciągnął wiatr, przepędził burzowe chmury na wschód i teraz niebo było jasnoblękitne.

Tracy wsiadła do auta i tak, jak się umówili, pojechała za róg. Zjechała na pobocze i wyłączyła silnik. Następnie otworzyła okno i umieściła na dachu prowizoryczną antenę.

Włożyła słuchawki stereofoniczne podłączone do starego magnetofonu szpulowego. Magnetofon był zasilany wzmacniaczem, który z kolei łączył się z transformatorem stojącym na samochodowym akumulatorze. Kiedy Tracy włączyła wzmacniacz, na jego przedniej ściance zapaliło się czerwone światełko. Najpierw w słuchawkach było słycać zakłócenia, ale szybko ustały. Tracy podniosła mikrofon leżący na płycie wzmacniacza. Rozejrzała się, aby upewnić się, że nie obserwuje jej nikt z sąsiadów, po czym przemówiła do mikrofonu.

— Kim, słyszysz mnie? — zapytała.

Głos Kima rozległ się tak głośno, że Tracy aż się skrzywiła.

— Słyszę cię tak, jakbyś stała obok — powiedział.

Tracy prędko ściszyła urządzenie i wdusiła przycisk nagrywania.

— A jak u ciebie z siłą głosu? — spytała. — Tu było stanowczo za głośno.

— W porządku.

— Gdzie jesteś?

— Na zapleczu piwnicy — poinformował Kim. — Jeżeli ten system działa tutaj, jestem absolutnie pewny, że będzie działać wszędzie.

— Dźwięk jest zaskakująco czysty — stwierdziła Tracy.

— Okay, wracaj — powiedział Kim. — Zabieramy się do roboty.

— Bez odbioru — odparła Tracy. Nie była pewna, czy to właściwe wyrażenie, ale słyszała je w wielu filmach i programach telewizyjnych.

Zdjęła słuchawki i zatrzymała taśmę. Przewinęła ją i zaczęła odtwarzać — była zadowolona, że ich rozmowa nagrała się idealnie czysto.

Gdy wróciła do domu, Kim zdążył zgromadzić przy drzwiach wszystko, czego potrzebowali. Przygotowali kanapki i napełnili termosy, ponieważ zakładali, że Kim zostanie od razu przyjęty do pracy. Mieli także koc i dodatkowy sweter dla Tracy. Kim był pewien, że zmarznie, kiedy będzie siedzieć cały dzień w samochodzie.

Wszystko poukładali na tylnym siedzeniu. Kim również usiadł z tyłu, bo miejsce dla pasażera zajmował sprzęt elektroniczny.

Tracy wślizgnęła się za kierownicę i miała już uruchomić silnik, kiedy przypomniała sobie o czymś jeszcze.

— Gdzie twój rewolwer?

— W pokoju gościnnym — odparł Kim.

— Myślę, że powinienes go wziąć — stwierdziła Tracy.

— Nie chcę nosić broni w rzeźni — zaproponował Kim.

— Dlaczego? — spytała Tracy. — Dobry Boże, a jeśli znowu wpadniesz na tego typka z nożem?

Kim zastanowił się nad tym. Niektóre względy przemawiały przeciwko zabieraniu broni. Po pierwsze Kim obawiał się, że broń może zostać wykryta. Po drugie jeszcze nigdy jej nie używał i nie wiedział, czy potrafiłby kogoś zastrzelić. Ale w następnej sekundzie przypomniał sobie, jak bardzo się bał, kiedy ścigał go mężczyzna z nożem, i jak żałował wtedy, że nie ma przy sobie żadnej broni.

— Zgoda — powiedział Kim i wrócił po broń.

Tracy uruchomiła auto i wrzuciła wsteczny bieg.

— Zaczekaj — poprosił Kim. — Zgaś silnik.

Tracy przekręciła kluczyk w stacyjce. Silnik zakaszłał i umilkł. Obróciła się do Kima z wyrazem zdziwienia na twarzy.

— O co chodzi? — spytała.

Kim patrzył na dom.

— Pomyślałem, że kiedy przyjechaliśmy wczoraj do mojego domu, ten typ już tam był — wyjaśnił Kim. — Nie chcę mieć więcej takich niespodzianek. Nie można wykluczyć, że i tutaj mnie znajdą.

— Co proponujesz? — zapytała Tracy drżącym głosem.

— Czy któryś z twoich sąsiadów jest szczególnie wścibski? — zapytał Kim. — Te domy stoją bardzo blisko siebie.

— Po drugiej stronie ulicy mieszka pani English — powiedziała Tracy. — To podstarzała wdowa. Mogłabym przysiąc, że przez cały dzień nic nie robi, tylko gapi się przez okno.

— To już coś — stwierdził Kim. — Poproś ją, żeby do naszego powrotu miała dom na oku. Sprawi ci to kłopot?

— Skądże.

— Ale to za mało — mówił Kim. — Musimy mieć sto procent pewności. Ile jest wejść?

— Tylko frontowe i tylne.

— A piwnica?

— Do piwnicy można wejść tylko z domu — poinformowała Tracy.

— Ten facet przeciął wczoraj siatkę w tylnych drzwiach — myślał na głos Kim.

— Tutaj nie ma takich drzwi.

— To dobrze. — Kim wysiadł z samochodu, a Tracy poszła w jego ślady.

— Może oznaczymy jakoś drzwi — zaproponowała Tracy. Kiedy wrócimy, będziemy mogli sprawdzić, czy ktoś był w środku.

— Dobry pomysł — stwierdził Kim. — A co zrobimy potem?

— No cóż, z całą pewnością nie będziemy się pchać do środka.

— Gdzie pojedziemy? — spytał Kim. — Tak, żeby nas nie wysłędzono?

Tracy wzruszyła ramionami.

— Nie wiem, może do motelu — zaproponowała.

— Wiem, co zrobimy — rzucił Kim. — Po drodze do rzeźni wstąpimy do banku i wypłacimy nasze oszczędności. Jeżeli naprawdę się boimy, że nas śledzą, posługiwanie się kartami kredytowymi to nie najlepszy pomysł.

— Rany, jesteś naprawdę przewidujący — zdumiała się Tracy. — W takim razie możemy od razu zabrać paszporty.

— Słuchaj, mówię poważnie — powiedział tonem wyrzutu Kim.

— Ja też. Jeśli nasze obawy się potwierdzą, chcę mieć możliwość wyjazdu za granicę.

— Całkiem słusznie — przyznał Kim. — A więc do dzieła.

Zabezpieczenie domu zajęło im pół godziny, następne pół zaś spędzili w banku. Wprawdzie, aby poszło szybciej, stanęli przy różnych kasach, jednak nie dało to rezultatu. Kasjer był tak zakłopotany wyglądem Kima, że musiał udać się do swojego przełożonego, aby ten potwierdził autentyczność podpisu.

— Czuję się trochę jak rabuś — odezwała się Tracy, kiedy szli do samochodu. — Nigdy nie dźwigałam tyle gotówki.

— A ja już się bałam, że nie dadzą mi moich pieniędzy — przyznał Kim. — Być może trochę przeholowałam z tym przebraniem.

— Ważne, że cię nie rozpoznano.

Kiedy wydostali się na autostradę, było już niemal południe. Dzień zaczął się tak pogodnie, a teraz niebo zachmurzyło się wysokimi cirrusami. Zimą na Środkowym Zachodzie rzadko zdarzały się dłuższe przejaśnienia.

— Co powiedziałaś pani English? — spytał z tylnego siedzenia Kim.

— Nie musiałam wiele mówić. Była zachwycona tym zadaniem. Może to okropne, co powiem, ale sądzę, że przywróciliśmy jej życiu utracony sens.

— Powiedziałaś jej, kiedy wrócisz?

— Nie — odparła Tracy.

— Przypomnijmy sobie hiszpański z ogólniaka — zaproponował ni stąd, ni zowąd Kim.

Tracy, zaskoczona, spojrzała na odbicie byłego męża we wstecznym lusterku. W ciągu ostatniej doby nie umiała odgadnąć, kiedy żartuje, a kiedy mówi serio.

— Spróbuję mówić z hiszpańskim akcentem — wyjaśnił Kim. — Marsha powiedziała, że większość pracowników rzeźni to Latynosi, głównie Meksykanie.

Przez parę minut liczyli po hiszpańsku i budowali proste zdania. Wielu słówek nie mogli już sobie przypomnieć. Wkrótce umilkli.

— Pozwól, że cię o coś zapytam — odezwała się Tracy, kiedy milcząc, przejechali parę mil.

— Wał.

— Jeśli wszystko dobrze pójdzie, uda nam się pozyskać Kelly Anderson i sprawa nabierze rozgłosu, to co spodziewasz się osiągnąć?

— Chciałbym, aby rynek zbytu dla dwudziestu pięciu miliardów funtów mielonego mięsa, które produkuje się co roku, zniknął bez śladu — odpowiedział Kim.

— A co potem?

— No cóż — zastanowił się Kim, zbierając myśli. — Chciałbym, żeby opinia publiczna zażądała odsunięcia departamentu rolnictwa od inspekcji mięsa i drobiu. Departament nie powinien też zatwierdzać karmy dla zwierząt. Obowiązki te powinny znaleźć się w gestii Organizacji Żywności i Lekarstw, w której nie ma konfliktu interesów. Byłoby jeszcze lepiej, gdyby sprywatyzowano ten system, tak aby w ramach konkurencji stworzyć zachętę do wykrywania i eliminowania zakażeń.

— Nie ufasz nowym sposobom napromieniania mięsa?

— Ale gdzie tam! — odpowiedział Kim — To kolejny wybieg ze strony producentów. Napromienianie to swego rodzaju zaproszenie do zakażenia mięsa w procesie produkcji z nadzieją, że wszystkie drobnoustroje i tak zostaną w końcu zabite promieniami gamma. Zauważyłaś może, jak bardzo producenci gardłują, że konsument ma obowiązek gotować mięso w myśl przepisów, które uważają za stosowne.

— Tak samo uważała Kathleen Morgan.

— Tak powinien uważać każdy myślący człowiek — stwierdził Kim. — Musimy skłonić media do wytłumaczenia ludziom, że za wszelką cenę trzeba unikać zarazków, nawet jeśli mięso w sklepie miałoby być droższe.

— To bardzo ambitne zadanie — stwierdziła Tracy.

— Hej, czemu nie mielibyśmy wysoko mierzyć? — spytał Kim. — To nie jest niemożliwe. Ostatecznie mięso i drób nie zawsze były skażone. To stosunkowo nowe zjawisko.

W oddali pojawiła się zagroda dla bydła. Jak przystało na dzień roboczy, zobaczyli stada bydła tłoczące się w błocie za ogrodzeniem.

— Smutny widok. Jakby wszystkie czekały na karę śmierci — powiedziała Tracy.

Skręcili na parking. W przeciwieństwie do poprzedniego ranka teraz niemal w całości wypełniały go samochody, przeważnie stare furgonetki.

— Wysadź mnie koło wejścia — zaproponował Kim. — Potem pojedź na koniec budynku, dobrze? Tam nie zauważą cię tak łatwo, a cała rzeźnia będzie w zasięgu dwustu metrów.

Tracy zjechała do krawężnika. Popatrzyli na budynek. Z wybitego okna archiwum zdjęto już deski, lecz nie wstawiono jeszcze szyb. Na kwietniku przed oknem stał mężczyzna w drelichu i czerwonej koszuli i mierzył coś.

— Jestem mu winien pomoc — oznajmił Kim.

— Nie wygłupiaj się — poprosiła Tracy.

Drzwi otworzyły się. Tracy i Kim instynktownie zniżyli głowy na siedzeniach. Wyszło dwóch mężczyzn pochłoniętych rozmową. Po chwili oddalili się. Widać było, że rzeźnia pracuje pełną parą.

Tracy i Kim wyprostowali się. Spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się nerwowo.

— Zachowujemy się jak para nastolatków, która szykuje się do splatania figla — stwierdził Kim.

— Może powinniśmy to jeszcze raz omówić — zastanowiła się Tracy.

— Czas rozmów się skończył — orzekł Kim. Pochylił się i pocałował ją. Żadne z nich nie pamiętało już, kiedy całowali się po raz ostatni. — Życz mi szczęścia — dodał Kim.

— Nie wiem, dlaczego się na to wszystko zgodziłam — przyznała Tracy. Pełna rozterek popatrzyła na rzeźnię.

— Powodowała tobą odpowiedzialność — powiedział Kim z psotnym uśmiechem. — Do diaska, jeśli nam się uda, uratujemy milion razy więcej istnień ludzkich, niż gdybym operował przez całe życie.

— Wiesz, co mnie najbardziej zdumiewa? — spytała Tracy, przenosząc wzrok na Kima. — To, że w ciągu paru dni z narcyza stałeś się altruistą, popadłeś z jednej skrajności w drugą. A mnie się zdawało, że osobowości nie można zmienić.

— Niech psychologowie łamią sobie nad tym głowy — stwierdził Kim i otworzył drzwi.

— Bądź ostrożny — upomniała go.

— Będę — przyrzekł Kim. Wyszedł z samochodu, ale od razu wsunął się z powrotem. — Pamiętaj, że będę wkładał słuchawkę do ucha tylko od czasu do czasu. Zazwyczaj będzie to monolog.

— Wiem — odparła Tracy. — Powodzenia.

— Dzięki — rzekł Kim. — Trzymaj się! — Pomachał jej na pożegnanie.

Tracy patrzyła, jak Kim w swoim koszmarnym przebraniu maszeruje w stronę drzwi. Mimo dręczących ją obaw nie mogła się powstrzymać od uśmiechu. Kim wyglądał na niedbałego, bezczelnego punkrockowca.

Tracy wrzuciła pierwszy bieg, pojechała na drugi koniec budynku, tak jak proponował Kim, i zaparkowała za jakąś furgonetką. Opuściła szybę i postawiła na dachu antenę. Wsadziła stereo-

foniczne słuchawki na uszy i włączyła wzmacniacz. Po porannej próbie ustawiła pokrętło głośności na zero. Teraz ostrożnie wzmocniła głos. Natychmiast usłyszała Kima mówiącego z przesadnym hiszpańskim akcentem.

— Szukam roboty, każdej roboty — mówił, przeciągając samogłoski. — Jestem splukany. Słyszałem w mieście, że bierzecie ludzi.

Tracy włączyła magnetofon i spróbowała się zrelaksować.

* * *

Prędkość, z jaką zaprowadzono Kima do biura kierownika ubojni, zrobiła na nim wrażenie oraz dodała mu odwagi. Kierownik nazywał się Jed Street. Był niepozornym mężczyzną z okrągłym brzuszkiem wystającym spomiędzy półbiałego, poplamionego krwią kitla. W rogu biurka leżał żółty kask. Przed nim piętrzył się olbrzymi stos kwitów zakupu bydła.

Gdy Kim wszedł do biura, Jed spojrzał na niego kpiąco. Niemniej po paru chwilach wyraźnie zaakceptował jego wygląd i nie robił do niego żadnych aluzji.

— Pracowałeś już kiedyś w rzeźni? — zapytał Jed. Odchylił się na krześle i bawił się ołówkiem.

— Nie — odparł niedbale Kim. — Ale zawsze jest ten pierwszy raz.

— Masz numer ubezpieczenia społecznego? — spytał Jed.

— Nie — rzucił Kim. — Mówiono mi, że nie będę go potrzebował.

— Jak się nazywasz?

— Jose. Jose Ramerez.

— Skąd jesteś?

— Z Brownsville, Teksas — powiedział Kim bardziej z południową intonacją niż z hiszpańskim akcentem.

— Jasne, a ja z Paryża, Francja — odrzekł Jed, wyraźnie nieświadomy językowego potknięcia Kima. Pochylił się na krześle. — Słuchaj, to jest ciężka i brudna praca. Jesteś na to gotowy?

— Jestem gotowy na wszystko.

— Masz zieloną kartę?

— Nie.

— Kiedy chciałbyś zacząć?

— Choćby zaraz — oznajmił Kim. — Od półtora dnia nic nie jadłem.

— Dobrze zrobiłeś — zauważył Jed — skoro nigdy przedtem nie pracowałeś w rzeźni. Zacznieś od zamiatania podłogi w hali, gdzie prowadzony jest ubój. Pięć dolców na godzinę, gotówką. Bez ubezpieczenia społecznego to najlepsze, co ci mogę zaproponować.

— W porządku — zgodził się Kim.

— Aha, jeszcze jedno — dodał Jed. — Jeśli chcesz pracować, musisz zostać na popołudniowej zmianie, od trzeciej do jedenastej, ale tylko dzisiaj. Jeden z chłopaków dzwonił, że jest chory. Co ty na to?

— Jak na lato — odparł Kim.

— Dobra — powiedział Jed i wstał. — No to teraz cię ubierzemy.

— Będę musiał się przebrać? — zapytał z niepokojem Kim. Czuł, jak rewolwer uwiera go w biodro, a baterie uciskają mu pierś.

— Nie — uspokoił go Jed. — Weźmiesz tylko biały kitel, gumki, kask, rękawice i miotłę. Będziesz musiał zmienić jedynie buty, żeby włożyć gumki.

Kim wyszedł za Jedem na tylny korytarz. Razem poszli do jednego z magazynów, do których Kim zajrzał w sobotę w nocy. Zabrali wszystko, o czym mówił Jed, z wyjątkiem miotły. Gumki okazały się o pół numeru za duże. Były z żółtej gumy i sięgały do połowy łydki. Nie były nowe i nie pachniały zbyt pięknie.

Jed wręczył Kimowi kłódkę szafy i zaprowadził go do szatni za stołówką. Począł, aż Kim włoży gumki i schowa do szafki swoje buty. Kiedy Kim włożył kask, długie, żółte rękawice i biały kitel, wyglądał, jak należy.

— Nieźle rozcięcie masz na nosie — zauważył Jed. — Co się stało?

— Wpadłem na szklane drzwi — odparł wymijająco Kim.

— Przykra sprawa — powiedział Jed. — Jesteś gotowy do boju?

— Chyba tak.

Jed poprowadził go najpierw przez stołówkę, a potem schodami aż do drzwi przeciwpożarowych. Tutaj się zatrzymał i zaczął czekać, aż Kim go dogoni. Wyjął coś z kieszeni i wyciągnął rękę do Kima.

— Prawie zapomniałem — powiedział Jed. Upuścił w nadstawioną dłoń Kima dwa małe, leciuteńkie przedmioty.

— Co to jest? — spytał Kim.

— Zatyczki do uszu — wyjaśnił Jed. — Ruchome haki, urządzenia do skórowania i piły okropnie hałasują.

Kim przyjrzał się jednej z małych stożkowatych, gąbczastych zatyczek. One też były żółte.

— Słuchaj — odezwał się Jed. — Masz uwijać się po podłodze i spychać gówno do studzienek z kratami.

— Gówno? — zapytał Kim.

— Owszem — odparł Jed. — Coś nie tak?

— Prawdziwe gówno?

— To mieszanina krowiego kału, rzygowin i krwi — wytłumaczył Jed. — Wszystkiego, co spadnie z góry. To nie jest przyjęcie urodzinowe. Poza tym uważaj na zwisające z szyn tusze, no i ma się rozumieć, uważaj, żebyś się nie poślizgnął. Wywrotka w to bagno to nie piknik — roześmiał się Jed.

Kim skinął głową i przełknął ślinę. Zrozumiał, że ta upiorna praca będzie wymagała od niego maksymalnego wysiłku.

Jed zerknął na zegarek.

— Za niecałą godzinę zatrzymamy linię na przerwę obiadową — oznajmił. — Zresztą to nieważne. Dam ci szansę, żebyś się zaaklimatyzował. Masz jakieś pytania?

Kim przecząco potrząsnął głową.

— Jakbyś miał — dodał Jed — to wiesz, gdzie jest moje biuro.

— Jasne — odparł Kim. Wydawało mu się, że Jed oczekuje odpowiedzi.

— No, nie włożysz zatyczek? — odezwał się tamten.

— A, tak — powiedział Kim. — Zapomniałem.

Kim wcisnął je do uszu i pokazał Jedowi uniesiony kciuk.

Jed otworzył drzwi. Mimo zatyczek w uszach Kima początkowo zamroczyło, gdy uderzyła weń kakofonia dźwięków wylewająca się na schody.

Poszedł za Jedem do hali ubojowej. Miejsce to w niczym nie przypominało tego z sobotniej nocy. Kim sądził, że jest gotów na czekające go doświadczenia, a jednak się mylił. Na widok szyn, po których sunęły ponad tysiãcfuntowe, gorące tusze, wśród pisku włączonych maszyn i duszącego zapachu, Kim pozieleniał na twarzy. Gęste, ciepłe powietrze było przesycone odorem surowego mięsa, krwi i świeżych odchodów.

Kima oszołomiły także wizualne efekty tego spektaklu. Potężne klimatyzatory na dachu, daremnie starające się utrzymać w pomieszczeniu niską temperaturę, powodowały, że z martwych, obdartych ze skóry zwierząt unosila się para. Setki robotników w pokrwawionych białych kitlach stały na podniesionych metalowych podestach i rozcinały przesuwające się tusze. Wszędzie zwieszały się przewody elektryczne, tworząc przedziwne sploty olbrzymiej pajęczyny. Całość przywodziła na myśl surrealistyczny, dantejski obraz piekła — piekła na ziemi.

Jed klepnął Kima w ramię i wskazał na podłogę. Kim popatrzył pod nogi. Hala ubojni tęniała w morzu krowiej krwi, kawałków wnętrzości, wymiocin i wodnistych odchodów. Jed ponownie klepnął Kima. Ten podniósł wzrok. Jed podawał mu już miotłę, gdy zobaczył pozieleniałą twarz Kima i wzdęte policzki.

Jed ostrożnie się cofnął i szybko pokazał ręką w bok.

Kima już mdliło, ale zdołał zasłonić usta dłonią. Powiódł spojrzeniem za palcem Jeda i ujrzał drzwi z prowizorycznie wymalowanym napisem: Męski.

Kim pognął do ubikacji. Otworzył drzwi i przyskoczył do umywalki. Opierając się o zimny porcelanowy zlew, zwymiotował śniadanie. Kiedy mdłości wreszcie ustąpiły, opłukał zlew i podniósł głowę, aby przyjrzeć się sobie w popękany, brudnym lustrze. Był bledszy niż kiedykolwiek, co podkreślały jeszcze przekrwione, zmęczone oczy. Jego czoło było zroszone kropelkami potu.

Opierając się tyłem o zlew, Kim sięgnął po słuchawkę, którą miał zwiniętą pod koszulą. Drżącymi palcami wydłubał z ucha jedną z zatyczek i wetknął tam słuchawkę.

— Tracy, jesteś tam? — zapytał chrapliwym głosem. — Mam już słuchawkę. Możesz mówić.

— Co się stało? Czy to ty kaszlałeś? — spytała Tracy.

— Gorzej niż kaszlałem — wycharczał Kim. — Właśnie oddałem poranne śniadanie.

— Co z twoim głosem? — zaniepokoiła się Tracy. — Czy coś się stało?

— Nie czuję się cudownie — przyznał Kim. — Jestem zakłopotany własną reakcją. Myślałem, że jako lekarz z długoletnim stażem jestem odporny na takie rzeczy. Ale to miejsce jest... nie do opisania. — Rozejrzał się po ubikacji, która była najplugawszą męską toaletą, w jakiej kiedykolwiek był. Na ścianach widniały plamy i sprośne graffiti, głównie po hiszpańsku. Wyłożona płytkami podłoga wyglądała, jakby nikt jej nigdy nie mył; pokrywała ją warstwa krwi i brudu naniesionego z hali ubojowej.

— Chcesz dać sobie spokój? Jeśli o mnie chodzi, nie miałabym nic przeciwko temu.

— Jeszcze nie — odrzekł Kim. — Ale jedno ci powiem. Byłem w ubojni zaledwie dwadzieścia sekund, ale to wystarczyło, żebym stał się wegetarianinem.

Nagły odgłos spuszczonej w toalecie wody, w jednej z dwóch kabin przy ścianie ubikacji, poderwał Kima na nogi. Nie zadał sobie trudu, żeby sprawdzić, czy kabiny są zajęte. Wyrwał z ucha słuchawkę, wepchnął ją razem z przewodem pod koszulę i odwrócił się do zlewu, udając, że się myje. Zza pleców dobiegł go zgrzyt otwieranych drzwi kabiny.

Kim przestraszył się, że tamten go słyszał, toteż przez chwilę nie odwracał się w jego kierunku. W lustrze zobaczył, jak tamten mija go powoli, przyglądając mu się z zaciekawieniem. I nagle serce podskoczyło Kimowi do gardła. Był to ten sam mężczyzna, który go zaatakował, najpierw tutaj, w rzeźni, a potem w jego własnym domu!

Kim powoli odwrócił się. Mężczyzna podszedł do drzwi, ale ich nie otworzył. Nadal przyglądał się Kimowi zaintrygowanym wzrokiem. Przez moment ich oczy spotkały się. Kim spróbował się uśmiechnąć, udając, że szuka papierowych ręczników. Dozownik był tuż obok, ale miał odłamany przód, a jego wnętrze było puste. Kim zaryzykował jeszcze jedno spojrzenie w stronę nieznanego. Tajemniczy wyraz twarzy tamtego nie zmienił się. Prawa dłoń Kima namacała tkwiący w kieszeni rewolwer.

Sekundy wydawały się minutami. Zimne, czarne i nieodgadnione oczy nieruchomego jak posąg mężczyzny wpijały się w niego bezustannie. Kim z trudem panował nad sobą, aby żadnym słowem nie przerwać krępującego milczenia.

Nagle mężczyzna otworzył drzwi i znikł za nimi.

Kim odetchnął. Nie zdawał sobie nawet sprawy, że wstrzymuje oddech. Pochylił głowę i wyszeptał do ukrytego mikrofonu:

— Dobry Boże, w jednej z ubikacji był ten szaleniec z nożem. Nie wiem, czy coś słyszał. Gapił się na mnie, ale nic nie powiedział. Miejmy nadzieję, że mnie nie rozpoznał.

Kim prysnął sobie w twarz zimną wodą, włożył do ucha zatyczkę, wziął głęboki oddech, a potem wyszedł z toalety do hali ubojowej. Próbował płytko oddychać przez usta, żeby nie czuć zapachu. Nogi miał jak z waty. W razie gdyby obcy zaczął się na niego, trzymał rękę w kieszeni, zaciśniętą na rękojeści rewolweru.

W pobliżu toalety stał Jed i najwyraźniej czekał na niego. Kim rozejrzał się w poszukiwaniu nieznanego — przez chwilę wydało mu się, że widzi go w oddali, znikającego za jakąś maszyną.

— Już dobrze?! — zapytał Jed, przekrzykując harmider.

Kim skinął głową i spróbował się uśmiechnąć. Tamten obdarzył go kwaśnym uśmiechem i wręczył mu długą miotłę ze sztywnym włosiem.

— Musiałeś mieć pełniejszy żołądek, niż przypuszczałeś — powiedział. Potem klepnął Kima w plecy i oddalił się.

Kim przełknął ślinę i wzdrygnął się, walcząc z następną falą mdłości. Wtulił głowę w ramiona, żeby nie patrzeć na szereg bezgłowych, obdartych ze skóry tusz; sunący przed nim szybko w drodze do chłodni. Ściskając w rękach miotłę, Kim próbował skoncentrować się na spychaniu nieczystości zalegających podłogę do jednej z kilku studzienek.

— Nie wiem, czy słyszysz mnie przez ten hałas — odezwał się Kim z ustami przy mikrofonie. — Wszystko wskazuje na to, że ten facet z nożem tutaj pracuje, co, prawdę mówiąc, wcale mnie nie dziwi. Myślę, że powinienem go odszukać.

Kim przykucnął w chwili, gdy jedna z ponad tysiącfuntowych, parujących tusz przesunęła się obok niego. Nie patrząc, dokąd idzie, przez nieuwagę znalazł się na trasie szynowego transportera umieszczonego pod sufitem hali. Teraz jego biały kitel był poplamiony krwią tak samo jak fartuchy pozostałych pracowników w tym ogromnym pomieszczeniu.

Kim wyprostował się, oszacował prędkość sunących tusz i przeszedł na drugą stronę. Miał zamiar pójść śladem człowieka, który go zaatakował.

— Nie ulega wątpliwości, że dostałem najgorszą pracę — mówił Kim, mając nadzieję, że Tracy słyszy go mimo ogólnego hałasu. — Jestem na samym dole drabiny, ale przynajmniej daje mi to możliwość swobodnego poruszania się. Inni robotnicy muszą się trzymać linii produkcyjnej. Stoją w jednym miejscu, podczas gdy tusze przemieszczają się.

Kim obszedł monstrualną maszynę, za którą zniknął nieznajomy. Podłoga w tej części hali była względnie czysta. Spod maszyny wyciekała niewielka strużka krwi. Na lewo od Kima znajdowała się ściana.

Kim szedł wciąż naprzód. Zbliżał się do ciemniejszej części hali, gdzie na suficie nie było jarzeniówek. Dostrzegł kilku pracujących tam ludzi. Z ogólnego hałasu wyłonił się nowy dźwięk — przerywany, dudniący odgłos, który skojarzył się Kimowi z pistoletem używanym w stolarstwie do wstrzeliwania gwoździ.

Kim nie przestawał zamiatać, chociaż na podłodze było mało nieczystości. Przeszedł następne dziesięć metrów i ominął kolejną maszynę, nim zorientował się, gdzie się znajduje.

— Jestem w miejscu, gdzie żywe zwierzęta wchodzą do budynku — rzucił do mikrofonu. — Wprowadza się je pojedynczo przez tunel. Kiedy zwierzę na przodzie zrówna się z podwyższoną platformą, stojący na niej człowiek przykładą mu do czoła coś, co przypomina młot pneumatyczny. Urządzenie to wydaje dźwięk podobny do pistoletu na gwoździe. Zapewne wbija w czaszkę zwierzęcia jakiś bolec, bo wszędzie widzę rozpryskującą się tkankę mózgu.

Kim odwrócił na chwilę wzrok. Poświęcał życie ratowaniu innych, toteż widok tej niepomowanej rzezi sprawił, że poczuł się słabo. Po chwili jednak zmusił się, aby ponownie tam spojrzeć.

— Krowy padają na wielki, obracający się bęben, który przerzuca je i wywraca do góry nogami — mówił Kim. — Potem robotnik wbija im haki w ścięgno Achillesa i zawiesza je na przesuwanej się szynie. Jeżeli choroba szalonych krów dotrze do tego kraju, zabijanie zwierząt w ten sposób nie będzie dobrym pomysłem. Bez wątplenia po całym ciele krowy rozchodzą się fragmenty tkanki mózgowej, bo serca krów ciągle jeszcze biją.

Przełamując w sobie odrazę do tego, czego był świadkiem, Kim zmusił się, żeby podejść bliżej. Miał teraz pełny, niczym nie ograniczony widok.

— Wiesz co? — ciągnął. — Te nieszczęsne woły w jakiś sposób wiedzą, co je czeka. Z pewnością wyczuwają unoszącą się w powietrzu woń śmierci. Kiedy idą tunelem, oddają kał jedno na drugie. To oczywiście powoduje zakażenie...

Urwał w pół zdania. Ledwie dziesięć kroków na prawo od niego stał mężczyzna z nożem. Kim natychmiast zrozumiał, dlaczego tamten tak lubi noże. Był jednym z dwóch ludzi, którzy podchodzili do ogłuszonych wiszących zwierząt. On lub jego partner wprawnym ruchem nadgarstka podrzynali zwierzęciu gardło, aby następnie uskoczyć spod fontanny trzydziestu litrów ciepłej krwi. Krew tryskała wielkimi, pulsującymi bryzgami, w miarę jak serce zwierzęcia przestawało bić, i zniknęła pod kratą w podłodze.

W następnej chwili Kim struchlał z przerażenia, gdy ktoś raptem klepnął go w ramię. Zanim zdążył pomyśleć, wystawił rękę w geście obrony.

Na szczęście był to tylko Jed. Nie wyglądał na zadowolonego. Reakcja Kima przestraszyła go tak samo, jak on przestraszył Kima.

— Do diabła, co ty tu robisz?! — wrzasnął.

Powtarzające się co chwila wstrząsy morderczego urządzenia brzmiały jak diabelski metronom.

— Chcę się trochę rozeznać! — odkrzyknął Kim.

Znów pobiegł wzrokiem w stronę napastnika, ale ten albo go nie widział, albo nie zwracał na niego uwagi. Odstąpił na bok i ostrzył nóż osełką, a jego partner sam podrzywał gardła. Kim wyraźnie widział nóż. Był podobny do tego, którym nieznajomy go zaatakował.

— Ej, mówię do ciebie! — wrzasnął rozżłoszczony Jed. Szturchnął Kima palcem w pierś. — Masz natychmiast zabrać swoją dupę tam, gdzie się patroszy. Tam leży to całe gówno i ty masz tam być.

Kim skinął głową.

— Chodź, pokażę ci — rzucił Jed. Gestem nakazał Kimowi pójść za sobą.

Kim ostatni raz spojrział na mężczyznę, który właśnie uniósł nóż, aby sprawdzić, czy jest ostry. Na ostrzu błysnęło światło. Tamten nie patrzył w jego stronę. Kim wzdrygnął się i ruszył za Jedem.

Niebawem znaleźli się z powrotem przy szynie z tuszami. Kimowi zaimponowała nonszalancja Jeda. Gdy przechodził między połciami mięsa, rozepchnął je na boki niczym ubrania na wieszaku. Kim brzydził się dotykiem gorących tuszy. Musiał czekać na właściwy moment, jakby wskakiwał w skakankę kręconą przez dwóch przyjaciół na podwórku.

— To jest twoje miejsce! — wrzasnął Jed, kiedy Kim zrównał się z nim, i uczynił gest, jakby zamiatał. — Tutaj odwala się brudną robotę i tutaj właśnie masz jeździć na miotle. Zrozumiano?

Kim niechętnie skinął głową, walcząc z kolejną falą mdłości. Był teraz w miejscu, gdzie usuwano organy wewnętrzne. Olbrzymie, węzowate sploty jelit wylewały się z rozcinanych tusz na stalowe stoły, spadając obok wielkich jak grejpfruty nerek, dygoczących wątrób i podłużnych trzustek.

Większość wnętrzości była związana, ale nie wszystkie. Niektórych albo nie powiązano, albo też sznury się pozrywały. Tak czy inaczej na stołach zalegało także sporo krowich odchodów, które na podłodze mieszały się ze strumieniami krwi.

Kim przycisnął miotłę do podłogi i zaczął spychać to paskudztwo w stronę jednej z licznych studzienek. Kiedy tak zamiatał, przypomniał sobie mit o Syzyfie i straszliwym losie, jaki spotkał okrutnego króla. Zaledwie uporał się z niewielkim odcinkiem podłogi, a już nadpłynął świeży potok krwi i odchodów.

Jedyną pociechę Kim znajdował w tym, że jego przebranie spełniło swoją funkcję. Był niemal pewny, że człowiek z nożem go nie rozpoznał.

Kim starał się nie zwracać uwagi na najbardziej odpychające szczegóły swojego nowego miejsca pracy. Zamiast tego bez reszty skupił się na zamiataniu. Aby wykonać następny krok w swoim śledztwie, musiał poczekać do przerwy obiadowej.

* * *

Wyglądający przez okno Shanahan widział, jak jumbo jet najpierw sunie mozolnie po pasie startowym, a potem ciężko podnosi dziób. Choć na pozór samolot rozpędzał się zbyt wolno, w końcu oderwał się od ziemi i poleciał w kierunku jakiegoś odległego celu.

Shanahan stał przy bramie numer trzydzieści dwa w terminalu „B”, czekając na lot z Chicago. Nielatwo było się tutaj dostać. Ludzie z ochrony lotniska próbowali zabronić mu wstępu bez biletu. Ponieważ jednak Shanahan umówił się na spotkanie z Leutmannem przy bramie, wiedział, że musi się tam dostać. Żadne prośby ani groźby nie przekonały ochroniarzy. Żeby rozwiązać ten problem, Shanahan musiał kupić bilet na samolot, którym nie zamierzał lecieć.

Shanahan i Derek nigdy przedtem się nie widzieli. Shanahan opisał mu swój wygląd, żeby tamten mógł go rozpoznać. Aby mieć pewność, że nie dojdzie do pomyłki, Shanahan powiedział, że będzie trzymać Biblię. Derek odparł, iż jego zdaniem Biblia to miły akcent. Dodał, że sam będzie miał czarną walizeczkę.

Drzwi rękawa otworzyły się i stanął przy nich jeden z agentów. Prawie natychmiast zaczęli wychodzić pierwsi pasażerowie, którzy przylecieli z Chicago. Shanahan podniósł Biblię i czekał, przyglądając się wyczekująco każdemu mężczyźnie.

Dziesiąty wyglądał dość obiecująco, choć jego powierzchowność kompletnie różniła się od wyobrażeń Shanahana. Mężczyzna był szczupłym blondynem po trzydziestce, z ciemną opalenizną. Nosił prążkowany urzędowy garnitur, a w rękę trzymał czarną skórzaną walizeczkę. Na

czubku starannie zaczesanej głowy miał zatknięte okulary przeciwsłoneczne. Mężczyzna przystanął w terminalu i niebieskimi oczyma omiółł jego wnętrze. Zauważywszy Shanahana, podszedł prosto do niego.

— Pan O'Brian? — zapytał z lekkim angielskim akcentem.

— Pan Leutmann — stwierdził Shanahan. Był zaskoczony. Sądząc po głosie, spodziewał się ciemnego, masywnego i silnego fizycznie osobnika. Tymczasem stojący przed nim mężczyzna bardziej przypominał angielskiego arystokratę niż płatnego zabójcę.

— Ufam, że ma pan przy sobie pieniądze — powiedział Derek.

— Oczywiście — odrzekł Shanahan.

— Nie będzie pan miał nic przeciwko temu, aby mi je dać?

— Tutaj, w terminalu? — zdziwił się Shanahan. Obejrzał się nerwowo za siebie. Miał nadzieję, że kwestię pieniędzy omówią na osobności, w jego samochodzie na podziemnym parkingu. Zamierzał negocjować korzystniejszą wysokość zaliczki, jak i całego wynagrodzenia.

— Albo dobijamy targu, albo nie — stwierdził Derek. — Najlepiej załatwić to od razu, żeby potem uniknąć wzajemnych pretensji.

Shanahan wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki kopertę i podał ją Derekowi. Było w niej dwa i pół tysiąca dolarów — połowa sumy, której zażądał zabójca. Shanahan nie miał najmniejszego zamiaru targować się publicznie.

Ku przerażeniu Shanahana Derek położył walizeczkę, bezceremonialnie rozdarł kopertę i przeliczył pieniądze. Shanahan niespokojnie rozejrzał się na boki. Chociaż wydawało się, że nikt nie zwraca na nich uwagi, Shanahan czuł się bardzo niezręcznie.

— Wspaniale — rzucił Derek i schował pieniądze do kieszeni. — Dobijamy targu. Jakie szczegóły miał mi pan dostarczyć?

— Czy moglibyśmy stąd pójść? — wykrztusił Shanahan przez ściśnięte gardło. Beztraska tamtego była denerwująca.

— Oczywiście — odparł Derek. Zrobił gest ręką w przeciwną stronę. — Może poszlibyśmy odebrać mój bagaż?

Shanahan ruszył, wdzięczny, że w końcu wychodzą z terminalu. Derek szedł obok, stąpając lekko w czarnych mokasynach.

— Nadał pan bagaż? — spytał Shanahan. Była to kolejna rzecz, której się nie spodziewał.

— Oczywiście. Linie lotnicze niechętnie widzą broń na pokładzie. W mojej pracy człowiek ma niewielki wybór.

Zmieszali się z tłumem innych przybyłych pasażerów. Po lewej stronie mijała ich podobna liczba ludzi, ściskając bilety i spiesząc w przeciwnym kierunku. Tutaj też nie można było rozmawiać.

— Mamy dla pana samochód — oznajmił Shanahan.

— Wspaniale — odparł Derek. — W tej chwili jednak bardziej interesuje mnie tożsamość ofiary. Jak się nazywa?

— Reggis. Doktor Kim Reggis. — Shanahan ponownie rozejrzał się po twarzach ludzi. Na szczęście nie dostrzegł, aby ktoś się nimi interesował bądź ich rozpoznał. — Oto ostatnie zdjęcie. — Wręczył fotografię Derekowi. Nie była najlepsza. Została odbita z artykułu w gazecie.

— Bardzo niewyraźne — stwierdził Derek. — Będę potrzebował więcej informacji.

— Zebrałem kilka danych biograficznych — poinformował Shanahan, podając mu kartkę papieru. — Jak pan widzi, jest tu opis tego człowieka. Jest także rok produkcji, model i marka jego samochodu oraz numer rejestracyjny. Ma pan również adres, ale mamy powody sądzić, że w tej chwili tam nie mieszka.

— To już coś — stwierdził Derek, przebiegając wzrokiem kartkę. — O tak. Bardzo dobrze.

— Sądzimy, że doktor Reggis spędził ostatnią noc w domu swojej byłej żony — podjął Shanahan. — Wczoraj rano wpłaciła za niego kaucję w areszcie.

— W areszcie? — zdziwił się Derek. — Czyżby doktor coś przeskrobał?

— Mało powiedziane.

Doszli do pasa transmisyjnego z bagażami i przepchnęli się między innymi pasażerami. Na ruchomym pasie właśnie pokazały się bagaże z lotu Dereka.

— Jest jeszcze coś, o czym, jak myślę, powinien pan wiedzieć — odezwał się Shanahan. — Wczoraj w nocy miała miejsce nieudana próba zabicia doktora.

— Dziękuję za szczerość — odrzekł Derek. — To istotnie ważna informacja. Pan chce oczywiście powiedzieć, że ten człowiek jest bardzo czujny?

— Coś w tym stylu — potwierdził Shanahan.

Rozległ się przenikliwy pisk i zdenerwowany Shanahan podskoczył. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że to jego pager. Zaskoczony, że ktoś go wzywa, skoro Bobby Bo wie, gdzie jest i co robi, Shanahan wyrwał pager z paska i spojrział na mały ekran wyświetlacza. Był tym bardziej zdezorientowany, że nie znał numeru, z którego telefonowano.

— Czy pozwoli pan, że skorzystam z telefonu? — zapytał Shanahan. Wskazał na rząd publicznych telefonów na pobliskiej ścianie.

— Proszę bardzo — odparł Derek. Z zadowoleniem studiował informacje o Kimie zapisane na kartce.

Shanahan, idąc, wygrzebał w kieszeni parę monet, po czym szybko wystukał tajemniczy numer. Słuchawka została podniesiona już po pierwszym sygnale. To był Carlos.

— Doktor jest tutaj! — powiedział podekscytowanym szeptem.

— Co ty, do diabła, wygadujesz? — zapytał Shanahan.

— Tutaj, w Higgins i Hancock — wyjaśnił Carlos półgłosem. — Mówię z telefonu w stołówce. Muszę się spieszyć. On pracuje tutaj jako sprzątacze. Wygląda jak wariat, człowieku.

— O czym ty mówisz?

— Wygląda niesamowicie — odparł Carlos. — Jak stary piosenkarz rockowy. Obciął włosy, a resztę przefarbował na blond.

— Żartujesz.

— Nie, człowieku! — upierał się Carlos. — Ma też szwy na twarzy, tam, gdzie go przeciąłem. To on, wiem, że to on, chociaż musiałem patrzeć na niego parę minut, zanim się upewniłem. Potem przyszedł na moje stanowisko i stał tam przez parę minut, aż przyszedł szef i go odciągnął.

— Jaki szef? — zapytał Shanahan.

— Jed Street.

— Czy doktor cię rozpoznał? — pytał Shanahan.

— Pewnie, czemu by nie? — powiedział Carlos. — Patrzył na mnie. Przez chwilę myślałem, że pójdzie za mną, ale nie zrobił tego. Gdyby to zrobił, załatwiłbym go. Chcesz, żebym to zrobił? Mogę go tutaj dorwać.

— Nie! — krzyknął Shanahan, na moment tracąc panowanie nad sobą. Wiedział, że gdyby Carlos zabił Kima w biały dzień, przy świadkach, byłby to koniec. Odetchnął głęboko, a potem spokojnie i powoli powiedział: — Nic nie rób. Udawaj, że go nie poznałeś. Zachowaj spokój. Skontaktuję się z tobą. Rozumiesz?

— Chcę zgnoić tego faceta — syknął Carlos. — Powiedziałem ci, że nie chcę pieniędzy.

— To bardzo hojnie z twojej strony — odrzekł Shanahan. — Tyle że to ty nawaliłeś na początku, ale teraz to już nie ma znaczenia. Skontaktuję się z tobą, okay?

— Okay — mruknął Carlos.

Shanahan odwiesił słuchawkę. Wciąż jeszcze trzymał na niej rękę, kiedy spojrzał na Dereka Leutmanna. To był dopiero dylemat. Przez chwilę nie wiedział, co robić.

* * *

Serce Tracy zamarło na moment, gdy niespodziewanie rozległo się pukanie w szybę okna. Stojąc na parkingu na końcu rzeźni, widziała różnych ludzi wsiadających i wysiadających ze swoich pojazdów. Ale nikt nie zbliżył się do jej samochodu. Tracy pospiesznie zdjęła słuchawki i odwróciła się, żeby wyjrzeć przez okno.

Przy wozie stał szkaradnie wyglądający mężczyzna w poplamionym drellichu i brudnym golfie. Na głowie miał odwróconą daszkiem do tyłu czapkę baseballową. Z dolnej wargi zwisał mu nie zapalony papieros, który poruszał się w górę i w dół, kiedy mężczyzna oddychał przez otwarte usta.

W pierwszym odruchu Tracy chciała uruchomić samochód i odjechać. Wnet jednak porzuciła ten pomysł, gdy przypomniała sobie o sterczącej na dachu antenie. Nie mając wielkiego wyboru, opuściła odrobinę szybę.

— Zobaczyłem cię z ciężarówki — odezwał się mężczyzna. Pokazał ręką za siebie na sąsiednią furgonetkę.

— Ach tak? — odpowiedziała z niepokojem Tracy. Nic innego nie przyszło jej do głowy.

Mężczyzna miał na twarzy brzydką bliznę, ciągnącą się od policzka aż po kark.

— Czego słuchasz? — zapytał.

— Nic takiego — odparła Tracy. Spojrzała na magnetofon. Taśma ciągle się przewijała. — Zwykła muzyka.

— Lubię muzykę country — oznajmił mężczyzna. — Słuchasz country?

— Nie — zaprzeczyła Tracy ze słabym uśmiechem. — To coś w rodzaju New Age. Tak naprawdę to czekam na męża. Pracuje tutaj.

— Ja robiłem tu hydraulikę — wyjaśnił mężczyzna. — Mają tu więcej kanałów i rur niż gdzie indziej w całym hrabstwie. A tak w ogóle, to chciałem zapytać, czy masz ogień. Nigdzie nie mogę znaleźć zapalniczki.

— Niestety — odparła Tracy. — Przykro mi, ale nie palę, nie mam nawet zapalek.

— No nic, dzięki — powiedział mężczyzna. — Przepraszam, że przeszkodziłem w słuchaniu.

— Nic się nie stało.

Mężczyzna odszedł, a Tracy odetchnęła z ulgą. Podciągnęła szybę. Ten incydent uzmysłowił jej, jak bardzo jest spięta. Była zdenerwowana już wtedy, gdy Kim zniknął w rzeźni, ale jej niepokój osiągnął szczyt, kiedy natknął się w ubikacji na zabójcę. Fakt, że nie mogła z Kimem rozmawiać, tylko pogarszał jej nastrój. Tak naprawdę chciała mu powiedzieć, żeby stamtąd uciekał — że po prostu nie warto narażać życia.

Ukradkiem rozejrzała się dokoła, sprawdzając, czy nikt jej nie śledzi, i ponownie włożyła słuchawki. Zamknęła oczy. Musiała mocno się skupić, aby dosłyszeć to, co mówi Kim. W rzeźni panował taki hałas, że Tracy była zmuszona maksymalnie ściszyć urządzenie.

* * *

Kim chodził bez przeszkód po hali, w której patroszono zwierzęta, i oglądał cały ten proces od początku do końca. Widział, jak zabijano krowy, zawieszano je na hakach i rozcinano im gardła. Następnie obdzierano je ze skóry i odcinano głowy, które zawieszano na hakach na oddzielnej szynie, która przesuwała je dalej. Po wypatroszeniu tusze przecinano wzdłuż straszliwą piłą — o wiele straszliwszą niż wszystko, co wymyślili dotychczas producenci filmów grozy z Hollywood.

Kim zerknął na zegarek i zmierzył prędkość, z jaką zabijano nieszczęsne zwierzęta. Był zdumiony. Przytknął podbródek do piersi i powiedział do mikrofonu:

— Miejmy nadzieję, że Lee Cook wykombinuje kamerę, która to sfilmuje. To najlepszy dowód na potwierdzenie słów Marshy. Powiedziała, że problem zakażonego mięsa ma swój początek w rzeźniach. Mówiła, że zyski wzięły górę nad względami bezpieczeństwa. Zmierzyłem właśnie czas. Okazuje się, że co dwadzieścia sekund zarzyna się jedną sztukę bydła. W takim tempie nie sposób uniknąć zakażenia mięsa drobnoustrojami chorobotwórczymi. Co się zaś tyczy zmowy między departamentem a przemysłem mięsnym, to jest ona oczywista nawet na poziomie operacyjnym. W górze na podestach stoi paru inspektorów. Wyróżniają się jak czarne

owce w stadzie. Noszą czerwone kaski zamiast żółtych, a ich białe kitle są stosunkowo czyste. Ale częściej śmieją się i żartują z robotnikami, niż kontrolują ich przy pracy. Cała ta inspekcja to pic na wodę. Chodzi nie tylko o to, że linia produkcyjna przesuwa się za szybko, ale ci faceci nawet nie patrzą na śmigające pod nimi tusze.

Kim spostrzegł nagle Jeda Streeta wałęsającego się wokół stołów i zlewów do patroszenia. Kim znów zabrał się do spychania nieczystości swoją miotłą. Zamiatając, oddalał się powoli od Jeda i wkrótce znalazł się w miejscu, gdzie odcinano krowom łby. Służyła do tego inna piła, nieco mniej przerażająca niż ta do przepoławiania tusz. Jeden z robotników odcinał nią kręgosłup do końca, jednak wcześniej inny nabijał ponad stufuntową głowę na hak zwisający z sufitu. Była to praca wymagająca dobrej współpracy i koordynacji.

Nie przestając wymachiwać miotłą, Kim przesuwał się obok szeregu obdartych ze skóry łbów. Martwe, pozbawione powiek ślepiec nadawały przejeżdżającym z chrzęstem po szynach głowom zdumiony wygląd.

Doszedł tak aż do miejsca, gdzie łby znikają w ściennym otworze. Za nim znajdowało się duże pomieszczenie. Kim od razu poznał miejsce, w którym został napadnięty w sobotnią noc.

Zerkając przez ramię, rozejrzał się za Jedem. Kiedy go nie dostrzegł wśród ogólnego pandemionium, postanowił zaryzykować, że tamten nie zauważy jego nieobecności, i przeszedł do sali z głowizną.

— Wszedłem do hali, do której wjeżdżają krowie łby — powiedział do mikrofonu. — To może być ważne. Marsha znalazła w dokumentach coś na temat głowy ostatniego zwierzęcia zaszlachtowanego w dniu, z którego mogło pochodzić mięso w hamburgerze Becky. Powiedziała, że to „ohydne”, co w tej chwili wydaje mi się dziwne, bo dla mnie cały ten interes to jedna wielka ohyda.

Kim obserwował, jak w dwunastosekundowych odstępach z haka spada na stół kolejna głowa, gdzie atakuje ją grupa rzeźników. Noże podobne do tych, których używano do podrzynania gardeł, szybko odcinały mięśnie policzków i języki. Mięso zabierali robotnicy i wrzucali je do wielkich pojemników o pojemności dwóch tysięcy funtów, podobnych do „kombo”, które Kim widział w Mercer Meats.

— Co minutę dowiaduję się czegoś nowego — odezwał się Kim. — W hamburgerach musi być mnóstwo krowich policzków.

Kim zauważył, że po usunięciu policzków i języków krowie łby spycha się na pas transmisyjny, który bezceremonialnie ciska je do czarnej dziury, prowadzącej zapewne do piwnicy.

— Trzeba będzie chyba odwiedzić piwnicę — dodał z niechęcią Kim. Przeczynał, że jego dziecięcy lęk przed piwnicami zostanie ponownie wystawiony na próbę.

* * *

Co prawda był poniedziałek, jednak Jed gotów był uznać dzień za udany. Rano zjadł obfite śniadanie, przyjechał do pracy dostatecznie wcześnie, żeby usiąść i wypić drugą filiżankę kawy z

innymi kierownikami, a potem przekonał się, że absencja tego dnia jest mniejsza niż zwykle. Szukanie i zatrudnianie dorywczych robotników przysparzało Jedowi najwięcej siwych włosów.

Jako że żaden z najważniejszych pracowników nie wziął chorobowego, Jed był spokojny, że do przerwy obiadowej jego zespół przerobi prawie tysiąc głów. Cieszyło go to, ponieważ wiedział, że to zadowoli jego przełożonego, Lenny'ego Strikera.

Jed zdjął kitel i powiesił go. Chcąc nadrobić papierkowe zaległości, wrócił do swojego biura z trzecim tego dnia kubkiem kawy. Usiadł za biurkiem i zabrał się do pracy. Czekala go znaczna liczba formularzy, które należało — jak co dzień — wypełnić.

Nie minęło zbyt wiele czasu, gdy zadzwonił telefon. Zanim podniósł słuchawkę, sięgnął po kawę. Raczej nie był zdziwiony telefonem o tak późnej porze, nie przypuszczał też, że chodzi o coś szczególnie ważnego. Był jednak przygotowany na wszystko. Odpowiadając za tak potencjalnie niebezpieczny dział jak ubojnia, Jed zdawał sobie sprawę, że katastrofa zawsze wisi w powietrzu.

— Halo — odezwał się, akcentując pierwszą sylabę. Upił łyk kawy.

— Jed Street? Tu Daryl Webster. Masz chwilę, żeby ze mną pomówić?

Jed wypluł kawę, po czym rzucił się, by zetrzeć ją z formularzy.

— Oczywiście, panie Webster — wykrztusił. Pracował w Higgins i Hancock od czternastu lat, lecz jego główny szef nie zadzwonił do niego nigdy aż do tej pory.

— Miałem telefon od jednego z ludzi Bobby'ego Bo — wyjaśnił Daryl. — Podobno zatrudniłeś dzisiaj nowego sprzątacza.

— Zgadza się — powiedział Jed. Poczul, że robi mu się gorąco. Zatrudnianie nielegalnych imigrantów odbywało się za cichym przyzwoleniem zarządu, oficjalnie było jednak zabronione. Jed pomodlił się w duchu, aby nie stał się kozłem ofiarnym.

— Jak się nazywa ten człowiek? — spytał Daryl.

Jed rozpaczliwie przeszukał papiery leżące na biurku. Zapisał sobie to nazwisko, choć nie na karcie zatrudnienia. Odetchnął z ulgą, znalazłszy właściwą kartkę.

— Jose Ramerez, proszę pana! — odczytał Jed.

— Pokazywał ci jakiś dowód tożsamości? — zapytał Daryl.

— O ile pamiętam, to nie — odpowiedział pokrętnie Jed.

— Jak on wygląda?

— Raczej dziwnie — odparł Jed. Był zdezorientowany. Nie umiał dociec, po co komu wygląd zewnętrzny tego człowieka.

— Możesz mi go opisać?

— Taki punk — zaczął Jed, zastanawiając się, jak jego czternastoletni syn opisałby tego mężczyznę. — Tlenione włosy, kolczyk w uchu, tatuaże, spodnie ze skóry.

— Czy to dość duży facet? — pytał Daryl.

— Tak, na pewno ponad sześć stóp wzrostu.

— I ma jakieś szwy na twarzy?

— Tak, ma — potwierdził Jed. — Skąd pan o tym wie?

— Powiedział, gdzie mieszka? — ciągnął Daryl.

— Nie, a ja nie pytałem — odpowiedział Jed. — Muszę powiedzieć, że był bardzo wdzięczny za tę robotę. Zgodził się nawet przepracować półtorej zmiany.

— To znaczy, że będzie pracował dziś w nocy? — zapytał Daryl. — Jest w ekipie sprzątaczy?

— Tak. Rano jeden z nich dzwonił, że jest chory.

— To dobrze — stwierdził Daryl. — Bardzo dobrze. Tak trzymać, Jed.

— Dziękuję panu — powiedział Jed. — Czy mógłbym coś dla pana zrobić albo przekazać panu Ramerezowi?

— Nie, nic — odparł Daryl. — Niech ta rozmowa zostanie między nami, dobrze? Mogę na ciebie liczyć?

— Absolutnie, proszę pana — zapewnił Jed.

Wzdrygnął się, słysząc odgłos odkładanej słuchawki. Ta rozmowa spadła na niego jak grom z jasnego nieba. Zanim odłożył słuchawkę, przez moment patrzył na nią pytająco.

* * *

Kim nie chciał, aby przyłapano go w sali z głowizną, gdzie nie było czego zamiatać, i powrócił do głównej hali ubojowej. Mimo że obszedł prawie całą rzeźnię, ciągle nie miał pojęcia, o czym mówiła Marsha, wspominając o tej ostatniej głowie. Do wyjaśnienia pozostawało jedynie, co się dzieje z łbami, gdy znikną w czarnej dziurze.

Wrócił do sektora, gdzie patroszono zwierzęta, i ponownie zamiótł podłogę, którą czyścił już kilka razy. To był jeden z najbardziej frustrujących aspektów tej pracy — wystarczyło piętnaście minut, by podłoga wyglądała tak, jakby nigdy jej nie sprzątał.

Mimo zatyczek w uszach Kim usłyszał nagle chrypliwe buczenie. Wyprostował się i rozejrzał. Od razu spostrzegł, że bydlę zatrzymało się w tunelu. Ubój ustał. Budzącym litość zwierzętom stającym obok człowieka, który je szlachtował, zawieszono tymczasem wykonanie wyroku. Kat odłożył na bok swoje narzędzie i zwijał długi wysokociśnieniowy wąż.

Ubite już zwierzęta przeszły przez całą linię produkcyjną, póki nie wypatroszono ostatniego z nich. Wówczas linia stanęła, a przeraźliwy hałas zastąpiła upiorna cisza.

Dopiero po jakimś czasie Kim zdał sobie sprawę, że tę ciszę spowodowały również zatyczki w jego uszach. Kiedy je wyjął, dobiegły go trzaski odkładanych narzędzi i szmer ożywionych rozmów. Niektórzy robotnicy zeskakiwali z podestów, inni zaś schodzili po schodach i drabinkach.

Kim zatrzymał jednego z nich i zapytał, co się dzieje.

— Nie mówić po angielski — odpowiedział robotnik i pognął dalej.

Kim zatrzymał innego.

— Mówisz po angielsku? — spytał.

— Trochę — odpowiedział tamten.

— Co się dzieje?

— Przerwa obiadowa — wyjaśnił mężczyzna i poszedł w ślady swego poprzednika.

Kim patrzył, jak około stu robotników ustawia się w kolejce do przejścia przez drzwi przeciwpożarowe. Zmierzali do stołówki i szatni. Podobna liczba pracowników wyszła z głównej sali oczyszczania kości przez salę z głowizną. Mimo wszechobecnej śmierci i nieznośnego fetoru dopisywał im dobry nastrój. Co chwila któryś wybuchał śmiechem albo szturchał przyjaciela w bok.

— Nie wiem, jak oni mogą jeść — powiedział do mikrofonu Kim.

Nagle zobaczył mężczyznę, który go zaatakował. Szedł ze swym partnerem. Przeszli obok niego bez jednego spojrzenia, żeby dołączyć do ciągle wydłużającej się kolejki. Kim poczuł się jeszcze pewniej w swoim przebraniu.

Zatrzymał jednego z robotników zajmujących się patroszeniem, którego wilgotny biały kitel pstrzyły różowe i czerwone plamy. Zapytał, jak zejść do piwnicy. W odpowiedzi mężczyzna zrobił gest, który sugerował, że Kim oszalał.

— Mówisz po angielsku? — zapytał Kim.

— Jasne, że mówię, człowieku — odparł robotnik.

— Chcę zejść na dół — powiedział Kim. — Jak się tam dostać?

— Lepiej tam nie schodzić — poradził mężczyzna. — Ale jeśli musisz, idź przez te drzwi. — Wskazał nie oznakowane drzwi z automatycznym zatraskiem na górnej krawędzi.

Kim zamiatał dalej, do chwili aż ostatni robotnik zniknął za drzwiami przeciwpożarowymi. Po zgiełku i chaosie, jaki panował tu jeszcze niedawno, Kim poczuł się dziwnie, sam na sam z czterdziestoma czy pięćdziesięcioma parującymi tuszami na hakach. Po raz pierwszy, odkąd tu przybył, podłoga wokół miejsca, gdzie patroszono zwierzęta, była wolna od zakrzepłej krwi.

Odłożywszy miotłę, Kim podszedł do drzwi, które wskazał mu robotnik. Prędko obejrzał się przez ramię, aby się upewnić, że nikt go nie śledzi, po czym otworzył drzwi i wszedł do środka. Drzwi szybko zamknęły się za nim.

Pierwsze, co uderzyło Kima, to zapach. Był dziesięć razy gorszy niż w hali ubojowej, gdzie wcześniej zdjęły go mdłości. Sprawiał to fetor gnijących resztek mięsa. Chociaż Kimowi parę razy zrobiło się niedobrze, nie mógł zwymiotować. Uznał, że to dlatego, iż ma pusty żołądek.

Stał na szczycie betonowych schodów prowadzących w dół, w kompletne ciemności. Nad głową miał jedną gołą żarówkę. Na ścianie za nim wisiała gaśnica i ogromna latarka.

Kim wyrwał latarkę z uchwytów i włączył ją. Skierował skupiony snop światła w dół, odsłaniając długie schody prowadzące do jakiejś piwnicy. Na ścianach widniały wielkie, brązowe plamy jak z testu Rorschacha. Odległa podłoga wydawała się gładka i czarna jak kałuża ropy naftowej.

Kim ściągnął jedną gumową rękawicę i poszukał słuchawki. Umieścił ją w uchu.

— Słyszysz mnie, Tracy? — zapytał. — Jeśli tak, powiedz coś. Włożyłem już słuchawkę.

— Najwyższy czas! — zawołała zirytowana Tracy. Jej głos brzmiał czysto i wyraźnie, mimo iż Kima otaczały żelbetonowe ściany. — Chcę, żebyś natychmiast stamtąd wyszedł.

— Ojej! — zdziwił się Kim. — Dlaczego taka zdenerwowana?

— Ponieważ jesteś tam razem z człowiekiem, który już dwa razy próbował cię zabić — odpowiedziała Tracy. — To nie ma sensu. Chcę, żebyś zaprzestał tego szaleństwa.

— Mam tu jeszcze coś do zbadania — odparł Kim. — Poza tym facet z nożem mnie nie rozpoznał, więc uspokój się!

— Gdzie jesteś? Dlaczego tak długo nie wkładałeś słuchawki? Myślałam, że zwariuję, nie mogąc z tobą rozmawiać.

Kim ruszył w dół schodów.

— Słuchawka to za duże ryzyko, chyba że jestem sam — wyjaśnił. — A jeśli chodzi o to, gdzie jestem w tej chwili, to schodzę do piwnicy, co, muszę przyznać, nie należy do przyjemności. To jak schodzenie do niższych kręgów piekła. Panujący tu smród jest nie do opisania.

— Uważam, że nie powinieneś tam schodzić — oznajmiła Tracy. — Cieszę się, że mnie słyszysz, ale dla ciebie bezpieczniej jest przebywać w grupie. Poza tym do piwnicy prawdopodobnie nie wolno wchodzić i jeśli ktoś cię tam znajdzie, z pewnością będą kłopoty.

— Wszyscy jedzą obiad — odparł Kim. — Nie martwię się, że ktoś mnie tu znajdzie.

Oddychając przez usta, żeby nie czuć fetoru, Kim dotarł do końca schodów. Latarką oświetlił rozległą i czarną jak smoła przestrzeń. Było to składowisko cystern i wielkich pojemników podobnych do kontenerów na śmieci. Każdy łączył się z poprowadzonym przez sufit kanałem, do którego spływały krew, niepotrzebne wnętrzności, kości i czaszki.

— Tutaj magazynuje się wszystkie ochłapy, które potem wywozi się do przetworni — odezwał się Kim. — Sądząc po odorze, wszystko jest w różnym stopniu rozkładu. Nie ma żadnego chłodzenia. Trudno sobie wprost wyobrazić, jak okropnie tu śmierdzi, a latem musi być jeszcze gorzej.

— Makabra — wtrąciła Tracy. — Trudno uwierzyć, że takie śmieci mogą się do czegokolwiek przydać.

— W przetworni przerabiają je na nawóz — powiedział Kim. — I uwaga: na karmę dla bydła! Przemysł zmusił nieświadome niczego krowy do przejścia na kanibalizm.

Na moment zapadła cisza.

— Psst! — syknął Kim, czując zimny powiew na plecach.

— Co się stało?

— Usłyszałem jakiś hałas — odparł Kim.

— Więc uciekaj stamtąd — poleciła zdenerwowana Tracy.

Kim poświecił latarką w kierunku, skąd doleciał hałas. Niemal tak samo jak poprzedniej nocy w jego piwnicy wpatrywały się w niego diaboliczne, czerwone oczka. W następnej sekundzie zniknęły, a Kim zobaczył rozpierzchające się stado zwierząt wielkości domowego kota. Tym razem jednak nie były to myszy.

— Okay — odezwał się Kim. — To tylko olbrzymie szczury.

— Och, drobnostka — rzuciła z sarkazmem Tracy. — To tylko stadko przyjaźnie nastawionych szczurów.

Kim postawił nogę na podłodze i przekonał się, że jej powierzchnia nie tylko przypomina rozlaną ropę naftową, lecz ma także bardzo podobną konsystencję. Jego buty wydawały głośny, mlaszczący dźwięk za każdym razem, gdy odrywał je od podłoża.

— Patrząc na koszmarny obraz czasów postindustrialnych — skomentował Kim.

— Przestań filozofować — warknęła Tracy. — No dalej, Kim! Wyłaż stamtąd! Co ty tam w ogóle robisz?

— Staram się odnaleźć kanał, którym spadają głowy — odrzekł Kim.

Brnął naprzód pośród cystern i kontenerów, próbując ustalić, gdzie piętro wyżej znajduje się hala z głowizną. Podeszedł do ściany z litego betonu, która — jak przypuszczał — stanowiła przedłużenie ściany powyżej. To zaś oznaczało, że kanał, którego szukał, jest po jej drugiej stronie.

Kim skierował światło wzdłuż ściany, aż znalazł przejście. Podeszłszy tam, pochylił się i przeszedł przez otwór. Oświecił latarką sąsiednie pomieszczenie. Było znacznie mniejsze niż pierwsze i czystsze. Zawierało też to, czego się spodziewał. Tuż po prawej wznosił się tunel połączony ze szczególnie pojemnym kontenerem na odpadki.

— Wygląda obiecująco — stwierdził Kim. — Myślę, że znalazłem. Ma rozmiary zwykłego kontenera na śmieci. — Powiódł światłem w górę aż do miejsca, gdzie tunel przebijał strop. Szacował, że średnica tunelu odpowiada mniej więcej średnicy otworu, który zapamiętał z sali z głowizną.

— Okay, wspaniale! — zawołała Tracy. — A teraz wychodź stamtąd.

— Chwileczkę. Chcę sprawdzić, czy da się zajrzeć do środka.

Podeszedł do skorodowanego, brudnego kontenera. Tutaj jego buty nie plaskaly już przy chodzeniu. Do ściany kontenera, tuż obok wlotu tunelu, była przymocowana mała metalowa platforma, do której prowadziły cztery schodki. Kim wszedł na nią. Miał teraz widok na wierzch kontenera. Tuż przed nim była kłapa zamknięta na metalowy zatrzask. Kim odciągnął go na bok, ale nie mógł podnieść kłapy. Przynajmniej nie jedną ręką.

Włożył latarkę między kolana i wsadził obie dłonie pod krawędź kłapy. Uniosła się ze zgrzytem. Podtrzymując ją lewą ręką, prawą wyciągnął latarkę i zaświecił nią do środka. Widok nie był piękny.

Kontener był wypełniony po brzegi gnijącymi, obdartymi ze skóry bydłęcymi łbami. W odróżnieniu od świeżo odciętych, zakrwawionych głów na górze, tutaj ich oczy wyschły, a chrząstki poczerniały. Widać było wyraźnie dziury zrobione przez pistolet pneumatyczny.

Zdegustowany widokiem i zapachem, Kim miał już opuścić kłapę, gdy raptem z ust wyrwał mu się okrzyk przerażenia. Snop światła odsłonił przed nim wyjątkowo upiorny widok. Częściowo zagrzebana pod warstwami nowych czaszek leżała odcięta głowa Marshy!

Pod wpływem szoku Kim wypuścił ciężką klapę, która zatrzasnęła się z hukiem. Dudnienie odbiło się echem od betonowych ścian.

— Co się stało?! — krzyknęła Tracy.

Zanim zdążył odpowiedzieć, do ich uszu wdarł się przeraźliwy pisk. Zatrzaśnięta klapa uruchomiła jakieś automatyczne urządzenie. Kim chwycił latarkę i skierował ją w stronę, skąd dobiegał pisk. Zobaczył, jak na górze unoszą się zardzewiałe stalowe drzwi.

Kim słyszał Tracy domagającą się wyjaśnień, ale nie mógł jej odpowiedzieć, gdyż po prostu nie wiedział. Za unoszącymi się drzwiami pojawił się brudny wózek widłowy, który naraz ożył niczym straszliwy, futurystyczny stwór. Na jego przodzie rozbłysły czerwone światła, zalewając piwnicę kolorem krwi. Jak tylko drzwi otworzyły się na oścież, pojazd zaczął wydawać miarowe, piskliwe piknięcia i potoczył się naprzód, trzęsąc się i podskakując. Przerazony nieuchronnym zderzeniem Kim zeskoczył z platformy i przywarł do ściany.

Pozbawiony kierowcy pojazd rąbnął w kontener głośniej niż zatraskująca się klapa. Pojemnik zadrżał i uniósł się. Kiedy wózek zaczął się cofać, odpadł też tunel łączący kontener z halą na górze. Gdy kontener został już całkowicie usunięty, drugi, stojący obok, ześlizgnął się na jego miejsce z grzmiącym łoskotem. Tunel został połączony automatycznie.

Wózek stanął, obrócił się, a potem odjechał, niknąc w ciemnościach.

— Kim, nie wiem, czy mnie słyszysz, ale ja tam wchodzę! — krzyknęła Tracy.

— Nie! — wrzasnęła do mikrofonu Kim. — Jestem zdrów i cały. Niechcący uruchomiłem jakiś mechanizm wymiany kontenera. Ale już wychodzę, więc nie ruszaj się z miejsca.

— Przyjdiesz tutaj, do samochodu? — zapytała z nadzieją w głosie Tracy.

— Tak — potwierdził Kim. — Muszę czym prędzej zaczerpnąć świeżego powietrza.

* * *

Nie, żeby Derek Leutmann nie miał zaufania do Shanahana O'Briana, ale wiedział, że w tej nieprzyjemnej historii kryje się coś więcej niż to, co mu powiedziano. Ponadto Derek działał wedle ustalonych metod. Zabijanie ludzi to biznes, w którym obowiązuje zasada, że ostrożności nigdy nie za dużo. Zamiast jechać do domu Tracy, jak to początkowo sugerował Shanahan, Derek wybrał się do domu Kima. Chciał sprawdzić wiarygodność informacji Shanahana, jak również dowiedzieć się czegoś o swojej ofierze.

Derek pojechał na osiedle Balmoral i bez wahania skręcił w stronę domu Kima. Z doświadczenia wiedział, że takie zachowanie jest o wiele mniej podejrzane niż krążenie po okolicy. Zaparkował na podjeździe przed garażem. Otworzył metalową walizkę marki zero Halliburton, która leżała na siedzeniu dla pasażera. Ze specjalnie wyciętego schowka w styropianie wydobył automatyczny pistolet kalibru dziewięć milimetrów. Z wprawą dokręcił do niego tłumik i schował broń w prawej kieszeni płaszcza z wielbłądziej wełny. Kieszeń była przerobiona tak, aby zmieściła się w niej długa broń.

Derek wysiadł z samochodu, trzymając swój neseser ze strusiej skóry. Zajrzał szybko do garażu. Był pusty. Potem ruszył frontową ścieżką, wyglądał jak zamożny biznesmen lub elegancki agent ubezpieczeniowy. Nadusił dzwonek u drzwi. Dopiero wtedy rozglądnął się po okolicy. Z portyku było widać jedynie dwa inne domy. Obydwa wyglądały na puste.

Zadzwoił ponownie. Kiedy nikt nie odpowiedział, nacisnął klamkę u drzwi. Co prawda zdziwił się, ale i ucieszył, że nie są zamknięte. Nawet gdyby były, nie robiłoby mu to większej różnicy. Derek miał narzędzia i wystarczające doświadczenie, aby uporać się z większością zamków.

Bez chwili wahania wkroczył do domu i zamknął za sobą drzwi. Jakiś czas stał nieruchomo, nasłuchując. Było cicho jak makiem zasiał.

Nie rozstając się z walizeczką, Derek obszedł prędko cały parter. W zlewie zauważył kilka brudnych naczyń. Najwyraźniej spoczywały tam już od dłuższego czasu.

Po wejściu na piętro zobaczył roztrzaskane drzwi do łazienki. Spostrzegł połamaną konsolkę. Wszedł do łazienki i pomacał ręczniki. Nie ulegało wątpliwości, że w ostatnim czasie nikt z niej nie korzystał. Przynajmniej te informacje od Shanahana okazały się dokładne. W szafie w sypialni popatrzył na ubrania rozrzucone na podłodze. Zastanawiał się, co właściwie zaszło.

Wrócił na parter, wszedł do gabinetu i usiadł przy biurku Kima. Nie zdejmując rękawiczek, zabrał się do przeglądania korespondencji, żeby dowiedzieć się czegoś o Reggisie. W końcu przyjechał aż z Chicago, aby go zabić.

* * *

Tracy cofnęła samochód, aby widzieć front budynku Higgins i Hancock. Przyszło jej na myśl, aby podjechać pod wejście, ale obawiała się tego, gdyż nie ustaliła z Kimem, gdzie będzie na niego czekać. Bała się, że on może wyjść innymi drzwiami, a wtedy będzie musiał jej szukać.

Niebawem zobaczyła go, jak wychodzi przez frontową bramę i biegnie truchtem w jej stronę. Miał na sobie biały kitel, a na głowie żółty kask budowlany. Podbiegł do samochodu, obejrzał się za siebie i wsiadł na tylne siedzenie.

— Jeszcze nigdy nie widziałam cię tak bladego — odezwała się Tracy. Wychyliła się na swoim siedzeniu tak daleko, jak pozwalała jej na to kierownica. — Ale pewnie podkreślają to twoje blond włosy.

— Widziałem jedną z najgorszych rzeczy w moim życiu.

— Co takiego? — spytała z przestraszeniem Tracy.

— Głowę Marshy Baldwin — odparł Kim. — To prawdopodobnie wszystko, co z niej zostało, nie licząc paru kości. Zabrzmi to obrzydliwie, ale obawiam się, że większość jej ciała poszła na hamburgery.

— O Boże! — pisnęła Tracy. Spojrzała Kimowi w oczy i ujrzała w nich łzy, co wywołało u niej podobną reakcję.

— Najpierw Becky, a teraz to — powiedział Kim. — Cholernie cięży mi ta odpowiedzialność. Przeze mnie jedna tragedia pociągnęła za sobą drugą.

— Rozumiem, co czujesz — pocieszyła go. — Ale jak już mówiłam, Marsha zrobiła tylko to, co chciała zrobić, co uważała za słuszne. To nie usprawiedliwia jej śmierci, ale to także nie twoja wina.

Wyciągnęła do Kima rękę. Ujął jej dłoń i uściśnął ją. Przez parę chwil oboje trwali w milczeniu. Oboje czuli przepływającą przez nich potężną falę porozumienia.

Tracy westchnęła, potrząsnęła z rozpaczą głową, potem cofnęła rękę. Odwróciła się na siedzeniu i uruchomiła silnik. Zwinęła antenę, jeszcze zanim Kim wszedł do auta.

— Jedno jest pewne — odezwała się, wrzucając bieg. — Zabieramy się stąd.

— Nie! — Kim pochylił się i położył rękę na jej ramieniu. — Muszę wrócić. Chcę to zobaczyć do końca. Zarówno dla Becky, jak dla Marshy.

— Kim, mamy dowody, że popełniono morderstwo! — rzuciła gwałtownie. — Teraz kolej na policję.

— To tylko jedno morderstwo — odparł Kim. — Jedno morderstwo błędnie wobec mordowania pięciuset dzieci rocznie tylko po to, aby podnieść zyski rzeźni.

— Odpowiedzialność za śmierć tych dzieci może być trudna do udowodnienia w sądzie — zaoponowała Tracy. — Natomiast znalezienie głowy zamordowanej osoby to wygrana sprawa.

— Znalazłem głowę, ale nie wiem, gdzie ona teraz jest — odparł Kim. — Była razem z krowimi łbami, ale kiedy zatrzasnąłem klapę, włączył się system wywozu kontenerów. Jest już pewnie w drodze do przetwórnicy. Straciliśmy więc koronny dowód w sprawie śmierci Marshy. A moje słowo znaczy dla policji tyle co nic.

— Policja może zacząć własne śledztwo — zauważyła Tracy. — Być może znajdą inne kości.

— Nawet jeśli im się to uda — odparł Kim — nie chodzi o to, żeby oskarżyć jednego, nisko postawionego łajdaka jak ten facet, który próbował mnie zabić. Chcę zrobić porządek z całym tym przemysłem.

Tracy ponownie westchnęła i zgasła silnik.

— Ale po co miałbyś tam wracać? Dokonałeś tego, co zamierzyłeś. Przekonałeś się, że nie-trudno będzie udowodnić, iż mięso ulega zakażeniu. — Tracy stuknęła ręką w magnetofon. — Ta taśma może okazać się równie dobra jak nagranie wideo. Mówię ci, że twój opis tego, co tam się dzieje, to mocny materiał. Jestem pewna, że Kelly Anderson się na niego rzuci.

— Chcę wrócić głównie dlatego, że, jak słyszałaś, będę pracował na wieczornej zmianie, od piętnastej do dwudziestej trzeciej — wyjaśnił Kim. — Liczę na to, że uda mi się w tym czasie dostać do archiwum. Marsha znalazła tam coś, co nazwała „raportem o niedoborze jakości”, który dotyczył głowy chorego zwierzęcia. Powiedziała, że odkłada go do teczki, i słyszałem, jak to robi. Chcę odnaleźć ten dokument.

Przygnębiona Tracy potrząsnęła głową.

— To zbyt wielkie ryzyko — stwierdziła. — Jeżeli Kelly Anderson się w to zaangażuje, niech ona znajdzie ten raport.

— Nie sądzę, żebym coś ryzykował — odrzekł Kim. — W męskiej ubikacji ten facet z nożem popatrzył mi prosto w oczy. Mimo to nie rozpoznał mnie. Prawdę mówiąc, nie jest mi już nawet potrzebna broń.

Kim z trudem wyciągnął rewolwer z kieszeni spodni. Podał go Tracy.

— Przynajmniej weź broń.

Kim pokręcił głową.

— Nie, nie chcę.

— Proszę — dodała Tracy.

— Tracy, już z tymi bateriami mam dosyć do dźwigania. Poza tym kiedy mam broń, czuję się bardziej niepewnie niż pewnie.

Tracy niechętnie wzięła od niego rewolwer i położyła go na podłodze.

— Czy nie zdołam cię namówić, żebyś tam nie szedł?

— Chcę doprowadzić to do końca. Przynajmniej tyle mogę zrobić — upierał się Kim.

— Mam nadzieję, że rozumiesz, iż można zwariować, siedząc tutaj, kiedy ty bierzesz całe ryzyko na siebie.

— Rozumiem — przyznał Kim. — Proponuję, żebyś pojechała do domu. Wrócisz po mnie o dwudziestej trzeciej.

— Co to, to nie! — oburzyła się Tracy. — To byłoby najgorsze. Tak przynajmniej mogę słyszeć, co się dzieje.

— Okay. Twój wybór. No, na mnie już czas. Przerwa obiadowa zaraz się skończy. — Wystawił nogi z samochodu, ale pozostał w środku. — Mogę cię prosić o małą przysługę? — zapytał.

— Oczywiście — odparła Tracy. — Jeżeli nie będę musiała opuszczać wozu.

— Zadzwońiłabyś ze swojej komórki do laboratorium Sherringa? — poprosił Kim. — Zapytasz o wyniki badań mięsa, które im zostawiłem. O tej porze już powinni je mieć.

— Dobrze — zgodziła się Tracy.

Kim zacisnął dłoń na jej ramieniu.

— Dzięki — rzucił i wysiadł. Zamknął drzwi, pomachał jej ręką i poszedł w stronę rzeźni.

* * *

Derek Leutmann zwolnił, zbliżając się do domu Tracy. Numery na sąsiednich budynkach nie były zbyt dobrze widoczne, on zaś nie chciał przejeżdżać blisko nich. Kiedy ukazał mu się dom Tracy, zobaczył mercedesa zaparkowanego na początku podjazdu. Nie chcąc blokować drogi, Derek zawrócił i zatrzymał się po drugiej stronie ulicy. Wyjął kartkę z informacjami, którą dał mu Shanahan, i sprawdził numer rejestracyjny mercedesa. Jego podejrzenia potwierdziły się. Samochód należał do doktora.

Po tych samych przygotowaniach, jakie przedsięwziął przed domem Kima, Derek wyszedł na lekki deszczyk, który właśnie zaczął siąpić. Otworzył mały składany parasol, a potem wyciągnął z auta neseser. Trzymając go w jednej ręce, a parasol w drugiej przeszedł przez ulicę i zajrzał do mercedesa. Jego widok zaskoczył go, sądził, że Kim pojechał nim do swego gabinetu. To oczywiście wskazywało, że doktora nie ma w szpitalu.

Derek wiedział teraz o Kimie znacznie więcej niż przedtem. Wiedział, że ten jest kardiochirurgiem cieszącym się wielkim uznaniem. Wiedział też, że jest rozwiedziony, płaci wysokie alimenty i łoży na dziecko. Nie wiedział jedynie, dlaczego O'Brian i jego szef chcą tego człowieka uśmiercić.

Derek zapytał o to Shanahana, ale otrzymał wymijającą odpowiedź. Derek nigdy nie chciał znać szczegółów na temat interesów łączących jego klienta z potencjalną ofiarą, ale chciał mieć ogólną orientację. Był to kolejny sposób redukcji ryzyka, nie tylko podczas zamachu, ale i po nim. Próbował naciskać na Shanahana, ale bez rezultatu. Usłyszał jedynie, że idzie o przemysł mięsny. Zastanawiające było to, że Derek nie doszukał się żadnych powiązań między doktorem a przemysłem mięsnym, mimo że na biurku doktora znalazł masę różnych informacji.

Większość zleceń Dereka wynikała z problemów finansowych, związanych w taki czy inny sposób z hazardem, konkurencją, rozwodami i nie spłaconymi długami. Ci ludzie byli zazwyczaj zwykłymi łajdakami, niezależnie od tego, czy byli klientami, czy ofiarami. Taka sytuacja odpowiadała Derekowi. Ten przypadek jednak wydawał się zupełnie inny, tak że do silnych emocji doszła jeszcze ciekawość. Najbardziej nie lubił, kiedy go nie doceniano i oszukiwano. Nie trafił do tego interesu w zwyczajny sposób — za pośrednictwem mafii. Kiedyś był najemnikiem w Afryce, w czasach kiedy istnieli dobrzy i zli faceci, zanim wyszkolono armie narodowe.

Derek wszedł na ganek i zadzwonił do drzwi. Ponieważ samochód Kima był na podjeździe, spodziewał się, że ktoś otworzy, ale tak się nie stało. Zadzwonił jeszcze raz. Odwrócił się i omiół wzrokiem najbliższe budynki. Były zupełnie inne niż w sąsiedztwie domu Kima. Derek miał bardzo dobry widok na pięć domów i całkiem niezły na jeszcze cztery. Ale nie zauważył zbyt wielu oznak ożywienia. Jediną osobą, jaką zobaczył, była kobieta pchająca dziecinnie wózek, która w dodatku szła w przeciwną stronę.

Choć starannie przejrzał korespondencję i notatki doktora, Derek nie znalazł ani jednego dowodu świadczącego, że ma on problemy z hazardem, dlatego wywnioskował, że to nie hazard skłonił Shanahana do zlecenia tego kontraktu. Nie był to również rozwód, gdyż była żona otrzymała wysokie uposażenie. Poza tym ona i doktor najwidoczniej pozostawali w dobrych stosunkach. Gdyby było inaczej, z pewnością nie wpłaciłaby za niego kaucji, o czym doniósł mu Shanahan. Dług także nie wchodził w rachubę, gdyż nic w notatkach Kima nie wskazywało, że potrzebuje pieniędzy, a nawet jeśli, to dlaczego miałyby je pożyczać od producenta wołowiny? Pozostawała więc konkurencja. To jednak wydawało się najmniej prawdopodobne. Kim nie posiadał nawet akcji w przemyśle mięsnym, nie licząc paru udziałów w sieci restauracji z hamburgerami. Było to naprawdę tajemnicze.

Derek odwrócił się i przyjrzał drzwiom. Były zabezpieczone standardowymi zasuwami i zamkiem — zwykła formalność, biorąc pod uwagę jego doświadczenie. Nie wiedział jeszcze, czy w domu jest alarm.

Postawił na ziemi neseser i złożył dłonie w daszek, zaglądając do wnętrza przez boczne okienko. Nie dostrzegł haczyków na klucze. Z lewej kieszeni wyjął narzędzia ślusarskie i szybko sforsował zamki. Drzwi uchyliły się do środka. Obejrzał wewnętrzną stronę framugi. Nie było żadnych styków. Wszedł do małego przedpokoju i zaczął szukać haczyków na tych częściach ścian, których nie mógł dojrzeć z zewnątrz. Nie znalazł ich. Potem przebiegł wzrokiem po gzymsach, szukając wykrywaczy ruchu. Odprężył się. Nie było żadnego systemu alarmowego.

Derek wrócił po neseser i zamknął drzwi. Szybkim krokiem przemierzył cały parter, a następnie wszedł na piętro. W pokoju gościnnym znalazł małą torbę z przyborami do golenia i ubraniami, które — jak się domyślał — należały do Kima. W jedynej łazience znalazł kilka mokrych ręczników.

Derek zszedł na dół i rozsiadł się wygodnie w salonie. Samochód Kima stał na podjeździe, a w pokoju gościnnym leżały jego rzeczy, zatem Derek wiedział, że doktor tutaj wróci. Była to tylko kwestia czasu.

* * *

Carlos odepchnął zaskoczonego Adolpha i wsadził swoją kartę pracy do zegara, nim zdążył to zrobić jego partner. Od miesięcy płatali sobie tego samego figla.

— Następnym razem cię dostanę — zażartował Adolpho. Starał się mówić po angielsku, bo Carlos powiedział mu, że chce się nauczyć lepiej mówić.

— Po moim trupie — odparł Carlos. Było to jedno z jego ulubionych nowych powiedzonek.

To Adolpho namówił Carlosa do pracy w rzeźni Higgins i Hancock, a potem pomógł mu ściągnąć rodzinę. Adolpho i Carlos znali się od dzieciństwa, razem wychowali się w Meksyku. Adolpho przybył do Stanów Zjednoczonych kilka lat przed Carlosem.

Obaj przyjaciele wyszli na popołudniowy deszcz. Wraz z całą armią robotników skierowali się do swoich samochodów.

— Spotkamy się wieczorem w El Toro? — zapytał Adolpho.

— Pewnie — odrzekł Carlos.

— Weź dużo pesos — poradził Adolpho. — Stracisz masę pieniędzy.

Gestem naśladował uderzenie bili kijem bilardowym.

— To się nigdy nie stanie — odparł Carlos, klepiąc partnera po plecach. W tym samym momencie spostrzegł czarnego cherokee z zaciemnionymi szybami. Jeep stał obok jego ciężarówki, z rury wydechowej unosiły się mdłe spaliny.

Carlos raz jeszcze klepnął Adolpha w plecy na pożegnanie. Popatrzył, jak partner wsiada do swojej ciężarówki, po czym skierował się do własnej. Nie spiesząc się, pomachał Adolphowi, kiedy ten przejeżdżał koło niego. Dopiero wtedy zboczył w stronę jeepa i podszedł do okna kierowcy.

Szyba w oknie zjechała na dół. Shanahan wyszczerzył zęby.

— Mam dobre wieści — odezwał się. — Wsiadaj.

Carlos zrobił, jak mu kazano. Zatrzasnął za sobą drzwi.

— Będziesz miał jeszcze jedną szansę wykończyć doktora.

— Bardzo się cieszę — odrzekł Carlos i również się uśmiechnął. — Kiedy?

— Dzisiaj wieczorem. Doktor tutaj pracuje.

— A nie mówiłem? Wiedziałem, że to on.

— Mieliśmy trochę szczęścia — potwierdził Shanahan i skinął głową. — Będzie dziś pracował na nocnej zmianie. Załatwię to tak, żeby sprzątał męską toaletę zaraz przy archiwum. Wiesz, gdzie to jest? Bo ja nie. Nigdy nie byłem w tym budynku.

— Wiem, gdzie to jest — odpowiedział Carlos. — Nie wolno nam korzystać z tej ubikacji.

— Tej nocy skorzystasz — powiedział Shanahan z krzywym uśmiechem. — Będzie już późno, prawdopodobnie po dziesiątej. Czeka tam na niego. Nie zapomnij.

— Będę tam — zapewnił Carlos.

— Powinno pójść łatwo — mówił Shanahan. — Będziesz miał do czynienia z nie uzbrojonym i niczego nie spodziewającym się człowiekiem w małym pomieszczeniu. Dopilnuj, żeby jego ciało zniknęło tak jak ciało Marshy Baldwin.

— Zrobię, jak mówisz — obiecał Carlos.

— Tylko tym razem nie spieprz — uprzedził go Shanahan. — Zaręczyłem za ciebie, nie chciałbym się okryć wstydem.

— Nie ma sprawy! — powiedział z naciskiem Carlos. — Dziś w nocy go zabiiiję!

Rozdział 17

Poniedziałek wieczorem, 26 stycznia

Kim wyprostował się z jękiem. Odstawił ciężki mop z drewnianym trzonkiem i położył ręce na biodrach, aby jak najmocniej się przeciągnąć.

Sprzątał samotnie frontowy hol, poczynawszy od recepcji. Przez ostatnie dziesięć minut miał w uchu słuchawkę i poskarżył się Tracy, jak bardzo jest wyczerpany. Współczuła mu.

Sprzątanie obejmowało cały teren rzeźni. Ekipa zaczęła od umycia hali ubojowej przy pomocy węży z parą pod wysokim ciśnieniem. Była to ciężka mordęga, bo ważące kilkaset funtów węże musiały zostać wciągnięte na podesty.

Potem sprzątacze przenieśli się do sali, w której czyszczono kości. Sprzątanie jej zajęło im resztę zmiany, aż do przerwy na kolację o osiemnastej. W tym czasie Kim poszedł do samochodu i zdołał zmusić się do zjedzenia kanapek, które przygotowali rano.

Po przerwie na kolację przydzielano Kimowi różne prace. Podczas gdy pozostali mieli już dosyć, on zaofiarował się, że zmyje frontowy hol.

— Już nigdy więcej nie będę się skarżył, że chirurgia to ciężka praca — powiedział do mikrofonu.

— Po takich doświadczeniach wynajmę cię do sprzątania domu — zażartowała Tracy. — Myjesz okna?

— Która godzina? — spytał Kim. Poczucie humoru do reszty go opuściło.

— Parę minut po dziesiątej — powiedziała Tracy. — Została ci niecała godzina. Zdążysz?

— Bez trudu — uspokoił ją Kim. — Od godziny nie spotkałem żadnego z moich kolegów po miotle. Pora odwiedzić archiwum.

— Pospiesz się! — ponagliła Tracy. — Kiedy tam wejdiesz, czuję, że znów będę cała w nerwach. Nie wiem, jak długo jeszcze to wytrzymam.

Kim wetknął ciężki mop do wiadra i pchnął je w głąb holu, pod drzwi archiwum. Miejsce po zbitej szybie w drzwiach zostało zakryte cienką sklejką.

Kim nadusił klamkę. Drzwi ustąpiły z łatwością. Wszedł do archiwum i włączył światło. Pokój wyglądał zupełnie normalnie. Stłuczoną szybę oraz kamień, który Kim tutaj wrzucił, już uprzątnięto.

Po lewej stronie ciągnął się długi rząd szafek biurowych. Kim na chybił trafił otworzył najbliższą szufladę. Była tak ciasno wypchana teczkami, że nie sposób było tam wcisnąć ani jednej kartki papieru.

— O Boże — powiedział Kim. — Odwalają mnóstwo papierkowej roboty. Nie pójdzie mi tak łatwo, jak przypuszczałem.

* * *

Koniuszek cygara El Producto rozżarzył się na parę sekund, po czym przygasł. Elmer Conrad zatrzymał w ustach dym przez kilka przyjemnych chwil, a później z zadowoleniem wydmuchnął go pod sufit. Elmer był szefem drugiej zmiany sprzątaczy. Miał tę pracę od ośmiu lat. Jego filozofia pracy polegała na zwijaniu się jak w ukropie przez pierwszą połowę zmiany i na objaniu się przez drugą. Właśnie teraz Elmer wchodził w fazę objania się. Z nogami podpartymi na stole patrzył na ścienny zegar w stołówce.

— Chciałeś mnie widzieć, szefie? — zapytał Harry Pearlmutter, wtykając głowę do stołówki z tylnego holu. Harry był jednym z podwładnych Elmera.

— No — potwierdził Elmer. — Gdzie jest ten nowy cudak?

— Zdaje się, że macha mopem w holu frontowym. Przynajmniej tak powiedział.

— Myślisz, że posprzątał tam ubikacje? — zapytał Elmer.

— Nie wiem — odparł Harry. — Mam sprawdzić?

Elmer spuścił nogi na podłogę. Stał i wyprostował się w całej okazałości. Miał ponad sześć stóp wzrostu i ważył sto dwadzieścia kilogramów.

— Dzięki, sam to zrobię — oznajmił. — Mówiłem mu dwa razy, że ma je posprzątać przed jedenastą. Lepiej, żeby mnie posłuchał! Nie wyjdzie stąd, dopóki tego nie zrobi.

Elmer wyjął cygaro z ust, popił kawę i poszedł szukać Kima. Działał tym samym zgodnie z dokładnymi instrukcjami, jakie otrzymał z biura, mówiącymi, że Kim ma posprzątać obie ubikacje i że ma to zrobić sam. Elmer nie miał pojęcia, dlaczego dostał takie polecenia, ale nie obchodziło go to specjalnie. Wiedział tylko, że ma je wykonać.

* * *

— A jednak nie będzie tak źle — rzucił do mikrofonu Kim. — Znalazłem całą szufladę z raportami o niedoborze jakości. Obejmują lata od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego do dzisiaj. Pozostaje tylko znaleźć dziewiąty stycznia.

— Pospiesz się, Kim — powiedziała Tracy. — Znowu zaczynam się denerwować.

— Spokojnie, Tracy — odparł Kim. — Mówiłem ci, że od godziny nie było tu żywego ducha. Przypuszczam, że wszyscy są w stołówce i oglądają mecz... Aha, mam dziewiąty stycznia. Hmmm. To strasznie grubateczka.

Kim wyjął z niej plik papierów. Odwrócił je i położył na stole bibliotecznym.

— Bingo! — zawołał uszczęśliwiony. — To cała grupa papierów, o których mówiła Marsha. — Rozłożył je tak, aby mógł wszystkie widzieć. — Jest tutaj faktura kupna chorej krowy od Barta Winslowa. — Kim przeglądał inne papiery, aż wreszcie wybrał jeden. — Tego właśnie szukałem — stwierdził. — Raport o niedoborach jakości dotyczący tej krowy.

— Co jest w nim napisane? — spytała Tracy.

— Właśnie czytam — odrzekł Kim. Po chwili dodał: — No cóż, tajemnica została rozwikłana. Głowa ostatniej krowy spadła z szyny na podłogę. Co to oznacza, wiem doskonale po pracy, jaką tu dziś wykonałem. Prawdopodobnie wpadła we własne odchody, a potem obrano z niej mięso na hamburgery. Niewykluczone, że ta krowa była zakażona bakteriami *Escherichia coli*. To by się zgadzało z wynikami badań, które uzyskałaś z laboratorium Sherringa po południu, wskazującymi, że mięso z dziewiątego stycznia było silnie skażone.

W tym samym momencie Kim pisnął ze strachu. Ku jego przerażeniu ktoś wyrwał mu dokument z rąk. Odwrócił się i zobaczył przed sobą Elmera Conrada. Pochłonięty rozmową z Tracy, nie usłyszał, kiedy tamten wszedł do archiwum.

— Co ty, do cholery, wyrabiasz z tymi papierami? — zażądał wyjaśnień Elmer. Jego szeroka twarz była czerwona jak burak.

Kim poczuł gwałtowne bicie serca. Nie dość, że przyłapano go na przeglądaniu poufnych dokumentów, to jeszcze w prawym uchu miał słuchawkę. Próbując ukryć kabel przed wzrokiem Elmera, obrócił głowę w prawo, spozierając na niego kątem oka.

— Lepiej mi odpowiedz, chłopcze — zagrmiał Elmer.

— Leżały na podłodze — odparł Kim, rozpaczliwie starając się coś wymyślić. — Chciałem je odłożyć na miejsce.

Elmer spojrział na otwartą szufladę, a potem znów na Kima.

— Do kogo mówiłeś?

— Mówiłem do kogoś? — zapytał niewinnie Kim.

— Nie igraj ze mną, chłopcze — ostrzegł go Elmer.

Kim położył rękę na głowie i zrobił bezradny gest, ale żadne słowo nie wyszło mu z ust. Usiłował wymyślić coś dowcipnego, ale nie potrafił.

— Powiedz mu, że mówiłeś do siebie — szepnęła Tracy.

— Okay — odezwał się Kim. — Mówiłem do siebie.

Elmer spojrział spode łba na Kima — prawie tak samo, jak Kim patrzył na niego.

— Cholera, przecież słyszałem, że z kimś gadasz.

— Tak — przyznał Kim. — Sam ze sobą. Zawsze tak robię, kiedy jestem sam.

— Jesteś dziwak do kwadratu — stwierdził Elmer. — Co ci się stało w szyję?

Kim potarł ręką lewą część szyi.

— Trochę zeszywniała — odparł. — To przez to sprzątanie.

— Tak? Czeka cię jeszcze więcej — oznajmił Elmer. — Pamiętasz te dwie ubikacje obok? Pamiętasz, jak ci mówiłem, że masz je posprzątać?

— Pewnie wypadło mi to z głowy — odpowiedział Kim. — Przepraszam, już się do nich biorę.

— Nie chcę, żebyś odwałał fuszerkę — stwierdził Elmer. — Masz to zrobić porządnie, nawet gdybyś miał siedzieć po jedenastej. Zrozumiano?

— Będą lśnić jak nowe — obiecał Kim.

Elmer cisnął raport na stół i bezceremonialnie zaczął zbierać wszystkie papiery do kupy. Kiedy był tym zajęty, Kim wyjął z ucha słuchawkę i wetknął ją pod koszulę. Z ulgą wyprostował szyję.

— Tymi papierami niech się zajmą sekretarki. — Elmer machnął ręką. Podszedł do szafki i wsunął szufladę. — Teraz wynoś się stąd. I nigdy więcej tu nie wchodź.

Kim wyszedł z archiwum przed Elmerem. Szef zmiany przystanął w drzwiach i ostatni raz zlustrował wnętrze. Dopiero wtedy zgasił światło i zamknął drzwi. Wydobył wielki pęk kluczy i jeden z nich przekreślił w zamku.

Kim właśnie wykręcał mop, kiedy Elmer obrócił się ku niemu.

— Będę miał cię na oku, chłopcze — ostrzegł go. — I wrócę tutaj sprawdzić te dwie ubicacje, kiedy skończysz. Więc lepiej się przyłóż.

— Postaram się — obiecał Kim.

Elmer ponownie spojrział na niego z dezaprobatą, po czym oddalił się w kierunku stołówki. Zaledwie zniknął Kimowi z oczu, ten włożył do ucha słuchawkę.

— Słyszałaś ten dialog? — zapytał Kim.

— Oczywiście, że słyszałam — potwierdziła Tracy. — Wystarczy ci już tej błazenady? Wychodź stamtąd!

— Nie, spróbuję zdobyć te papiery — odparł Kim. — Problem w tym, że ten palant zamknął drzwi na klucz.

— Po co ci te papiery? — spytała ze złością Tracy.

— To dodatkowy dowód dla Kelly Anderson — wyjaśnił Kim.

— Mamy już wyniki badań z laboratorium — powiedziała Tracy. — To powinno wystarczyć Kelly, żeby zaczęła działać w sprawie wycofania mięsa z rynku. Przecież tego chciałeś, nieprawdaż?

— Rzeczywiście — przyznał Kim. — Należy wycofać całą produkcję Mercer Meats z dwunastego stycznia. Ale te dokumenty również dowodzą, że przemysł kupuje chore krowy, unika inspekcji, a potem wykorzystuje zakażone krowie łby w produkcji.

— Myślisz, że tak właśnie zachorowała Becky? — zapytała wzruszona Tracy.

— To bardzo możliwe — odpowiedział równie wzruszony Kim. — Na dodatek jej hamburger nie został odpowiednio dosmażony.

— Człowiek zdaje sobie sprawę, jak kruche jest ludzkie życie, skoro może je przerwać coś tak trywialnego jak spadająca na podłogę krowia głowa i źle usmażony hamburger.

— Dlatego to, co tutaj robimy, jest takie ważne.

— Jak zdobędziesz te papiery, skoro drzwi do archiwum są zamknięte?

— Jeszcze nie wiem — wyznał Kim. — Ale dziurę w drzwiach zakrywa jedynie kawałek sklejki. Pewnie nietrudno będzie ją wybić. Trzeba będzie z tym poczekać, aż machnę te dwie ubikacje. Przypuszczam, że Elmer zaraz się tu przypaleta, więc lepiej od razu biorę się do roboty.

Kim popatrzył na dwoje drzwi. Były naprzeciw siebie po obu stronach holu. Pchnął te do męskiej ubikacji. Uważając, aby nie potraćić wiadra, przeniósł je nad wysokim progiem i postawił na płytkach. Wsunął je nogą do środka i pozwolił, aby drzwi zamknęły się za nim.

Ubikacja była dość przestronna, na prawo znajdowały się dwie kabiny i dwa pisuary, na lewo zaś dwie umywalki z lustrami. Po wewnętrznej stronie drzwi umocowano wieszaki na kitle. Poza tym były tylko dwa dozowniki z papierowymi ręcznikami i kubek na śmieci.

Pośrodku ściany, naprzeciw wejścia, było okno z widokiem na parking.

— Przynajmniej ta ubikacja nie jest tak brudna — powiedział Kim. — Już się lękałem, że będzie przypominać tę w ubojni.

— Szkoda, że nie mogę ci pomóc — powiedziała Tracy.

— Przydałoby się — przyznał Kim.

Chwycił trzonek mopa, wykręcił kwacz. Potem podszedł do okna i wziął się do zmywania podłogi.

Drzwi do toalety trzasnęły z takim impetem, że klamka stłukła kafelek na ścianie. Nagły huk i ruch zaszokowały Kima. Podniósł gwałtownie głowę i z najwyższym przerażeniem stwierdził, że spogląda na mężczyznę, który już dwa razy chciał go zabić. Teraz znowu wymachiwał nożem do zabijania krów.

Usta mężczyzny rozciągnęły się w okrutnym uśmiechu.

— Znowu się spotykamy, doktorze. Tylko tym razem nie pomoże ci ani policja, ani kobieta.

— Kim jesteś? — zapytał Kim, pragnąc, aby tamten mówił dalej. — Dlaczego mnie przesładujesz?

— Mam na imię Carlos. Przyszedłem cię zabić.

— Kim, Kim! — rozległ się w uchu Kima głos Tracy. — Co się dzieje?

Żeby skupić myśli, Kim wyrwał z ucha słuchawkę. Podekscytowany głos Tracy brzmiał teraz tak, jakby krzyczała gdzieś z oddali.

Carlos wkroczył do ubikacji, unosząc nóż, tak aby Kim mógł docenić jego rozmiary i krzywiznę ostrza. Zwolnione drzwi zamknęły się.

Kim instynktownie podniósł do góry mop, który ścisnął w dłoniach.

Carlos roześmiał się. Próba odpierania mopem ciosów rzeźnickiego noża wydała mu się śmieszna.

Nie widząc innej możliwości, Kim wpadł do jednej z kabin i zaryglował drzwi. Carlos skoczył naprzód i z całą siłą kopnął w drzwi. Kabina zatrzęsała się w posadach, ale drzwi wytrzymały. Kim cofnął się i stanął okrakiem nad sedesem. W prześwicie pod drzwiami kabiny widział nogi napastnika: przygotowywał się do ponownego kopnięcia.

Tracy wpadła w panikę. Długo nie mogła trafić kluczykiem do stacyjki, zanim uruchomiła samochód. Wrzucając bieg, wdusiła pedał gazu. Auto wystrzeliło z taką prędkością, że wcisnęło ją w fotel. Ustawiona na dachu antena ześlizgnęła się i podskakiwała po chodniku ciągniona na uwięzi.

Tracy zmagala się z kierownicą, próbując wprowadzić rozpędzony samochód w ostry zakręt. Źle oceniwszy odległość od sąsiedniego auta, uderzyła w nie bokiem i przez moment jechała na dwóch kołach. Po chwili samochód opadł na cztery koła i z piskiem opon pomknął przed frontem Higgins i Hancock.

W pierwszej chwili Tracy nie miała żadnego planu. Myślała jedynie o tym, by dostać się do męskiej ubikacji, gdzie Kima dopadł najprawdopodobniej ten sam człowiek, który poprzedniej nocy był w jego domu. Wiedziała, że ma mało czasu. Oczyma wyobraźni widziała przerażającą twarz nożownika, który usiłował wtargnąć do kabiny prysznic.

Przez moment zamierzała wjechać autem przez główne wejście do budynku, ale uznała, że to się nie uda. Musiała sama dotrzeć do męskiej toalety. Wtedy przypomniała sobie o rewolwerze — i przeklęła Kima, że nie wziął go ze sobą.

Cisnąc ostro na hamulce, zatrzymała samochód tuż pod oknem archiwum. Sięgnęła ręką do podłogi i chwyciła broń. Z rewolwerem w garści wyskoczyła z samochodu i podbiegła pod okno.

Przypomniała sobie, w jaki sposób włamał się tam Kim. Podniosła jeden z kamieni na skraju chodnika. Oburącz rzuciła nim w sklejkę. Musiała powtórzyć rzut, ale udało się jej wybić sklejkę. Potem pozostało już tylko wyrwanie jej.

Tracy wrzuciła broń przez okno, a potem sama wdrapała się do środka. W pokoju było ciemno, tak iż musiała szukać jej na czworakach. Wówczas za ścianą po prawej stronie rozległy się urywane trzaski, jakby ktoś kopał w metalową płytę. Hałas jedynie wzmógł jej determinację.

Jej palce musnęły w końcu broń, która leżała przy stołowej nodze. Tracy złapała ją i najszybciej, jak pozwalały na to ciemności, ruszyła w kierunku słabo oświetlonych drzwi na korytarz. Otworzyła je. Z rozmowy między Kimem i Elmerem wiedziała, że męska ubikacja musi być w pobliżu archiwum. Postanowiła kierować się odgłosami trzasków. Skręciła w prawo. Przebiegła ledwie parę kroków, gdy zobaczyła męską toaletę.

Bez sekundy wahania napała z impetem na drzwi, pomagając sobie barkiem. Broń trzymała w obu rękach, wymierzona w środek pomieszczenia.

Nie miała pojęcia, czego się spodziewać. Dziesięć stóp dalej zobaczyła Carlosa z uniesioną nogą gotową do wyłamania drzwi kabiny, które już były nadwerężone.

Gdy Carlos ją spostrzegł, momentalnie rzucił się na nią szczupakiem. Tak jak poprzedniej nocy w ręku trzymał olbrzymi nóż.

Tracy nie miała czasu do namysłu. Zamknęła oczy i natychmiast pociągnęła za spust. Zanim Carlos wpadł na nią, rozległy się dwa strzały. Siła wystrzału rzuciła ją o drzwi i wytrąciła broń z ręki. Poczowała kłujący ból w piersi, kiedy mężczyzna runął na nią całym ciężarem.

Tracy rozpaczliwie próbowała oddychać i wyczołgać się spod przygniatającego ją ciężaru. Lecz mężczyzna przygwaździł ją do ziemi.

Ku jej zaskoczeniu, morderca zsunął się z niej. Podniosła wzrok, spodziewając się ujrzeć go stojącego nad nią z nożem uniesionym do zadania śmiertelnego ciosu. Zamiast tego zobaczyła przerażoną twarz Kima.

— O Boże! — krzyknął Kim. — Tracy!

Ściągnął z niej mordercę i cisnął nim na bok, jakby tamten był workiem ziemniaków. Na widok strugi krwi spływającej po piersi Tracy, Kim padł na kolana i rozdarł jej bluzkę. Jako torakochirurg wiele razy leczył rany klute piersi i wiedział, czego się można spodziewać. Ale odkrył jedynie przesiąknięty krwią biustonosz. Skóra Tracy była nietknięta. Wbrew jego obawom klatka piersiowa nie nosiła śladów rany, przez którą powietrze wchodziłoby do płuc.

Kim pochylił się nad Tracy. Starła się zaczerpnąć oddech, ale ciągle nie mogła złapać powietrza.

— Wszystko w porządku? — zapytał Kim.

Kiwnęła głową, lecz nadal nie mogła mówić.

Kim spojrział na zabójcę. Mężczyzna zdołał się przetoczyć na brzuch i wił się z bólu, jęcząc głośno. Kim odwrócił go na plecy i wzdrygnął się.

Z tak bliskiej odległości obie kule trafiły w cel. Jedna przebiła czaszkę Carlosa na wylot, wpadając przez prawe oko. Druga ugodziła go w prawą pierś. To wyjaśniało, skąd wzięło się tyle krwi. Mężczyzna toczył z ust pianę, wstrząsany drgawkami. Dla Kima było jasne, że tamten wkrótce umrze.

— Jest ranny? — zapytała Tracy. Skrzywiła się, czując ból w piersi, ale zdołała usiąść.

— To już trup — orzekł Kim. Wstał i rozejrzał się za rewolwerem.

— O nie! — zawołała płaczliwie Tracy. — Nie wierzę w to. Nie mogę uwierzyć, że zabiłam człowieka.

— Gdzie jest broń? — spytał Kim.

— O Boże — powtarzała Tracy. Nie potrafiła odwrócić oczu od Carlosa, który rzeził w agonii.

— Broń! — warknął Kim. Padł na kolana. Znalazł nóż Carlosa, ale nigdzie nie widział rewolweru. Podpełzł do kabin i znów się pochylił. Wreszcie spostrzegł broń w pierwszej toalecie. Wysunął rękę i wyciągnął ją. Podeszedł do umywalki, wyrwał papierowy ręcznik i dokładnie oczyścił rewolwer.

— Co ty robisz? — spytała Tracy ze łzami w oczach.

— Usuвам twoje odciski palców — poinformował Kim. — Chcę, żeby zostały tylko moje.

— Dlaczego? — spytała Tracy.

— Ponieważ cokolwiek się zdarzy, to ja ponoszę odpowiedzialność za ten bałagan — wyjaśnił Kim. Zacisnął rewolwer w dłoni, a potem odrzucił go na bok. — Chodź! Wynosimy się stąd!

— Nie! — zawołała Tracy. Sięgnęła w stronę broni. — Jestem w to zamieszana tak samo jak ty.

Kim chwycił ją i postawił na nogi.

— Nie bądź głupia! Tylko ja będę oskarżonym w tej sprawie. Idziemy!

— Ale to było w obronie własnej — łkała Tracy. — To straszne, ale da się usprawiedliwić.

— Nie wiadomo, jak to zinterpretuje wymiar sprawiedliwości — powiedział Kim. — Ty wdarłaś się na cudzy teren, a ja zatrudniłem się pod fałszywym pretekstem. Chodź już! Nie chcę się teraz spierać!

— Czy nie powinniśmy tu zostać, aż przyjedzie policja? — zapytała Tracy.

— Wykluczone — odparł Kim. — Nie zamierzam siedzieć w więzieniu i czekać, aż wszystko się wyjaśni. No, chodź już, Tracy, zanim ktoś tu przyjdzie.

Tracy wątpiła w zasadność ucieczki, ale widziała też zdecydowanie Kima. Pozwoliła się wyprowadzić z męskiej ubikacji. Kim rozejrzał się po holu zdziwiony, że strzały nie ściągnęły żadnego ze sprzętaczy.

— Jak się dostałaś do środka? — wyszeptał Kim.

— Przez okno w archiwum. To samo, które ty wybiłeś.

— Dobrze — odparł Kim. Ujął Tracy za rękę i razem pobiegli do archiwum. W chwili gdy do niego wchodzili, usłyszeli zbliżające się głosy.

Kim gestem pokazał Tracy, aby była cicho, i bez szmeru zamknął i zablokował drzwi. W ciemności doszli do stołu bibliotecznego, z którego Kim zabrał teczkę z obciążającym raportem. Potem zbliżyli się do okna. Przez ścianę usłyszeli poruszenie w męskiej ubikacji, po czym dały się słyszeć biegnące w głąb korytarza kroki.

Kim wyszedł przez okno pierwszy. Pomógł Tracy i pobiegli do samochodu.

— Ja poprowadzę — rzucił Kim. Wskoczył za kierownicę, Tracy usiadła z tyłu. Zapуścił silnik i szybko wyjechał z parkingu.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu.

— Kto mógł przypuszczać, że to się tak skończy... — odezwała się wreszcie Tracy. — Jak myślisz, co powinniśmy teraz zrobić?

— Może jednak miałaś rację — zastanowił się Kim. — Może powinniśmy byli wezwać policję i ponieść konsekwencje naszych czynów. Przypuszczam, że jeszcze nie jest na to za późno, chociaż sędzę, że w pierw powinniśmy skontaktować się z Justinem Devereau.

— Zmieniłam zdanie — stwierdziła Tracy. — Myślę, że twój pierwszy odruch był słuszny. Z pewnością poszedłbyś do więzienia, ja zresztą pewnie też, a proces zacząłby się dopiero po roku. A wtedy kto wie, co by się stało? Po sprawie O. J. Simpsona straciłam wszelkie zaufanie do amerykańskich sądów. Nie mamy miliona dolarów, żeby przepuścić je na Johnny'ego Cochranego albo Barry'ego Schecka.

— Co zatem proponujesz? — spytał Kim. Zerknął przez moment we wsteczne lusterko. Tracy ciągle go zaskakiwała.

— To, o czym mówiliśmy wczoraj — odpowiedziała. — Wyjedźmy za granicę i wyjaśnijmy naszą sytuację z daleka. Gdzieś, gdzie żywność nie jest zatruta, gdzie również będziemy mogli dalej walczyć z tym problemem.

— Mówisz poważnie?

— Jak najbardziej.

Kim potrząsnął głową. Co prawda wspominali o tym pomysłe i mieli nawet przy sobie paszporty, ale w istocie Kim nie traktował tego poważnie. Według niego był to desperacki plan, coś, co rozważa się jako ostateczność. Rzecz jasna, musiał przyznać, że to zabójstwo skomplikowało im życie.

— Oczywiście, że powinniśmy zadzwonić do Justina — dodała Tracy. — On będzie miał jakąś dobrą radę. Zawsze ją ma. Może będzie wiedział, dokąd powinniśmy wyjechać. Prawdopodobnie będą podstawy prawne do ekstradycji i tym podobne.

— Wiesz, co mi się najbardziej podoba w tym pomysle z wyjazdem? — odezwał się Kim po paru minutach milczenia. Podniósł wzrok, żeby spojrzeć w oczy Tracy, które widział w lusterku.

— Co takiego? — zapytała Tracy.

— To, że sugerujesz, abyśmy zrobili to razem.

— No, ma się rozumieć.

— Wiesz — dodał. — Może nie powinniśmy się byli rozwodzić.

— Muszę przyznać, że i mnie to przyszło do głowy — wyznała Tracy.

— Może z tej tragedii wyniknie jeszcze coś dobrego — powiedział Kim.

— Wiem, że gdybyśmy pobrali się ponownie, nie zwróciliby nam to Becky, ale byłoby miło, gdybyśmy mieli drugie dziecko.

— Naprawdę byś chciała? — spytał Kim.

— Chciałabym spróbować.

Znowu zaległa cisza, a byli małżonkowie zmagali się z kłębiącymi się w nich uczuciami.

— Jak sądzisz, ile mamy czasu, zanim władze nas dopadną? — zapytała Tracy.

— Trudno powiedzieć — odparł Kim. — Jeżeli zastanawiasz się, ile zostało nam czasu na decyzję, co dalej, to powiem ci, że niewiele. Myślę, że musimy coś postanowić w ciągu dwudziestu czterech, czterdziestu ośmiu godzin.

— To wystarczająco dużo czasu, aby pochować jutro Becky — powiedziała Tracy ze ściśniętym gardłem.

Na wzmiankę o bliskim pogrzebie córki Kim poczuł napływające do oczu łzy. Mimo że usilnie starał się o tym nie myśleć, nie mógł dłużej zaprzeczać straszliwej prawdzie, że jego ukochane dziecko umarło.

— O Boże! — załkała Tracy. — Kiedy zamykam oczy, ciągle widzę twarz tego zastrzelonego mężczyzny. Nigdy nie zdołam go zapomnieć. Będzie mnie prześladować przez resztę życia.

Kim otarł łzy z policzka i westchnął nerwowo, starając się nad sobą zapanować.

— Musisz skupić się na tym, co powiedziałaś w ubikacji. To była obrona własna. Gdybyś nie pociągnęła za spust, on bez wątplenia zabiłby ciebie. A potem mnie. Uratowałaś mi życie.

Tracy zamknęła oczy.

Było już po dwudziestej trzeciej, kiedy zajechali pod dom Tracy i zatrzymali się za samochodem Kima. Obydwoje byli kompletnie wyczerpani: fizycznie, umysłowo i emocjonalnie.

— Mam nadzieję, że zostaniesz tutaj na noc — odezwała się Tracy.

— Miałem nadzieję, że zaproszenie jest wciąż aktualne — przyznał Kim.

Wysiedli z samochodu. Idąc obok siebie, ruszyli ścieżką w stronę domu.

— Myślisz, że powinniśmy jeszcze dziś zadzwonić do Justina? — zapytała Tracy.

— Zaczekajmy z tym do rana — odrzekł Kim. — Jestem tak podekscytowany, że nie wiem, czy zmruję dziś oko, ale powinienem spróbować. W tej chwili marzę tylko o długim, gorącym prysznicu.

— Rozumiem cię doskonale — skinęła głową Tracy.

Wspięli się na ganek. Tracy wyjęła klucz i otworzyła drzwi. Weszła do środka, ustąpiła drogi Kimowi i zamknęła je znowu na klucz. Dopiero wtedy znalazła po omacku kontakt.

— O rany, ale tu jasno — stwierdził Kim, mrużąc oczy przed światłem.

Tracy przygasiała lampy pokrętem na kontakcie.

— Jestem skonany — wyznał Kim. Zdjął biały kitel, który miał na sobie w rzeźni, odsunął go od siebie na długość ręki. — Trzeba to spalić. Pewnie cały aż się lepi od *Escherichia coli*.

— Po prostu go wyrzuć — powiedziała Tracy. — Najlepiej do śmietnika za domem. Wyobrażam sobie, jak rano będzie śmierdział.

Tracy zdjęła płaszcz i skrzywiła się, czując nagły ból w piersi. Kiedy Carlos wpadł na nią, uderzyło ją coś twardego tuż na lewo od mostka. Wtedy ból był tak ostry, że myślała, iż została pchnięta nożem.

— Wszystko w porządku? — zapytał Kim, widząc jej reakcję.

Tracy ostrożnie pomacała żebra w okolicy piersi.

— Czy coś mogło mi się tutaj złamać?

— Oczywiście. Możesz mieć złamane żebro albo mostek.

— O, świetnie! — zawołała Tracy. — Co powinnam zrobić, panie doktorze?

— Trochę lodu nie zaszkodzi — odrzekł Kim. — Zaraz przyniosę, tylko pozbędę się tego kitla.

Kim ruszył przez kuchnię w stronę tylnych drzwi. Tracy otworzyła szafę w korytarzu, powiesiła płaszcz i zdjęła buty. Zasunęła drzwi i skierowała się ku schodom. W połowie drogi zamarała i krzyknęła piskliwie.

Kim przestąpił właśnie próg kuchni, gdy usłyszał jej krzyk. Zaraz odwrócił się i pobiegł. Z ulgą stwierdził, że nie jest ranna i stoi pośrodku korytarza. Była spokojna — patrzyła jak zahipnotyzowana na coś w pokoju dziennym. Kim powiódł oczami za jej spojrzeniem. Z początku, nie widząc niczego, był zdezorientowany. Ale później dostrzegł to, na co patrzyła Tracy. I był równie zdumiony jak ona.

W pokoju znajdował się mężczyzna. Siedział bez ruchu w wysokim fotelu obok kominka. Był ubrany w ciemny garnitur i krawat. Płaszcz z wielbłądziej wełny leżał starannie przełożony przez oparcie fotela. Mężczyzna miał niedbale skrzyżowane nogi.

Wyciągnął rękę i włączył lampę.

Tracy ponownie zaskomlała żałościwie. Na stoliku do kawy, w zasięgu ręki mężczyzny, spoczywał czarny pistolet automatyczny z przykręconym tłumikiem.

Nieznamy był ucieleśnieniem pogody ducha, przez co budził jeszcze większe przerażenie. Po zapaleniu światła znów położył rękę na oparciu fotela. Miał surowy, wręcz okrutny wyraz twarzy.

— Kazaliście mi na siebie czekać znacznie dłużej, niż planowałem — odezwał się raptem, przerywając milczenie. W jego głosie była mieszanina wyrzutu i złości.

— Kim pan jest? — zapytała niepewnie Tracy.

— Wejść i siadać! — warknął mężczyzna.

Kim spojrzał na lewo, oceniając, czy zdołałby wypchnąć Tracy do przedpokoju. Uznał, że nie zdążyłby, tym bardziej że Tracy musiałyby dobiec do drzwi wejściowych.

Derek odpowiedział na ich wahanie, chwytając broń i wymierzając ją w nich.

— Nie doprowadzajcie mnie do większej złości! — ostrzegł ich. — Miałem dziś zły dzień i jestem w kiepskim nastroju. Daję wam dwie sekundy, żebyście weszli i usiedli na kanapie.

Kim przełknął ślinę i wyszeptał chrapliwym głosem:

— Lepiej usiadźmy.

Zachęcił Tracy, by poszła, przeklinając się w duchu, że nie sprawdził domu, zanim do niego weszli. Rano zabezpieczył swój dom, aby mieć pewność, że nikt nie wkradnie się tam pod ich nieobecność, ale potem, po śmierci Carlosa, nawet mu to przez myśl nie przeszło.

Tracy usiadła pierwsza, Kim obok niej. Siedzieli na kanapie ustawionej ukośnie w stosunku do fotela.

Derek spokojnie odłożył broń na stolik i rozparł się na krześle. Jego ręce z lekko zakrzywionymi palcami spoczęły na wyściełanych oparciach. Można było odnieść wrażenie, że prowokuje obecnych w pokoju ludzi do ucieczki, czekając tylko na pretekst do chwycenia za broń, żeby ich zastrzelić.

— Kim pan jest? — powtórzyła Tracy. — Co pan robi w moim domu?

— Moje nazwisko jest bez znaczenia — odparł Derek. — Dlaczego tu jestem, o, to inna sprawa. Wezwano mnie do tego miasta, aby zabić lekarza.

Zarówno Kim, jak i Tracy zachwiali się lekko. Przerażające wyznanie Dereka przyprawiło oboje o zawrót głowy. Strach zamknął im usta. Ten człowiek był płatnym zabójcą.

— Ale coś poszło nie tak — ciągnął Derek. — Sprowadzili mnie do tego cholernego miasta, a potem wycofali się z umowy, nie podając żadnych konkretnych wyjaśnień prócz tego, że ktoś inny wykona zlecenie. Mieli nawet czelność prosić o zwrot zaliczki, i to po tym, jak przyleciałem tutaj taki kawał drogi. — Derek pochylił się, rozbłyły mu oczy. — Dlatego nie tylko

nie zamierzam pana zabić, doktorze Reggis, ale mam zamiar wyświadczyć panu przysługę. Jednego wszakże nie mogę pojąć: dlaczego ci ludzie od wołowiny chcą pańskiej śmierci.

— Wytlumaczę to panu — zaproponował z niepokojem Kim. Gotów był na każdą formę współpracy.

Derek podniósł rękę.

— Nie ma potrzeby wdawać się w szczegóły — oznajmił. — Próbowałem dowiedzieć się od nich, ale się poddałem. To pańska sprawa. Trzeba panu jednak wiedzieć, że tym ludziom tak bardzo zależy na pańskiej śmierci, że są gotowi wynająć mnie lub kogoś takiego jak ja. Moja zemsta za wyprowadzenie mnie w pole polega na poinformowaniu pana, że jest pan w poważnym niebezpieczeństwie. Co pan zrobi z tą informacją, zależy całkowicie od pana. Czy wyrażam się dość jasno?

— Absolutnie — potwierdził Kim. — Dziękuję panu.

— Nie ma powodu mi dziękować — odparł Derek. — Nie robię tego z pobudek altruistycznych. — Wstał. — W zamian poproszę jedynie, aby treść tej rozmowy została między nami. W przeciwnym razie będę zmuszony wrócić i złożyć jednemu z was ponowną wizytę. Mam nadzieję, że to także jest jasne. A muszę was uprzedzić, że jestem bardzo dobry w tym, co robię.

— Niech się pan nie martwi — zapewnił Kim. — Nie będziemy o tym z nikim rozmawiać.

— Doskonale — rzekł Derek. — Teraz, jeśli państwo mi wybaczą, chciałbym udać się do domu.

Kim poruszył się, aby wstać z kanapy.

— Proszę się nie fatygować — pospieszył Derek, pokazując Kimowi, żeby został na miejscu. — Skoro sam tu wszedłem, to i sam stąd wyjdę.

Kim i Tracy patrzyli oszołomieni, jak Derek wkłada płaszcz z wielbłądziej wełny, a potem bierze pistolet i chowa go do kieszeni. W końcu mężczyzna podniósł swoją walizeczkę.

— Nie byłbym tak szorstki, gdybyście wrócili do domu o przyzwoitej porze — oznajmił Derek. — Dobranoc.

— Dobranoc — powiedział Kim.

Derek wyszedł z pokoju. Kim i Tracy usłyszeli, jak drzwi otwierają się i zatraskują.

Przez kilka długich minut żadne z nich się nie odzywało.

— To niewiarygodne. Czuję się, jakbym śniła koszmar, z którego nie mogę się przebudzić — powiedziała Tracy.

— Bo ten koszmar ciągle trwa — zgodził się Kim. — Ale musimy uczynić wszystko, co w naszej mocy, aby go zakończyć.

— Nadal uważasz, że powinniśmy wyjechać za granicę? — spytała Tracy.

Kim skinął głową.

— Przynajmniej ja. Zdaje się, że mają mnie na celowniku. Prawdę mówiąc, nie powinniśmy nawet zostawać tu na noc.

— A dokąd pójdziemy? — spytała Tracy.

— Do hotelu, do motelu, wszystko jedno — odrzekł Kim.

Rozdział 18

Wtorek, 27 stycznia

Gdy tylko pierwsze promienie słońca zaczęły wsączać się przez tanie firanki, Kim zaprzestał prób ponownego zaśnięcia. Powolutku, żeby nie zbudzić Tracy, wyślizgnął się z łóżka, pozbięrał swoje rzeczy i przeszedł na palcach do łazienki. Zamknął drzwi najciszej jak umiał i włączył światło. Byli w motelu Sleeprite.

Kim spojrział na siebie w lustrze i zachnął się. Śmieszne blond włosy i pokryta szwami szrama okalająca podkrążone, czerwone oczy sprawiły, że ledwo rozpoznawał sam siebie. Mimo wyczerpania spał płytko i nerwowo i obudził się tuż po piątej. Przez całą noc miał przed oczami okropne wydarzenia z poprzedniego dnia, gorączkowo zastanawiał się, co robić. Myśl, że ściągają go płatni zabójcy, nie mieściła mu się w głowie.

Wykąpał się i ogolił, wdzięczny, że może skupić się na tych prostych zajęciach. Przyczesał gładko włosy i uznał, że taka fryzura robi o wiele korzystniejsze wrażenie.

Ubrał się i otworzył drzwi. Z radością zobaczył, że Tracy nawet nie drgnęła przez sen. Wiedział, że spała równie kiepsko jak on, dlatego cieszył się, że teraz trochę się wyśpi. Był jej wdzięczny, że przy nim jest, ale miał sprzeczne odczucia co do tego, czy pozwolić jej narażać się wraz z nim.

Podszedł do biurka i na bloczku przy telefonie zapisał krótko, że wychodzi kupić coś na śniadanie. Położył karteczkę na kocu po swojej stronie łóżka. Następnie wziął kluczyki od samochodu.

Drzwi wejściowe wykonano z metalu i oprócz zwykłego zamka miały jeszcze łańcuch i zasuwę, więc trudniej było cicho je otworzyć.

Na zewnątrz Kim powtórzył sobie w duchu, że ściągają go wynajęci zabójcy. Ta myśl szybko urastała do rozmiarów paranoi, chociaż Kim był raczej pewny, że w chwili obecnej nic mu nie grozi. Oboje użyli fikcyjnych nazwisk, kiedy wynajmowali pokój, i zapłacili gotówką.

Kim wgramolił się do samochodu. Uruchoił silnik, ale nie ruszył od razu. Obserwował mężczyznę, który sześć godzin wcześniej przyjął ich w motelowej recepcji. Tamten widział, jak Kim wychodzi z pokoju, lecz wrócił do swoich zajęć. W tej chwili zamiatał chodnik przed biurem. Kim chciał się upewnić, że mężczyzna nie zrobi nic podejrzanego — na przykład nie wbiegnie do biura, aby zadzwonić — zanim zostawi Tracy samą w pokoju.

Rozpoznając objawy paranoi, Kim złązał się cicho. Wiedział, że musi się wziąć w garść albo podejmie błędne decyzje. Wrzucił wsteczny bieg, cofnął auto i wyjechał z parkingu.

Parę mil dalej była kafejka, w której Kim zamówił dwie kawy, dwa soki pomarańczowe i kilka pączków. Lokal szczelnie wypełniali kierowcy ciężarówek i robotnicy budowlani. Gdy Kim stał w kolejce do kasy, wielu z nich gapiło się na niego nieufnie. Dla nich wyglądał zapewne jak Marsjanin.

Kim z ulgą opuścił kafejkę. Kiedy zszedł z chodnika, by dojść do samochodu, kątem oka wyłowił nagłówek gazety umieszczonej za szybą skrzynki z prasą. Wytłuszczone, wielkie litery głosiły: Morderstwo zemsta szalonego lekarza! Na dole tej samej strony, mniejszym drukiem, było napisane: Kiedyś szacowny lekarz — teraz uciekinier przed sprawiedliwością.

Po kręgosłupie Kima przebiegł dreszcz strachu. Szybkiem krokiem poszedł do samochodu i zostawił w nim jedzenie i picie. Wróciwszy do skrzynki z gazetami, przetrząsnął kieszenie w poszukiwaniu właściwych monet. Drżącą ręką wyciągnął jedną z gazet. Zamykając się, drzwiczki skrzynki pstryknęły.

Resztki nadziei, że artykuł nie dotyczy jego osoby, rozwiały się bez śladu, gdy Kim ujrzał swoje zdjęcie pod nagłówkiem. Pochodziło sprzed kilku lat i miał na nim grzywę ciemnych włosów.

Kim wskoczył z powrotem do auta i przewrócił stronę gazety. Artykuł znajdował się na stronie drugiej.

Specjalnie dla The Morning Sun Times:

„Doktor Kim Reggis, szanowany kardiochirurg, były ordynator w szpitalu Dobrego Samarytanina, a obecnie lekarz w Uniwersyteckim Centrum Medycznym, postanowił sam wymierzyć sprawiedliwość. Po tragicznej śmierci swojej córki w sobotę doktor Reggis ufarbował włosy na blond i zatrudnił się w rzeźni Higgins i Hancock, gdzie brutalnie zamordował innego pracownika nazwiskiem Carlos Mateo. Uważa się, że motywem tej niczym nie sprowokowanej zbrodni było przekonanie doktora, że jego córka zmarła w wyniku spożycia zakażonego mięsa produkowanego w Higgins i Hancock. Daryl Webster, dyrektor Higgins i Hancock, powiedział naszej gazecie, że to zwykłe pomówienie. Dodał również, że pan Mateo był cenionym pracownikiem i gorliwym katolikiem, który pozostawił po sobie niepełnosprawną żonę i sześcioro małych dzieci...”

Daryl Webster, dyrektor Higgins i Hancock, powiedział naszej gazecie, że to zwykle pomówienie. Dodał również, że pan Mateo był cenionym pracownikiem i gorliwym katolikiem, który pozostawił po sobie niepełnosprawną żonę i sześcioro małych dzieci...”

Kim ze złością cisnął gazetę na siedzenie. Nie musiał czytać ani słowa więcej, by poczuć obrzydzenie — i niepokój. Uruchomił samochód i pojechał do motelu. Niosąc jedzenie i gazetę, wszedł do pokoju.

Tracy usłyszała go i wysunęła głowę zza drzwi łazienki. Właśnie zakładała ręcznik na mokre włosy, dopiero co wyszła spod prysznica.

— O, już wstałaś — stwierdził Kim. Położył jedzenie na stoliku.

— Słyszałam, jak wychodziłeś — powiedziała Tracy. — Miło cię znowu widzieć. Bałam się trochę, że możesz mnie tutaj zostawić, aby oszczędzić mi kłopotów. Obiecuj, że tego nie zrobisz.

— Przyszło mi to na myśl — przyznał Kim. Usiadł markotny na jedynym krześle w pokoju.

— Co się stało? — spytała Tracy. Wiedziała, że Kim ma aż nadto trosk na głowie, jednak wydawał się bardziej przygnębiony, niż się spodziewała.

Kim podniósł gazetę.

— Czytaj! — wyjaśnił.

— To o tym człowieku z rzeźni? — spytała zalekniona Tracy. Nie była pewna, czy chce przeczytać o szczegółach.

— Tak, i o mnie również — stwierdził Kim.

— O nie! — zawołała Tracy. — Już cię skojarzono z tą sprawą?

Weszła do pokoju, owijając się w cienki ręcznik. Wzięła gazetę i przeczytała nagłówek. Powoli osunęła się na skraj łóżka i przewróciła stronę, żeby doczytać resztę.

Nie zajęło jej to wiele czasu. Kiedy skończyła, zamknęła gazetę i odłożyła ją na bok. Spojrzała na Kima.

— To po prostu śmierć cywilna — stwierdziła posepnym tonem. — Napisali nawet o twoich niedawnych aresztowaniach i że zostałeś zawieszony w uprawnieniach lekarskich.

— Nie przeczytałem całego artykułu — odrzekł Kim. — Po dwóch pierwszych akapitach miałem już dosyć.

— Nie do wiary, że wszystko stało się tak szybko — powiedziała Tracy. — Ktoś w rzeźni musiał cię poznać.

— Najwyraźniej — zgodził się Kim. — Mężczyźni, którego zabiliśmy, nie chodziło o zabicie Jose Ramereza. Kiedy nie wykonał zlecenia, ludzie, którzy go opłacili, postanowili zniszczyć moją reputację i wysłać mnie dożywotnio do więzienia. — Kim roześmiał się niewesoło. — I pomyśleć, że martwiłem się o konsekwencje prawne. Kompletnie zlekceważyłem rolę me-

diów. Z pewnością daje to wyobrażenie o pieniądzach i władzy, jakimi dysponuje ta branża, skoro potrafi tak skutecznie zafałszować prawdę. W tym artykule nie ma ani śladu dziennikarskiego dochodzenia. Gazeta wydrukowała tylko to, co podyktowali jej ludzie z branży mięsnej. Zrobili więc ze mnie mordercę, w szale zemsty zabijającego z zimną krwią ojca rodziny.

— Co oznacza, że nie mamy ani dwudziestu czterech, ani czterdziestu ośmiu godzin, żeby zdecydować, co dalej — odezwała się Tracy.

— Nie bardzo — potwierdził Kim. Wstał z krzesła. — Oznacza to także, iż powinniśmy byli podjąć decyzję wczorajszej nocy. Dla mnie oznacza to również koniec wątpliwości. Będę dalej zwalczał ten absurd, ale nie tutaj, lecz za granicą.

Tracy wstała i podeszła do Kima.

— Ja też nie mam już żadnych wątpliwości. Pojedziemy razem i razem będziemy walczyć.

— Oczywiście, to oznacza, że nie weźmiemy udziału w pogrzebie Becky — dodał Kim.

— Wiem — odparła Tracy.

— Myślę, że ona to zrozumie.

— Wierzę, że tak będzie — wyszeptala Tracy. — Bardzo za nią tęsknię.

— Ja również.

Popatrzyli sobie w oczy. Po chwili Kim wyciągnął ręce i objął byłą żonę. Tracy przytuliła się do niego i uścisnęli się, przywierając do siebie, jakby wbrew ich woli rozdzielono ich na całe lata. Minęła kolejna długa chwila, zanim Kim odchylił się do tyłu i spojrzał Tracy w oczy.

— Kiedy jestem tak blisko ciebie, przypominają mi się dawne lata.

— Bardzo dawne lata — zgodziła się Tracy. — Jakbyśmy znali się w poprzednim życiu.

* * *

Kelly Anderson zerknęła na zegarek. Dochodziło wpół do drugiej. Potrząsnęła głową.

— Nie przyjdzie — zwróciła się do Briana Washingtona.

Brian poprawił kamerę telewizyjną na ramieniu.

— Tak naprawdę nie oczekiwałaś, że przyjdzie, prawda? — zapytał.

— Kochał swoją córkę — odparła Kelly. — A to jest jej pogrzeb.

— Przed wejściem stoi policjant — przypomniał Brian. — Z miejsca by go aresztowano. Facet musiałby być szalony, żeby tu przyjść.

— Myślę, że on jest nieco szalony — zaoponowała Kelly. — Kiedy wpadł do mojego domu, żeby zainteresować mnie swoją krucjatą, miał w oczach coś dzikiego. Nawet mnie trochę przestraszył.

— Nie wierzę — odrzekł Brian. — Nigdy nie widziałem cię przestraszonej. W gruncie rzeczy sądzę, że masz w żyłach lód, zwłaszcza od tych ilości mrożonej herbaty, jakie pijesz.

— Dobrze wiesz, że to tylko pozory. Mam pietra za każdym razem, gdy wchodzę na antenę.

— Bzdura — parsknął Brian.

Kelly i Brian stali we foyer domu pogrzebowego Sullivana. Wokół kręciło się kilka osób rozmawiających dyskretnym szeptem. Bernard Sullivan, właściciel, stał przy drzwiach i raz po raz zerkał nerwowo na zegarek. Pogrzeb był zaplanowany na pierwszą, a on miał dzisiaj napięty terminarz.

— Myślisz, że doktor Reggis był na tyle szalony, aby kogoś zabić, jak o tym pisały gazety? — zapytał Brian.

— Powiem inaczej — odparła Kelly. — Moim zdaniem doprowadzono go do ostateczności. Brian wzruszył ramionami.

— Nigdy nie wiadomo — powiedział z filozoficzną zadumą.

— Nieobecność naszego doktora jest zrozumiała — odezwała się Kelly. — Ale za żadne skarby nie mogę pojąć, czemu nie ma Tracy. Na miłość boską, przecież to matka Becky. Nie musi unikać policji, nie ma po temu powodów. Powiem ci: to mnie martwi.

— Dlaczego?

— Jeżeli nasz doktor rzeczywiście znikował — wyjaśniła Kelly — to nie można wykluczyć i tego, że w swym szaleństwie obwinił byłą żonę o śmierć córki.

— O Jezu! — zawołał Brian. — Do głowy by mi to nie przyszło.

— Słuchaj — powiedziała Kelly z nagłym postanowieniem. — Zadzwońisz do stacji, żeby ci podali adres Tracy Reggis. Ja zagadam do pana Sullivana i poproszę go, żeby zadzwonił na nasz pager, gdyby ona się tu zjawiała.

— Dobra — rzucił Brian.

Poszedł do biura domu pogrzebowego, a Kelly podeszła do Bernarda Sullivana. Dwadzieścia minut później Kelly i Brian zatrzymali się przed domem Tracy.

— O la, la — odezwała się Kelly.

— Co jest?

— Ten samochód — wyjaśniła: Wskazała na mercedesa. — Myślę, że to wóz naszego doktora. Przyjechał nim, kiedy złożył mi wizytę.

— Co robimy? — spytał Brian. — Nie chcę, żeby wybiegł stamtąd jakiś świrus z kijem baseballowym albo strzelbą.

Brian miał rację. Zgodnie ze scenariuszem Kelly Reggis równie dobrze mógł być w domu i trzymać byłą żonę jako zakładniczkę albo jeszcze gorzej.

— Spróbujmy pochodzić po sąsiadach — zaproponowała Kelly. — Ktoś mógł coś widzieć.

W pierwszych dwóch domach, do których podeszli, nikt nie odpowiedział na dzwonek do drzwi. Trzeci dzwonek, który nadusili, należał do pani English, która otworzyła im drzwi bez zwłoki.

— Pani jest Kelly Anderson! — zawołała rozentuzjasmowana pani English, jak tylko ujrzała Kelly. — Pani jest wspaniała. Zawsze oglądam panią w telewizji.

Pani English była drobną, siwowłosą damą, która wyglądała jak typowa babcia.

— Dziękuję — powiedziała Kelly. — Czy nie będzie pani miała nic przeciwko temu, jeśli zadamy pani kilka pytań?

— Czy będę w telewizji? — zapytała pani English.

— To całkiem możliwe — odpowiedziała Kelly. — Idziemy tropem pewnej historii.

— Niech pani pyta — rzuciła pani English.

— Interesuje nas pani sąsiadka Tracy Reggis — wytłumaczyła Kelly.

— Tam się dzieje coś dziwnego, to pewne — przyznała pani English.

— Tak? — zdziwiła się Kelly. — Proszę nam o tym opowiedzieć.

— Zaczęło się wczoraj rano — stwierdziła pani English. — Tracy przyszła do mnie z prośbą, żebym popilnowała jej domu. Ja i tak go pilnuję, ale Tracy była bardzo konkretna. Chciała, żebym ją poinformowała, czy wałęsają się tam jacyś obcy. I jeden taki się przywałęsał.

— Ktoś, kogo nigdy przedtem pani nie widziała?

— Nigdy — potwierdziła stanowczo pani English.

— Co robił? — pytała Kelly.

— Wszedł do środka.

— Kiedy Tracy nie było w domu?

— Zgadza się.

— Jak tam wszedł?

— Nie wiem — odparła pani English. — Myślę, że miał klucz, bo otworzył drzwi wejściowe.

— Czy to był wysoki mężczyzna o ciemnych włosach?

— Nie, blondyn średniego wzrostu — odpowiedziała pani English. — Bardzo dobrze ubrany. Jak bankier albo prawnik.

— I co potem się stało? — zapytała Kelly.

— Nic. Ten mężczyzna w ogóle nie wyszedł, a kiedy zrobiło się ciemno, nawet nie zapalił światła. Tracy wróciła późno, z innym blondynem. Ten był większy i miał na sobie biały kitel.

— Taki, jakie noszą lekarze? — spytała Kelly i mrugnęła do Briana.

— Albo rzeźnicy — dodała pani English. — W każdym razie Tracy nie przyszła ze mną pomówić, choć powiedziała, że przyjdzie. Po prostu weszła do domu z tym drugim mężczyzną.

— A potem?

— Przez jakiś czas wszyscy byli w środku. Potem ten pierwszy mężczyzna wyszedł i odjechał. A niedługo później Tracy i ten drugi wyszli z walizkami.

— Z walizkami, jakby udawali się w podróż?

— Tak. Ale dziwna to była pora na podróż. Dochodziła prawie północ. Wiem o tym, bo dawno już nie poszłam tak późno spać.

— Dziękujemy, pani English — powiedziała Kelly. — Bardzo nam pani pomogła. Pokazała Brianowi, żeby się zbierał do wyjścia.

— Czy będę w telewizji? — spytała pani English.

— Powiadomimy panią — odrzekła Kelly. Pomachała jej ręką, poszła do samochodu i usiadła za kierownicą. — Ta historia staje się coraz ciekawsza — skonkludowała. — W życiu bym nie przypuszczała, że Tracy Reggis może się zdecydować na ucieczkę ze swoim ściganym eksmężem. A wydawała się taką rozsądną osobą. Koniec świata!

W restauracji Onion Ring przy autostradzie Prairie, chaos towarzyszący porze lunchu zamarł o godzinie trzeciej. Wyczerpani pracownicy dziennej zmiany zebrali swoje rzeczy i wyszli — wszyscy z wyjątkiem Rogera Polo, kierownika. Człowiek tak sumienny jak on nie mógł wyjść, nie upewniwszy się przedtem, że nocna zmiana gładko przejmie swoje obowiązki. Dopiero wtedy oddawał ster Paulowi, kucharzowi, pełniącemu funkcję kierownika pod nieobecność Rogera.

Kiedy Roger zakładał nową taśmę do jednej z kas, Paul przyszedł na swoje stanowisko za grilllem i zaczął po swojemu ustawiać naczynia.

— Duży dziś ruch na drodze? — zapytał Roger, wsuwając bęben z taśmą.

— Nie tak źle — odparł Paul. — A tutaj był duży?

— Strasznie — potwierdził Roger. — Kiedy otworzyłem, chyba ze dwadzieścia osób czekało pod drzwiami, a potem ciągle był tłok.

— Widziałeś dzisiejszą gazetę? — zapytał Paul.

— Chciałbym — powiedział Roger. — Nie miałem nawet okazji, żeby usiąść i zjeść.

— Przeczytaj ją — poradził Paul. — Ten szalony lekarz, który przyszedł tu w piątek, zamordował wczoraj w nocy jakiegoś faceta w Higgins i Hancock.

— Żartujesz! — wyrwało się Rogerowi. Zupełnie odjęło mu mowę.

— Jakiegoś biednego Meksykanina z sześciorgiem dzieci — mówił Paul. — Strzelił mu w oko. Wyobrażasz sobie?

Roger żadną miarą nie umiał sobie tego wyobrazić. Oparł się o blat. Kolana nagle mu zmiękły. Był wściekły, kiedy dostał w twarz — teraz czuł się szczęściarzem. Zadrzał na myśl, co mogłoby się stać, gdyby doktor przyszedł wtedy do Onion Ring uzbrojony.

— Co komu pisane — dodał filozoficznie Paul. Odwrócił się i otworzył lodówkę. Patrząc na pudło z kotlecikami, zobaczył, że jest prawie puste.

— Skip! — wrzasnął Paul. Widział go w sali restauracji, opróżniającego kubły na śmieci.

— Masz tę gazetę? — zapytał Roger.

— Tak. Leży na stole w szatni. Poczęstuj się.

— Co jest? — spytał Skip. Podeszedł od zewnątrz do kontuaru.

— Przynieś mi hamburgery z chłodni — wyjaśnił Paul. — I jak tam będziesz, weź od razu parę paczek z bułkami.

— Mogę najpierw skończyć to, co robię? — zapytał Skip.

— Nie — odrzekł Paul. — Potrzebuję ich zaraz. Zostały mi tylko dwa kotlety.

Skip zamruczał coś pod nosem, okrążając kontuar, i pomaszerował na zaplecze restauracji. Lubił kończyć jedną robotę, zanim zabrał się do drugiej. Zaczynało go wkurzać, że każdy w restauracji może mu rozkazywać.

Otworzył ciężkie, szczelne drzwi chłodni i wkroczył w arktyczny chłód. Drzwi zamknęły się za nim automatycznie. Rozchylił wieko pierwszego kartonu po lewej, ale zobaczył, że jest pu-

sty. Zaklął głośno. Jego kolega z dziennej zmiany zawsze podrzucał mu coś do roboty. Ten pusty karton powinien zostać pocięty na makulaturę.

Skip podszedł do drugiego kartonu i stwierdził, że też jest pusty. Chwycił obydwie, otworzył drzwi i wyrzucił pudła na zewnątrz. Następnie poszedł w głąb chłodni, szukając rezerwowych kartonów z mielonym mięsem. Zeskrobał szron z naklejki pierwszego, jaki znalazł. Napis głosił: Mercer Meats, kotleciki hamburgerowe z chudego mięsa, waga: 0,1 funta, partia 6, seria 9-14, data produkcji: 12 stycznia, spożyć przed: 12 kwietnia.

— Pamiętam cię, dziecko — powiedział do siebie Skip. Sprawdził wieko. Jasna sprawa: karton był już otwierany.

Aby upewnić się, że nie zostawi mięsa ze starszą datą produkcji, Skip zeskrobał szron z nalepki ostatniego kartonu. Widniała na nim ta sama data.

Chwytnąjąc pierwszy karton za rozchylone wieko, Skip zaciągnął go na przód chłodni. Dopiero wtedy wydobyl ze środka jedno z pudełek. Tak jak przypuszczał, ono także było otwarte. Zaniósł pudełko z hamburgerami do kuchni i przecisnąwszy się za plecami Paula, który zeskrobywał akurat resztki tłuszczu z grilla, umieścił je w lodówce.

— Wreszcie zużyjemy te hamburgery, które przez przypadek otworzyłem jakiś tydzień temu — odezwał się Skip. Zatrzasnął drzwi lodówki.

— To pięknie, ale przedtem trzeba zużyć pozostałe — odparł Paul, nie odrywając się od swoich zajęć.

— Sprawdziłem — oznajmił Skip. — Te starsze już poszły na ruszt.

* * *

Wielki zegar ścienny w studio telewizyjnym WENE pokazywał dokładny czas. Była godzina 6:07. Wiadomości lokalne nadawano od piątej trzydzieści. Mimo że Kelly miała wejść o 6:08, technik ciągle grzebał przy jej mikrofonie. Tętno Kelly jak zwykle było przyspieszone.

Jedna z wielkich kamer podtoczyła się raptem bezpośrednio przed Kelly. Kamerzysta kiwał głową i mówił coś cicho do mikrofonu przy ustach. Kątem oka Kelly dostrzegła reżysera przy-ciskającego jakiś guzik i wskazującego w jej stronę. W tle słyszała prezenterkę, Marilyn Wodinsky, kończącą skrót wiadomości krajowych.

— Wielkie nieba — warknęła Kelly.

Odepchnęła rękę technika i sama prędko wpięła mikrofon. W samą porę — po paru sekundach reżyser podniósł pięć palców i zaczął odliczanie, a na końcu wskazał palcem na Kelly. Równocześnie ożyła stojąca przed nią kamera.

— Dobry wieczór państwu — powiedziała Kelly. — Dziś wieczór przedstawimy państwu reportaż dotyczący smutnej historii, która choć rozegrała się w naszym mieście, przypomina grecką tragedię. Rok temu była to idealna rodzina. Ojciec był jednym z najbardziej renomowanych kardiochirurgów w kraju. Matka, psychoterapeutka, cieszyła się powszechnym szacunkiem. Ich ukochana dziesięcioletnia córka uważana była przez wielu za wschodzącą gwiazdę

łyżwiarstwa figurowego. Pierwsze oznaki konfliktu pojawiły się prawdopodobnie wraz z fuzją Szpitala Uniwersyteckiego i Dobrego Samarytanina. Musiało to wywołać napięcie w małżeństwie. Wkrótce potem doszło do rozwodu i walki o przyznanie prawa do opieki nad dzieckiem. Parę dni temu, w sobotnie popołudnie, dziewczynka zmarła z powodu zakażenia bakterią *Escherichia coli*, która co jakiś czas daje o sobie znać w różnych częściach kraju. Doprowadzony do ostateczności wskutek rozpadu życia osobistego ojciec, doktor Kim Reggis, doszedł do wniosku, że za śmierć córki jest odpowiedzialny miejscowy przemysł mięsny. Był przekonany, że córka zjadła zakażone mięso w pobliskiej restauracji Onion Ring. Sieć Onion Ring zaopatruje się w hamburgery w przedsiębiorstwie Mercer Meats, a Mercer Meats otrzymuje wołowinę głównie z rzeźni Higgins i Hancock. Zrozpaczony doktor Kim Reggis przebrał się za włóczęgę, zmienił kolor włosów na blond i pod fałszywym nazwiskiem zatrudnił się w rzeźni, gdzie zabił strzałem z rewolweru innego pracownika rzeźni. Zmarły nazywał się Carlos Mateo, pozostawił po sobie niepełnosprawną żonę i sześcioro małych dzieci. Stacja WENE dowiedziała się od władz lokalnych, że broń pozostawiona na miejscu zbrodni była zarejestrowana na nazwisko doktora i że znaleziono na niej odciski jego palców. Doktor Reggis jest teraz uciekinierem, intensywnie poszukiwanym przez policję. Jak na ironię, jego była żona, Tracy Reggis, najwyraźniej towarzyszy mu w ucieczce. Na razie nie wiadomo, czy została do tego zmuszona, czy też robi to z własnej woli. W poszukiwaniu informacji WENE przeprowadziła wywiad z panem Carlem Stahlem, dyrektorem wykonawczym spółki Foodsmart. Zapytałam pana Stahla, czy Becky Reggis mogła zarazić się *Escherichia coli* w restauracji Onion Ring.

Kelly odetchnęła z ulgą. Zza tylnego ekranu wyłoniła się charakteryzatorka i poprawiła ułożenie jej włosów oraz przypudrowała czoło. Tymczasem monitor w studio wypełniła twarz Carla Stahla.

— Kelly, dziękuję za możliwość rozmowy z telewidzami — odezwał się uroczyście Carl. — Pozwól, że na wstępie powiem, iż znałem Tracy i Becky Reggis osobiście, dlatego jestem przybity tą tragedią. Ale odpowiadając na twoje pytanie, pragnę zapewnić, że panna Becky Reggis nie mogła nabawić się choroby w restauracji Onion Ring. Przyrządzamy nasze hamburgery w temperaturze dochodzącej do osiemdziesięciu stopni Celsjusza, czyli znacznie wyższej niż ta, którą zaleca Organizacja Żywności i Lekarstw, przy czym szefowie kuchni mają obowiązek sprawdzać ją dwa razy dziennie.

Reżyser znowu wskazał palcem na Kelly, a na czubku kamery zapłonęło czerwone światełko.

— To samo pytanie zadałam Jackowi Cartwrightowi z Mercer Meats — powiedziała Kelly, patrząc prosto w kamerę.

Gdy tylko monitor ożył, Kelly ponownie odprężyła się z wyraźną ulgą. Tym razem ekran pokazywał twarz Jacka Cartwrighta.

— Mercer Meats zaopatruje sieć Onion Ring w kotleciki do hamburgerów — mówił Jack. — Sporządza się je z chudej mielonej wołowiny w najlepszym gatunku, zatem nie ma możliwości, by ktoś się rozchorował przez ich hamburgery. Ponadto Mercer Meats przestrzega wszystkich

zaleceń departamentu rolnictwa dotyczących warunków sanitarnych i higienicznych w procesie produkcji mięsa. Restauracje Onion Ring otrzymują najlepsze produkty żywnościowe, jakie oferuje współczesna technologia i pieniądze.

W tej samej sekundzie Kelly wpadła w słowo nagranych na taśmie wywiadów Jacka Cartwrighta:

— I wreszcie zadałam identyczne pytanie panu Darylowi Websterowi, pełniącemu obowiązki dyrektora rzeźni Higgins i Hancock.

Monitor rozjaśnił się po raz trzeci.

— Onion Ring produkuje hamburgery z najlepszego mięsa na świecie — stwierdził zaczepnie Daryl, mierząc palcem w kamerę. — Jestem gotów udowodnić to każdemu, kto temu zaprzecza. My wszyscy w Higgins i Hancock jesteśmy dumni, że możemy zaopatrywać Mercer Meats w świeżą wołowinę. I niech mi będzie wolno w tym miejscu powiedzieć, że to tragedia, iż jeden z naszych najlepszych pracowników został z premedytacją zamordowany. Mam nadzieję, że ten psychopata stanie przed sądem, zanim zabije kogoś jeszcze.

Kelly uniosła brwi w momencie, gdy kamera przed nią znowu zaczęła pracować.

— Jak państwo widzą, morderstwo i tragiczna śmierć dziewczynki w dalszym ciągu budzą gorące emocje. Tak oto przedstawia się historia rodziny Reggisów i jej tragiczne skutki. WENE będzie na bieżąco informować państwa o dalszych wypadkach. Oddaję ci głos, Marilyn.

Kelly odetchnęła pełną piersią i odpięła mikrofon. W tle dał się słyszeć głos Marilyn:

— Dziękujemy ci, Kelly, za ten wstrząsający reportaż. A teraz inne wiadomości lokalne...

* * *

Kelly uruchomiła automatyczne drzwi garażu i wysiadła z samochodu, kiedy zaczęły się zamykać. Przerzuciła sobie torebkę przez ramię i pokonała trzy stopnie dzielące garaż od domu.

Było cicho. Spodziewała się, że zobaczy Caroline siedzącą przed telewizorem. Pozwalali jej oglądać telewizję pół godziny dziennie. Ale telewizor był wyłączony, a Caroline nigdzie nie było. Kelly słyszała jedynie dobiegający z biblioteki słaby stukot klawiatury komputera.

Otworzyła lodówkę i nalała sobie trochę soku. Ze szklanką w dłoni przeszła przez jadalnię i zajrzała do biblioteki. Przed komputerem siedział Edgar. Kelly weszła tam i cmoknęła go w policzek, co przyjął, nie odrywając oczu od monitora.

— Ten materiał o doktorze Reggisie był bardzo ciekawy — odezwał się Edgar. Dwa razy kliknął myszką i spojrzał na Kelly.

— Tak sądzisz? — spytała bez zbytniego entuzjazmu. — Dzięki.

— Smutna historia dla wszystkich jej uczestników — dodał Edgar.

— Mało powiedziane. Jeszcze rok temu Reggis mógł być żywą reklamą amerykańskiego sukcesu. Jako kardiochirurg miał wszystko: szacunek, wspaniałą rodzinę, duży dom, co tylko chciał.

— A okazało się, że to domek z kart — zauważył Edgar.

— No właśnie. — Kelly westchnęła. — Gdzie Caroline? Odrobiła zadanie domowe?

— Prawie — odpowiedział Edgar. — Ale nie czuła się zbyt dobrze i położyła się.

— Co z nią? — zapytała Kelly. Caroline rzadko kiedy rezygnowała z oglądania telewizji.

— Nic wielkiego — uspokoił ją Edgar. — Jakies dolegliwości żołądkowe ze skurczami.

Pewnie zjadła za dużo i za szybko. Uparła się, żeby po łyżwach wstąpić do Onion Ring, a tam były istne tłumy. Obawiam się, że oczy miała większe niż żołądek: zamówiła dwa hamburgery, koktajl mleczny i dużą porcję frytek.

Kelly poczuła nieprzyjemne mrowienie w plecach.

— W której restauracji byliście? — spytała z wahaniem.

— W tej przy autostradzie Prairie — odparł Edgar.

— Myślisz, że Caroline już zasnęła?

— Nie wiem — powiedział Edgar. — Niedawno poszła do siebie.

Kelly odstawiła sok i poszła na górę. Na jej twarzy malował się niepokój. Przystanęła pod drzwiami pokoju Caroline i zaczęła nasłuchiwać. Znowu słyszała jedynie dolatujący z dołu stukot klawiatury komputera.

Kelly cichutko uchyliła drzwi. W pokoju było ciemno. Otworzywszy drzwi szerzej, weszła do środka i cicho podeszła do łóżka córki.

Caroline spała twardym snem. Jej twarz wyglądała szczególnie niewinnie. Oddychała głęboko i miarowo.

Kelly zwalczyła w sobie pokusę, aby przytulić córkę. Zamiast tego stała w półmroku, myśląc, jak bardzo kocha Caroline i jak wiele ona dla niej znaczy. Takie myśli roztkliwiały ją. Życie istotnie było jak domek z kart.

Kelly wymknęła się z pokoju, zamknęła drzwi i zeszła po schodach. Wróciła do biblioteki, wzięła szklankę z sokiem i usiadła na obitej skórą kanapie. Odchrząknęła.

Edgar przeniósł na nią spojrzenie. Dobrze znał Kelly i wiedział, że chce porozmawiać. Wyłączył komputer.

— Co ci jest? — zapytał.

— Myślę o tym reportażu na temat doktora Reggisa. Nie jestem z niego zadowolona. Oświadczyłam to zresztą redaktorowi wydania, ale mnie przegłosował, mówiąc, że to materiał do brukowca, a nie do wiadomości, i że bym nie marnowała na to więcej czasu. Ja jednak zamierzam to zrobić.

— Dlaczego?

— Ta historia zawiera kilka nie wyjaśnionych wątków — odparła Kelly. — Najważniejszy dotyczy inspektorki z departamentu, Marshy Baldwin. Kiedy Kim Reggis wstąpił tutaj w niedzielę, powiedział, że ta kobieta zniknęła. Sugerował, że mogło jej się coś stać.

— Zakładam, że próbowałaś ją odszukać? — powiedział Edgar.

— Poniekąd — potwierdziła Kelly. — Tak naprawdę nie brałam słów Reggisa zbyt serio. Jak już ci mówiłam, uznałam, że po śmierci córki załamał się nerwowo. Zachowywał się bardzo dziwnie, a zgodnie z tym, co mówił, tej kobiety nie było zaledwie od paru godzin. W każdym razie przypisałam jego twierdzenia postępującej paranoi.

— Więc nie odnalazłaś tej kobiety?

— Nie, nie odnalazłam — przyznała Kelly. — W poniedziałek dzwoniłam w parę miejsc, ale prawdę mówiąc, bez większego przekonania. Lecz dzisiaj zadzwoniłam do rejonowego biura departamentu rolnictwa. Kiedy o nią zapytałam, kazali mi rozmawiać z szefem rejonu. Oczywiście, nie miałam nic przeciwko temu, żeby z nim mówić, ale nie udzielił mi żadnych informacji. Powiedział tylko, że jej nie widzieli, i tyle. Kiedy się rozłączyłam, przyszło mi na myśl, że to dziwne, że musiałam mówić z samym szefem, aby otrzymać taką informację.

— To jest dziwne — potwierdził Edgar.

— Zadzwoniłam później jeszcze raz i zapytałam wprost, które zakłady jej podlegały — ciągnęła Kelly. — No i zgadnij, które?

— Nie mam pojęcia — poddał się Edgar.

— Mercer Meats.

— Zastanawiające — przyznał Edgar. — Jak teraz zamierzasz to wszystko zbadać?

— Jeszcze nie wiem — odparła Kelly. — Oczywiście, chciałabym odnaleźć doktora. Mam wrażenie, że całe życie go ścigam.

— No cóż, przekonałem się, że warto ufać twojej intuicji — oznajmił Edgar. — Więc jestem za.

— Jest jeszcze coś — dodała Kelly. — Nie pozwól Caroline chodzić do restauracji Onion Ring, zwłaszcza do tej przy autostradzie.

— Dlaczego? — spytał Edgar. — Ona uwielbia to jedzenie.

— Powiedzmy, że tak podpowiada mi intuicja.

— Będziesz musiała sama jej to powiedzieć — rzekł Edgar.

— To żaden kłopot — odparła Kelly.

Dzwonek do drzwi zaskoczył ich. Kelly spojrzała na zegarek.

— Kto też dzwoni do nas we wtorkowy wieczór? — zastanowiła się na głos.

— Pojęcia nie mam — odrzekł Edgar i wstał. — Ja otworzę.

— Czuj się jak u siebie — powiedziała Kelly.

Kelly potarła skronie. Rozmyślała nad pytaniem Edgara, w jaki sposób zamierza dalej badać sprawę Reggisa. Bez pomocy doktora nie będzie to łatwe. Kelly usiłowała sobie przypomnieć wszystko, co mówił Kim, kiedy był u niej w niedzielę.

Usłyszała, że w holu Edgar najpierw rozmawia z kimś, a potem zostaje poproszony o podpis. Wrócił po paru minutach. Trzymał dziwną kopertę z brązowego papieru i gapił się na naklejkę.

— Dostałaś przesyłkę — poinformował. Potrząsnął nią. W kopercie był jakiś luźny przedmiot.

— Od kogo? — spytała Kelly. Nie lubiła otrzymywać tajemniczych przesyłek.

— Nie ma adresu zwrotnego — stwierdził Edgar. — Jedyne inicjały: K. R.

— K. R. — powtórzyła Kelly. — Czyżby Kim Reggis?

Edgar wzruszył ramionami.

— Możliwe.

— Pokaż mi to — poprosiła.

Edgar wręczył jej paczuszkę. Kelly pomacała jej zawartość.

— Nie wydaje się niebezpieczna. To chyba szpula owinięta w papier.

— Otwórz i sprawdź — zaproponował Edgar.

Kelly rozdarła kopertę i wyjęła plik urzędowych formularzy oraz taśmę magnetofonową. Do szpuli była przylepiona karteczka z napisem: Kelly, prosiłaś o dowody — oto one. Będziemy w kontakcie. Kim Reggis.

— To dokumenty z Higgins i Hancock — powiedział Edgar. — Do każdego dołączony jest opis.

Przeglądając dokumentację, Kelly potrząsała głową.

— Coś mi mówi, że moje dochodzenie właśnie ruszyło na całego.

Epilog

Środa, 11 lutego

Stara, sfatygowana ciężarówka United Parcel Service krztusiła się i prychała, ale jej silnik nadal dzielnie pracował. Po pokonaniu niewielkiego brodu samochód wspinał się na pochyłe zbocze.

— Na Boga, jeszcze nie widziałem, żeby ten strumień był tak głęboki, od kiedy mieszkam w tych stronach — powiedział Bart Winslow.

On i jego partner, Willy Brown, jechali samotną wiejską drogą, próbując dotrzeć do szosy, po tym jak zabrali martwą świnie. Od dwóch dni lał deszcz i droga była rozmyta, a w dziurach stała mętna woda.

Bart wypluł przez okno sok z tytoniu.

— Na mój rozum — ciągnął — to farma Bentona Oakly’ego niedługo pociągnie, jeśli jego krowy będą dalej chorować na biegunkę tak jak ta, cośmy ją zabrali przed świnia.

— Pewne jak amen w pacierzu — zgodził się Willy. — Ale wiesz, ta krowa nie jest bardziej chora od tej sprzed miesiąca. Co mówisz, może weźmiemy ją do rzeźni tak jak tamtą?

— Chyba tak — odrzekł Bart. — Szkopuł w tym, że musimy jechać aż do rzeźni VNB w Loudersville.

— Wiem, wiem — odparł Willy. — Ta damulka z telewizji zmusiła Higgins i Hancock do zamknięcia interesu na parę tygodni, żeby zrobili tam jakieś badania.

— Na szczęście VNB mniej przesmradza niż Higgins i Hancock — powiedział Bart. — Pamiętasz, jak sprzedaliśmy im te dwie krowy, co były bardziej martwe niż indyk wyjęty z pieca na Święto Dziękczynienia?

— No pewnie, że pamiętam — potwierdził Willy. — Jak myślisz, kiedy znowu otworzą Higgins i Hancock?

— Podobno w przyszły poniedziałek, bo nie znaleźli tam nic prócz garstki robotników na czarno — odpowiedział Bart.

— Świetnie — ucieszył się Willy. — No to co robimy z tą krową Bentona?

— Jak to co? — odparł Bart. — Pięćdziesiąt dolców to zawsze więcej niż dwadzieścia pięć.

Spis treści

Prolog	4
Rozdział 1	9
Rozdział 2	16
Rozdział 3	25
Rozdział 4	38
Rozdział 5	43
Rozdział 6	49
Rozdział 7	67
Rozdział 8	81
Rozdział 9	92
Rozdział 10	99
Rozdział 11	104
Rozdział 12	114
Rozdział 13	141
Rozdział 14	155
Rozdział 15	177
Rozdział 16	207
Rozdział 17	237
Rozdział 18	249
Epilog	262